1895. XII. 29

2

WYDAWNICTWO

NA CELE DOBROCZYNNE SAMBORSKIE.

XVIII.

(WYSTAWOWY)

ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

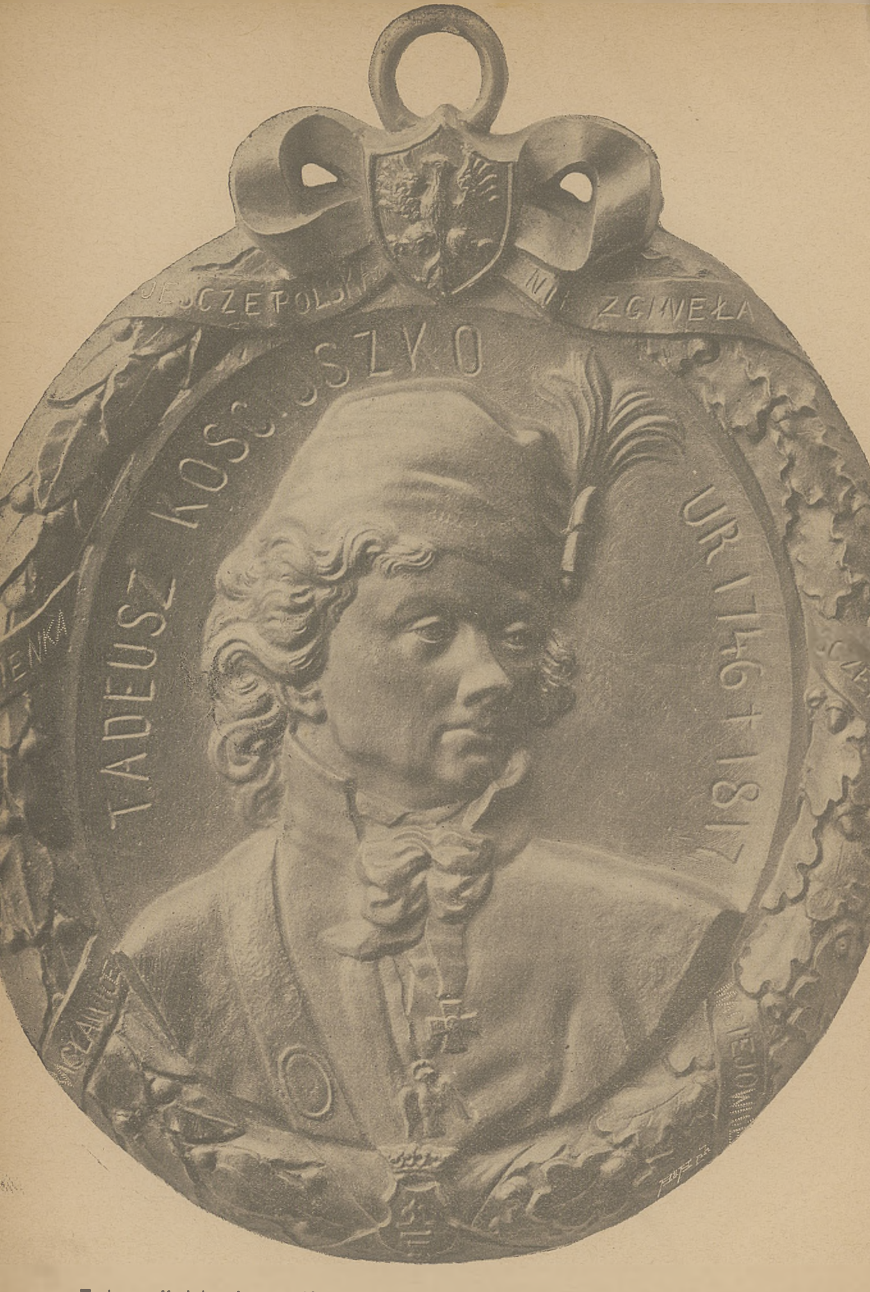
nakładem i staraniem

G. KOHNA.

Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

SAMBOR.

1894—1895.



Tadeusz Kościuszko *(według medaljonu Franciszka Kopaczyńskiego, bronzownika i wystawcy z Krakowa.)*

Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XVIII. (WYSTAWOWY)

ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

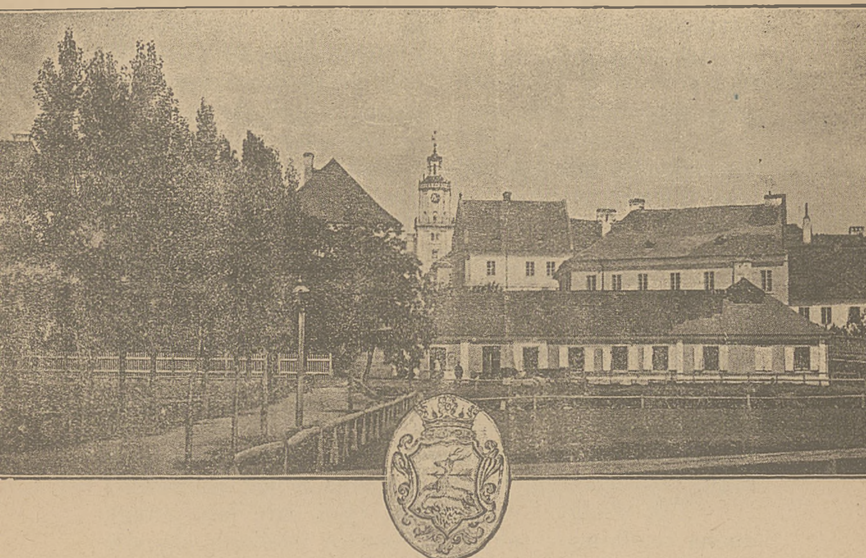
nakładem i staraniem

G. KOHNA.

Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

SAMBOR.
1894—1895.

W Samborze.
Czcionkami Schwarza i Trojana.



Rok Kościuszkowski

i idea Kościuszkowska.



Sto lat upłynęło od chwili, kiedy na polach Racławic wielki wódz w sukmanie, którego rysy portret nasz tytułowy przedstawia, na czele ludu dowiódł, co lud może. Klęski późniejsze, zadane sprawie polskiej, nie potrafiły zatrzeć wrażenia tej podniosłej chwili.

I oto w stuletnią rocznicę wielkiego zwycięztwa i wielkiej klęski powstaje lud polski w wszystkich

dzielnicach, by uczcić pamięć tego, który pierwszy dowiódł żywotność ludu, żywotność idei demokratycznej. Lud się budzi, jak gdyby po śnie stuletnim; powstają stowarzyszenia demokratyczne, powstają czytelnie ludowe, powstają nowe pisma na prowincji, powstaje we Lwowie „Wystawa Kościuszkowska“, aby pokazać urbi et orbi, jakie postępy w przeciągu tych stu lat zrobiła idea polska, zrobiła praca.

O wystawie, która pod względem idei narodowej tak świetnie się udała, pomówimy później. Tu jako tryumf wielkiej idei Kościuszkowskiej podnosimy z naciskiem szczegół, że nietylko stowarzyszenia nawskróś polskie, ogrzane ideą polską, jubileusze swoje i rocznice obchodziły w tym roku; że „Towarzystwo Pedagogiczne“ galicyjskie odłożyło swój jubileusz naumyślnie, aby go razem z innemi obchodzić w roku, sławnym wygraną pod Racławicami, ale że nawet żywioły, nieprzychylne Polsce, stowarzyszenia o tendencjach wprost przeciwnych ideom narodowym, uroczystości swoje obchodziły w roku, poświęconym pamięci wodza z pod Racławic!

Tak wielka i ogarniająca ogół cały jest potęga ducha wielkiego; tak silna pamięć wielkich czynów i wielkich idei, że niepowołani podszczuwacze przyćmić, ani przytłumić jej nie zdołają; taką moc ma to słowo, które się odzywa wszechpotężnem echem:

„Powstań, czyń i działaj!“

Widzimy cud rzeczywisty; widzimy ducha nibyto do grobu złożonego a powstającego w pełni siły i zdumiewającego potęgą swoją wszystkich.

Na wschodnich kresach, w stolicy bukowińskiej, święci on swój jubileusz i woła:

„Jestem, więc żyję!“

Na zachodnich kresach, w zniemczonej na pozór Białej, buduje on dom własny, nad którym orzeł polski rozpościera swoje skrzydła.

Duch narodu wzmacnia i potęguje jego siły; duch narodu odzywa się słowami Lewakowskiego i prze go imieniem tysięcy żywcem w kopalniach syberyjskich zagrzebanych, do protestu przeciwko hołdom, oddanym despocie! Duch narodu jeszcze większych dokazuje cudów; tam, gdzie klęska elemen-

tarna miasto, jak Nowy Sącz prawie do szczętu zniszczyła, tam przytłumia on w sercach pogorzelców głos skargi. Nie biadają długo, ale odbudowują się raźno i doraźnie o własnej sile. Nie żebrają wsparcia, nie żądają pomocy materjalnej a proszą tylko o zasilenie księgozbioru miejskiego, który się spalił, nowemi książkami.

Rok Kościuszkowski dał nam nietylko wystawę; on nam dał całą literaturę Kościuszkowską, o której obszerniejszą wzmiankę w „Bibliografii“ uczynimy. Szanowni czytelnicy i czytelniczki niech mi wybaczą, jeśli mało stosunkowo materjału powieściowego znajdą w książce, przezemnie wydanej, gdyż przeważnie poświęconą została opisowi ruchu narodowego w rozmaitych tegoż kierunkach, oraz pamięci Kościuszki i wystawie, z jego imieniem połączonej.

Sambor, 13. Grudnia 1894.

G. Kohn,
redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“

KOŚĆ z KOŚCI,

przez

Sewerynę Duchińską,

(z portretem tytułowym.)

Nie brakło orłów tej ziemi
Wśród długich czasów pochodu,
Jeden góruje nad niemi —
On Kością z Kości Narodu!

W żyłach krew kipi, nie woda,
Myśli nie wstrzymać w rozpędzie;
Drżyj wrogu, gdy ręka młoda
Szablicę z pochwy dobędzie!
Kość z Kości: z rodu i miana
Junacze nęcą Go sprawy...
Porywa córkę hetmana,
Piastuna złotej buławy.
Pogoń ich rączo pochwyca,
Przed ojca straże powloką;
Płacze dorodna dziewica,
Lecz pierś hetmańska opoką.
Łzy nie rozkruszą tej skały —
Wola rodzica potężną —
Płacze bogdanka rok cały,
A potem... została księżną.
On pomknął przez morskie fale,
Na drugą świata dzielnicę;
Tam, z piersi wypłakał żale,
Tam, w dłoń pochwycił szablicę.
W walce za prawa człowieka,
Ukrzepia ramię od młodu;
Wie, że trud wielki go czeka —
On Kością z Kości Narodu!

*

Godzina czynów uderzy:
Kraj nasz raz drugi zszarpany!
Wnet wieść Atlantyk przebieży,
Trąca o głuche Sawany.
Hejże za wiosła co żywo!
Ocean wściekle się zżyma,
Grzywę najeży straszliwą —
Czyż łódź pokona olbrzyma?
On nie drgnął... czem mu orkany?
Byle łódź parły do wschodu;
Ach! orłom postrach nieznany —
On Kością z Kości Narodu!

*

Przebrnął Atlantyk szeroki —
U brzegu zorze Mu błysły,

Przez lasy, góry, potoki,
Rączo przybiega do Wisły.
Na Wawel pędzi w lot strzały —
Dał znak: wnet spiże zadzwonią —
Chwyta proporzec wspaniały,
Błysł na nim Orzeł z Pogonią.
„Hej za mną, kto w Boga wierzy!
Byle nas była ćma duża!“
Głos od wiślanych wybrzeży
Zbiega doliny i wzgórza.
Szlachta za kordy pochwyca,
Kmiecie za cepy i kosy —
Chór wspólny „Bogarodzica“
Uderza w jasne niebiosy.
I dziw nieznany na świecie —
Zadatek jutra bogaty:
Z kosami rzucą się kmiecie —
Wydarły wrogom armaty!
O takim, kto słyszał cudzie
Wśród długich dziejów pochodu?
On duszę zbudził w tym ludzie,
Bo On Kość z Kości Narodu!

*

Próba to pierwsza: acz ziarno
Sto lat przeleży na roli —
Bóg przyjął siejbę ofiarną —
Plon z niej wybuja powoli.
On odczuł kmiecą potęgę;
Żarem Mu lica rozpłoną —
I przywdział kmiecą siermięgę
I rogatywkę czerwoną.
W siermiędze zdobył blask chwały,
Kiedy wśród krwawej topieli,
Warszawę, gród nasz wspaniały —
Wyrwał ze smoczej gardzieli.
Lecz z piekłem sprawa nielada:
Wróg sojusz zawarł z szatany;
Z rąk Wodza oręż wypada,
Krwi strumień trysnął przez rany.
Ale On wiary nie traci,
Przyszłość nie sprawi zawodu;

On drogoskazem dla braci,
On Kością z Kości Narodu!

*

Pogromca szałem pijany
Krwią zbroczonego, w niemocy,
Kuje w żelazne kajdany,
Wlecze na lody północy.
I przeszły lata niewoli —
Z ran ledwie zostały blizny;
Ach! stokroć srożej Go boli
Hańba rozdartej Ojczyzny.
I znów przebiega dwa światy —
Gdzie stąpi — tryumfy nowe —
Pod nogi sypią Mu kwiaty,
Rzucają wieńce dębowe.
„Cóż po nich? — mrzonka daremna“ —
Głos szepce z piersi rozdartej —
Płaczą u Wisły, u Niemna,
Płaczą u Dniepru i Warty.
Lecz gwiazda za mgły pomrokiem
Dodaje sercu podniety; —
Skonał, ścigając ją wzrokiem,
Pod dachem brata Helwety. —

*

Naród, żałobą odziany,
Po trumnę dąży od wschodu,
Gdzie śpią przy królach hetmany,
Spocznie Bohater Narodu.
Zaszczyt to jeszcze zbyt mały —
Wieść bieży na wsie, na miasta —
Lud z Polski garnie się cały,
I kopiec z ziemi wyrasta.
Sypią go kmiecie od pługa,
Męże, niewiasty i dzieci.
Niech cześć odbierze zasługa
Na pasmo przyszłych stuleci!
Niech Ten osłania gród stary,
Kto Polsce służył od młodu,
Pełen miłości i wiary,
Kościuszko — chwała Narodu!

PRZEDŚPIEW,

zbiór oryginalnych wierszy Kościuszkowskich,

ułożonych przez

G. Kohna*).

I. Słuchaj, mój ludu!

pieśń noworoczna.

Słuchaj, mój ludu! — tak prorok rzecze —
Nie tobie uczcić bałwanów!
Żywe ty słowo przekuj na miecze,
I zwalcz niem zdrady kapłanów!
        Nowy rok nowe niesie ci hasła,
        Nibyto nowe a stare:
        Miłość zbudź dawną, co w sercach zgasła,
        Miłość Ojczyzny i — wiarę.
Prorokom fałszu, co ziębią ducha,
Nie wierz, lecz piewcom prawdziwym;
Nie wierz pochlebcom, ni sługom brzucha,
Ale prorokom wierz żywym!
        W pracy zbawienie, w ojczystej mowie
        Dowód, że naród nie zginie,
        Co żyje Wieszczów myślą, w ich słowie
        Porady szuka jedynie!
O ludu polski! — W rocznicę wielką,
Wodza z Racławic cień sławny,
Z chmur na drużynę spogląda wszelką,
Co dzisiaj uczci czas dawny.

*) Wiersze te, poprzednio w „Djable“ w skorumpowanej „djablikami“ drukarskiemi edycji ogłoszone, a które tu zbiorowo umieszczam, łączą się wszystkie jeśli nie treścią, to myślą z ideą Kościuszkowską: ztąd zbiorowy tytuł, przezemnie im nadany. (Przyp. aut.)

Onto bohater, co w ludu pieśni
Żyje, żyć będzie ua wieki,
Na was spogląda, o wy boleśni!
Wy, pozbawieni opieki!
Do pracy ludu! bierz sobie wzory
Z przeszłości, ludów mistrzyni;
Nie próżne słowa i metafory,
Lecz zapał cuda uczyni!
„Finis Poloniae!“ — hasło fałszerzy
Z powierzchni ziemi niech zniknie;
Polska myśl, serce w je nie uwierzy,
Skoro do pracy przywyknie!
Nie przepadł naród, że mu łaskawsze
Nieba pomagać nie chciały;
Lecz wtedy naród przepadł na zawsze,
Gdy ojców wyrzekł się chwały!
Nie zginął naród, choć zwyciężony,
Choć mu brak życia osnowy —;
Lecz wtedy żywot jego skończony,
Gdy ojców wstydzi się mowy!
Matka-Ojczyzna na synów woła;
Ale nie wskrzesi już syna,
Co iskrę Boską zgasił u czoła,
Gdy gnuśnieć naród poczyna!
Umarli Wieszcze! lecz duch ich żyje,
Żyje na wieki ich słowo;
Ono lud polski chwałą okryje,
Ono mu życia osnową!
W imieniu Mistrzów, w imieniu ludzi,
Co Polskę kochają szczerze:
Niech nowe hasła nowy rok budzi
W pracy, w nadziei i w wierze!

Sambor, 29. Grudnia 1893.

II. Ja go widzę w koronie.

Smutne, smutne dziś czasy
Poniewierki i nędzy;
Próżne ludzkie zapasy,
By ją przerwać coprędzej;
Myśl się kurczy, karleje,
Jak rozbitek, co tonie;
Tylko ja mam nadzieję,
Ja go widzę w koronie!
Któż to taki, o któż to?
Jakież nowe zjawisko,
Co nas zbawi? o cóż to,
Co otacza nas blisko?
Cóż takiego, co dolę
Ziemską olśni przy zgonie? —
Palec kładł mi na czole,
Ja go widzę w koronie!
Czy to mocarz, co wielkie
Państwo ująć ma w szranki?
Czy to bogacz, co wszelkie
Zaspokaja zachcianki?
Któż ten wielki, ten święty?
Któż, o któż w naszem gronie?
Ja go widzę zaklęty,
Ja go widzę w koronie!
On na męki i bole
Serce moje hartuje,
Ziemską złoci mi dolę,
Ja go widzę i czuję!
Ducha, co nad katuszą
Zapanował w mem łonie;
Hej! hej! raduj się duszo!
Ja go widzę w koronie!

Sambor, 1. Lutego 1894.

III. Słowo jeszcze zostało.

„Rzućcie wszelkie ideje —
'Tak mówi wraży tłum —
By odżyły nadzieje,
Głoszone dźwiękiem dum.
„Wieszczów natchnionych słowo —
To tylko fałsz i kłam,
Naród budzić niezdrowo,
Co byt swój zniszczył sam.
„Historja wasza mami,
Gdy chwałą Polski brzmi,
A pokropiona łzami,
Ojczyzna w trumnie spi!
„Łudzicie się nadzieją;
Lecz cóż wam nada łza?
Praktyczni was wyśmieją;
Gdzie zysk, tam patria!" —
A my odrzekniem na to:
„Choć wróg nas pragnie zgnieść,
Za płacę nam bogatą,
Starczy Ojczyzny cześć!
„My pracownicy słowa,
Nie zmienim nigdy farb:
Ojczysta nasza mowa,
To dla nas skarbów skarb!
„To słowo wszechpotężne,
Nie zniknie z biegiem fal —
Zastępy to orężne,
To miecz nasz, nasza stal!
„Ono nas wieńczy chwałą,
Ono na wieki trwa;
Słowo jeszcze zostało:
„Vivat Polonia!"

Sambor, 1. Marca 1894.

Obrazy z Wystawy,

zebrane przez

G. Kohna.

Wstęp*).

Nie piszę ani pamfletu, ani też panegiryku. Pamfletu nie piszę, jakkolwiekby sobie niektórzy życzyli, abym „bezwzględnie ganił“; nie piszę pane-



giryku, nie chcąc być „bezwzględnym chwalcą.“ Sądzę przeciwnie, że tam, gdzie światła, tam i cienie, a wyświadczyłby najgorszą przysługę Dyrekcji Wy-

---

*) Obrazy z Wystawy, bądźto wierszem bądź prozą, wyłącznie przezemnie zostały streszczone, korzystałem jednak z obcych informacyj, gdzie i kiedy się tylko dało. Szczególną wdzięczność pod tym względem jestem winien uprzejmości p. Adama Szwajkarta, gospodarza pawilonu polsko-amerykańskiego, który mi informacyj swoich nie skąpił, gdzie mi ich rzeczywiście trzeba było, ale też nigdy się niemi nie narzucał, gdzie ich nie pragnąłem. Co do działu illustracyjnego, wiele mam do zawdzięczania bezinteresownej jego uprzejmości, jak niemniej

stawy, ktoby ją bezwzględnie chwalił. Rok Kościuszkowski, idea Kościuszkowska w dalszym ciągu zrodziły „Wystawę Lwowską“ jako wynik pracy stuletniej, a choć aranżerom Wystawy nikt zapewne wielkich zasług nie zaprzeczy, choć nie szczędzili ni prac ni ofiar — to i pod tym względem, aby zachować bezstronność, dokładnie rozróżnić nam trzeba, w czem polega ich zasługa a ile tej zasługi przypisać trzeba nie mandatarjuszom idei Kościuszkowskiej, ale najwłaściwiej tejże idei samej. Skoro zaś definicję rzeczoną dokładnie przeprowadzimy, zrobiwszy należyty rozdział między tem, co moje a twoje, wtedy — zamiast bezwzględne oddać pochwały i hołdy — powiemy może nieraz: „Non tibi, sed Petro!“

Tu na samym czele muszę zaznaczyć, że Lwów jako miasto wystawowe całem położeniem swojem daleko większe trudności nastręczył, aniżeli Przemyśl, Czerniowce, Kraków lub Praga. Wszystkie wyżwymienione miasta posiadają wspaniałe rzeki, Lwów jej nie ma. Terytorjum lwowskie, ścieśnione ponadto ze wszystkich stron, nie pozwalało absolutnie na założenie ogrodu wystawowego w nizinie w śródmieściu. W takiej nizinie albo choć na pochyłości lekkiej umieszczona wystawa czeska w Pradze czarujące wywołała wrażenie. Lwowska w nizinie umieszczona, zupełne zrobiłaby fiasko. Jest to zasługą niezaprzeczoną Prezesa Wystawy, ks. Adama Sapiehy, jakoteż Dyrektora Marchwickiego i inżyniera hr. Łubieńskiego, że Wystawę Lwowską, której plan obok podajemy, umieścili na wzgórzu stryj-

---

fotografowi Janowi Krzanowskiemu ze Lwowa, którym też na tem miejscu należące im się słusznie za ich bezinteresowność podziękowanie składam. Oprócz tego przyczynili się do wzbogacenia działu illustracyjnego bądźto dostarczeniem przedmiotów wystawowych, bądźto odfotografowaniem tychże następni wystawcy i wystawczynie: Tobiasz Kohn, złotnik ze Lwowa, Franciszek Kopaczyński, bronzownik z Krakowa, Stefania Kossowska, redaktorka „Małego Światka“ ze Lwowa, J. Siemiradzki z Brazylii, oraz fotografowie M. Bergtraun ze Lwowa, Eugeniusz Jurkiewicz z Kołomyi, Marja Kalapus i Edward Trzemeski ze Lwowa, wszystkie zaś winietki, z wyjątkiem głowy Kościuszki i godła zjazdu literackiego, pochodzą z pracowni artystycznej Edwarda Trzemeskiego ze Lwowa. *(Przyp. aut.)*



Plan Wystawy krajowej, (według fotografii Jana Krzanowskiego ze Lwowa.)

skiem, zkąd czarujący widok na całą okolicę się roztacza.

Nie możemy Dyrekcji zarzutu zrobić z tego powodu, iż się nie postarała należycie o siły i punkta atrakcyjne dla Wystawy. Przeciwnie! taka „Panorama Racławicka“, takie „Mauzoleum Matejki“ albo „Pałac sztuk pięknych“ — to całkiem poważna atrakcja nietylko dla prostego tłumu, ale także dla ludzi myślących, a komu zabawa więcej głowę zaprzątała, aniżeli nauka rzeczywista, ten mógł się należycie zabawić „koleją“ czy raczej „kołyską powietrzną“ albo podziwiać promienie „fontany świetlnej.“ Co do zarzutu, uczynionego Dyrekcji, że się nie postarała o należytą ilość wehikułów, mogących gości przewieźć na plac Wystawy —, to i taki zarzut uznaję za zupełnie nieuzasadniony. Czeska wystawa więcej oddalona była od śródmieścia, aniżeli lwowska, a mniej było wehikułów. Co gorsza! goście, jadący tramwajem konnym na wystawę, przesiadywać musieli się kilkakrotnie podczas jazdy tam i nazad i tracili czas niepotrzebnie. Tego we Lwowie nie było. Można było jechać fiakrem, omnibusem, elektryką, można było nawet chodzić na piechoty bez wielkiego umęczenia, co na sobie samym nieraz doświadczałem.

Uzasadniony natomiast zarzut uczynić można było Dyrekcji z tego powodu, że ceny wstępu były zanadto wygórowane i że je obniżono zbyt późno. Także wikt na wystawie — gdziekolwiek się wiktowano — stanowczo był za drogi a przy tem tak zły i nieodpowiedny, że równie złego a drogiego nie przypominam sobie. Do jakich słusznych uwag oburzenia i goryczy wątku nastręczyła „francuzka restauracja“ — o tem i pisać obszernie nie ma potrzeby. Ja od siebie nadmienię tylko, że gdyby Kościuszko sam miałby się zajmować urządzeniem „Wystawy Kościuszkowskiej“ —on z pewnością braci Polaków z Ameryki do serca swego by przyciskał a Gérarda ze swymi Francuzami tak traktował, jak Zbawiciel kramarzy, rozkładających się taborem w świątyni. Na czeskiej wystawie takich Gérardów

nie było — poczucie narodowe nie pozwoliłoby im, na wystawie się rozgnieździć.

Nie możemy jednak Dyrekcji we wszystkiem i bezwarunkowo winować o materjalne niepowodzenie wystawy. Rok dżdżysty i cholera odstraszyły niejednego od zwidzenia jej. Przypływ gości, choć był jaki taki, ale nie był niezwykły. Polacy z Ameryki, Szlązka, Poznania, nawet bracia z Kongresówki nie szczędzili ofiar, aby się zapoznać z Wystawą naszą, kraj nie szczędził ofiar, aby ją wspierać, wystawcy zupełnie bezinteresownie dali ostatni grosz z kieszeni, ja sam jako wystawca straciłem na tym interesie conajmniej około 500 złr., wielu z moich kolegów i koleżanek wystawowych może jeszcze więcej, a mimoto oświadczam tak w imieniu mojem, jak i moich kolegów i koleżanek z wystawy, którzy się nie — jak prosty tłum myśli — obłowili na niej, że w każdej chwili, gdy nową wystawę krajową we Lwowie obesłać wypadnie, j a k j e d e n m ą ż staniemy do apelu. Staniemy nie na zawezwanie tej lub owej Ekscelencji, ale imieniem idei; nie dla osobistej korzyści naszej, ale dla dobra i dla chwały kraju; nie, aby błyszczeć i jaśnieć pracą swoją, ale by pokazać, że pracujemy! Non tibi, sed Petro!

Jeżeli najwyższemi pochwałami obdarzymy ziomków, jak Amerykanów z najdalszych nawet okolic przybyłych, to jakież słowa zarzutu wybierzemy na skarcenie obojętności Polaków w Szwajcarji zamieszkałych, których — jak gdyby widać nie było na wystawie! O jednym tylko Jeżu wiadomo mi, że przybył. „Rapperswyllskie Muzeum“ nie uznało nawet za stosowne, swoim kosztem wysłać kilku stypendystów na Wystawę Lwowską, ale uznało za stosowne, przypominać nam na naszych zjazdach istnienie swoje drukowanemi cyrkularzami.

Jako rażący brak wystawy uważam niesystematyczność w rozmieszczeniu rozmaitych okazów po pawilonach. W pawilonie dziennikarskim znachodziły się rzeczy, które bezwarunkowo w pawilonie przemysłowym i w pałacu sztuk pięknych figurować by powinne; w pawilonie miasta Lwowa znalazłem miedzioryt, który właściwie do pawilonu dziennikar-

2*

skiego należał; hektografy, zamiast w pawilonie dziennikarskim, figurowały w pawilonie przemysłowym; w pawilonie architektury znalazłem rzeczy, należące po części do pawilonu pracy kobiet (makaty), po części do pawilonu przemysłowego (biżuterje), po części zaś do pałacu sztuk pięknych i jako zawartość tegoż nawet w katalogu wymienione (imitacja obrazu, przez Hakowskiego w srebrze wykonana) i t. d.

Wzorowo i systematycznie urządzone były rządowe budynki. Wielkie pochwały oddać muszę aranżerom pawilonu poczt i telegrafów. Tu nie brakowało niczego, aby podać dokładny obraz czynności i rozwoju tychże instytucyj w kraju. Widzieliśmy aparaty telegraficzne, telefoniczne, rachunki, mapy, wykaz czynności, nawet wykaz chorób urzędników i urzędniczek. Na dole w wozowni widzieliśmy wozy systemu Lickendorffa ze Lwowa, które Dyrekcja poczt wszędzie u siebie zaprowadza, rugując tem samem wyrób zagraniczny. Ciekawy był dla nas album z staremi a bardzo rzadkiemi markami austrjackiemi, oraz zbiór fotografij, wśród których widniała postać najstarszego pocztyljona galicyjskiego. Urzędnik pocztowy, p. Baron, uprzejmy mój cicerone, pokazał mi także uwidoczniony na manekinie mundur honorowy pocztyljonów wysłużonych, ciekawą a dotąd jeszcze urzędownie nie zniesioną spuściznę ery józefińskiej.

W pawilonie szkolnym starano się wykazać postęp w nauce w przeciągu stu lat: tu natrafiłem na niektóre bardzo ciekawe okazy przeszłości, zarzucone obecnie w naszem szkolnictwie. Są to tak zwane „księgi czci,“ któremi dobrych uczniów i premjantów odznaczono, podczas gdy inne księgi, zwane „księgami hańby“ czyli „księgami czarnemi“ (ztąd też przysłowie: „zapisać kogoś w czarną księgę“) wymownie o tem świadczyć miały, że między spokojnymi, dobrymi i pilnymi uczniami znachodzą się także nieodpowiedne żywioły, oddające się namiętnie nałogom kradzieży, rozpusty, pijatyki — i uprawiania języka ojczystego polskiego!

W pawilonie uniwersyteckim wielce zajmującą była zbiorowa wystawa miasta Krakowa, szczególnie nęcąco zaś przedstawiały się widoki miasta z roz-

maitych epok i fotografje zabytków starożytnych, kościołów i budowli pamiątkowych, wykonane mistrzowską dłonią krakowskiego fotografa Kriegera, który pod tym względem może w całej Galicji równego sobie nie ma.

Pawilon Wydziału krajowego systematycznie urządzony, również systematycznie przedstawił nam wyniki pracy rzemieślników i stypendystów, subwencjonowanych przez kraj. Widzieliśmy tam bardzo piękne okazy przemysłu drzewnego, koszykarskiego, tokarskiego, snycerskiego, powroźniczego, garncarskiego i t. d. Wielce oryginalnie przedstawiły nam się także desenie na piecach kaflowych, chłopską ręką wykonane a przedstawiające kwiaty w niemożliwych proporcjach.

Pawilon łowiectwa i leśnictwa, choć na zewnątrz wcale nie imponujący kształtami swemi, na wewnątrz odznaczył się wielką systematycznością; tak samo co do wewnętrznej formy pawilon ck. Ministerstwa skarbu, którego zewnętrzna forma także wcale przyzwoicie się przedstawia.

Po co Węgrzy na wystawie w osobnym pawilonie się rozgospodarowali — nie pojmuję; chyba, aby jeszcze więcej poniżyć industrję krajową nadmiarem maszyn swoich — i nadmiarem węgierszczyzny i niemiecczyzny. Dział maszynowy w ogóle przez krajowców słabo, bardzo słabo był reprezentowany. Zastanawiać tem bardziej mogłoby to każdego, ponieważ Galicja jak wiadomo jest krajem rolniczym, a takie kraje najwięcej powinne produkować maszyn; my zaś tych maszyn krajowych jak najmniej widzieli na wystawie: coś z fabryki Zieleniewskiego z Krakowa, Kostrzewskiego z Sambora, Dornwalda z Przemyśla, Claytona i Schuttlewortha ze Lwowa — na tem koniec. Sądzimy nawet, że Dornwald i Clayton lepiej by zrobili, gdyby tę odrobinę maszyn, jaką tam mieli, wystawili w halli maszyn a nie na placu wystawy na wolnem polu, podczas gdy Niemcy prawie wyłącznie w halli maszyn się rozgościli.

Wystawa etnograficzna przedstawiła dosyć zajmujący widok, choć i tam brak było niejednej rze-

czy. Nie widzieliśmy zagród szwabskich, których pełno w naszej Galicji. Widzieliśmy chatę tatrzańską, ale nie widzieliśmy domostwa nowotarskiego, przedstawiającego prawie zupełnie odrębny charakter. Oryginalnie wyglądały kafle na piecach w chacie huculskiej. Pomysły dzikie, nieforemne, rysunki tego rodzaju, iżby się dziecko sześcioletnie ich nie powstydziło. A kolory? wszystko — ludzie, konie, ptaki zielone, żółte, brunatne, fioletowe. Innych kolorów chyba nie zna ornamentyka rysunkowa huculów. Bardzo piękny zbiór manekinów z najrozmaitszych okolic tak wschodniej, jak i zachodniej Galicji widzieliśmy w dworku szlacheckim, a cerkiew drewniana wyglądała imponująco.

Wieża wodna, zaopatrująca basen i fontanę świetlną w wodę, przedstawiła się jak kawał średniowieczyzny, żywcem przechowany aż do naszych czasów i tem samem przyczyniła się wielce do budzenia interesu u ogółu. Natomiast zawiodło akwarjum wszelkie nasze nadzieje. Zewnątrz wyglądało niepokaźnie, wewnątrz jeszcze gorzej. Co za różnica między wspaniałem akwarjum br. Gostkowskiego z Tomic, które oglądać i podziwiać mieliśmy sposobność na wystawie krakowskiej a tą ponad wszelki wyraz nędzną imitacją! Tamto akwarjum przedstawiło się na zewnątrz jak grota mitologiczna. Widok był przecudny, czarujący, że się oko odeń oderwać nie mogło! a okazy wewnątrz umieszczone, jakie zdrowe i piękne! Tu zupełnie przeciwnie: widzieliśmy chałupę w ziemię zapadłą z przystępem wcale nie wygodnym, a okazy ryb wewnątrz umieszczone, aż zgroza opisać: wyzdychające, okrwawione, umęczone, aż się oko ze wstrętem od nich odwrócić musiało, aby nie zajrzeć więcej do tych zdechlaków!

Zaprawdę! żywe kwiaty na Wystawie Lwowskiej stokroć lepiej się udały od żywych ryb: to też każdy kto mógł, spieszył, czy to podziwiać bogactwo flory u Klimowicza, u Kaczyńskiego i Wolińskiego, którzy ponadto w bardzo sztuczny sposób gdyby kopułą zieleni przyozdobili swój pawilon, czy też, by się w ogrodniczym pawilonie zachwycać amerykańską agawą, strzelającą kitą żółtych kwiatów pod

niebiosa. Przez krótki czas — bo zaledwie przez kilka tygodni w Wrześniu — mieliśmy też sposobność, podziwiać olbrzymie i dziwaczne kształty kaktusów, miast kwiatów gazonowych umieszczonych u stóp olbrzyma amerykańskiego. Co za rozmaitość form, kolców, rogów, włosów, kolorów, rozmiarów najróżnorodniejszych! Niektóre kaktusy drobne, że je ledwie spostrzedz, niektóre olbrzymie jak dynia jakaś; podłużne, słupkowate, okrągławe, płaskie, obrośnięte to białym włosem, to znowu zaopatrzone żółtemi kolcami albo potężnemi rogami czerwonemi; mammillariae, echinokakty, echinopsy, echinoceree, piloceree w takiej obfitości, że rzadko coś podobnego widziałem! Wszystko to okazy botanicznego ogrodu, którego zarząd z dumą spoglądać może na swoich ogrodników, zajmujących się pielęgnacją tych dzieci północnej i południowej Ameryki, przeniesionych z klimatu podzwrotnikowego na grunt galicyjski!

Kto się uważnie przypatrywać pragnął rozmaitym formom chorób, oraz lekom, wymyślonym na zwalczenie tychże, ten mógł to swobodnie uskutecznić w pawilonie sanitarnym, zaopatrzonym czerwonym krzyżem; o ile zaś lekarstwo polega na anatomii, o tem mógł się poprzednio przekonać, rzuciwszy okiem na zbiory i rysunki anatomiczne, umieszczone w pawilonie uniwersyteckim. Kto bodaj chwilowo oddychać chciał grubem, zgęszczonem powietrzem, ten swój zamiar snadnie mógł uskutecznić, wlazłszy w podziemia borysławskie lub wielickie, naśladujące w zdrobniałych rozmiarach kopalnie nafty w Borysławiu lub kopalnie soli w Wieliczce. Ale pobyt dłuższy w tych podziemiach, bladem światłem lampki oświetlonych, wcale nie należał do rzeczy zachwycających. Więc po krótkim pobycie tamże, każdy znów się wygarmolił na powierzchnię, rad rozerwać się przyjemniejszym widokiem.

Ucho nasze razi brzęk hałaśliwej muzyki: co to takiego? to murzyńska kapela. Z ciekawości odwiedzamy i tych wystawców w ich „saloonie amerykańskim.“ Powiem otwarcie, że — aby coś podobnego widzieć, czemuś podobnemu się przysłuchiwać, nie trzeba na to aż kapeli murzyńskiej. Abstrahujmy

od dźwięków mowy angielskiej, niekoniecznie każdemu znanej; abstrahujmy od czarnej twarzy murzynów albo od dźwięków fortepianu, towarzyszącego ich pląsom i śpiewom, a będziemy mieli kubek w kubek to samo, skoro naszych Hryćków, Fedków i Hawryłów zaangażujemy do wybijania hołubców. Wzrost ten sam, ruchy te same, niezgrabne i chłopskie, budowa ciała również wysoka, surduty długie, nieprzymierzając jak u sokalskich i bełzkich mieszczan z tą chyba różnicą, że tamci mają czarne surduty a murzyni mieli białe, modulacja głosu krzykliwa, wrzeszcząca jak u chłopa. Kto wie! gdybyśmy naszych domorosłych muzykantów chłopskich do Ameryki wysłali, możeby tam jeszcze większe furore zrobili, aniżeli ta kapela murzyńska na Wystawie Lwowskiej.

Ale nasz chłop, przygnieciony troską domową, nie uprawia muzyki z równem upodobaniem, z równym zapałem, jak murzyni. Czasem na weselach odzywa się głos wesołego krakowiaka, częściej zaś słychać smętne dumki albo płaczliwe tony dziada-lirnika pod figurą. Chór Bieżanowski, kapela księcia Sapiehy, Prezesa wystawy— to tylko wyjątki z ogółu. Nasz chłop żyje nie w świecie tonów; on żyje z ziemi, żyje na ziemi i dla ziemi a kto go podpatrywać chce w własnym domu, ten niech go odwiedza w „Kółku rolniczem.“ Dla badacza życia ludowego „Kółka rolnicze,“ reprezentowane na wystawie, były materjałem wielce pouczającym. Jeśli gdzie, to tu znaleźć mógł galicyjskiego chłopa w żywiole swoim: tu znalazł sklepy rolnicze z zapasami żywności dla ciała a obok w przyległym pokoju niewyczerpany zapas pokarmu dla ducha: gazety i pisma wiejskie, oraz książki ludowe, najbardziej odpowiadające wymaganiom włościan.

Warunki życia, wśród których się obracamy, twarde. Kto nie pracuje i oszczędza za młodu, ten na stare lata żyć nie będzie miał z czego. Wierna swemu godłu: „Pracuj a oszczędzaj,“ przedstawia też lwowska kasa oszczędności w osobnym pawilonie pięćdziesięcioletnie owoce swojej pracy, zacząwszy od roku założenia 1844. Wynik pracy bardzo

poważny tem bardziej, że się łączy z wystawą wszystkich towarzystw zaliczkowych w Galicji a nawet w Poznańskiem.

Jeżeli kasa oszczędności rezultatami wyrachowanej i obrachowanej pracy swojej około nagromadzania wielkich kapitałów nam imponuje — to nie w mniejszym stopniu fundacja skarbkowska rezultatami pracy swoich wychowanków, wyszczególnionej i słusznie dwoma medalami, a mianowicie: medalem bronzowym państwowym i medalem honorowym komitetu Wystawy.

To, co w tym wstępie przy wolniejszej chwili i już w Samborze nakreśliłem — to zaledwie krótki zarys; o innych pawilonach i zdarzeniach z wystawą połączonych rozpisywałem się obszerniej bądźto wierszem, bądź prozą we Lwowie; o wszystkiem się rozpisywać—na to nie starczyło mi ani czasu, ani miejsca, ani wiedzy fachowej. Nie mogę jednak tego wstępu zakończyć, nie uczyniwszy poprzednio niektórych ogólnikowych uwag.

I tak pomiędzy wadliwości wystawy zaliczam wybór nieraz niekompetentnych nawet sędziów. Temu to szczegółowi zawdzięcza fotograf Jurkiewicz, że tylko list pochwalny otrzymał, choć mu się rzeczywiście conajmniej srebrny medal należał i choć jego praca nawet w kompetentnych pismach warszawskich najwyższych pochwał się doczekała, podczas gdy amatorowie z „klubu fotograficznego“ nie wiedzieć za co medal otrzymali; temu to szczegółowi zawdzięcza złotnik Tobiasz Kohn ze Lwowa, że całkowicie został przeoczony, choć jego praca nie gorszą była od pracy Dornhelma, wyszczególnionego medalem; temu to szczegółowi zawdzięczają literaci, że jako wystawcy odsunięci zostali od wszelkich nagród, które się jak najniesłuszniej ich zastępcom lub pośrednikom, księgarzom dostały. Jest to stosunek tak rażący, jak gdyby — dajmy na to — handlarz mebli, na wystawie zastępujący stolarza, medal temuż należny otrzymał z wykluczeniem właściwego robotnika, który stoły sporządził. Na ten sposób oprócz mnie pokrzywdzeni zostali Seweryna Duchińska,

polska poetka, Klemens Kołakowski, redaktor i wydawca „Gazety Polskiej Czerniowieckiej“, Zofia Mrozowicka, redaktorka i wydawczyni „Młodego Wieku“, Stefania Kossowska i Anna Lewicka, redaktorki i wydawczynie „Małego Światka“, redaktorowie „Uniwersalnej Biblioteki“ Zukerkandla i inni. Powie może kto, że przecież i księgarzom za ich trud coś się należało. Nie przeczę: należał im się list pochwalny i nic ponadto!

Imieniem literatów jako stan w najżywotniejszych swoich interesach pokrzywdzonych; imieniem tych, którym jak mnie oświadczono, że cały kraj zna ich zasługi i że nie zachodzi potrzeba, wypytywać ich się o co bądź (marny i czczy komplement, do którego nigdy żadnej nie przywiązywałem wagi) — wnoszę tedy protest przeciwko sądowi jurorów nie do jakiejkolwiekbądź komisji (byłby to bowiem protest spóźniony), ale wnoszę i zapisuję mój protest w dzieje literatury polskiej, która nad nim do porządku dziennego nie przejdzie, ni też milczeniem go nie zbędzie; wnoszę go w imieniu mojem i w imieniu tych wszystkich kolegów i koleżanek, którzy dotąd w tej sprawie się nie odezwali i zapewne i nadal się nie odezwą, chociaż sercem podzielają moje zdanie!

Wystawa wykazała także inne wadliwości, choć może mniejszej wagi. Dozorcy pawilonów nieraz nie byli należycie przygotowani, ni też oswojeni z czynnością swoją; natomiast przypominali się gościom o napiwek ustawicznie i to nieraz z przykrem natręctwem. Risum teneatis amici! W pawilonie piśmiennictwa zastałem nawet raz chociaż na chwilowem tylko zastępstwie dozorcę, który ani czytać, ani pisać nie umiał!

W katalogu sztuk pięknych napotkałem również na wadliwości. Ile błędów językowych, stylistycznych i gramatycznych było w katalogu sztuki retrospektywnej—to wykazała już dobitnie „Nowa Reforma.“ Ja jeszcze ponadto w niejednem miejscu znalazłem brak systemu i porządku. Gorzej o wiele miała się rzecz

z katalogiem sztuki współczesnej, do którego już nawet objaśnień biograficznych nie dodano, choć się z kolei trzy nakłady pojawiły.

Z tem wszystkiem zaprzeczyć nie można, że „Wystawa Lwowska“ była dziełem niezwykłem, olbrzymiem; budziła podziw w kraju i za granicą; wykazała rozwój sztuki, o którym dotąd nikt wyobrażenia nie miał; wykazała rozwój pracy, spostrzegać się dający prawie na każdym kroku, a więc nie chybiła celu. Życzymy, aby przyszła wystawa, jeśli ją dożyjemy, lepiej się udała; aby mniej tam było blichtru i blasku na zewnątrz a więcej rzeczywistej korzyści i nauki wewnętrznej; aby mniej tam było wystawności błyskotliwej, a więcej systemu i pracy wystawowej na wewnątrz.

Wystawa budziła do życia cały szereg rozmaitych publikacyj literackich; prawie każdy pawilon posiadał odrębne swoje katalogi i broszury. Dla dokładności przytaczam najgłówniejsze:

Katalog powszechnej wystawy krajowej (wydanie drugie). Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 442.

Katalog wystawy zabytków starożytnych. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 167.

Katalog illustrowany wystawy sztuki polskiej (sztuka retrospektywna, 1764—1886). Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerownnych 384.

Katalog illustrowany sztuki nowożytnej współczesnej (trzecie wydanie.) Lwów 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 46.

Katalog działu etnograficznego. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 111.

Katalog wystawy dzieł Jana Matejki. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 56.

Racławice. Illustrowany opis panoramy. Lwów, 1864. Stronic numerowanych 16.

Dziennikarstwo Polskie w Ameryce. Opracował Henryk Nagiel. Referat przeznaczony na wystawę Kościuszkowską we Lwowie. Chicago, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 130.

Rzut oka na literaturę pedagogiczną i ludową niewieściego pióra w Polsce, przez Antoninę Mach-

czyńską. Mała ósemka. Lwów, 1894. Stronic numerowanych 42.

Katalog zbiorowej wystawy w pawilonie c. k. Ministerstwa skarbu. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 38.

Drugie sprawozdanie c. k. Państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie za rok szkolny 1893 - 4. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 57.

Katalog Akademii umiejętności w Krakowie. Kraków, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 48.

Katalog wystawy szkół ludowych i średnich galicyjskich w pawilonie c. k. rady szkolnej krajowej. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 108.

Z pawilonu Towarzystwa krajowego dla handlu i przemysłu. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 40.

Spis przedmiotów, umieszczonych w pawilonie c. k. Dyrekcji poczt i telegrafów dla Galicji na powszechnej Wystawie krajowej we Lwowie w r. 1894. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 39.

Dr. Albert Zipper. Führer durch Lemberg und die allgemeine Lemberger Ausstellung. Lemberg, 1894. Duodez. 123 nummerirte Seiten.

Lwów w cyfrach. Szesnastka. Lwów, 1894. Stronic numerowanych 48.

Pawilon miasta Lwowa. Katalog szczegółowy dla oddziału: lasy dóbr miasta Lwowa. Lwów, 1894. Mała ósemka. Stronic numerowanych 11.

Sambor, 20. Grudnia 1894.

Uroczystości jubileuszowe i zgromadzenia, oraz zjazdy stowarzyszeń.



Rok Kościuszkowski nastrojem poważnym oddziaływał nietylko na stolicę, ale także na prowincję. Urządzano zjazdy jubileuszowe, rozpamiętywano chwile ubiegłe, ubiegłe dzieje i starano się, korzystać z nauk, obficie dostarczanych przez nie. A że rok Kościuszkowski równocześnie był owym, w którym stolica kraju — niby tryumf pracy krajowej — urządziła wystawę, więc we Lwowie odbyły się prawie wszystkie te posiedzenia, Towarzystwo pedagogiczne zaś jubileusz swój odłożyło naumyślnie na rok 1894, uświęcony wystawą lwowską.

Nie wszędzie jednak jubileusze odbywać się mogły w stolicy: jubileusz Czytelni polskiej w Czerniowcach wyprzedził otwarcie wystawy lwowskiej prawie o miesiąc. Nastrój tej uroczystości jubileuszowej również był podniosły i uroczysty. Widzieliśmy na niej druhów z Bukowiny, z Galicji, z Rumunii: rzemieślnik z Paszkan wygłosił wiersz patrjotyczny, który rzęsistemi witano oklaskami. Na końcu redaktor „Roczników Samborskich“ wzniósł zdrowie prezesa Sokołów czerniowieckich, Kołakowskiego i odczytał wiersz, zapisany także do księgi pamiątkowej Czytelni polskiej w Czerniowcach:

„Zjazd polski w polskim domu w Czerniowcach.

Pół życia minęło wśród cierpień i chmur —
Dziś promień jaśniejszy zabłysnął nam z gór,
Z rozwartem w pół okiem jak gdyby wśród snu
Patrzymy przed siebie . . . tu obóz twój, tu,
Polonio! co w święta podniosły ten dzień
„Czytelni“ na kresach przestąpić masz sień!
Ćwierć wieku minęło natężeń i prac:
Dłoń polska dom własny zdobyła i plac,

Zkąd żaden rugować nie może jej wróg,
A większy ma w sercu rodaków — da Bóg! —
Olbrzymy przeszłości, zbrojącej nam dłoń!
Przed Wami w pokorze uchylić nam skroń.
Choć z niebios przejrzystych zagroziłby grom,
Omijać on musi próg święty i dom,
Co w imię Polonii gromadzi z wszech gniazd
Lud polski, by polski obchodzić dziś zjazd!“

Po jubileuszu czerniowieckiej Czytelni polskiej, odznaczającym się także wydaniem osobnego numeru ozdobowego „Gazety Polskiej“ czerniowieckiej, przez dłuższy czas nie słyszeliśmy o dalszych zjazdach. Właściwy sezon zjazdów nie rozpoczął się w pierwszej połowie Czerwca jako w czas otwarcia wystawy lwowskiej, ale w Lipcu, w którym to miesiącu jak wiadomo wakacje się rozpoczynają.

Następowały w krótkich interwallach jeden za drugim: zjazd techników i inżynierów, zjazd pedagogiczny, ukończony powszechnym kongresem pedagogicznym, zjazd Towarzystwa szkoły ludowej, zjazd Sokołów, drugi zjazd literatów i dziennikarzy polskich a bezpośrednio po nim zjazd lekarzy i przyrodników.

Nie czuję się powołanym do streszczenia wyczerpującego wszystkich powyżej przytoczonych zjazdów, poprostu z tej przyczyny, że nie byłem na wszystkich. Podnoszę tu więc tylko niektóre ważniejsze momenty.

Na bankiecie pożegnalnym politechników wzniesiono jak wiadomo ogniste toasty wierszem i prozą na cześć polskiej pracy: wypito zdrowie sekretarza politechniki, Kazimierza Rosinkiewicza, pracującego pod pseudonimem Kazimierza Rojana z chlubą dla literatury ojczystej. Dziwi nas, że grupa uczestników tego zjazdu, zdjęta przez fotografa Krzanowskiego, nie przedstawia sympatycznych rysów autora powieści: „Tymko Medier“, „Maska“, „Dla iskry Bożej“ i „Bezwględni“.

Zjazd nauczycielski rozpoczął się 14-go Lipca, poufny zaś zebranie celem wzajemnego poznania się, w kasynie miejskiem już 13-go. Uczestników na tym zjeździe była moc: przeszło 1300; dzieje zjazdów

pedagogicznych nie pamiętają zgromadzenia tak licznego.

14-go Lipca w sobotę odbyło się pierwsze posiedzenie Towarzystwa pedagogicznego w wielkiej sali ratuszowej. Reprezentacja miasta witała zebranych gości, wśród których zauważano także ormiańskiego ks. arcybiskupa Issakowicza, którego portret na str. 32. podajemy. Przed zamknięciem posiedzenia rozdano pomiędzy uczestników numer „Szkoły“ ozdobny i bogato illustrowany, w którym najwybitniejsze pióra ze świata naukowego i literackiego umieściły owoce swojej wiedzy. Popołudniu zwiedzano in gremio wystawę, wieczorem zaś odbyła się wieczerza pożegnalna w sali koncertowej na placu wystawy.

O posiedzeniach kongresu pedagogicznego, które nie wszystkich zadowoliły, nie będę się już tu rozwodził i przejdę natomiast do „Zjazdu literatów i dziennikarzy polskich“, mającego dla mnie jako dla literata głębsze znaczenie.

Drugi zjazd literacki (pierwszy odbył się w Krakowie przed jedenastoma laty) pod względem liczbowym nie cieszył się zapewne takiem powodzeniem, jak pedagogiczny: gości bowiem miało być tylko 300. Natomiast zkądinąd celował nad tamtym, a mianowicie pod względem inteligencji. Z zamiejscowych, względnie z innych dzielnic Polski przybyłych gości zauważyliśmy: Bogdana Bogdańskiego, Dra Piotra Chmielowskiego, Dicksteina, Cezara Jellentę, Kramstücka, Antoniego Zaleskiego, Walerję Marrené z Warszawy, Melanję Parczewską z Kalisza, redaktora i wydawcę Bernarda Milskiego z Gdańska, ks. Stojałowskiego z Cieszyna, Klemensa Kołakowskiego z Czerniowiec; osobno z Pragi celem uczczenia zjazdu literackiego przybyli Edward Jellinek i Jarosław Vrchlicky. Że Lwowian i Lwowianek nie brakowało — nie potrzebuję tego powtarzać. Wymieniam tu z tych, których sobie dobrze zapamiętałem, następnych: Henryka Bornsteina, redaktora „Myśli“, Dra Iwana Franka, Zygmunta Frylinga, Platona Kosteckiego, Ostaszewskiego-Barańskiego, Rawitę-Gawrońskiego, Stanisława Schnürr-



JWbny Ks. arcybiskup rit. orm. Izak Issakowicz, (według fotografii Jana Krzanowskiego ze Lwowa.)



Literaci i literatki, uczestnicy II. zjazdu literackiego, odfotografowani na placu wystawy przez M. Bergtrauna.

Pepłowskiego, Stanisława Szczepanowskiego, Dra Alberta Zippera, Stefanię Kossowską i Antoninę Machczyńską, z krakowskich gości: Michała Bałuckiego, Wilhelma Feldmana, Matusiaka, redaktora „Krakusa“ i Hieronima Rychtera, redaktora i wydawcę „Satyra“.

Ze względu na mieszaną tak różnorodnie część gości, unikano politycznych dyskusyj o ile można; ale same sprawy literackie dostarczyły wątku dosyć obfitego do zagadnień, wniosków i spostrzeżeń najrozmaitszych.

18-go Lipca w środę członkowie zjazdu celem wzajemnego porozumienia zeszli się na poufną pogadankę w lokalnościach „Koła literackiego“ we Lwowie. Odnowiono stare znajomości, zawarto nowe i czas przeszedł bardzo przyjemnie przy żywem słowie i przy dźwiękach muzyki.

Następnego dnia rozpoczęło się pierwsze posiedzenie uczestników zjazdu w sali koncertowej na placu wystawy. Po zwykłych przemowach oficjalnych Dra Kubali, prezesa „Koła literackiego“ i innych, oraz po uchwaleniu porządku dziennego dla następnych posiedzeń, posiedzenie to zamknięto, a goście po spożyciu obiadu w restauracji Drehera rozeszli się po placu wystawy celem rozglądania się po pawilonach.

20. Lipca od 9-ej z rana do pierwszej godziny koło południa a następnie od trzeciej popołudniu do 6-ej wieczorem obradowały cztery sekcje, t. j. literacka, oświaty ludowej, dziennikarska i językowa, każda w odrębnej sali w gimnazjum Franciszka Józefa, przy ulicy Batorego. Żal mi bardzo, że nie mogę sprawozdania szczegółowego z wszystkich tych posiedzeń podać, gdyż ani czas, ani miejsce mi na to nie pozwalają. W sprawie anonimowości, którą niektórzy pamfleciści tak lubią a którą „Gazeta Narodowa“ słusznie w numerze z 19-go Lipca 1894 potępiła, drugi zjazd literacki podobno nie bronił sprawy rycerzy, walczących pod maską, którym w wierszu „Odkryj przyłbicę!“, umieszczonym w 17. „Roczniku Samborskim“, zasłużoną dałem odprawę. W sekcji literackiej pani Marrené, Dr. Franko,

Bogdan Bogdański, Schnürr-Pepłowski i inni zabrali głos. Wnioski ich wywołały żywą dyskusję, na razie jednak do stanowczej uchwały nie przyszło. Że nie byłem na posiedzeniu sekcji językowej, żal mi niezmiernie: może i tu mógłbym był od siebie słówko przestrogi dorzucić. Grzeszymy bowiem na tym punkcie pod dwoma względami: to gorliwością przesadną w czyszczeniu języka, którą to gorliwością wprost niezrozumiałym go czynimy, to znowu zaniedbaniem najprostszych nawet przepisów i praktyk. Jeśli słynny puryfikator Piotr Parylak twierdzi, że „redaktor“ znaczy to samo, co „wydawca“ — to to śmieszny dziwoląg, nie zgadzający się nawet z prawdą, i więcej takich dziwolągów, popełnionych celem w r z e k o m e g o czyszczenia języka, a mogących tylko lud w błąd wprowadzić, wykażę szanownemu profesorowi na innem miejscu; ale nie postępujemy również prawidłowo, jeśli mamy „salony do golenia“ zamiast „golarń“, albo „książki do modlenia“ zamiast „modlitewników“, gdyż ani salon nie bywa „golonym“, ani też książka „modloną“; błędnie, jeśli nie pod względem gramatycznym, to z pewnością pod względem logicznym używamy wyrazu: „książka do czytania“ zamiast „czytanka“, ponieważ książka tak czy siak nie przeznaczona na to, aby nią gwoździe w ścianę lub kołki w buty wbijać, ale aby ją czytać; błędny zarówno wyraz „gulden“ jak i „reński“ zamiast nierównie lepszego i stosowniejszego, chociaż ludowego wyrażenia: „reńszczak“, podwójnie błędny zaś wyraz „złoty reński“, gdyż „reńszczak“, znany nam wszystkim bardzo dobrze, złotym nie jest, jeno srebrnym a nieraz i papierowym.

Co do sekcji ludowej, to muszę zauważać, że wydawnictwo, zatytułowane: „Bibliografia wydawnictw ludowych“, pewne luki wykazuje i że nie jedno wydawnictwo zaszczycono tytułem „dzieła ludowego“ chyba jedynie prawem kaduka.

Po zamknięciu posiedzeń rozmaitych odbywało się tegoż samego dnia w teatrze hr. Skarbka na cześć uczestników zjazdu przedstawienie teatralne składane, które się przeciągało prawie do północy.

21. Lipca po 9-j godzinie z rana, jakoteż popołudniu obradowały wszystkie sekcje wspólnie w wielkiej sali ratuszowej, ozdobionej obrazem Polonii. Nad referatem posła Stanisława Szczepanowskiego: „O potrzebie swojskiego kierunku w naszej literaturze“ wywiązała się ożywiona dyskusja. Niezaprzeczamy szanownemu prelegentowi daru wymowy i wysłowienia się, któregoby mu pozazdrościł niejeden literat zawodowy; ale mimo oklasków, jakich mu publiczność nie szczędziła, nie możemy się z całą bezwzględnością pisać na każde jego słowo. Usprawiedliwiamy go tem, że szczerze wierzył w to, co wypowiedział, podczas gdy niejeden z naszych krasomowców tylko frazesa głosi, w które sam nie wierzy. „Swojskiego kierunku w literaturze“ nie uwydatnia się jednak zbyt hojnem uprawianiem obcych literatur, ani też nie jest „nasza dzisiejsza literatura dopełnieniem niemieckiej i angielskiej;“ bo musiałaby się pozbyć pierwiastku słowiańskiego, względnie polskiego.

Inny mowca, a mianowicie ks. Stojałowski z Cieszyna wprost niekorzystne wywołał wrażenie: nie rozchodziło mu się widocznie o sprawę, ale o to, aby jak najczęściej głos zabierał, poprostu — aby się „wygadał“. Takich mamy aż zanadto i tacy właśnie żadnej sprawy poważnej o krok naprzód nie popchną.

Po Szczepanowskim zabrał głos Dr. Gustaw Roszkowski, który wygłosił referat „O własności literackiej.“ Bezpośrednio po Roszkowskim i j a zabrałem głos. Zwróciłem uwagę zgromadzenia na bezprawie, które się dotąd bezkarnie praktykuje a ujmę czyni prawom literackim. Lada antykwarjusz, nie kontentując się tem, że sprzedać może po jakiejbądź cenie dzieła nabyte po autorach, zmarłych czy to w kraju, czy zagranicą, czyni ponadto jeszcze ujmę prawom żyjących, nawet w kraju żyjących autorów, rozprzedażą ich dzieł poniżej ceny oryginału. Któż potem takie dzieła u księgarza nabędzie, gdzie drożej za nie płacić wypadnie? Tak samo, jak nabycie przez antykwarjusza książki, zaopatrzonej pieczęcią zakładu publicznego, liczy się do uczynków karygodnych i niedozwolonych, tak samo podług mego przekonania — prawnie uchodzić nie

może jako rzecz dozwolona nabycie dzieł, wkraczające w prawa dożywotnie właściciela, którym jest autor. Jeśli się panom antykwarjuszom z handelkiem intratnym czekać nie chce 30 lat po śmierci autorów, to niech bodaj czekają rok, aż się wieść o śmierci naszej sprawdziła.

Wniosek mój żadnej niewywołał dyskusji i nie rozchodziło mi się też o to; ale chciałem uwagę ogółu wykształconego i kolegów zwrócić na punkt — według niektórych sporny i niejasny — według mego zdania jasny jak słońce.

Z kolei wygłosił p. Albert Wilczyński referat „O utworzeniu stowarzyszenia wzajemnej pomocy literatów.“ Wniosek prelegenta, aby wszyscy księgarze i wydawcy na publiczność kupującą nałożyli obowiązek dopłaty 1 lub 2% do każdego dzieła na rzecz funduszu zapomogowego dla literatów — nie utrzymał się jednak i według mego zdania nie mógł się utrzymać. Znam ja publiczność, a znam niestety nietylko z dobrej, lecz i z złej strony. Choćby wniosek p. Wilczyńskiego uchwalono, to skończyłoby się na tem, że każdy wydawca sam dopłacić by musiał uchwalony ów podatek; z publiczności bowiem nie ściągnąłby go żadną miarą. Przy tej sposobności jeden z mowców — o ile mi się zdaje p. Cezary Jellenta — uczynił wzmiankę o interesowności księgarzy i o wyzysku, praktykowanym przez nich na polu wydawnictwa. Usiłował odeprzeć te zarzuty księgarz Gubrynowicz, co się mu jednak nie udało.

W końcu wygłosił jeszcze p. Biegeleisen referat „o potrzebie pisma, poświęconego sprawom literatury ojczystej.“ Stowarzyszenie jednak wbrew memu przekonaniu nie uznało potrzeby takiego pisma. Ja pozwoliłem sobie pod tym względem zupełnie odmienne i odrębne mieć zdanie. Zabrałem powtóre głos; wskazałem na wielką ilość młodych i rzeczywiście uzdolnionych a szerszemu ogółowi mało albo nawet zupełnie nieznanych pisarzy i pisarek, co do których rzeczone pismo, gdyby ich w świat wprowadzić chciało, wielkie miałoby zasługi a nawet warunki bytu. Nie byłoby zniewolone, każdego zarozumialca, każdego nieuka i niedołęgę brać pod swoje

skrzydła; ale wytworzywszy potężny zastęp umiejętnych i natchnionych dla dobra publicznego pisarzy, zawładnęłoby z czasem opinją publiczną i właściwy nadałoby jej kierunek.

Na tem zamknięto dyskusję; wieczorem było uroczyste przyjęcie u Prezesa Wystawy, księcia Adama Sapiehy. Przyjęcie to niewymuszoną swoją gościnnością i serdecznością przypomniało uczestnikom zjazdu gościnne ongiś przyjęcia Mierzynka w Polsce i Fuggerów w Niemczech.

22go Lipca zamknięto zjazd. Wygłosił jeszcze hr. Wojciech Dzieduszycki pouczający i piękny odczyt, za który go hucznemi darzono oklaskami, jeden z członków uczestników zaś imieniem bawiącego w kąpielach karlsbadzkich Dra Stanisława Hassewicza ofiarował na cele polskiej oświaty ludowej na Szlązku znaczną kwotę 10.000 złr., za któren to hojny dar zgromadzenie ofiarodawcy gorącą a szczerą podziękę uchwaliło, a potem debatowano nad czasem i nad miejscowością, w obrębie których przyszły zjazd literacki odbyć się powinien. Pod tym względem odrazu nie zapadła jednak decyzja stanowcza; wniosek ks. Stojałowskiego, aby taki zjazd rokrocznie albo przynajmniej co dwa lata się odbył i aby za punkt zborny dla przyszłego zjazdu oznaczono Szlązk czy to austrjacki, czy pruski — nie utrzymał się. Nie wiele zważano także na życzenie mowcy, aby w tak miłem gronie ulżyć cokolwiek swemu sercu i wygadać się i wyspowiadać z swoich dolegliwości — ponieważ literaci, to zbyt poważny naród, aby mieli zbytni czas na pogadanki, pominąwszy i to, że kwestja finansowa nieprzeparte pod tym względem tworzyłaby przeszkody. Ponieważ jednak „Zjazd lekarzy i przyrodników“ uchwalił, następne posiedzenie za trzy lata w Poznaniu odbyć, więc przypuszczam, że i zjazd literacki pójdzie w jego ślady*).

Po zamknięciu posiedzeń grupa uczestników dała się in gremio fotografować na placu wystawy

*) W ostatniej chwili dowiaduję się, że uchwała w tym rodzaju także co do przyszłego zjazdu literackiego nastąpiła. (Przyp. aut.)

u Bergtrauna a spodziewam się, że grupa nasza, załączona na osobnej kartce do mego wydawnictwa, nietylko dla uczestników, ale także dla nieuczestników zjazdu miłą pamiątkę stanowić będzie.

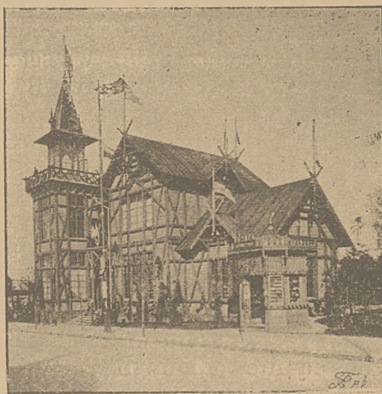
Lwów, 22. Lipca 1894.

Niepiśmienny dozorca w pawilonie piśmiennictwa.

„Krótkowidz ze mnie; więc nie zgadnę —
Choć ja tu prawie gość codzienny —
Co to za ogłoszenie ładne?“ —
„„Przepraszam, bo ja niepiśmienny.““ —
„Jakto? do ksiąg tyś nie zazierał?
Któż ci więc nadzór ksiąg poruczył?“ —
„„Ja na to tu, bym prochy ścierał,
A nie w tym celu, bym się uczył.““

Lwów, 9. Października 1894.

Pawilon dziennikarski.



Kto przez bramę główną wystawy przeszedłszy, na plac wystawowy się dostał — tego uderzył od razu widok dziennikarskiego pawilonu, załączony przez nas w podobiznie cynkograficznej. Pawilon dziennikarski — jest to budowa nieelegancka i niepiękna, choć nieforemnemi i wysokiemi kształtami swemi każdemu od razu w oczy wpada. To kopciuszek wystawy, jak słusznie zauważyło pewne pismo lwowskie.

Prace z działu literackiego w tym pawilonie także dosyć niesystematycznie porozrzucane. Miał to być według pierwotnej zapowiedzi pawilon, przeznaczony dla literatury i dziennikarstwa, względnie także dla gałęzi pomocniczych, jakoto: dla fotografii, litografii, cynkografii, introligatorstwa i t. d. Tymczasem stało się wprost przeciwnie, gałęzie pomocnicze zaczynają bowiem rugować albo na drugi plan usuwać literaturę i dziennikarstwo. Szczególnie fotografia rozwielmożniła się aż zanadto. Nasuwa się nam mimowolnie pytanie, czy by się nieopłaciło, dla niej osobny pawilon wystawiać, a jeśli ją nie za odrębną sztukę, ale raczej za pomocniczą uważamy, czy nie należało pomyśleć o sprawiedliwszym rozdziale. Okazałoby się wtedy wnet, które to prace fotograficzne w pawilonie dziennikarskim a które w pałacu sztuk pięknych umieścić się powinno. Cierpią na tem dotkliwie inne gałęzie pomocnicze książkowej literatury, zaniedbane niesłychanie.

Drukarstwo słabo reprezentowane, cynkografia i stereotypy jeszcze gorzej. Wstyd nam mówić, że w kraju a zwłaszcza w stolicy tegoż, w której istnieją zakłady cynkograficzne i stereotypy, z drukarzy lwowskich nikt prawie stereotypów ani cynkografij nie nadesłał, i że ich pod tym względem wyręczyć musieli Anczyc z Krakowa i Golczewski, właściciel lejarni czcionek i stereotypów, oraz Stanisław Błędkowski, drukarz z Wiednia. Jeszcze gorzej ma się rzecz z drzeworytnictwem, tą dawniej tak ważną a obecnie we Lwowie, Cieszynie i Pradze prawie zupełnie zaniedbaną gałęzią pomocniczą drukarstwa, gdyż w pawilonie dziennikarskim ani jednej płyty drzeworytniczej nie widziałem. A przecież nie trudno było, o takowe się postarać, choćby u prywatnych. Ja posiadam płyty drzeworytnicze, Towarzystwo pedagogiczne też, znalazłyby się takie płyty także u innych, którzy z pewnością nie odmówiliby prośbie użyczania swoich płyt.

Czy introligatorstwo nie powinno raczej w pawilonie przemysłowym, aniżeli w dziennikarskim figurować, to kwestja sporna, którą innym pozostawiam do rozstrzygnięcia. I ono nienależycie reprezentowane, ale to co widzimy - każe nam mimo niedostatecznej liczby wystawców, z szacunkiem spoglądać na wyroby ich sztuki. Ze lwowskich celują Getritz na dole i Wierzbicki na pierwszem piętrze; z krakowskich, których na piętrze umieszczono: Repetowski, Jahoda, Wójcik, z prowincjonalnych introligatorów figuruje w tej grupie tylko jeden Olexincer z Tarnopola.

Pisma i książki także w nieszczególnym ładzie a raczej nieporządku porozrzucane tu i owdzie: humorystyczne, belletrystyka, poważne naukowe — wszystko pêle-mêle -- bez pewnego systemu.

Z poważaniem spoglądać musimy jednak na wydawnictwa Akademii umiejętności i Towarzystwa lekarskiego z Krakowa, oraz na wydawnictwa muzeów przemysłowego i imienia Dzieduszyckich, na wydawnictwa Buszczyńskiego, Gillera, małżonków Duchińskich; poważamy wydawnictwa ludowe, czy to Władysława Mickiewicza, czy Udzieli, czy Feliksa

Westa, czy innych; chętnie widzimy wydawnictwa dla młodzieży, szczególnie w celu budzenia ducha patrjotycznego podjęte; natomiast nieprzyjemne wrażenie reklamy niemieckiej wywołuje mnóstwo innych. Jest to raczej wystawa księgarska, aniżeli dziennikarsko-literacka. Figuruje na niej Feitzinger z Cieszyna z dziełami, którym tylko warunkowo przyznałbym tytuł wydawnictw ludowych. O wiele wyżej cenię już jego fotografie szlązkiego ludu, aniżeli nakłady ludowe. O Kubaczce i Langu z Białej, o Foltynie w Wadowicach powiem tak samo, że ludowa ich literatura chyba ducha ludowego zabić by mogła. Księgarzy w ogóle jest tu szereg cały: Gubrynowicz i Schmidt, Altenbergowa, Jakubowski i Zadurowicz ze Lwowa, Jakubowski z Nowego Sącza, Pelar z Rzeszowa, West z Brodów i t. d.

Co się tyczy sztuki drukarskiej, palmę pierwszeństwa przyznałbym Łakocińskiemu, drukarzowi „Czasu“ i Anczycowi z Krakowa, uszanowanie budzą prace Pillera, umieszczone w porządku chronologicznym od najstarszych aż do najnowszych druków, powstałych ostatniemi czasy. Natomiast co do Żupnika z Drohobycza, to stwierdzić mogę jedynie, że szafka wystawowa tegoż wystawcy daleko lepiej i korzystniej się przedstawia, aniżeli okazy, w niej zawarte. Wystawców na polu litografii także zbyt mało w tym pawilonie: tylko Andrejczyn i Przyszlak.

Chaos panuje także co do gazet; wielka ich część, szczególnie amerykańskich, umieszczona na ścianie w parterowej części pawilonu, niektóre figurują na półkach, stołkach lub urządzeniach osobnych, przypominających szaragi nasze, jak np. Milskiego „Śmigus“. Bardzo niekorzystnie umieszczona Kołakowskiego „Gazeta Polska Czerniowiecka,“ lepiej o wiele lwowskie pisma dla dzieci „Światełko“ i „Młody wiek.“

Niektórzy wystawcy lepiej może by zrobili, gdyby się zbyt głośnej i hałaśliwej reklamy firmy swojej wyrzekli; grzeszy pod tym względem Feitzinger z Cieszyna przez szumne prospekty, osobno w tym celu wydane.

Jeśli Gubrynowiczowi ktoś zarzut uczynił z tego powodu, iż tenże wydawca szumnym tytułem: „Warszawa“ zaopatrzył szereg książek, nie przedstawiających zapewne i setnej części tego, co na polu literackiem Warszawa produkuje, to na to oświadczymy, iż sam pewnie myśleć o tem nie mógł, aby całą literaturę warszawską umieścił nietylko na jednej półce, ale w całym pawilonie dziennikarskim. Rozchodziło mu się jedynie o to, wykazać, jakie dzieła i jakie prądy — aby używać utartego frazesu — obecnie są en vogue w Warszawie.

A teraz zwróćmy się z działu książkowego do działu fotograficznego, któremu widocznie lwia część na wystawie lwowskiej przypadła.

Już u samego wchodu do wystawy uderza widok fotografij patrjotycznych, wystawionych przez norymberskiego fotografa — rodaka Edwarda Żukowicza a dostrajających się tonem do rozmaitych portretów Kościuszki, porozwieszanych po ścianach i oknach parterowej części pawilonu. Są to zdjęcia fotograficzne z portretów, przedstawiających sceny z powstania styczniowego. Takich tu fotografij jest 9, Kościuszko umieszczony w środku.

Wejdźmy na chwilkę na pierwsze piętro. Pominąwszy zdjęcia „Klubu miłośników sztuki fotograficznej we Lwowie“, skromnie w przedsionku umieszczone a w których — choć pojedynczych zalet odmówić im nie można — jednak więcej zauważymy zapewne dyletanckiego, niż rzeczywistego artyzmu — przypatrujmy się fotografjom rzeczywistych mistrzów z bożej łaski.

Tu na pierwszy rzut oka uderza wytwornością swoją wystawa hr. artysty i dyletanta Tyszkiewicza. Pozazdrościłby temu rzeczywistemu artyście niejeden fachowo uzdolniony, ale nie z bożej łaski natchniony pracownik. Gdzie tylko okiem rzucać, wszędzie widzimy dowody sztukmistrzowstwa, które z włoskim malarzem woła: „Anch io sono pittore!“

Cóż pyszniejszego bowiem nad te widoki z życia ludowego!

Tu scena targowa lub procesja kościelna drobiazgową akuratnością w wykonaniu najdrobniej-

szych szczegółów trzyma umysł na uwięzi, tam znowu autor przedstawia nam monumenta sławy i nauki, w których przedsionku siebie samego jako pilnego spostrzegacza umieścił. Znużony zdjęciem ustawicznem obcych typów, usiada wreszcie wygodnie w fotelu i portretuje — siebie samego. Ale spoczynek ten nie trwa długo. Niespokojny duch artysty oprowadza go po świecie. Ustawicznym tym wędrówkom zawdzięczamy typy, jak ten zalotnej baleryny, pajaca, Egipcjanki z dzbanem, kokiety ludowej i t. d.

Wielkie podobieństwo co do charakteryzowawania typowych figur — choć się ogranicza na mniejszym o wiele zakresie działania — ma artysta-fotograf Eugeniusz Jurkiewicz z Kołomyi, znany korzystnie czytelnikom „Roczników Samborskich“ z rozmaitych figur typowych, przedstawiających życie, jakiem wre Kołomyja. W ostatnich czasach wynalazł Jurkiewicz także sposób powiększenia typów, przezeń wykonanych. Dwa takie typy przedstawia on nam w dwóch obrazach, na ścianie w drugim pokoju umieszczonych. Jeden — to żyd, chytrze uśmiechnięty a dźwigający kosz z owocami. Każdy rys twarzy charakterystyczny w tym obrazie, zdaje się poruszać i przemawiać do widza. Drugi obraz nosi także rysy żyda handlarza kołomyjskiego. Dziecko wsuwa mu 20-togroszówkę w dłoń za owoc, czy owoce nabyte. Żyd przymruża oko nawpół i zdaje się badać prawdziwość monety, podanej mu.

Mazur wystawił zbiór piękności kobiecych, na wachlarzu symetrycznie ugrupowanych. Czystość w wykonaniu najdrobniejszych szczegółów uznania godna, przypomina i przewyższa nawet prace fotograficzne Mieczkowskiego.

Fotograf Popiel ze Lwowa umieścił tableau: całą radę miejską lwowską z burmistrzem i wiceburmistrzem na czele; pan Grzywiński fotominiatury pastelowe. Że Waschitza udatny, piękny i charakterystyczny rysunek: „Polsko-żydowskie wesele“ nie w pałacu sztuk pięknych, ale w pawilonie dziennikarskim umieszczono — jest to dowodem niesystematycznego urządzenia ze strony gospodarzy pawi-

lonu, który zresztą bodaj co do pierwszego piętra lepsze wrażenie wywołuje, aniżeli parter. Do kategorji rysunków należy także Waschitza „Hołd dla Jego Cesarskiej mości“, również tu umieszczony.

Trzemeskiego wystawa dość skromnie się przedstawia, zapewne należeć on musi do sędziów tej grupy, gdyż „nie ubiega się o nagrodę“; ale nie ubiegając się nawet o nią, mógł i powinien był, większy dobór swoich prac i baczniej dobrany wystawić. Bo że ma i niejednego by powstydził niemi — wiemy. Natomiast wystawił jedną jedynie płytę cynkograficzną, dającą nam nader słabe wyobrażenie o olbrzymim rozwoju tej gałęzi pomocniczej literatury i dziennikarstwa. Z pozakrajowych wystawili tu swoje prace Olga z Wiednia i Bahrynowicz z Czerniowiec.

Drapmy się wyżej: oto platforma. Z niej widok na miasto czarujący, przepyszny, który nas może pogodzi z niejednym brakiem rzeczywistym tej części wystawy.

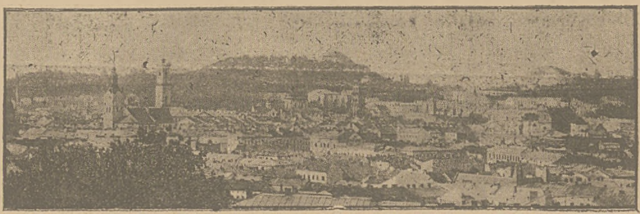
Wydawcy-literaci, redaktorowie i autorowie, odsądzeni od nagród.



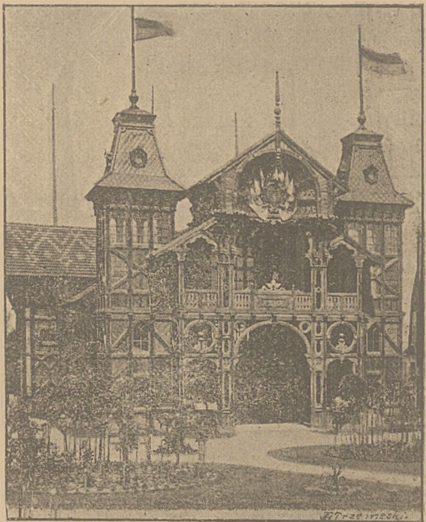
Analfabetów trzy miljony —
To coś strasznego — zgroza bierze!
Cóż na to mędrców zastęp czczony?
O! ten nie silny w równej mierze!
Lecz milczcie! niech się lud weseli!
Nauk przytoczę przykład rzadki!
Sędziowie, co nas sądzić mieli,
Czytali — naszych ksiąg okładki!

Lwów, 9. Października 1894.

Pawilon miasta Lwowa.



Słuszna rzecz, że stolica kraju, w którym się wystawa odbywa, pawilon odrębny wystawiła. Budynek ten umieszczony w bliskiem sąsiedztwie pawilonu polsko-amerykańskiego, przedstawia się wcale pokaźnie.



Cóż takiego mogłoby miasto Lwów specjalnie jako miasto wystawić? — zapyta się może niejeden. My na to odpowiemy, że wystawa miasta Lwowa

więcej zbiorowy ma charakter. Co z rękodzieł, z przemysłu, z dzieł sztuki lub pedagogii, z ornitologii, z leśnictwa, łowiectwa i t. d. rozprószone było po rozlicznych innych pawilonach — to widzimy tu zebrane w jednem spólnem zabudowaniu z tą tylko charakterystyczną różnicą, że to wszystko się specjalnie albo do Lwowa albo do powiatu lwowskiego odnosi.

Jest tu wielka obfitość okazów wypchanych ptaków pożytecznych, jakoto: myszołowa, sowy i t. d. albo drapieżnych i szkodliwych. Widzimy wypchanego orła, lisa; rachunki miejskie, dzienniki przychodu i rozchodu drzewa użytkowego i opałowego pouczają nas dokładnie o cenie drzewa. Widzimy także wzory kostek drewnianych, któremi się teraz na próbę niektóre ulice lwowskie, jakoto: teatralną i ulicę trzeciego Maja wybrukowało. Są to kostki równej miary, spojone gęstą i lepką czarną masą — zupełnie coś innego, aniżeli nieprzymierzając chodniki drewniane uhnowskie, rudeńskie i sokalskie. Drewniany ten bruk zaleca się tem, że turkot wozów osłabia i komunikację nadzwyczajnie ułatwia.

Środki naukowe do fizyki, do historji naturalnej, uzmysłowienia plastyczne do elementarza, kroje i hafty, wykonane przez uczennice lwowskie — to wszystko skrzętnie nagromadzone i umieszczone w rozlicznych szafach i szafkach. Uwagę rzeczoznawców zwrócić musimy przedewszystkiem na prześliczną pracę Karola Sikory, przedstawiającą: „Zrównanie Stanów w Polsce.“ Jest to miedzioryt złocony, wykonany przez ucznia szkoły przemysłowej dopełniającej imienia Staszyca a obecnie praktykanta rytowniczego. Cena przedmiotu 60 złr.

Towarzystwo pedagogiczne umieściło na stole plany nauki poglądowej Hayka, trzy plany miasta Lwowa z lat 1793, 1868 i 1893 uwydatniają różnicę między ówczesnemi a obecnemi stosunkami z uwzględnieniem stanu szkół publicznych we Lwowie, rozłożony na stole album, zaopatrzony na kompaturce dwoma miniaturowemi widokami fotograficznemi

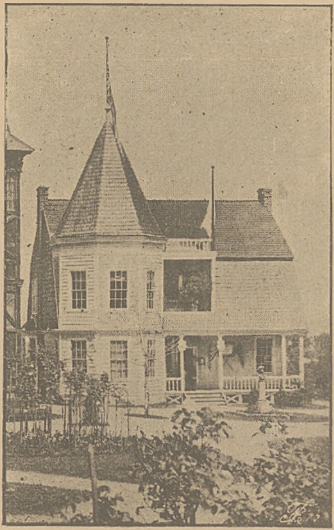
Lwowa, zawiera oprócz tego widoki rozmaitych szkół lwowskich, grup uczniów i uczennic i t. d.

Na innym stole znowu widzimy rozłożone wyroby uczniów i uczennic zakładów froeblowskich, mających zaledwie 4 lub 5 lat.

Fotografie zakładów dobroczynnych, jakoto: zakładu głuchoniemych, kalek pod wezwaniem św. Łazarza i t. d. uzupełniają kollekcję; towarzystwo przyjaciół uczącej się młodzieży we Lwowie umieściło także tutaj tablicę, wzywającą do ofiar na obiady dla głodnych dzieci z dodatkiem, że „p. t. ofiarodawcy raczą wpisać swe nazwisko do księgi pamiątkowej.“

Rzućmy obola ubogim, wzywającym naszej pomocy, a co do podpisu — mniejsza o to; on tyle wart, co setki i tysiące podpisów przed i za nim, to znaczy — nic!

Pawilon polsko-amerykański.



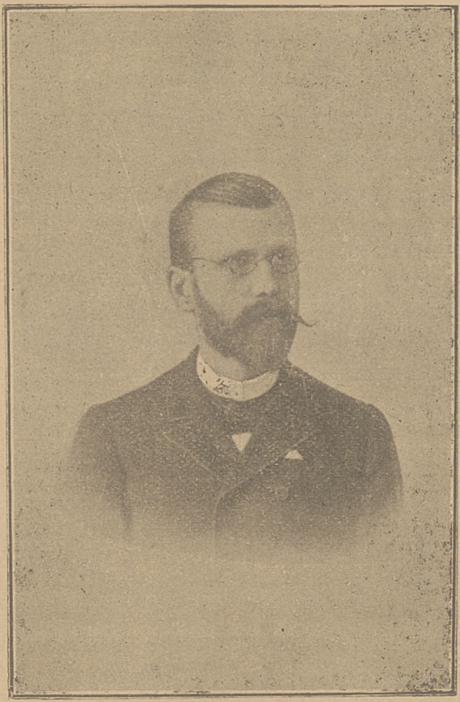
Dziwny obraz życia polsko-amerykańskiego przedstawia nam pawilon polsko-amerykański, uwidoczniony w winiecie naszej.

Jak wszystko w Ameryce niezwykłe, przekracza krańcowe rozmiary, w jakich my tu w Europie rzeczy widzieć nawykli — tak i pawilon polsko-amerykański w zewnętrznej i wewnętrznej formie swojej. Nie wymagajcie od braci Amerykanów wytwornej elegancji i drobiazgowości, do której my tu w Europie się przyzwyczaili; nie wymagajcie tego, co my tu szykiem nazywamy. Ich sztuka z pewnością nie wytrzyma porównania z sztuką naszych Matejków i Grottgerów, a powstydziłby nawet Amerykanów polskich niejeden domorosły artysta galicyjski.

Ale gdzie się rozchodzi o to, zadawać szyku nie elegancją, ale siłą; gdzie się rozchodzi o to, przemawiać argumentami liczb i ofiar na rzecz wspólnej Ojczyzny naszej — tam z pewnością Amerykanin polski gorszym nie będzie od najlepszego patrjoty polskiego, w kraju zamieszkałego.

Przestąpiwszy przedsionek zabudowania, znajdziemy się wnet w ubikacjach parterowych, ozdobionych licznemi fotografjami — bądźto bractw i stowarzyszeń, bądźto kościołów i szkół polskich w Ame-

ryce. W kancelarji gospodarza pawilonu, pana Adama Szwajkarta, Galicjanina w Rykowie urodzonego, który się następnie do Ameryki przeniósł, znacznych trudów i ofiar nie żałował, aby współbraci naszych zaatlantyckich do udziału w wystawie krajowej zachęcić a którego portret poniżej umieszczamy — wi-



Adam Szwajkart, gospodarz pawilonu polsko-amerykańskiego (według fotografii Marji Kalapus ze Lwowa.)

dzimy na stole rozłożoną grubą księgę a obok kartkę z napisem, wzywającym do wpisów jak najliczniejszych słowami niezmiernie charakterystycznemi: „Polacy w Ameryce upraszają rodaków o łaskawe aforyzmy i podpisy w księdze pamiątkowej". Nazbierało się też podpisów tych, co niemiara.

Wolelibyśmy jednak, żeby autorowie pod tym względem z większą skrupulatnością sobie postąpili, a zwłaszcza, jeśli kto obdarzony tępą głową i nieszczególnym darem inwencji — to wystarcza, jeśli zapisze imię i nazwisko swoje, a niech nam nie paskudzi pamięci naszych wieszczów koszlawem i przekręconem przytoczeniem najpiękniejszych ich myśli. Nie brak jednak w księdze także zupełnie oryginalnych pomysłów, czasami nawet zaszczyt czyniących autorom.

Przytaczamy niektóre wybitniejsze, nie wymagając wcale, aby każdy z autorów drugim był Mickiewiczem lub Krasińskim.

„Przez krzyż droga do zbawienia,
Przez śmierć — do nieśmiertelności,
Przez miłość — do poświęcenia,
Przez egoizm — do podłości“ —
pisze Edmund Suziński;

„Miejcie różność przekonań, ale dążcie do jednego celu“ —
Antoni Siemaszko;

„Czas wciąż nowe stwarza drogi,
Postęp nowe żłobi tory,
Lepsze jednak stare bogi,
Niźli pseudo-pierwowzory“ —
Lwów, 23. Czerwca 1894.
Janusz K. Wisłocki;

„Jednością i pracą dojdziemy do celu,
Chociaż biedni jesteśmy i choć nas niewielu“ —
K. Homolacs.

Dla oryginalności podajemy także niezmiernie komiczny pomysł pisarski jakiegoś pana Hirscha Ebera:

„Die Ausstellung ist schön und fein,
Das muss ein Jeder gestehen,
Wollte man aber hier öfters sein,
Dann käme es sehr hoch zu stehen.“

Sympatyzujący z wszelkiemi usiłowaniami demokratycznemi Jakub Bojko z Gręboszowa, chłop z chłopów, pisze:

„Braciom za oceanem, tak gorąco miłującym swą kochaną Ojczyznę, szle pozdrowienie Jakub Bojko, włościanin z nad Wisły.“

A tu znowu uderza oryginalnością swoją nawoływanie uczniów:

„Czynu! czynu! Naród czeka!“

Również rezolutnie brzmi odosobniony podpis ucznia:

„O Polsko, kraju nasz!
Nie wydamy cię na łup,
Nad Wisłą czuwa straż,
Zwycięztwo albo grób!“

Prześlicznym aforyzmem zapisał się w księgę pamiątkową polsko-amerykańską F. Bocheński, słuchacz praw na uniwersytecie Jagiellońskim:

„Miejmy odwagę, nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwem położeniu pryska,
Lecz tę, co ciągle z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.“

Wielką i nie dającą się niczem zaprzeczyć prawdę zawiera wiersz Bronisławy Komiczowej:

„Minęły czasy wieszczów i proroków,
W proch rozsypane bieleją ich kości:
D z i ś ż a d n a m a n n a nie spada z obłoków,
Ale jest w p r a c y droga do wolności!“

Dr. Dekański nawołuje do racjonalnej oszczędności słowami:

„Narody nie umiejące oszczędzać, zginąć muszą z powierzchni ziemi. Oszczędzajmy!“

Bardzo pięknym wierszem, aczkolwiek niepotrzebnie zwrotami z klasyków greckich zapożyczonemi przemawia także w imieniu uczniów gimnazjum św. Marji Magdaleny Zdzisław Leitgeber z Poznania.

Wiersz zatytułowany:

„B r a c i o m P o l a k o m w A m e r y c e:
Bracia wygnańcy w zamorskiej oddali,
Cześć Wam! Wy sztandar wytrwale trzymali
I w przyszłość żywili nadzieje.
Wy nie zważali, że sieją grom nieba,
Że ogień z czeluści wybucha Ereba,
Że wicher i burza szaleje.

4*

Cześć Wam! dalecy od serca narodu,
Wy oziębłości nie macie zawodu,
I miłość Ojczyzny w Was gore.
Cześć! bo dzieł Waszych nam świadczą okazy,
Że do ojczystej dążycie oazy,
I twardą zwalczacie zaporę."

Nie chcę cierpliwości czytelnika nadużywać cytatami. Umieszczam więc jeden jeszcze tylko na zakończenie — jest to mój własny, nadesłany pismom amerykańskim przez gospodarza pawilonu, p. Adama Szwajkarta:

„D o b r a c i A m e r y k a n ó w.
Jak kraj wasz cały, wielki, swobodny,
Rozkwitający pod berłem gwiazd,
Polonia wasza, ten szczep dorodny,
Na sztuki polskiej garnie się zjazd;
Na turniej pracy, na myśli dzieła,
Co udowodnią w pamiętnym dniu,
Ż e j e s z c z e ż y j e, ż e n i e z g i n ę ł a
T a, której synów witamy t u!
Witamy w wspólnej myśli i wierze,
Że wspólną pracą o d r o d z i m kraj,
Że prawo w s k r z e s i zmarłe rycerze,
Myśl polską wskrzesi, co Boże daj!
A gdy siłami wspólnemi wroga,
Gdy pokonamy odstępców moc,
Na miazgi nasza zdepce ich noga
I dzień wolności rozprószy noc!"

Lwów, 16. Czerwca 1894.

G. Kohn.

A odstępców mamy niestety rozmaitego rodzaju. Nie traktowałbym nawet pod tym względem łagodniej i tego, który jak niedawno poważny obywatel polski, nibyto imieniem polskości, przestrzegał przeciwko przesiedleniu się naszych ziomków na ziemię amerykańską, ponieważ przesiedleńcy w drugiem czy trzeciem pokoleniu wrzekomo tracą świadomość pochodzenia swego, wynaradawiając się. Niech by ów jegomość zajrzał do pawilonu polsko-amerykańskiego a przekonałby się niebawem o tem, jak to wynarodowienie wygląda. Wątpię w ogóle, czyby się tak

łatwo wynarodowić dał naród jak polski, posiadający wiekową przeszłość i tradycję wiekową! Ale na takie wynarodowienie Polaków w Ameryce nie zanosi się w ogóle. Dowodem tego ogromna publicystyka polsko-amerykańska (obejmująca kilkadziesiąt, a jeśli się dolicza wszystkie od samych początków polskiego piśmiennictwa w Ameryce, istniejące, nie wykluczając upadłych z braku funduszów — 105 pism), niebywała nawet w prowincjach, autonomicznie się rządzących, liczba bractw i stowarzyszeń polskich, wreszcie polskie szkoły, domy boże, pomniki, jak ten w Westpoint N. Y., wystawiony Kościuszce, a który na str. 54. reprodukujemy, rzemiosła najróżnorodniejsze, wykonywane przez Polaków, fabryki w ręku polskim zostające i t. d.

Imienne przytoczenie rozmaitych tych bractw i stowarzyszeń zaprowadziłoby nas za daleko. Przytoczę więc tylko niektóre. Są to:

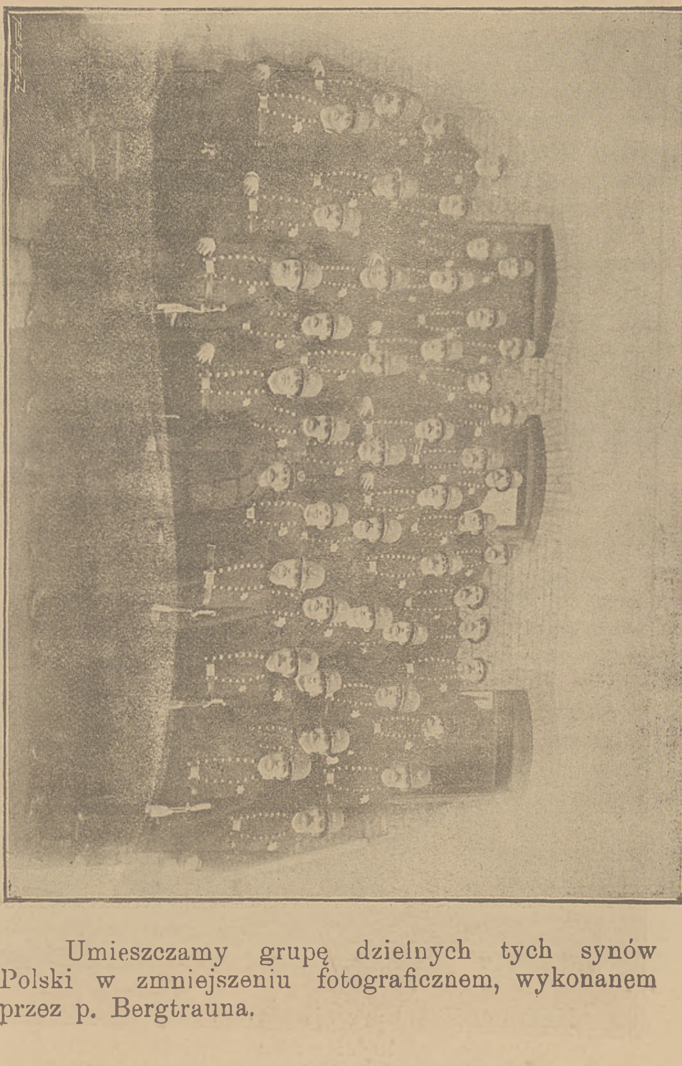
Towarzystwo Narodowe Bratniej pomocy w La Crosse Michigan, Bractwo św. Józefata z parafii św. Józefata w Detroit Michigan, Rycerze św. Władysława, również z tego samego miasta, Tow. br. pomocy św. St. Kostki z Pullmann Illinois, Towarzystwo 6-go Pułku Ułanów czyli Dzieci Warszawskich, Towarzystwo hussarzy króla Jana III. Sobieskiego, Unia Polska, Towarzystwo śpiewackie imienia Moniuszki w Buffalo, Towarzystwo Unii Lubelskiej, Towarzystwo Gwiazdy Wolności, Towarzystwo imienia Stefana Buszczyńskiego, Towarzystwo imienia Agatona Gillera, Klub Pomnika Kościuszki — to wszystko stanowi zaledwie drobny ułamek tej ogromnej ilości polskich stowarzyszeń, istniejących w Stanach Zjednoczonych. Bardzo charakterystycznym jest podpis, umieszczony pod „Klubem Pomnika Kościuszki". Brzmi on dosłownie: „Polscy policyanci w Chicago zorganizowani w Klub Pomnika Kościuszki dnia 26-go Stycznia 1893 r. w celu zbierania funduszów na pomnik Tadeusza Kościuszki w Chicago, zebrali dotychczas na ten cel przeszło §. 1000 (wyraźnie 1000 dollarów.)

Policya chicagowska składa się z 2500 ludzi, pomiędzy którymi jest 56 Polaków a mianowicie:



Pomnik Tadeusza Kościuszki w Westpoint N. Y.

50 szeregowców	z płacą roczną		§	1000
5 sierżantów	„	„		1200
1 porucznik	„	„		1500.“



Polscy policjanci w Chicago (według fotografii M. Bergtrauna ze Lwowa).

Umieszczamy grupę dzielnych tych synów Polski w zmniejszeniu fotograficznem, wykonanem przez p. Bergtrauna.

Niemniej charakterystyczną jest grupa polsko-amerykańskich uczennic i uczniów, pysznych Krakusów i Krakusek, którą to grupę również tu umieszczamy.



Grupa polsko-amerykańskich uczniów i uczennic (według fotografii M. Bergtrauna ze Lwowa.)

Nad pokojem przeciwległym parterowym, widnieje napis: „Przemysł i sztuka Polaków w Ame-

ryce“. Niepoślednie miejsce zajmuje tu St. Słomiński z Chicago, fabrykant haftów, chorągwi, oznak etcaetera w Chicago, Illinois. Szczególnie zajmujące zaś są prace szkolne uczniów i uczennic, nieraz w wieku najmłodszym się znajdujących. Jak przepyszny np. taki krzyż z sztucznych kwiatów i z pluszu amarantowego, wykonany przez 10-oletnią Różę Andrzejewską z Bay City albo portret Kościuszki, wyszyty przez dzieci szkolne włóczką na kanwie!

Wielce oryginalny jest widok przedmiotów, ozdobionych odpadkami starego żelaziwa, rzecz należąca do drobnego przemysłu domowego a praktykowana chyba tylko w Ameryce.

Dowodem wielkiej czci, jaką Polacy amerykańscy dla wodza w sukmanie żywią, oraz i wielkich bogactw, jakiemi kolonja polska tamże rozporządza, jest także „pomnik T. Kościuszki, wystawiony przez ks. proboszcza S. Szymanowskiego w Perth Amboy N. Y. w Północnej Ameryce, odsłonięty dnia 30. Maja 1894“, (reprodukowany przez nas na str. 58.)

Album polsko-amerykański w dwóch tomach, umieszczony w tym samym pokoju, przedstawia nam w pierwszym tomie najwybitniejszych mężów, odgrywających rolę w życiu społecznem i literackiem naszej Polonii, obecnie w Ameryce zamieszkałej, w podobiznach fotograficznych, zaopatrzonych krótkiemi objaśnieniami. Znajdujemy tu niektóre bardzo ciekawe daty, niepozbawione tu i owdzie prawdziwie amerykańskiej reklamy.

Drugi tom przedstawia nam również w podobiznach fotograficznych sklepy, apteki, urządzenia fabryczne, biura, ajencje i t. d. polskich przedsiębiorców; obok każdego takiego przedsiębiorstwa czy też domu polskiego widnieje odrębnie obraz właściciela albo szanownej jego połowicy, czasem jeszcze osobno w wnętrzu domu umieszczonych — prawdziwie amerykański pomysł.

Wejdźmy na pierwsze piętro. „Szkolnictwo polskie w Ameryce“ i „Prace Polek w Ameryce“ tu umieszczone. I jedno i drugie z uszanowaniem spoglądać nam każe na owoce pracy i wychowania

polsko-amerykańskiego. Jak śliczny np. ten srebrny bocian, przechadzający się po szuwarach a umieszczony u wejścia nad samemi wschodami prawie, te



Pomnik Tadeusza Kościuszki w Perth Amboy N. Y. (według fotografii M. Bergtrauna ze Lwowa.)

rozmaite hafty, malowidła i desenie, przedstawiające to białego orła, to godła wiary, nadziei i miłości, to znowu historyczne postacie i t. d.

W pokoju, poświęconym szkolnictwu polskiemu, widzimy dzieła uczniów i uczennic, budzące podziw. Są to prace, czy to w kierunku piśmienniczym czy rysowniczym — wykazujące wielki postęp. Zadania i wzory piśmienne uczennic z historji polskiej są dowodem nietylko starannego wychowania polskiego, ale także niewygasłego uczucia miłości dla Polski jako dla kraju ojczystego a rysunki uczennic — jeśli się zważa ich wiek młodociany — wprost są zdumiewające. Jeden taki rysunek dziecka ośmioletniego, uczęszczającego do czwartej klasy, młodziutkiej Stanisławy Buczyńskiej, reprodukujemy drogą fotograficzną. (Obraz wymieniony przez nas, a umieszczony na str. 60., nosi datę 3-go Marca 1894.) W szkolnym oddziale znajdujemy też moc podręczników czy to angielskich czy polskich i gazet polskich stos.

Ostatnie te wydawnictwa stanowią chlubę naszej Polonii amerykańskiej, ale także i słabą jej stronę. Stanowczo zbyt wiele jest tych gazet: szerokie one i wielkie jak płachty, że stół cały zakryć by niemi można; ale druk i język co do czystości przedstawiają się nieraz tak, jak gdyby żadnej korekty nie przeprowadzono. Nie zapomnijmy jednak o tem, że założycielami piśmiennictwa polskiego w Ameryce nie byli nasi luminarze duchowi, ani też magnaci, rozporządzający krociami — ale że do apelu na niwie ducha stawał pierwszy i jedyny nasz ludek orężny i kmiecy, nasz ludek od siermięgi i od pługa, od cepu i od młota, a wtedy — przytłumiwszy w sobie żyłkę satyryczną — z wyższem aniżeli dotąd będziemy spoglądali szacunkiem na te wyroby więcej rzemieślnicze niż artystyczne naszej prasy polskiej w Ameryce.

W dwóch salach, na pierwszem piętrze, ale po przeciwnej stronie umieszczonych, oglądać można rozmaite ziemiopłody, trzy rodzaje orzechów amerykańskich a mianowicie orzech Hickory, ogromnie podobny z wyglądu, koloru i wielkości do głowy



Rysunek Stanisławy Buczyńskiej, ośmioletniej uczennicy polsko-amerykańskiej (według fotografii M. Bergtrauna ze Lwowa.)



Opossum (według fotografii M. Bergtrauna ze Lwowa.)

czosnku, orzech masłowy i orzech czarny, przypominający z małemi odmianami nasze włoskie orzechy, umieszczone w tych salach także mineralja i zwierzęta wypchane. Widzimy tu jaguara, opossum, (przez nas w fotografii reprodukowane) rozmaite rodzaje ptaków drapieżnych, pyszny okaz wołu z zakręconemi rogami, fotografij też nie brak a cała ściana w ostatniej sali piętrowej poświęcona wychodźtwu polskiemu w Brazylii. Dwa takie obrazy



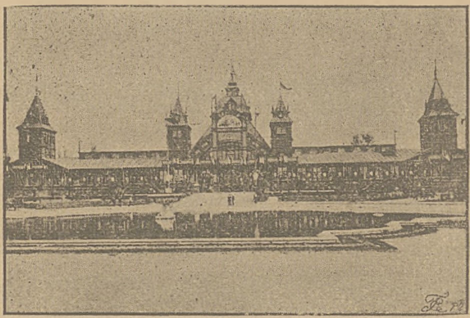
Karol Szulc, redaktor „Gazety Polskiej“ w Brazylii (według fotografii M. Bergtrauna ze Lwowa.)

a mianowicie portret Karola Szulca, redaktora „Gazety Polskiej“ w Brazylii i „Wydawanie obiad emigrantom w Curytyba“ według rysunku J. Siemiradzkiego z Brazylii, umieszczamy również w reprodukcjach fotograficznych na zakończenie artykułu.



Wydawanie obiadu emigrantom w Curytyba, (rysował J. Siemiradzki, odfotografował M. Bergtraun ze Lwowa.)

Pawilon przemysłowy.



Jest to jeden z najznaczniejszych co do objętości i pod każdym względem jeden z najbardziej wykończonych. Dyrekcja Wystawy stworzyła zeń prawdziwe cacko i dołożyła tyle w zewnętrznem i wewnętrznem urządzeniu starań, o ile tych starań brak w urządzeniu pawilonu dziennikarskiego.

Ogromna budowa, którą nasza winieta przedstawia, mieści w swojem wnętrzu przemysł krajowy w najrozmaitszych formach, nie wykluczając bynajmniej artystycznej. Na zewnątrz gmach ten, mieszczący 5985 □ metrów, ozdobiono herbami znaczniejszych miast galicyjskich, co bardzo przyjemne wywołuje wrażenie. Ogarnąć jednym rzutem oka całość, w wnętrzu pawilonu umieszczoną — niepodobna. Za wiele grup i za wiele okazów umieszczono tu na obszarze, choć wielkim, ale mimoto za ciasnym, aby i połowę tego umieścić, co tutaj widzimy. Urządzenie zewnętrzne i wewnętrzne pawilonu przemysłowego we Lwowie ustępuje także pod względem artystycznym o wiele urządzeniu powilonu przemysłowego w Pradze; ale natomiast wolno nam się bodaj tem pocieszyć, że pod innym względem staliśmy o wiele wyżej od Czechów, wykazując olbrzymi postęp w sztuce, na jaki się nasi pobratymcy dotąd nie

zdobyli a którego dowodem panorama racławicka, mauzoleum Matejki i pałac sztuk pięknych.

Ponieważ w pawilonie przemysłowym częstokroć znachodzą się rzeczy, figurujące także w innych, jakoto: stroje damskie, lalki, wyprawy całe, ponieważ oprócz tego, wystawców znajdzie się tu z pewnością o wiele więcej, aniżeli w kilku innych pawilonach razem wziąwszy, uczynimy więc tylko o niektórych wybitniejszych na tem miejscu wzmiankę.

Franciszek Kopaczyński, bronzownik z Krakowa, wystawił bardzo piękne kielichy złocone, karabele staroświeckie i medaljony Kościuszki, Józefa Poniatowskiego i Matejki (medaljon Kościuszki umieszczamy na czele rocznika, medaljon Matejki w artykule, zatytułowanym: „Mauzoleum Matejki.“)

Sztuczny zegar grający Wiktora Wasilewskiego, niegdyś c. k. nadstrażnika skarbowego rudeńskiego, po spensjonowaniu zaś zamieszkałego w Stryju,*) — ściąga ustawicznie tłumy widzów, podziwiających

---

*) Dziwny zbieg okoliczności! Któżby się spodziewał, że jako wystawca zejdę się jeszcze 14. Października r. 1894-go na „Wystawie Kościuszkowskiej“ w halli koncertowej z tym samym Wasilewskim, z którym się już raz w Rudkach dnia 4-go Września 1879 zeszłem i o którym coprawda nieco egzaltowaną wzmiankę w moich „Wrażeniach z podróży“ (str. 139—141) uczyniłem. Dla ciekawości przytaczam rzeczony ustęp:

„Cóż to za jeden? ten Wasilewski? zapytacie może. To nadstrażnik skarbowy. Tak jest: nadstrażnik, ale taki, który zdumiewającym talentem swoim powinien stać na straży narodowej sztuki, na straży prawdziwego piękna.

„Wasilewski, Bukowińczyk rodem, jest samoukiem: połącza więc w osobie swojej i wady i zalety każdego samouka. Rozmawiajcie z nim o rzeczach zwyczajnych; ani nie poznać, co się po za skromnem tem obliczem kryje. Ale rozmawiajcie z nim o sztuce, wnet zaiskrzy się szafirowe jego oko niezwykłym blaskiem. Bo Wasilewski jest poetą rzeźbą, poetą tonami.

„Był on synem niezamożnych rodziców, wyrósł wśród krępujących go stosunków. Na cóż mu się sztuka przydała, sztuka, która zazwyczaj jest przywilejem zamożnych i bogatych? Cóż mu z tego, że jego koncerta w Drohobyczu przepełniły salę muzyczną słuchaczami zachwyconymi? cóż z tego, że na wystawie lwowskiej (jest to wzmianka o wystawie w ogrodzie Jabłonowskich z r. 1877) arcydzieło jego: zegar olbrzymi o przecudnej rzeźbie, odgrywający 10 melodij narodowych, zjednał mu zwolenników, którzy mu ofiarowali zań 400 złr. Stosunki służbowe

mozolną pracę, do której autor najrozmaitsze objaśnienia tak niemieckie, jak i polskie dołączył. Objaśnienia rzeczone nie świadczą bardzo korzystnie o języku i wyrobieniu literackiem autora; ale świadczą natomiast o cierpliwości, która pracy pięcioletniej nie żałowała na wykończenie dzieła bądź co bądź bardzo sztucznego i skomplikowanego.

Z rozlicznych objaśnień autora wyjmujemy następujące:

„Raz na rok zakręca się! bije godziny — kalendarz automatyczny pokazuje miesiące, dnie, datę i roku następnego datę, oraz czas wschodu i zachodu słońca, pendul (pendula?) pokazuje się w świetlnych zmianach księżyca, kurant gra rano w południe i wieczór. Figura u szczytu przedstawia allegorycznie wieczność, t. j. popielnica jako przeszłość a jeniusz skrzydlaty patrzący w górę jako przyszłość. Wiersz pod tą figurą jest skierowany przeciw namiętnościom materyalistycznym i brutalstwom Robespierrów i Maratów, w sensie psychicznym. Figura strony prawej przedstawia Fortunę jako symbol losów ludzkich, z odnośnym wierszem. Figura strony lewej przedstawia „apolla krytharödos“ jako symbol muzyki i śpiewu. Tarcza godzin mieści w sobie allegorycznie przebieg życia: wskazówka w kształcie strzały oznacza szybki lot czasu, kolorowy wieniec, na którym są złocone godziny, oznacza czas zachwyceń z młodocianego wieku, któren upływa jakby po kwiatach, kwiaty pojedynczo są zastosowane do pór życia. — Następnie

---

nie pozwoliły mu wydalić się z miejsca swego pobytu, bogaty kupiec stracił cierpliwość, a teraz byłby p. Wasilewski jeszcze niezmiernie zadowolony, gdyby się taki znalazł, coby mu bodaj 150 złr. ofiarował za pracę, która go samego 200 złr. kosztuje. O! jaka gorżka prawda mieści się w przysłowiu niemieckiem: „Die Kunst muss nach Brod gehen!“ Ale mimoto, niezrażony wszelkiemi niepowodzeniami materjalnemi, pracuje obecnie p. Wasilewski nad nowem dziełem mechaniki, nad rodzajem perpetuum mobile, które według własnych jego wyrażeń będzie koroną tego wszystkiego, co on dotychczas stworzył. Człowiek o takim talencie, gdyby żył w większem mieście, gdyby żył w stolicy kraju, miałby już przyszłość zapewnioną: tutaj na prowincji talent jego gubi się wśród tłumu, zetrze się w twardej walce o chleb powszedni“...

szarawo przedstawia się negatywność w zniszczeniu allegorją: że obok runiętego (?) szkieletu ludzkiego są po jednej stronie złożone torba i kij żebraczy, t. j. ubóstwo, po drugiej stronie godła bogactwa: — dalej uschłe złamane drzewo, oznacza upadek siły — potem ruiny zamku oznacza (oznaczają?) zniszczoną próżność, przepych a obok cmentarz jako tajemnicza noc grobowa (tajemniczą noc grobową?) — Po nad tem wszystkiem kroczy unosząc się postać czasu z kosą i klepsydrą w ręku, oznacza panowanie czasu nad wszystkiem — na skrzydłach tego widać postać przerażenia. Ornamentyka, figury i wieniec cały robione z lipowego drzewa. Każda część jest z osobna przysrubowaną do szkieletu zegarowego i daje się także zdjąć.

Nabywca otrzyma dokładny opis: I. Do transportowania. II. Do regulowania. III. Do zdjęcia Ornamentyki. IV. Do wyjęcia werków."

Autor naznaczył dla dzieła swego cenę 3000 złr., co w stosunku do mozolnej pracy wcale nie jest wygórowaną ceną.

Co do pojedynczych figur, to wymienilibyśmy jako najbardziej udatne: Fortunę z rogiem obfitości i Apollina; ale wiersz pod Fortuną umieszczony:

„Komu się gwiazda nieszczęścia rozświeci,
Próżno na kotwę obiera nadzieję —
Choć silną ręką skały się uchwyci,
Los go potrąca w zatopy z koleji" —

nie ma żadnej ponęty dla ucha poetycznego.

Wasilewski za swój zegar sztuczny otrzymał list pochwalny, t. j. najniższą nagrodę; w rozmowie ze mną użalał się nawet na takie lekceważenie jurorów. Ja sądzę, że w stosunku do literatów, do mocarzy ducha, których głosu krytycznego każdy się obawia, którzy opinję w szerokich masach tworzą i nią wszechwładnie kierują a przecież nawet i listu pochwalnego nie otrzymali — Wasilewski w prawdziwie królewski sposób za swoją pracę został wyszczególniony.

De gustibus non est disputandum. Moglibyśmy się więc słusznie nad tem zastanawiać, jakiem prawem muzyka jako sztuka dostała się pod skrzydła

opiekuńcze ogarniającego cały świat kupiecki, przemysłu? Należało według mego zdania całą tę literaturę muzyczną, wizerunki członków stowarzyszenia muzycznego, organy, fortepiany i pianina bezwarunkowo umieścić w jakiemś skrzydle sali koncertowej a nie tutaj, a jeśli nie było miejsca, rozszerzyć nawet salę koncertową albo dobudować do niej skrzydło tem bardziej, że według zapewnienia rzeczoznawcy objekty tu wymienione pod wpływem czy to słońca, czy wilgoci niszczeją. Stało się inaczej. Mimoto nie powiem, żeby ta wystawa była zbyt małą ani ciekawą, aby na nią uwagę zwrócić miano. Owszem! między temi nutami znajdziemy prawdziwe białe kruki: nuty, sięgające 16-go i 17-go stulecia; literatura muzyczna systematycznie tu zastosowana od samych początków aż do najnowszych czasów, fortepiany i pianina wystawili Woroniecki, Marecki, Sidorowicz i Siwiński, Sojkowski, organy Śliwiński, słowem najbardziej powołani do współudziału rzeczoznawcy i artyści.

Aby nietylko słuch, ale i zmysł powonienia ujmy nie zaznał, uperfumowali właściciele perfumeryj z Ihnatowiczem na czele, żebym się tak wyraził, cały pawilon. Małą niespodziankę wyrządził nam Piotr Czapczyński, wystawiając ogromnego niedźwiedzia syberyjskiego wypchanego w stojącej postaci a trzymającego w łapie misę jakby na kwestę. Kwestarz dosyć zbyteczny, gdyż na każdym kroku spotykać się tu można z żywymi kwestarzami i kwestarkami. W tej samej grupie wystawił Józef Mund, kuśnierz ze Lwowa, piękne okazy na polu kuśnierstwa, jakoto: czapki, kołnierzyki i t. d.

Wielce ciekawy jest obraz Tobiasza Kohna, złotnika ze Lwowa, tem ciekawszy, że to ręczna robota, świadcząca o niezwykłym artyzmie. Autor załączył krótkie objaśnienie, które w prostocie swojej korzystniejsze wrażenie wywołuje, aniżeli łokciowe wywody Wasilewskiego:

„Ta ręczna robota przedstawia Obronę Trembowli. Zrobił ją Tobiasz Kohn, ul. Sykstuska 14, waży 4444 gr. jest do sprzedania, 13. próby.“ (Autor pierwotnie pracę swoją ocenił na 1250 złr.)

Rzecz naśladuje dość zręcznie stare płaskorzeźby i odlewy, a wykuta na srebrze, po części czarno oksydowanem, przedstawia chwilę, wziętą z Zaborowskiego „Obrony Trembowli:“

„Jak Scytów niegdyś w Tauryce kapłanki,
Srogie dla wrogów dwa chwyciwszy noże:
„„Wielki (zawoła) moich ojców Boże!
„„I wy, ich cienie! macie dwie ofiary,
„„Obie niewinne, przyjmcie razem obie,
Jedna niech padnie na wolności grobie,
A druga czystsza na ołtarzu wiary.““

Ponad wszystkiemi innemi góruje postać Chrzanowskiej, przedstawionej w stojącej postaci a trzymającej w ręku nóż historyczny, którym siebie i dziecko zabić grozi w razie, gdyby mąż fortecę w ręce wrogów oddał. Bardzo szczęśliwy był też pomysł autora, iż ją jako główną bohaterkę w samym środku obrazu umieścił. Wszystkie inne osoby — nie wyjąwszy męża Chrzanowskiej — to tylko akcesorja niezbędne obrazu. Jedni — na ich czele sam dowódca — rwą się do mieczów, drudzy klęczą przed bohaterką w niemem uwielbieniu. Nad śmiertelnie rannym towarzyszem pancernym po prawej stronie nachyliła się zakonnica, wydobywając jedną ręką ostrze żelaza a drugą macając mu puls; po lewej stronie obrazu klęczy zakonnica, wyciągając dłoń, jak gdyby wzywać chciała wiernych do obrony zagrożonej wiary; po za nią w głębi z rękami w tył związanemi ukazuje się postać Turka. W fortecy wre bój zacięty, walka dosięgła punktu kulminacyjnego. Jest to obraz pełen grozy, siły i majestatu, a nie umniejsza wcale zasług artysty, że obraz wykonał według wzoru, dostarczonego mu w starym stalorycie czy miedziorycie. (Umieszczamy rzeczony obraz w ślicznej reprodukcji fotograficznej p. Bergtrauna ze Lwowa.)

Dział stolarski a szczególnie to, co Niemiec nazywa „Kunsttischlerei“ — przepysznie reprezentowany na wystawie przemysłowej. Tu odznaczają się szczególną wytwornością wyroby braci Wczelaków i Ludwika Matyaszka ze Lwowa, oraz Teofila Trojana z Bochni. Z wozów wystawionych nader licznie, wyszczególniają się wozy Lickendorffa.



Obrona Trembowli, obraz w srebrze wykuty przez lwowskiego złotnika Tobiasza Kohna (według fotografii M. Bergtrauna ze Lwowa).

Oryginalne, ale dosyć korzystne wrażenie wywołuje także dom, cały z korkowego drzewa wystawiony przez I. L. Achta ze Lwowa głównie za pomocą współpracownika Glasgalla. Ściany i wnętrze — najdrobniejszy drobiazg w miniaturowym tym pawilonie — wszystko to z korkowego drzewa — przedstawia niezmiernie zręczną reklamę dla interesu, niedawno, bo dopiero w r. 1892 założonego, a ktoby się jeszcze wątpić ośmielił o prawdziwości tego, co mu się tu żywcem przedstawia, tego autor w okamgnieniu przekonać gotów kartkami wizytowemi, uwiadamiającemi o tem, że „w pracowni jego wyrabia się kork wszelkiego rodzaju, jakoto: szpundy długie, krótkie, koła korkowe, płyty, podkładki, podeszwy korkowe, kapsle do flaszek, lak i t. d.“

Powiedziałbym prawie, że „koszyk, wykonany w towarzystwie koszykarskiem w Wiązownicy“ przez Jacentego Kasię, wypełniony wewnątrz kwiatami sztucznemi p. Sabiny Teodorowiczowej we Lwowie — to pendant do wystawy Achta i reklama dla wystawczyni. Aczkolwiek bowiem pracy koszykarskiej Jacentego Kasi nic zarzucić nie można — to służy ona tylko na to, aby w korzystniejszem jeszcze świetle uwydatnić rozmaite bzy, róże, słoneczniki, fijołki i t. d., w gustownem otoczeniu zieleni sztucznej i zręcznie dobranej, jak te kwiaty.

Z introligatorów, na wystawie reprezentowanych, w pawilonie przemysłowym jeden tylko Kuczabiński figuruje, ale może też z dumą spoglądać na owoce swej pracy, które się pysznie przedstawiają. Są to po największej części modlitewniki, gustownie oprawne. Jeden z nich przypomina żywcem podobną pracę Spożarskiego w ruskim pawilonie a Zbawca z czterma Ewangelistami bardzo dobrze tu przedstawiony. Są tu także teki na dyplomy, gustownie oprawne, a wszystko razem umieszczone w potężnej rozmiarami szafie.

Jeśli introligatorstwo słabo w tym pawilonie reprezentowane, to tem silniej papiernictwo, choć porównania z rozwojem czeskiego wytrzymać nie może. Na pierwszym rzędzie stawiłbym tu jako rzeczoznawca wyroby braci Fijałkowskich z Bilska,

Weiser wystawił papier cygaretowy, a Sekler papier do pakowania.

Jakiem prawem płyty litograficzne A. Pluttera ze Lwowa albo hektografy innego wystawcy w pawilonie przemysłowym figurują zamiast w pawilonie dziennikarstwa -- o to godziłoby się także spór prowadzić.

Prace kaflowe Rubina Bricha i Korzeniowskiego we Lwowie, bardzo gustownie wykonane, dają nam wyobrażenie o rozwoju tej gałęzi przemysłu, mającej wielką przyszłość przed sobą.

Huta szkła w Żółkwi, zostająca pod kierownictwem i zarządem p. Maurycego Nirensteina ze Lwowa, założona przed czterma laty, produkuje obecnie ogromną ilość rozmaitych szklanek, kubków, misek, talerzyków i t. d. i rozwija się pomyślnie. Właściciel wystawił całą kollekcję swoich wyrobów, które na śmiało konkurencję z innemi wytrzymać mogą. Fabryka szkła w Żółkwi fabrykuje takowe w najrozmaitszych rozmiarach dla gospodarstw, ogrodników, aptekarzy, mechaników, elektrycznych bateryj i t. d.

Na oryginalny pomysł wpadł Ruker, aptekarz lwowski, aby zareklamować swoje konserwy dla wojska; wystawił bowiem trzech sztucznie wypchanych żołnierzy, z których jeden na murawie spoczywa, drugi w stojącej pozycji gotuje zupę a trzeci, wyjrzawszy z pod namiotu, z filozoficznym spokojem porcję swoją zajada.

Aby przechadzającym się dłuższy czas po pawilonie, przechadzka się nie sprzykrzyła, wystawili piernikarze i cukiernicy, jak Lewicki, Staff i Tretter różnorodne pomadki i pierniki (Tretter także posąg okazowy z czekolady, przedstawiający Kościuszkę na koniu), a fabrykacja rozmaitych spirytualjów i likierów Hirscha Kapelusza, Schwadrona, Perthergera i innych demonstruje nam ad oculos, że przemysł ten licznych jeszcze ma zwolenników i konsumentów w Galicji.

Na tem skończymy też zanadto pobieżny może przegląd ogromu rzeczy, zawartych w pawilonie przemysłowym.

Wiec ludowy na wystawie.



Co za wrzawa? to wystawa!
Wszędzie gwar i ruch —
Wszędzie rojno, wszędzie strojno —
Odżył w masach duch.
Przyszły ludy, zwidzieć cudy
Pracowitych rąk:
Goście w fraku, lud w sieraku,
Uprawiacze łąk.
Wielcy, mali, z bliska, z dali
Pospieszyli tu...
Co za wrzawa? to wystawa —
Piersi brakło tchu!
Człowiek żywy na te dziwy
Patrzy gdyby w śnie;
Patrzy na nie wódz w sukmanie,
Z nieba patrzy się.
I wesoło błysło czoło,
Gdy widział ten cud:
„Hej do dzieła! Nie zginęła!
Hej! dzielny nasz lud!“

Lwów, 26. Sierpnia 1894.

Pawilon ruskich stowarzyszeń.



Bardzo skromnie, ale schludnie i przyzwoicie przedstawia się pawilon ruskich stowarzyszeń. Jako sąsiadów ma z jednego boku pawilon pracy kobiet, z drugiego zaś pawilon kasy oszczędności i towarzystw zaliczkowych.

Wystawa nie byłaby zupełną, gdyby się Rusini wykluczyć chcieli. Słusznie też powiedział Prezes wystawy ks. Sapieha, że wystawa nie jest jedynie i wyłącznie polską, ale także i ruską, więc słuszna rzecz, aby i ruskie towarzystwa udział w niej miały. Ubolewać tylko nad tem wypada, że żywioły niepowołane zgodę tak bardzo upragnioną zamącić usiłują. Nie pójdzie im jednak na lep żaden prawy Polak, ni też prawy Rusin.

Tak jak polskie stowarzyszenia na polskie cele patrjotyczne sprzedawają portrety Kościuszki, wydawnictwa ludowe, odlewy z gipsu, medaljony i t. d., tak i ruskie stowarzyszenia na wzniesienie pomników dwom wielkim poetom ruskim: Szewczence i Szaszkiewiczowi, których portrety poniżej umieszczamy. Część przedmiotów, w pawilonie ruskim wystawionych, wyłącznie też na ten cel przeznaczona. Nie tu miejsce, rozwodzić się nam wyczerpująco o każdym przedmiocie z osobna; będę więc tylko o niektórych pisał: na pierwszy rzut oka uderzają pojedynczo, ale bardzo gustownie wykonane wyroby szkoły garncarskiej z Kołomyi, której pracownię reprodukujemy

według fotografii znanego artysty-malarza i fotografa, Eugeniusza Jurkiewicza z Kołomyi, (patrz na str. 77.)

Szkoła ta wyrabia talerzyki, dzbanki, kubki, w Kołomyi i całym powiecie kołomyjskim bardzo rozpowszechnione, w innych miastach, szczególnie zaś we Lwowie ledwie z wystawy znane. Na tym



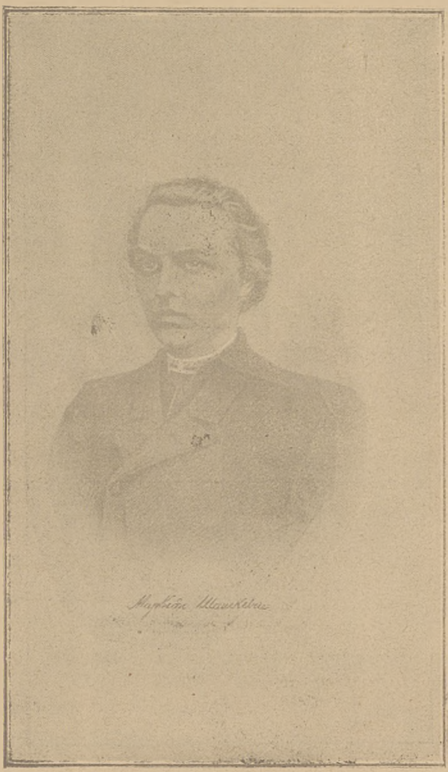
Taras Szewczenko.

samym stole umieszczone wyroby w tenże zakres wchodzące z Pistynia, Lwowa, Jaworowa. Prace Petra Kotaka, Harasymowiczównej i Ogonowskiej świadczą o wielkiem wydoskonaleniu artystycznem.

Fabryka Joanna Lewińskoho wystawiła ceramiczne wyroby. Nie wiele tu znajdziemy modelów

ale to, co widzimy, to gustowne. Po ścianach wszędzie porozwieszane kilimki o oryginalnych, nieraz pstrokatych i krzyczących barwach, świadczą o zamiłowaniu ludu ruskiego do wyrobów podobnego rodzaju.

Ale prawdziwą ozdobę wystawy stanowią wyroby introligatorskie Spożarskiego ze Lwowa, które



Markian Szaszkiewicz.

najwybredniejszemu smakowi z pewnością zadość uczynić by musiały. Patrzmy np. na tę oto książkę, na grzbiecie i kompaturkach w czerwony plusz oprawną a ozdobioną w środku postacią Zbawiciela, podczas gdy cztery rogi książki czterej ewangeliści



zajmują. Toż to prawdziwe cacko! Albo ten album grający, również z czerwonego pluszu, z pokrywką malowaną, przedstawiającą pieśniarza ludu ruskiego Szewczenkę, spoczywającego na murawie z nieodstępną bandurą w ręku. Tu znowu ściąga na siebie uwagę trzeci okaz sztuki introligatorskiej: album w niebieski plusz oprawny z umieszczonym na kompaturce portretem wiejskiej krasawicy.

Inne prace Spożarskiego świadczą również — choć w skromniejszych rozmiarach — o wyrobionym smaku artystycznym; drobiazgowe opisywanie takowych zaprowadziłoby nas jednak za daleko.

Prac kobiecych, jakoto: haftów, krojów, deseni i t. d. nie brak, z malowideł zaś małoco tu się mieści; wyszczególnia się z pomiędzy innych obraz malarza Ustyanowicza, przedstawiający wieśniaczkę, a umieszczony na prawem skrzydle od wejścia. Również tamże umieszczona zbiorowa wystawa narodnego domu w Przemyślu, obejmująca bardzo piękne okazy kwiatów sztucznych, z których dochód z rozprzedaży przeznaczono dla ubogich sierót.

Narodnaja torhowla również jako zaprotokołowane ruskie stowarzyszenie kupieckie wystawiła całą kollekcję butelek, słoików, szczotek, druków i t. d.; ale ta wystawa nie ma znowu dla nas tyle ponęty, aby się zanadto długo przy niej zatrzymywać.

Bojan, ruskie stowarzyszenie śpiewackie, ma tu także swoją wystawę: w fotografjach, w gablotce osobnej umieszczonych, widnieją tu wszyscy członkowie męzkiej i damskiej kapeli, druki, statuta i t. d., w górze zaś porozwieszane insygnia śpiewackie — jest to w ogóle jedna z najbardziej wyczerpujących wystaw, na jaką się pojedyncze stowarzyszenie ruskie zdobyć mogło. Wystawa ta, jakoteż wypukłorzeźba Jana Kawki z Krakowa, przedstawiająca Bogdana Chmielnickiego, zagrzewającego zastępy wojska do boju i wyroby z żelaza, wykonane przez Stanisława Konopackiego ze Lwowa, mieszczą się w środkowem zabudowaniu — które zresztą szczególniejszych okazów nie zawiera.

Lewe skrzydło od wejścia, poświęcone — żebym się tak wyraził — literaturze ruskiej, w pierwszym

zaś rzędzie głównemu jej przedstawicielowi Szewczence (patrz na rycinę odnośną, przedstawiającą Szewczenkę.) Widać go tu w wszystkich możliwych pozycjach — w malowidle, w fotografii, w marmurze, w rzeźbie. Cały szereg książek poświęcony wyłącznie jego pamięci. Obok jego postaci nikną formalnie inni ruscy pisarze, choć i tych tutaj nie brak. On jest ruskim Mickiewiczem, ruskim Göthem, on stosunkowo większe prawie ma znaczenie w ruskiej literaturze, bo jest synem ludu znieważonych, poniewieranych, deptanych, co z samouka urósł na gwiazdę przewodnią ruskiego narodu, gromadzącą w koło siebie całą plejadę mniejszych pisarzy.

Towarzystwo imienia Szewczenki umieściło tu całą literaturę swoją a drugie tyle towarzystwo Proświty, ruskie Towarzystwo pedagogiczne rozwiesiło na ścianie książki szkolne — wydawnictw Towarzystwa imienia Kaczkowskiego nie ma tutaj.

Rozmowa z pewnym rusofilem.

„Byłbym na waszej wystawie może,
Gdyby nie obraz to zbyt mieszany;
Polska i Węgry, Francja, mój Boże!
Anglja tam, Rusi nie ma wybranej!
„Wszak kraj ten russki jest a nie polski;
Więc pocóż taką bawić się blagą?“ —
„„Mój przyjacielu buty mongolskiej!
Pozwól, niech prawdę wyświecę nagą!
„„To nie zachcianek russkich wystawa,
Lecz nasza, upragniona radośnie,
A kto, jak ty, się z niej naigrawa,
Niech się wynosi tam, gdzie pieprz rośnie!
„„My mamy wszystko, czem kraj nas darzy,
Co nawet pańska wychwali buta;
O jednej tylko serce nie marzy:
Jest to wystawa dziegci i knuta!““

Lwów, 3. Sierpnia 1894.

Pawilon pracy kobiet.



Nie będę może tak bezwzględnym, jak „Śmigus,“ który twierdził, że pracą kobiet chyba jedynie nazwać można bociana, pieluchy i zawartość kołyski i który pracę rzeczoną nawet przedstawiał w złośliwej illustracji — o pracowitości kobiet często gęsto miałem bowiem sposobność się przekonać, byleby tylko rodzaj tejże pracy we właściwym obracał się kierunku.

Powiem więc otwarcie, że najużyteczniejszy kierunek tej pracy polega na wychowaniu czy to domowem czy szkolnem, na gospodarstwie w obrębie domostwa swego, mniejszą o wiele wartość przywiązujemy do takzwanego sztukmistrzowstwa i pseudogenjalności.

W pawilonie pracy kobiet przeważa — nie możemy tego zaprzeczyć — kierunek artystyczny nad domowo-wychowawczym. Musimy jednak zaznaczyć, że i w tym ostatnim kierunku przewrót radykalny za naszych czasów nastąpił. Mężowie jak Bełza, Parasiewicz, Zahajkiewicz i inni, którzy się dotąd wydawnictwem podobnych dzieł zajmowali, usunęli się jeden po drugim, a pisma dla dzieci wychodzą teraz pod redakcją kobiet. Nie sądzę jednak, żeby sprawa wychowania publicznego na tem cierpiała. Imiona takich redaktorek, jak Kossowska, Lewicka,

Mrozowicka są najlepszą rękojmią wartości tych wydawnictw. Dla dokładności większej załączam jeszcze imię Antoniny Machczyńskiej, a choć i na jej zasady tylko warunkowo godzić się możemy, to nie można jej przecież pewnych zasług na polu pedagogii zaprzeczyć. Za jej staraniem okazały się na wystawie pracy kobiet autografy słynnych Polek,



Szczęsna (według fotografii Walerego Rzewuskiego z Krakowa).

szczególnie Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Autografy te, umieszczone w gablotce, tworzą prawdziwą ozdobę wystawy. Cała ściana zaś powyż gablotki, okryta wizerunkami głośnych Polek a urządzenie tej grupy świadczy o wysokim artyzmie.

Od siebie dodajemy, że męty życia coraz to nowszych autorów i autorki wyrzucają na powierz-

chnię. Jedna z najnowszych — to Szczęsna, którą znałem jeszcze podlotkiem i której portret na str. 81. podaję. Styl jej miejscami mocno przypomina styl starszej wiekiem Janiny Antonowiczówny.

Obok nowszych i bardzo ciekawych druków mieści wystawa p. Machczyńskiej także starsze, jak np. dzieło Elżbiety Drużbackiej z r. 1760, wydanie „Pielgrzyma w Dobromilu" z r. 1818 i inne.

Pawilon pracy kobiet obok domowego działu mieści także dział artystyczny, wykazujący wielką cierpliwość obok wielkiego wydoskonalenia w sztuce. Parawany, hafty, wyszywania, ręką kobiecą wykonane, są prześliczne, wszędzie uwidocznić można postęp w rysunku. Wystawiła szkoła św. Scholastyki w Przemyślu wzory, tak samo oddział robót szydełkowych, drutowych i t. d. z Krakowa, kwiaty sztuczne wystawiła Teofila Pachulska, podczas gdy Wiktorja Krzysztofowiczowa, Ormianka z Kornicza (pow. kołomyjski), przyrządziwszy ormiańskie przysmaki, konserwy, jakoto: churut, powidełka pomidorowe i t. p. rzeczy z dziedziny przemysłu domowego, takowe tu wystawiła.

Seminarzystki urządziły sobie osobną wystawkę, składającą się z drobiazgów, jakoto z ramek na fotografje, talerzyków i t. d. Rzeczy te — choć pojedyncze — przedstawiają się jednak dosyć przyzwoicie.

W chwili, gdy to piszę, natłok niesłychany, choć coprawda większy około haftów i deseni, aniżeli około rękopism i wydawnictw Żmichowskiej, Hoffmanowej i innych zasłużonych autorek polskich. Kobiety wzięły górę i wypędzają nas mężczyzn chwilowo z dziedziny działania kobiecego, do której przy wolnej chwili powrócić sobie obiecujemy.

Że nasze panie tam, gdzie się rozchodzi o prawdziwy artyzm, ze skutkiem ubiegać się mogą o współzawodnictwo z mężczyznami — tego mieliśmy dotąd nader liczne dowody. Podnosimy jeszcze jako podziwienia godne malowidła na porcelanie, z rzadką delikatnością wykonane przez p. Kanigowską, Eljaszówny, bratanicy znanego artysty gustowne malo-

widła na drzewie, wyroby zakładu naukowego p. Marji Zagórskiej, sztuczne kwiaty Marji Serkowskiej z Stryja, ekrany rozmaite i t. d. O drobiazgowej skrupulatności w wykonywaniu najmniejszych szczegółów świadczy także mapa poglądowa królestwa polskiego, wykonana przez Wójcickę, a urządzenie kuchni, w której — coprawda — nic się nie gotuje — daje nam jakie takie wyobrażenie o naszem gospodarstwie domowem. Na tem kończę też krótki ten pogląd, zbyt może pobieżnie traktowany, gdyż na bardziej wyczerpujący niestety mnie nie stać.

Pawilon architektury.



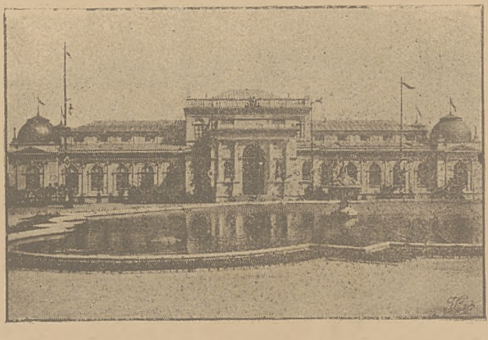
Bardzo gustownie, pięknie i harmonijnie na zewnątrz przedstawia się ten budynek, reprodukowany w naszej winiecie. I życzylibyśmy sobie zapewne, żeby i na wewnątrz ten sam ład zapanował; gotowiśmy nawet, ustępstwa choćby i najdalej posunięte co do gatunków sztuki tu umieszczonych — uczynić. Zgadzamy się przeto na rysunki kolorowe i niekolorowe, na fotografje, o ile się takowe do architektoniki odnoszą, na rzeźbę nawet, gdyż to pokrewny z architektoniką rodzaj; ale nie pojmujemy, w jakim celu umieszczone tu makaty hr. Oskara Potockiego,

należące do działu pracy kobiet, wyroby złotnicze Włodka, należące do pawilonu przemysłowego, albo tablice w srebrze wykute Dornhelma lub Hakowskiego a mianowicie tegoż ostatniego obraz, przedstawiający Sobieskiego pod Wiedniem — rzeczy, należące do pałacu sztuk pięknych. (Hakowskiego imitacja srebrna zapowiedziana nawet była w katalogu sztuk pięknych, więc eo ipso każdy z gości tam ją szukał a nie znalazł.)

Urządzenie zewnętrzne jednem słowem cierpi przez urządzenie wewnętrzne, przeładowane rzeczami, tu nie należącemi.

Sztuka polska na wystawie.

Pałac sztuk pięknych.



Już sama ta nazwa ma wielki urok, a zainteresowanie ogólne, przez nią wywołane, wzmaga się jeszcze i potęguje przy oglądaniu budowy (jednej z najpiękniejszych na wystawie), wnętrze zaś pałacu sztuk pięknych wprost czarujące wywołuje wrażenie.

Jako laik, nie jako fachowy, przystąpiłem do oceny skarbów sztuki i przemysłu artystycznego, tu

zawartych; jako laik wypowiedziałem swoje zdanie, które nieraz w rażącej sprzeczności pozostawało ze zdaniami tak Dyrekcji Wystawy, jak i Redakcji katalogu sztuk pięknych. Mogłem się mylić i myliłem się może rzeczywiście niezliczone razy; ale i ci, których zdań nie podzielałem, mogli się również mylić, gdyż nieomylnym nikt nie jest. Po czyjej stronie prawda, niech publiczność rozstrzygnie.

Wystawa sztuk pięknych rozpada się na trzy grupy, czyli raczej oddziały: starożytną, obejmującą okres aż do r. 1764, retrospektywną od r. 1764 do r. 1886 i nowożytną, obejmującą czas obecny.

Trzymajmy się chronologicznego porządku.

I. Wystawa starożytności.

Według katalogu umieszczona w czterech salach, zawiera wielką ilość bardzo cennych okazów.

W pierwszej sali na lewo od wejścia widzimy cały arsenał umieszczony. Na chybił trafił wybiorę pierwszą lepszą rzecz. Jest to zaopatrzona nrem 404m zbroja ks. Mikołaja Radziwiłła. Niezmiernie charakterystyczna daje nam wyobrażenie o sile fizycznej dawniejszych ludzi, dla których zbroja podobna wcale nie była uciążliwą. Jest to raczej pół zbroi, aniżeli cała — sięga bowiem tylko do kolan, hełmu też nie ma, ale obliczona na szerokie i silne piersi. Cała składa się z żelaza a tylko palce żelazne podszyte skórą, przymocowaną gwoździmi. Potężna to była dłoń, która takiemi palcami, czyli jak dawniej mawiano: palcatami wywijała a nieszczęśliwy, kto się pod nią dostał. Wszakże znane polskie przysłowie: „brać kogoś na palcaty.“ Zbroja rzeczona pochodzi z 16go stulecia, roku nie podano.

Sile takiego człowieka i takiej zbroi odpowiadają także działa w liczbie siedmiu, pochodzące ze zbrojowni lwowskiej a stanowiące obecnie własność muzeum historycznego miasta Lwowa. Pochodzenie ich nieco późniejsze. Noszą datę r. 1740 a zwane „Apostołami“. Każde takie działko ma bowiem na wylocie figurę tego lub owego apostoła i stosowny podpis.

Niezwykle piękne są szable, zaopatrzone nrami 445 i 465. Pierwsza pochodzi z czasów Jana Sobieskiego, druga zaś z czasów Stefana Batorego. Ogromnej wielkości to bronie a bogato obsadzane drogiemi kamieniami, szczególnie ostatnia.

Róg krzywy bawoli, zaopatrzony nrem 334m, postawiony na srebrnej pozłocistej orlej nodze, daje nam wyobrażenie o olbrzymich rozmiarach kubków, z których przodkowie nasi miód pili. Nie przesadzę, jeśli powiem, że w takim rogu co najmniej dwa litry słodkiego napoju dawnych Lechitów umieścić by można.

Niezmiernie prymytywny jest ryngraf konfederacki blaszany z Matką Boską z lilją w ręku, noszący numer 417, a któremu wartość przyznać możemy chyba z powodu wieku, w dodatku niezbyt odległego, nie zaś z powodu wypracowania artystycznego. O wiele wyżej stawiamy pod tym względem przedmiot, zaopatrzony nrem 852m a przedstawiający kasetę z czarnego drzewa, bogato okutą srebrem ornamentowanem.

I ta praca nie zadowalnia nas jednak ze wszystkiem: pochodzi z 17go stulecia, nosi datę r. 1672, sztuka wprawdzie nie była wówczas w takim rozkwicie jak teraz, zwłaszcza polska: to też, gdzie się autorowi rozchodziło o ornamenta pojedyncze, tam z pewnością nic pracy jego zarzucić nie można. Natomiast figury osób i zwierząt nie dopisały po większej części. I tak np., jeśli pójdziemy za wskazówkami katalogu, to do następnego dojdziemy rezultatu:

Autor, żyjący w 17m stuleciu, wykonał to dzieło zapewne na zamówienie jakiegoś magnata polskiego. Katalog zawiera dalsze jeszcze daty: „Kaseta na dwoje drzwiczek otwierana o ośmiu szufladach z pułeczką środkową; na wewnętrznych polach drzwiczek wykładanych kością słoniową, dwa rytowane p a n n e au x, na jednem imperator rzymski na koniu, za nim w drugim planie pochód tryumfalny; na drugiem Nero przejeżdżający konno Rzym płonący z wzrokiem zwróconym ku stosom, na których palą się chrześcianie. Na obu polach napis: Mosting sc. 1672. Na szufladkach wykładanych również kością

słoniową rytowane widoki z architekturą, średnia pułeczka z niszą i z źwierciadełkiem, w niszy srebrna statuetka wodza w zbroi, w płaszczu z berłem w dłoni.“ Rzućmy od niechcenia okiem na główne figury. Nie poczytamy autorowi za grzech artystystyczny, że słoniowa kość, na której rytował, w wielu miejscach się rozpękała. Nic nie ma wiecznego na świecie. Natomiast gdy rzucimy okiem tak na drzwiczki rozchylone, jak i na 8 pułeczek i na niszę z srebrną statuetką — to powiemy odrazu, że to albo robota dwóch mistrzów, pracujących każdy w osobnym rodzaju, albo też, że jeśli jeden tylko mistrz rzeczoną robotę wykonał, to nie dorósł wysokości zadania. Niszy nic zarzucić nie można: wódz w stojącej postaci umieszczony na posadce z parkietów, tworzących szachownicę, świetnie oddany; robi wrażenie, jak gdyby się poruszał w sali tronowej, bogato ozdobionej; illuzję potęguje jeszcze źwierciadło czy źwierciadła, umieszczone z boku a reflektujące jak gdyby w promieniach postać jego trzykrotnie.

Patrzmy natomiast na rozchylone na oścież drzwiczki. Cóż to za imperator na koniu? Kłoda nieruchoma, kloc a nie człowiek, tłumy otaczające go, tak samo, wyraz twarzy nie rzymski, słonie — to wieprze tuczne z rylcem i rogami a w dodatku z łapą niedźwiedzią. Alboż Neron „przejeżdżający konno Rzym płonący?“ Płomienie są nienaturalne, ludzie palący się co do proporcji nienależycie wykonani, tak samo koń i dzikie zwierzęta, z których dwoje niewiadomo jakiego pochodzenia a trzecie, nie wiedzieć, czy to pies, czy niedźwiedź? Natomiast, jak się już wyżej rzekło, ornamenta wszelkie, arabeski, okucia srebrne nienaganne.

Wejdźmy do drugiej sali. Zawiera ona niektóre bardzo cenne rzeczy, choć mniej i na obszarze o wiele mniejszym umieszczone. Tu wisi ze ściany dywan historyczny, pamiątka zwycięztwa nad Turkami z roku 1683, obecnie stanowiący własność ks. Sanguszki. Inne przedmioty bądźto w szafach i gablotach umieszczono, bądźto — jeśli obrazy — na ścianie.

Podziwienia godny jest okaz, zaopatrzony nrem 238-m, a przedstawiający oprawę księgi (mszału)

z końca 17-go stulecia. Ozdobny ten okaz wystawowy stanowi własność OO. Karmelitów we Lwowie; kompaturki są z zielonego pluszu, trochę zblakłego skutkiem starości. Rzecz, żebym się tak wyraził, więcej masywnie, niż elegancko wykonana, przetrwa zapewne jeszcze długie wieki. Całość bogato obsadzona kamieniami drogiemi i w srebro złociste okuta.

Nr. 608, tablica wotywna miedziana pozłocista wykowana i dłutowana, według katalogu przedstawia patrona złotników św. biskupa Eligiusza przy robocie w warsztacie złotniczym. Biskup w obrazie rzeczonym pracuje nad wykonaniem kubka, sam odziany w płaszcz biskupi i mitrę, podczas gdy uczeń rozdmuchujący ogień, odziany jak parobek dworski. Za biskupem, prawie do pleców jego przytykając, widny pastorał. W ogóle cała myśl zasadnicza obrazu niezmiernie oryginalna, prawie dziwaczna. Mieszane w dzikim nieładzie żywioły świeckie i duchowne. Biskup uwydatnia religijną stronę obrazu. Przysłowie: „Módl się a pracuj“ uwydatnia jeszcze lepiej i dobitniej samo zajęcie świętego, któremu uczeń przy pracy pomaga. Rumak młody, silny i parskający a obok gruchająca para miłośna — to jakoś dziwnie wygląda w mieszkaniu świętego, dziwniej jeszcze półnagie figury, umieszczone w narożnikach na prawo i na lewo. Niezapomnijmy jednak, że to praca z początku 17-go stulecia; że duch owej epoki po części był wojowniczy, po części rozpustniczy; że mężowie jak Richelieu, a dawniej jeszcze papieże jak Juliusz II. byli nietylko dyplomatami, ale i wojownikami nielada — a wtedy szczegóły rzeczone mniej nas razić będą. Wiek 16-sty i 17-sty nawet w dziełach sztuki reprodukcyjnej tyle tylko dbał o elegancję, o ile takowa z siłą męzką się zgadzała. Dziś elegancja, wymuskane i gładkie formy górą, choćby się po za niemi kryło zero. Jeden Matejko spróbował, odrodzić starą tradycję, więcej jednak jest i będzie takich, co ponad boje z dzikiemi zastępami, ponad krwawe dzieje cywilizacji przeniosą buduar pięknej pani, niebo roziskrzone mirjadą gwiazd, szeregi pląsających tanecznic albo nagą jakąś piękność grecką czy rzymską.

O wysokim rozwoju sztuki jubilerskiej, złotniczej, zegarmistrzowskiej, introligatorskiej i t. d. w wiekach 16-m, 17-m i 18-m, dają wyobrażenie choć niedostateczne wyroby, w gablotce u wejścia do drugiej sali umieszczone. Mówię „niedostateczne," gdyż wiele tych cennych rzeczy skutkiem wojen, grabieży i nieszczęśliwych wypadków najrozmaitszego rodzaju zginęło, wiele też kryje się w prywatnym ręku i nie dostanie się nigdy pod przenikliwy sąd publiczności. Ale i to, co widzimy, wystarcza jak najzupełniej, aby uszanowanie w nas wzbudzić dla sztuki ubiegłych wieków. Patrzmy np. na książkę, zaopatrzoną nrem 378m. To prawdziwe cacko. Praca zdaje się pojedyncza, ale piękna i trwała, stokroć trwalsza, aniżeli obecne nasze prace introligatorskie, tylko dla oka wykonane. Jest to modlitewnik (katalog zupełnie nieprawidłowo modlitewnik ochrzcił nazwą „książki do modlenia"), oprawny w srebro, zaopatrzony bogatą ornamentyką, częściowo złoconą i pochodzi z 16-go stulecia. Obok tego modlitewnika znachodzi się mniejszy o wiele, pochodzący z 18-go stulecia i wykwintniejszy znacznie co do pracy. Okaz ten, zaopatrzony nrem 376-m, odźwierciedla smak epoki, w której powstał, epoki saskiej. Wiele tu ozdób i ozdóbek, żebym się wyraził, niekoniecznie potrzebnych, ale przyjemnych dla oka, rozpieszczonego działaniem artystów i poetów jak Bacciarelli, Gessner, Watteau.

Smak pasterski jeszcze lepiej uwidoczniony w pudełeczku miedzianem emaljowanem, wyglądającem na tabakierkę i noszącem nr. 715. Mężczyzni w kontuszach i przy szabli tańczą z damami w paryskim kostjumie a wiejscy grajkowie przygrywają. Pożal się Boże, co za zniewieściałe figury bez wyrazu w oczach i bez ognia! Ogolić wszystkim tym mężczyznom wąsy, zamiast w kontuszy, podobne raczej do szlafroków, przyozdobić ich w gorsety i fałdziste suknie, a będziemy mieli wzór kobiety dworskiej, co się zowie.

Obok umieszczoną tabakierka z malowidłami Daniela Chodowieckiego przedstawia znowu pasterską scenę; wielką jej zaletę stanowi szczegół, że osoby nieco żywiej się poruszają. Zresztą smak zepsuty,

zniewieściały wszędzie widoczny. Trzecie pudełeczko emaljowane, zaopatrzone nrem 750-m, pochodzi z 18-go stulecia a mianowicie z czasów Augusta III. — to scena pasterska à la Watteau, a figury chyba francuzkie a nie polskie, całość obcą uzupełnia świątynia grecka. W tablicy srebrnej pstro-złocistej, zaopatrzonej nrem 221-m, pochodzącej z 16-go stulecia a przedstawiającej Chrystusa, rzeźbionego okrągło, ze słoniowej kości, nie jest może tyle wymuskanej elegancji, — ale jest dużo siły.

Przejdźmy się do trzeciej sali. Nim to jednak nastąpi, przypatrzmy się jeszcze uważnie dwom tacom, zaopatrzonym nrami 342-m i 345m, pochodzącym z 17-go stulecia a przedstawiającym w płaskorzeźbie dwa zupełnie odmienne widoki. I jedna i druga praca wielce charakterystyczna dla uwidocznienia rozwoju sztuki złotniczej ówczesnej, choć przedmioty zupełnie się różnią. Nr. 342 przedstawia nam same mitologiczne figury w czterech owalnych kartuszach: Herkulesa z maczugą, Dyannę, Wenerę i Amora, w środkowem zagłębieniu Dyannę w kąpieli i Akteona przemienionego w daniela.

Nr. 345 natomiast uwidocznia nam czysto-narodowy temat: jest to walka polskich rycerzy z muzułmanami, w górze umieszczony medaljon, przedstawia głowę Sobieskiego. Nie ma tu tyle figur, praca zdaje się być bardziej pojedynczą i prostszą od obrazu poprzedniego, ale silniej o wiele przemawia do myśli i serca narodu.

Trzecia sala mieści także — choć niewyłącznie — rzeczy liturgiczne żydów. Umieszczone tutaj bądźto w osobnej szafce, bądź w gablotce przy oknie, bądź w framudze w ścianie, bądź do ścian przymocowane — najciekawsze okazy jedwabnictwa, złotnictwa, haftów żydowskich a więc korony od tory, zasłony i lambrekiny, świeczniki i t. d. Szkoda, że się nie postarano o reprodukcję najstarszych historycznych bożnic w kraju, jakoto: krakowskiej, żółkiewskiej, sokalskiej i innych!

Z okazów tu umieszczonych, godny wzmianki nr. 290, przedstawiający kadzielnicę srebrną w for-

mie wieży. Robota filigranowa, nader misterna i piękna, tem piękniejsza i trudniejsza, że bardzo ograniczonemi zasilano się środkami pomocniczemi. Nie powiemy, żeby tabliczki emaljowane, przedstawiające rozmaite figury biblijne, jakoto: Adama i Ewę, Samsona i t. d., były arcydziełami: wyraz ich twarzy zbyt sztywny, układ figur dziecinny, ale filigranowa praca misterna, jest dowodem wielkiej cierpliwości i wytrwałości w pokonaniu przeszkód.

Nr. 259, pochodzący z wieku 18go, to znowu co do wykonania szczegółów niezmiernie żmudna praca. Przedstawia fanarz czyli tarczę na torę srebrną, pstro-złocistą, bogato ornamentowaną. Całość przedstawia nam słupy zabudowania, na którego deskach widać postacie, przechadzające się. Scena przed świątynią na galerji przedstawia nam wyjmowanie tory. Nad galeryjką widać postać trąbiącą z rogu (allegorja do sługi bożniczego, zwołującego pobożnych do modlitwy.) Na szczycie tablicy umieszczony orzeł z koroną Dawidów. Tarcza niniejsza jest własnością zboru izraelickiego w Brodach.

Okaz, zaopatrzony nrem 677m a umieszczony u wejścia trzeciej sali, to znowu najkolosalniejszy i najokazalszy świecznik żydowski, jaki kiedykolwiek widziałem. Pochodzi z końca 18go stulecia, wysokości ma 2700 millimetrów, podczas gdy najwyższa szerokość oznaczona cyfrą 2000 mm. Bogato zdobny w kwiaty i arabeski, więcej jednak zastanawia widza olbrzymiemi kształtami, aniżeli elegancją w wykonaniu.

Misterną robotą filigranową i złotniczą odznacza się okaz, zaopatrzony nrem 265m a przedstawiający srebrną tarczę do tory, rzecz stanowiącą własność miasta Bobowy i pochodzącą z 18go stulecia, jakoteż druga taka tarcza do tory, zaopatrzona nrem 262m, której wieku jednak nie podano, a która stanowi własność zboru izraelickiego w Złoczowie.

Ciekawy pendant do biskupa, wypracującego kubek, tworzy znowu misa mosiężna, zaopatrzona nrem 687m, pochodząca z wieku 17go i stanowiąca własność zboru izraelickiego we Lwowie. Powiedziałem: „ciekawy pendant“, ale chyba o tyle, że i tu

i tam religijne podania, posiłkowane dosyć niezgrabnie to fantazją, to legendą, wytworzyć coś miały na kształt obrazu. Allegorja i symbolika główną odgrywają tu rolę, sztuka usuwa się na plan ostatni. I tak widzimy wielką siłę ręczną i rzemieślniczą w wykonaniu całości — a prawdziwego artyzmu ani śladu. Scena przedstawia w środkowem polu Adama i Ewę w raju, symboliczny wąż wije się naokoło drzewa. Jak to wszystko niezgrabne i nieproporcjonalne! ta Ewa np., której wprost z pod piersi prawej wyrasta coś — niewiadomo, czy ramię, czy też łapa małpy, podczas gdy ramię lewe w kabłąk wygięte w pozycji wprost niemożebnej. Po Adamie także nie poznać, czy to szympans, czy człowiek? O wiele lepiej już trafiony szlak z zwierząt i motywów roślinnych, na kresach umieszczony. Ale i tu pytamy, co obok mitycznych jednorożców i jeleni mają do czynienia dwa dziki a raczej tuczne wieprze, umieszczone na misie? Wszakże to nieczyste, zakazane stworzenia.

Bardzo piękną i staranną pracą odznacza się zasłona od arki tory (paroches), wykonana przez haftarza krakowskiego Izraela Stadlen a pochodząca z r. 1689. Nie odbiegniemy w ogóle od prawdy, jeśli powiemy, że obok działu złotniczego dział haftarski na wystawie starożytności żydowskich największemi zaletami się odznacza.

W sali, przez nas opisanej, są także inne starożytności, nie mające związku z rytuałem i religją żydowską a zasługujące na to, aby i o nich nie zamilczano.

Są to portrety i miniatury z 18-go stulecia, wykonane bez wyjątku według prawideł francuzkiego smaku à la pastourelle. Wszystko to w układzie zewnętrznym przypomina nam stare sztambuchy. Siły ani śladu, sztuki nie wiele a jeśli jest — to chyba nie ta, co do serca przemawia; — ale wiele natomiast francuzkiej elegancji, a wszystko wymuskane, wygładzone, wyfryzowane co się zowie —, wierny obraz epoki harcopfu i ogłady pozornej. Nie możemy i nie powinniśmy jednak o tej wystawie zamilczeć, ponieważ przypomina nam stare dzieje i ludzi, którzy ongiś wybitniejszą w nich odgrywali rolę,

łączy się wreszcie z historją znanych rodzin polskich. Widzimy tu np. miniaturę Tadeusza Kościuszki, na słoniowej kości wykonaną (nr. 838), ale wódz z pod Racławic wygląda tutaj jak młodziutki kadecik jakiś, wybitniejszych rysów ani śladu; księżna marszałkowa Teresa Lubomirska (nr. 842), przedstawiona tu w dekoltowanej niebieskiej sukni, z zawojem białym, przypominającym tureckie zawoje, wyraz ócz mdły, niewyrazisty; ks. marszałek Stanisław Lubomirski (nr. 841) z włosami upudrowanemi i z harcabem, raczej podobny do jakiegoś dworzanina niemieckiego, niż do szlachcica starej daty; nieźle oddana twarz pijacka z obwisłemi wargami Augusta III. Sasa (nr. 812), po którym jak i po ojcu mawiano:

„Za króla Sasa
Jedz, pij i popuszczaj pasa“ —

miniatura księżne de Ligne, secundo voto Potockiej (nr. 837), to znowu twarz francuzicy z dosyć wyzywającem spojrzeniem, biust w dodatku dekoltowany znacznie; większą przyzwoitością i prostotą odznacza się już miniatura królowej Marji Leszczyńskiej, zaopatrzona nrem 836m.

W osobnej szafie umieszczone jeszcze wyroby ze szkła, fajansu, porcelany. Między temi prawdziwe znachodzić można cacka. Do tej kategorji zaliczam nr. 946, przedstawiający kubek z zielonego szkła, zaopatrzony herbami polskiemi i cyfrą, podającą jako rok pochodzenia 1702gi; podobizna rzeczonego kubka aczkolwiek znacznie mniejsza, zaopatrzona tąż samą datą roku, znachodzi się również w tej gablotce. Obydwa kubki stanowią własność Mieczysława Pawlikowskiego ze Lwowa; nieforemny, raczej do bani jakiejś, niż do puhara podobny, jest puhar szklany, malowany, zaopatrzony datą r. 1603, nrem 634m a stanowiący własność czeladzi ślusarskiej w Krakowie, podczas gdy puhar szklany, osadzony później na drewnianej rzeźbionej podstawie, zaopatrzony nrem 923m a pochodzący z 18go stulecia (zdaje się nam, że z końca tegoż), już o wiele więcej artystycznego smaku zdradza; oryginalnie przedstawia się także zaopatrzona nrem 959m flaszka składana z czterech mniejszych szlifowana i rytowana, przy której zre-

sztą bliższych dat nie ma. Ponieważ w dawniejszych latach nietylko lubiano pić, co się zowie, ale także puhary zaopatrzono rozmaitemi symbolicznemi dopiskami, więc nie brak i takich dowodów logiki pijackiej.

Osobna gablotka w tejże samej sali mieści cały zbiór orderów i numizmatów (medali złoconych), prawdziwy raj dla heraldyków i numizmatyków; nie możemy jednak z braku miejsca zatrzymać się dłużej przy rzeczonej wystawie. Jako szczególnie piękny i rzadki wymienię tu atoli medal, zaopatrzony nadpisem w otoku: „Uladislaus IV Poloniæ et Sveciæ Regi Herculi Pacifico.“ Obraz przedstawia Herkulesa z maczugą i (zdaje się) potężnym łańcuchem, zarzuconym na trzygłowego cerbera. Pod spodem znachodzi się podpis, uwiadamiający, że medal wyszedł z mennicy miasta Gdańska. Drugi środkowy medal (największy z wszystkich w zbiorze tym umieszczonych) nosi datę r. 1766, w otoku nadpis: „Prosperitatis et industriæ publicæ pignus et incrementum.“ Obraz przedstawia Minerwę w siedzącej postaci, odzianą w zbroję a przypatrującą się medaljonowi z portretem Stanisława Augusta.

Przejdźmy się do czwartej, czyli ostatniej sali. Co do rozmiarów, to ta najmniejsza, zawiera jednak mimoto niektóre bardzo ciekawe okazy. Do tych zaliczam nr. 859, przedstawiający lektykę złoconą i malowaną z skórzanym dachem, z dwoma oknami po obu bokach i oszklonemi drzwiami z przodu. Malowidła przedstawiają sceny mitologiczne, farba po części oblazła, rzecz — jeśli niedokładnie oglądana — wywołuje mimowoli wrażenie to parawanu, to znowu szafki ściennej.

Szczególnie piękny jest przedmiot, zaopatrzony nrem 849m a przedstawiający gabinet z czarnego drzewa. Subtelność w wykonaniu wszystkich figur nadzwyczajna i słusznie podniesiona w katalogu. Nr. 888, przedstawiający organki pokojowe jasełkowe w formie skrzyni, okaz pochodzący z końca 17-go stulecia a stanowiący własność Władysława Łozińskiego we Lwowie, świadczy o wysokim rozwoju sztuki snycerskiej, która podówczas bezwarunkowo

zajmowała stanowisko o wiele znaczniejsze w Polsce, aniżeli sztuka malarska. Nr. 878, przedstawiający wazon duży z palonej gliny, a stanowiący własność ks. Andrzeja Lubomirskiego w Przeworsku, daje nam dobre wyobrażenie o wydoskonaleniu rzemiosła gliniarskiego w temże stuleciu. I ta rzecz — o ile się odnosi do arabesek i fresków — świetnie się udała, figury orła i jezdca cokolwiek słabiej.

Charakterystyczny jest zbiór kart, w osobnej gablotce obok innych okazów pod oknem umieszczony. Dziad jakiś, może pielgrzym — to chłopiec kierowy; trójka hultajskich muzyków tworzy trójkę kierową, widać także nabożną damę z różańcem, nie mogłem jednak rozróżnić, której maści; jest tam także grupa tanecznic czy rozpustnic, wijących się w dzikich podrygach a przedstawiających dziesiątkę kierową i t. d.

W innej gablotce umieszczone cechy czyli obwołania rozmaitych rzemiosł, jakoto: siodlarskiego, krawieckiego, stelmachskiego, bednarskiego i t. d. Jest to ciekawy obraz juryzdykcji minionych wieków, wykonanej dawniej w własnym obrębie przez takzwane cechy (po niemiecku: Zünfte.) Obok umieszczone także rozmaite czworograniaste zegary stołowe czyli kaflowe z 17-go i 18-go stulecia, na jakie się obecnie już nie napotyka. Dla lepszego ucharakteryzowania epoki, którą nam ten dział starożytności przedstawia, służą także poniekąd talary, wkładane przy wyzwoleniu do cechu przez czeladź murarską krakowską a których się w tym zbiorze 85 znachodzi.

Na wychodnem rzucamy jeszcze przelotny wzrok na pierwszą salę wchodową, w której obok olbrzymich dział i pancerzy mieszczą się niemniejsze rozmiarami miecze katowskie Lwowa, Tarnowa, Podhajec, aby pobieżnym tym przeglądem zakończyć autodydaktyczne nasze studja i uwagi o salach, zawierających najciekawsze okazy starożytności w Polsce.

II. Sztuka retrospektywna.

Wstępujemy w nowy okres. Na czele tego okresu sztuki witają nas postacie Chodowieckiego,

Polaka, którego losy zawistne do Niemiec zagnały i cudzoziemców Lampiego, Bacciarellego i innych, którzy do Polski zostali przeniesieni. Jest to druga połowa 18-go stulecia. Sztuka polska, zwłaszcza malarska, zaczyna się wyrabiać, czysto-rzemieślnicze jej cechy giną, choć daleko, bardzo daleko jej jeszcze do tego stanowiska, jakie zajmuje od czasów Matejki i Grottgera.

Odosobniony, niedościgniony prawie pod pewnym względem stoi na początku tej ery Daniel Chodowiecki. Niemcy go sobie przywłaszczyli jak ongiś Bronikowskiego, Kopernika i wielu innych wybitnych synów Polski dla tego, że w Berlinie żył i działał; ale on jest Polakiem. Gdyby porównanie nie było zbyt śmiałem, to bym powiedział, że on dla polskiego malarstwa w Niemczech tem jest, czem Bronikowski, pisząc polskie powieści patrjotyczne w języku niemieckim, dla polskiej literatury tamże. Prócz tego znalazłbym w charakterze jego pracy największe podobieństwo do twórczości angielskiego Hogartha, którego nasz polski Hogarth i pod tym względem naśladuje, że wiernie odmalowuje obrazy obyczajowe a prześciga angielski swój wzór ogromną ilością prac i drobiazgowo wzorowem wykończeniem, choć format obrazów niewielki.

Przypatrzmy się uważnie kilku takim sztychom i portretom Chodowieckiego.

Przestąpiwszy westybul, ozdobiony wielkim historycznym obrazem Herncisza, zatytułowanym: „Wit Stwosz, pokazujący swój ołtarz w kościele Najśw. Panny Maryi patrycjuszom krakowskim“ — znajdziemy się w pierwszej sali, bogato zaopatrzonej rysunkami Chodowieckiego. Wymienię na tem miejscu tylko niektóre, najbardziej charakterystyczne. Nr. 26, 27, 28 uzupełniają się — powiedziałbym — nawzajem: pierwszy z nich przedstawia wypasionego mężczyznę w podeszłym wieku — my znowu, z naszego stanowiska rzeczy biorąc—nie uważalibyśmy ten wiek za tak podeszły; ale powiedzielibyśmy raczej, że ów mężczyzna z nieodzowną peruką i loczkami lubiał sobie dobrze jeść i podpijać. Umieszczony

obok nr. 27 pokazuje nam rysy uczciwej mieszczki berlińskiej, zażywającej z równą przyjemnością kawy i tabaki, o czem świadczy nos rozdęty szeroko, również jak u mężczyzny, któremu tabaka także czemś obcem i wstrętnem być się nie zdaje. Dziecko, nrem 28-m oznaczone, na młody swój wiek prawie zbyt poważne ma rysy, czepiec, w jakim my nasze babki widzieć przywykli, robi to dziecko prawie jeszcze starszem i poważniejszem. Milsze, bo więcej do naszych czasów zbliżone wrażenie wywiera na nas portret młodej kobiety, zaopatrzony nr. 36-m. Chustką prostą obwiązana, twarz niebardzo wykwintna, włos nawet nieco w nieładzie; ale sympatyczniej stokroć to się przedstawia, aniżeli owe pretensjonalne damy lub mieszczki, któreśmy dotąd oglądali. Natomiast powiemy, że głowa idealna młodej kobiety, zaopatrzona nr. 31-m, nie jest naszym ideałem. Dużo widać tam kokieterji w układzie, nos niemile zgięty, usta wystające, szyja naprzód podana a w oku dosyć zmysłowości.

Los, który Chodowieckiego zagnał na ziemię pruską, również nieoględnie postąpił sobie z drugim artystą polskim, z Koniczem, który osiadłszy w Rzymie, nie polskie, ale rzymskie typy w wszystkich swoich pracach nam odźwierciedla. Widać, że i to mu się wreszcie sprzykrzyło, że szukał słowiańskiej twarzy, której między obcymi znaleźć nie mógł; więc sportretował siebie samego.

Nr. ósmy katalogu przedstawia nam rzeczony portret: autor stoi tu w pozie dziwnie wyzywającej — zamyślonej nie powiemy — przed pomnikiem Trajana z pędzlem w ręku, którym nie imperatora rzymskiego, ale siebie samego w pierwszym rzędzie odźwierciedlić pragnął. Strój artysty polski, kolor odzienia i obuwia przeważnie żółty.

Co my tu widzimy, daje nam wyobrażenie o początkach polskiej sztuki bądź co bądź potężnych, nie mogących jednak porównania wytrzymać z rozwojem tejże sztuki za naszych czasów. Przyczynił się poniekąd do tego rezultatu panujący końcem 18go wieku prawie wszędzie harcopf niemiecki, po części przyczyniła się do zepsucia smaku moda francuzka,

po części i to, że pierwsi nadworni malarze Stanisława Augusta: Grassi, Bacciarelli i inni byli cudzoziemcami.

Cokolwiek sympatyczniejsze wrażenie, aniżeli inne obrazy, treścią i układem niekoniecznie do serca nam przypadające — wywołują dwa większe, jeden zaopatrzony nrem 152m, przedstawiający w portrecie rysy ks. Sułkowskiego, autoramentu niepewnego*), drugi zaś, zaopatrzony nrem 194m, przedstawiający śmierć bohaterską Adama ze Stawczyna Siemieńskiego pod Wiedniem 1683. Historyczny ten obraz olejny wymalował Franciszek Smuglewicz. W sali pierwszej wyznaczono mu honorowe miejsce u samego wejścia i słusznie. Obraz w naturalnej wielkości oddany, stanowi własność prywatną Wilhelma hr. Siemieńskiego-Lewickiego we Lwowie.

Wejdźmy do drugiej sali. Tu znajdziemy na wiatraku pierwszym cały szereg świetnych karykatur, rysunków i studjów Chodowieckiego, tamże umieszczonych. Warto się dłużej zastanawiać nad niemi, aniżeli nad pierwszym lepszym obrazem, z wielką pretensją a małem sztukmistrzowstwem wykonanym.

I tak przedstawia nam nr. 95 „parę zakochanych, uciekających przez parkan“. Obraz rzeczony, również jak i następne, omawiane przez nas, to same miedzioryty. Jak zabawnie wygląda ten kochanek, który przez parkan przeskoczył a któremu grozi ręka mściwa ojca rozsrożonego; ta dziewczyna, która w pośpiechu ucieczki plackiem upadła na ziemię pod parkanem! Ruchy tu tak żywo, z takiem mistrzowstwem oddane, że się nam zdaje, iż lada chwila stary jako straszny mściciel honoru domowego młodemu uwodzicielowi na kark spadnie i go zmiażdże! Alboż te „Odwiedziny w szpitalu?“ (nr. 87.) Chorzy w liczbie czterech przedstawieni, częściowo leżąco; jeden z nich podniósł się w połowie. A właśnie ten jeden zdaje się u lekarza największe wątpliwości co

---

*) Zapiski do katalogu prostują rzeczoną wzmiankę w ten sposób, że jako autora obrazu przedstawiają Józefa Grassiego a jako przedmiot portretu marszałka Stanisł. Małachowskiego.

do stanu zdrowia pacjenta wywoływać; — lekarz obróciwszy się do komisji, towarzyszącej mu, wskazuje bowiem z miną na pół rozpaczliwą, na pół zwątpienia pełną na żywy przedmiot zmarnowanych zdaje się zabiegów i starań. Charakter epoki wiernie zachowany: harcaby, galonowane długie surduty po kolana, postawa mężów nauki także nie byle jaka, męże rosłe jak dęby! Jeśli obrazy, w pierwszej sali umieszczone, głównie uwydatniają zalety Chodowieckiego jako portrecisty, to w tych drobnych i niepokaźnych na oko miedziorytach wykazuje mistrz całą sztukę niezrównaną karykaturzysty.

Malarstwo, figura allegoryczna, na tymże samym wiatraku umieszczona i zaopatrzona nrem 79m— przedstawia nam ideał malarstwa aż zanadto realistycznie jako Izydę egipską zupełnie nagą z piersiami bez liku. Z oczyma zamrużonemi stoi gdyby zadumana pod dębem rozłożystym. Zapalony wielbiciel sztuki objął jej kibić i całuje bóstwo w pierś, nad nim nachylony anioł.

Chodowiecki ma także zwyczaj, niezauważany przezemnie u innych malarzy, że pod miedziorytami swemi a czasem i obok nich lub nad niemi, miejscami kreśli drobne figurki psów, koni, jezdców i t. d., nie mające najmniejszego związku z oryginalnym obrazem. Być może, że to wyłączny jego kaprys artystyczny, być może jednak, że te drobne figury miały kiedyś służyć jako plan do przyszłych większych a niewykonanych przez mistrza prac. Na ten domysł naprowadza jak najwyraźniej figura drobna, umieszczona z boku, przy obrazie, zaopatrzonym nrem 105m. Dama modna siedzi jakby na koniu na swym ukochanym mężulku, którego con amore biczyskiem okłada. Pod spodem widnieje podpis: „Der gute Mann.“

Trudno nam nieraz pojąć, zkąd w Chodowieckim powstało tyle pomysłów złośliwych zgorzkniałej i rozzłoszczonej na świat i ludzi fantazji. Prędzej możnaby sobie rzecz wytłumaczyć u człowieka, którego pożycie domowe było nieszczęśliwe. O Chodowieckim, żyjącym w bardzo szczęśliwych stosunkach małżeńskich, poważanym w społeczeństwie, czczonym nietylko przez

współziomków swoich, ale także przez Niemców, mówić tego nie możemy. Brak nam w ogóle bliższych wskazówek co do jego życia duchowego i artystycznego, co do okoliczności, wśród których powstały nieśmiertelne karykatury, rysunki i portrety polskiego Hogartha, a podczas gdy Niemcy Chodowieckiego w języku niemieckim jako Niemca spopularyzowali w bardzo pięknym wydaniu, podczas gdy Hogarth nietylko w swojej ojczyźnie, ale i w innych krajach dostatecznie już znany i ceniony a każdy jego obraz rozlicznych ma komentatorów, to my tego samego o Chodowieckim powiedzieć nie możemy. Kto od biedy także jakimś obcym językiem włada albo zna cokolwiek mitologję i historję, — ten poradzi sobie jeszcze jako tako; czasem jednak i taka wiadomość niedostateczną się okazuje. Trzeba nam — ja wołam na gwałt o to i przypominam ten święty obowiązek wszystkim mecenasom sztuki i wszystkim księgarzom w kraju, słynącym dotąd z przepysznych illustrowanych wydawnictw naszych klasyków — trzeba nam zdobyć się w obec zagranicy na tyle odwagi cywilnej, aby i polska publiczność posiadała edycję o ile można kompletną swego polskiego Hogartha, zaopatrzoną w biografję wyczerpującą ojca wszystkich polskich karykaturzystów. A płodny był to duch, talent nie byle jaki, twórca konceptów nie płytkich!

Przytaczam jeszcze dwie z jego kreacyj, któremi skończyć pragnę zbyt może rozwlekły a mimoto pobieżny i niewyczerpujący szkic mój. „La cerveille d'un peintre“, czyli po polsku: „mózg malarza“ (nr. 107 i 108 katalogu) — na jaki sposób wytłumaczymy sobie mózg twórcy na polu sztuki reprodukcyjnej? To chyba głowa kolosu rodyjskiego albo jakieś monstrum przedpotopowe, jeśli tyle pomysłów artystycznych w mózgownicy tej dotąd się mieściło i mieści, a ona nie pękła? O nie! Chodowiecki ułatwia nam poglądowe to zadanie. Patrzcie na tę grupę głów, w artystycznym nieładzie pomieszczonych. Tu lwy i dziki, tam rycerz w hełmie, tu niewinne dziecko, ówdzie zalotnica, tu mnich w kapuzie, tam byki, małpy, konie, koguty, tu znowu

młodzian natchniony, pijak stary, rozpustnik, zawadjaka, śmierć wyszczerzająca zęby a ponad całym tym chaosem unosi się aniołków grupa, uśmierzająca rozwaśnione umysły, godząca kłócące się żywioły. To aniołowie piękna i sztuki, to myśl poety, odźwierciedlająca się w mózgu malarza.

Alboż ten drugi szkic, zaopatrzony nrem 94-m a oznaczony jako „Modethorheit“ (mówmy po polsku; boć książka nasza przecież dla Polaków przeznaczona, a więc: „Modne błazeństwo“.) Dziewczę o rysach rzeczywiście miłych i sympatycznych chciałoby modzie w wszelkich tejże wymaganiach zadość uczynić. Moda jednak — to nieubłagane bóstwo przyobleka się z dnia na dzień w inne kształty. Aby wszelkim jej wymaganiom ściśle i wszędzie zadość uczynić — oszaleć chyba trzeba. I dziewczyna oszalała też! Widzimy ją w stroju błazeńskim. Czapeczka z dzwonkami zwisa od niechcenia jak birecik studencki nad główką uroczego stworzenia, ozdobioną w liście winogradu, podczas gdy rączka drobniutka zamiast wachlarzyka znane berło błazeństwa do piersi głęboko dekoltowanej przyciska. Pod obrazkiem umieszczone godła symboliczne: doniczka z kwiatami, kozioł, gołąbek, puszczyk — jakież mogą mieć znaczenie?! My sobie je na rozmaity sposób tłumaczymy: doniczka z kwiatami — to wiek młody, kwitnący, kozioł — to upór i wytrwałość w błazeństwie aż do ostateczności, gołąbek — to niewinność, puszczyk — to zarozumiałość, nadymająca się fałszywą lub połowiczną wiedzą, a zegar? zegar z wskazówkami astronomicznemi — jakie ten ma znaczenie? — że na równo ze wszystkiemi rzeczami i błazeństwu nowomodnemu kres przyjdzie, co daj Boże!

Jeśli mówimy o Chodowieckim, to milczeć nam również nie wolno o innym artyście polskim, choć do późniejszej nieco epoki należącym i obrabiającym zupełnie odmienne od Chodowieckiego temata. Jest to Michał Stachowicz, po którym kilka wybornych typów kościuszkowskich nam pozostało. Żałujemy mocno, że wystawa tu umieszczona nie zdobyła wybornego okazu, znajdującego się u Kriegera w Krakowie a który wraz z objaśnieniem poniżej umie-

szczamy. Jest to apoteoza Kościuszki, zastosowana do słów: „Patrz Kościuszko na nas z nieba!“

Stachowicz pochodzi z późniejszej nieco epoki, aniżeli Chodowiecki. Sztuka polska nie była wówczas jeszcze tak wydoskonaloną, jak obecnie: to też widzimy w rysunkach i akwarellach Stachowicza niejedną rzecz, która niekoniecznie do serca nam przemawia: to i owo sztywne, miejscami pozbawione życia, w akwarellach kolory niekoniecznie odpowiedne, wyblakłe tu i owdzie. To wszystko jednak nie uprawniło jeszcze niepowołanych kopistów do reprodukowania jego obrazu w najrozmaitszych wydawnictwach ludowych a między innemi także w wydawnictwie imienia Staszyca bez podania źródła. Aby krzywdę tę bodaj w drobnej części powetować w obec umarłego, oświadczam, że obraz rzeczony, (nr. katalogu 345), a mianowicie: „Powstanie Narodu i przysięga naczelnika Tadeusza Kościuszki w Krakowie dnia 24. Marca 1794“ pochodzi od Stachowicza, umarłego 1835 w Krakowie, poprawki zaś przez naśladowców przy wykonaniu uczynione, nie uprawniają ich do zamilczenia imienia autora. Stachowicz znany ponadto jako pierwszy artysta polski, który zgodnie z prawdą historyczną odźwierciedlił rysy wielkiego wodza w sukmanie, ale i pod tym względem został przez nowszych pisarzy upośledzony, że o nim często zamilczają, gdzieby się wzmianka bodaj jaka taka należała.

Na wiatraku pierwszym w drugiej sali umieszczonym widzimy jeszcze rysunek i miedzioryt Stachowicza, odnoszące się do epoki kościuszkowskiej. Rysunek zaopatrzony nr. 367m, przedstawia nam „Tadeusza Kościuszkę i M. Linowskiego na czele wojsk polskich,“ podczas gdy miedzioryt,zaopatrzony nrem 400m uwidocznia „Założenie mogiły T. Kościuszce d. 16. Października 1820.“ Co się tyczy rysunku, to powiemy, że postacie Linowskiego i Kościuszki na koniu bardzo dobre na nas zrobiły wrażenie; mniej cokolwiek zadowolił nas miedzioryt przedstawiający założenie mogiły T. Kościuszce. Jest to rzecz — według naszego zdania nierównie lepiej przez Ujejskiego słowami, niż przez Stachowicza rylcem illustro-

wana. A może to suknie i pozycje niektórych uczestników aktu czci pośmiertnej takie nieszczególne budzą w nas wrażenie? Być może! przypominam tylko przysłowie: „de gustibus non est disputandum.“ Są gusta i guściki. Jakże inaczej przedstawia nam się obraz Stachowicza, traktujący ten sam przedmiot a wystawiony do niedawna w wystawie krakowskiego fotografa Józefa Kriegera!

Umieszczając śliczny ten obrazek, któregośmy na wystawie daremnie szukali, spodziewamy się przysługę wyświadczyć tak publiczności naszej, jak i sztuce ojczystej. Autor tak w tym obrazie, jak i w poprzednim na wystawie umieszczonym tęże samą myśl nam odźwierciedlił: uczczenie zasług Kościuszki przez naród, sypanie mu kopca, który jego pamięć zachowa dla najpóźniejszych pokoleń. Zdaje nam się jednak, że w obrazie przez nas umieszczonym, myśl ta wybitniej występuje, poetyczniejsze przyoblekłszy kształty.

Widzimy tłumy narodu nadpływającego zewsząd, aby bodaj po śmierci uczcić pamięć wielkiego wodza, aby mu sypać mogiłę! Rojno tu i strojno i gwarno! Przybyły na obchód uroczysty bractwa z chorągwiami, przybyli księża, przybył lud z daleka i z bliska, a więc mieszczanie, chłopi, żydzi, szlachta, ułani polscy na koniach. Charakterystyczne na tym obrazie są stroje niektórych elegantów i elegantek z początku naszego stulecia. To wszystko zmieniło się dosadnie z biegiem czasu; tylko stroje włościan i żydów nie uległy zmianom. Autor przedstawia nam wożących ziemię taczkami bez różnicy stanu włościan, żołnierzy polskich, elegantów i elegantki ówczesne. Nad widzami unoszą się obłoki, przez autora artystycznie ułożone w kształcie wieńców; w najwyższym wieńcu po lewej stronie obrazu jakby w aureoli okazuje się postać Kościuszki. Elegant, po prawej stronie obrazu z rydlem w ręku umieszczony zdaje się nie zważać na zagadnienie młodej sąsiadki, cały wpatrzony w zjawisko niezwykłe; elegantka w samej głębi obrazu po prawej stronie umieszczona a spoczywająca na murawie pod drzewem rozłożystem, cała tonie w zachwytach, patrząc w twarz



„Patrz Kościuszko na nas z nieba", obraz Michała Stachowicza (według fotografii Józefa Kriegera z Krakowa.)

Kościuszki. Z zachwytów tych napróżno usiłuje ją wyrwać młody elegant w cylindrze, który z uprzejmym uśmiechem do niej się zwraca. Nie bez tendencji umieścił Stachowicz w głębi obrazu po prawej stronie postacie trzech starych żydów i dwóch młodych żydówek. Jest to oznaczenie współudziału, jaki od dawien dawna w wszystkich manifestacjach narodowych polskich żydzi brali i biorą a który niepowołane żywioły zakłócać się usiłują. Nie bez tendencji zwraca się w obrazie stary żyd do żydówki, w błogosławionym stanie się znajdującej. Ten stary żyd widział kiedyś lepsze, szczęśliwsze czasy; on widział czasy zapału patrjotycznego i poświęcenia; on jako młodzieniec walczył pod dowództwem żyda pułkownika Berka Joselowicza, a przypomina teraz ubiegłe dzieje młodej swojej sąsiadce; on jej przypomina, aby kochała ten kraj, który ją, wygnankę z pod obcej niewoli przytulił do siebie i dał jej utrzymanie i byt zapewnił; on jej przypomina, aby w tej miłości kraju i w tem bezgranicznem przywiązaniu doń wychowała ten płód, który nosi pod sercem swojem; on jej przypomina niejedno — zdaje się niepotrzebnie! Bo i ona na równie z innymi wpatrzyła się w zjawisko nadziemskie a z oka jej bije wielki zapał i idea polska w niej nową zdobyła zwolenniczkę.

Piękna jest także akwarella Stachowicza, zaopatrzona nrem 396m a przedstawiająca „Wianki przed klasztorem w Staniątkach.“ Tu harmonja zupełna, wszystko wre życiem, ale życie to nie razi nas. Obraz ten zaopatrzony podpisem:

„Jak są twoi Poddani w Twe święto cieszeni,
Przyjmiy z ich serc życzenie, z ich rąk wdzię-
[czne wianki,
Darzę Cię tym obrazkiem Bogumiła Xieni,
A racz moje wiązanko pamiętać w Młodzianki.“

Obraz przez nas omówiony, przedstawia grupę wesołych Krakowian i Krakowianek, pląsających ochoczo po murawie; z tyłu widać jakiś kościół i zabudowania dworskie.

Porównany z tym obrazem wywołuje fatalne wrażenie miedzioryt, zaopatrzony nrem 406m a przedstawiający „Sielankę.“ Autor, ks. Adam Czartoryski,

udowodnił tą pracą, że można być dobrym Polakiem, doskonałym patrjotą a artystą lichym. Figury tancerek szkaradne, niemożebne — powiedziałbym prawie, włosy rozwiane, pozycje podobne do jakichś jędz z Łysejgóry. Układ grup, cała robota jednem słowem taka nieszczególna, że nam żywcem przypomina sztywne, właściwego życia pozbawione lub sztucznie skarykaturowane miedzioryty z początku 18go stulecia. Dzieciak rozkraczający się na murawie a czepiający się niemal spodnicy jednej z tancerek — to także niesmaczne akcesorjum, jak również wojsko w głębi umieszczone, którego nie trzeba na to, aby nam wytłumaczyć szczegół, że pijane baby z rozpuszczonemi włosami i obnażoną piersią w dzikie pląsy się puszczają, podczas gdy w głębi po prawej stronie obrazu jakieś pogorzelisko się dymi, a jedyny, szczerze nad dolą swego kraju ubolewający człowiek pod cieniem starego drzewa w smutnych myślach zatopiony spoczywa. Krajobraz sam, może trochę lepiej się udał od ludzi, którym za sztafaż służy, ale i ten nie powiem, żeby był znakomity.

Ciekawe wrażenie jako pamiątki z ubiegłych lat budzą w nas Szczęsnego Morawskiego rysunki piórem na papierze, zaopatrzone nrami 986m i 987m a przedstawiające jeden Józefa Kapuścińskiego a drugi Teofila Wiśniewskiego w stojącej postawie a okutych w kajdany. Powiem jednak otwarcie, że obrazy rzeczone nie bardzo szczęśliwie zostały pomieszczone. Wiszą wysoko na wiatraku drugim tak, że krótkowidz i człowiek o niskim wzroście ledwie nóg się dopatrzy a twarzy widzieć nie może, albo jeśli zobaczy, to z największem chyba wytężeniem. Na pochwałę tych portretów powiem, że z wielką prostotą i siłą wykonane. Radzibyśmy to samo powiedzieć o wszystkich następnych pracach autora, który niestety w ostatnich czasach tworząc piórem najrozmaitsze obrazki i pisząc barwnie, jednak nie zawsze i nie wszędzie pamięta o spójni, która luźne te obrazy w całość harmonijną łączyć powinna.

Nieoceniony obraz Andriollego mieści się na tymże samym wiatraku. Jest to zaopatrzony nrem 1234m rysunek, wykonany ołówkiem a przedstawia-

jący starego mężczyznę z fajeczką. Jak wybornie oddany ten typ starego szlaguna! Każda zmarszczka, każdy fałd charakterystyczny, mundur zapięty pod szyję znamionuje starego żołnierza, wzrok badający zdaje się świadczyć o tem, że stary widział i przebył niejedno i z pewnością nie dałby się pierwszemu lepszemu w pole wyprowadzić. Cyprjana Norwida obraz, zaopatrzony nrem 1086m a przedstawiający zwierzenie się djabłu, czyli po francuzku: „la confiance“ — każe nam natomiast wierzyć w to, że Norwid lepszym był poetą, niż rysownikiem szczególnie karykatur. Głowa tak djabła, jak i paryskiego mieszczanina, podającego mu rękę, niebardzo foremne, fryzura djabelska nieszczęśliwa, od eleganckiego fraku odbija cylinder wyglądający jak gdyby podbity, mieszczanin znowu w stosunku do potężnego nosa — ma zbyt małe i niskie czoło. Lepiej wypadł już umieszczony na tym samym wiatraku i zaopatrzony nrem 1088m widok Pompei, wykonany przez tegoż samego autora. Rzecz przedstawia postać męzką w rzymskiej todze, opartą o słup i spoglądającą nieruchomo w dal.

Niezły acz niewybredny humor przebija się w rodzajowym obrazku Sokołowskiego, zatytułowanym: „Cebuli, czosnku, koszałki, sieci“ a zaopatrzonym nrem 659m. Chłop krakowski wybiera się na targ i widać, że ma na sprzedaż niemało przedmiotów. To też widzimy go obładowanego co się zowie; na czapkę futrzaną zapchał koszałkę a dwie dźwiga prawą ręką, lewa trzyma wianek czosnku, a cały sznur cebul, oraz siecie potężne wiszą mu z szyi aż po same kostki prawie!

Poco Oleszczyński rylcem swoim uwidocznił okropności tracenia 600 mieszkańców miasta Montpellier na rozkazy księcia de Berry — nie wiem. Małoż takich okropności przedstawiają dzieje Słowian, żebyśmy jeszcze sztukę naszą zasilić mieli obcemi? Obraz rzeczony, zaopatrzony nrem 917m, przedstawia nam krwawą egzekucję coram publico. Pięciu skazańców uwisło już między niebem a ziemią, kilkunastu ginie na stosach gorejących, dwoje z nich, młoda kobieta do pasa obnażona i mężczyzna

w sile wieku wyciągają rozpaczliwie głowę i ramiona w kierunku rusztowania na przeciw ustawionego, na którem poległ najbliższy ich krewny, którego głowę kat z tryumfującym uśmiechem podnosi, podczas gdy inni, między nimi kobieta o szlachetnych rysach, prowadząca chłopca za rękę, spełnienia wyroku na samem rusztowaniu czekają a dalsze jeszcze tłumy skazańców, z rękami w tył związanemi, pod rusztowaniem umieszczone, ostatniej wyglądają chwili.

Odwróćmy się od wstrętnego widoku mordowni i tortur cielesnych i duchowych, aby się przypatrywać kollekcji miniaturek, umieszczonych w gablotce, w sali drugiej się znajdującej. Są to po największej części portrety dworzan i dam, w ogóle wybitnych osób z czasów Stanisława Augusta.

Są to po większej części miniatury Wincentego de Leseur (Lesserowicza), prace wyszczególniające się delikatnym kolorytem i miękkością w wykonaniu. Wszystkie rzeczone miniatury odźwierciedlają żywo smak epoki, francuzczyzna wywiera potężne wpływy w malarstwie polskiem, ale malarstwo wyrobiło się przecież, nie jest już takie sztywne, jak to, które oglądać i ocenić mieliśmy sposobność na wystawie starożytności.

Jak dalece wtedy przeważała moda francuzka, naśladująca swoją drogę grecką — najlepszy dowód, że nietylko wszystkie portrety kobiece głęboko są dekoltowane, ale widzimy także mężczyznę dekoltowanego (nr. 271, Leseura „Mężczyzna z księgą“, do którego pendant tworzy Waleryi hr. Tarnowskiej: „Senator Walerjan Stroynowski“, zaopatrzony nrem 607-m.) Na cóż zdały się tu surowe rysy jakiegoś badacza czy filozofa, kiedy całe wrażenie zmylone i postać zniewieściała!

Czy francuzki sposób portretowania i delikatna maniera Leseura dla wszystkich twarzy również odpowiedne, pozwolimy sobie o tem wątpić. Najbardziej nadaje się ten sposób malowania dla niewiast i dla zniewieściałych mężczyzn; Trembecki na ten sposób odźwierciedlony przez Leseura, wygląda znakomicie,

ks. Skarga nieszczególnie. Natomiast znachodzą się w tym zbiorze niektóre portrety kobiece, czarująco piękne. Tu wymieniam w pierwszym rzędzie W. Leseura: śpiewaczkę pannę Gomelli (nr. 253), pannę Lazarewicz, głośną modniarkę warszawską z czasów Stanisława Augusta (nr. 248), Annę z Tyszkiewiczów primo voto Potocką, secundo voto Wąsowiczową, którą autor, w pozie siedzącej, zajętą pisaniem przedstawia, oraz Leseura Karolinę Przeńską, panią Zyberkową z córką (tylko, że się pierwsza w portrecie aż zanadto zalotnie przedstawia,) panią Worcellową a na końcu także panią Cosway (nr. 737), w miniaturce, przez Balickiego wykonanej. Między wyżwymienionemi miniaturami znachodzi się także portret, wykonany przez W. Leseura a przedstawiający Rozalję z Chodkiewiczów księżnę Aleksandrową Lubomirską, ściętą w Paryżu 1793. Czemu katalog wystawy gablotę rzeczoną wymienia jako „stojącą“ — nie pojmujemy: to gruby błąd językowy*).

Francuzka maniera delikatna i udelikacająca jeszcze jako tako nadać się mogła dc miniaturek; w większych obrazach już bezwarunkowo złe wywołuje wrażenie, jak np. w obrazie Lampiego, przedstawiającym hr. Teresę Potocką z synem (nr. 311 katalogu). Matka na głowie ma zawój z francuzka

*) Tylko człowiek albo zwierzę a więc istoty obdarzone ruchem i życiem, mogą dowolnie stać, chodzić, siedzieć, nigdy zaś gablotka lub szafa jako przedmioty martwe. Ten wyraz: „gablotka stojąca“ przypomina mi analogiczne zdarzenie z życia mego. Przed laty podczas podróży moich zostałem wieczorną porą przez bałagułę na jednej z najludniejszych ulic większego miasta prowincjonalnego przejechany. Stójkowego nie było na miejscu. Dnia następnego ogłosiłem rzeczone zdarzenie w kurjerku miejscowym. Redaktor, który znaczenia wyrazu: „stójkowy“ oczywiście nie znał, zrobił z zwrotu: „na miejscu nie było żadnego stójkowego“ — „na miejscu nie było żadnego stojącego“ — do czego znowu każdy według upodobania dołączyć mógł uwagę, że „siedzących“ na miejscu nie zabrakło. Zdaje się w ogóle, że wyraz „stojąca“ w stosunku do tej gablotki na równo zbędny, jak gdyby kto mówił: „kasa stojąca, szafa stojąca“, ponieważ przedmioty rzeczone i tak nie wiszą, co najwięcej zgodziłbym się jeszcze na wyraz: „gablotka stojąco ustawiona“.

turecki, w dodatku głęboko dekoltowana; synek również dekoltowany, przyskakuje z uśmiechniętą twarzą i kładzie jej drobną rączkę na pierś. Cały pomysł obrazu i wykonanie w takiej pozie nieszczęśliwe, chybione. O wiele przyjemniejsze wrażenie wywołuje już tegoż samego artysty portret hrabiny Potockiej (nr. 312.) Pozycja tu o wiele skromniejsza a że twarz młoda i niewinna okolona blond włosem, przytem ma oczy niebieskie, dosyć wyraziste — więc całość niezłe wywołuje wrażenie.

Francuzka maniera zresztą nie zawsze i nie wszędzie miała bezwzględnych zwolenników w Polsce; dowodem tego Aleksandra Orłowskiego: „Ojcowie i synowie“ (nr. 491 katalogu.) Do grupy pięciu szlachciców, w narodowych strojach przedstawionych, zbliża się grupa pięciu młodzieniaszków w niemożebnym, aż do ostatnich granic śmieszności się posuwającym stroju francuzkim. Ale ojcowie nic nie chcą wiedzieć o takich synach. Ręką zabraniają im przystępu do siebie a z ust zdaje się wyrywać nie bardzo grzeczny wykrzyknik: „Apage satanas!“

Wypada nam, nim tę salę opuścimy, bodaj słówko jeszcze wypowiedzieć na pochwałę Michałowskiego, który jako portrecista, szczególnie koni uważany być musi poniekąd za poprzednika Kossaka. Kilkoma śmiałemi, ale udatnemi rysami przedstawia on nam konia, przedstawia i jezdca, pędzącego do boju. Szczególnie piękne są obrazy nr. 773, przedstawiający „Oddział konnych krakusów“ pod dowództwem zdaje się Kościuszki, nr. 780, przedstawiający wóz amunicyjny z przewróconym koniem, oraz nr. 792: „Dwa wozy krakowskie,“ przedstawiający chłopską uprząż i chłopskie konie, napędzone przez krakowskich fornali. Wszystko wre tu życiem, jest to scena ludowa w najlepszem tego słowa znaczeniu, choć ludu tego nie wiele. Również dobre wrażenie wywołują tego samego malarza obrazy, zaopatrzone nrami 803-m, 804-m i 805-m („Dwa woły,“ „Wół gniady z białym łbem“ i „Siwy wół, którego wieśniak ze stajni wyprowadza.“)

A teraz przejdźmy się do trzeciej sali. Trzecia sala, mniejsza rozmiarami swemi, nie ma także wia-

traków i gablot, zdaje się naumyślnie tak urządzona, aby oko znużone drobiazgowym poglądem, trochę mogło sobie odpocząć, zatrzymując się tylko przy znaczniejszych i większych przedmiotach.

Przedmiotem takim jest właśnie Józefa Simlera z wielką powagą wykonany obraz historyczny: „Przysięga Jadwigi“ (nr. 1055.) Królowa, przedstawiona tu w klęczącej pozycji, składa przysięgę na niewinność swoją arcybiskupowi w kościele. Tło obrazu ciemne, ponure, odpowiadające uroczystemu aktowi, lud bowiem niedowierzał, aby królowa dla miłości kraju mogła się wyrzec miłości własnej i oddać rękę starszemu o wiele i nielubianemu Jagielle. Było to — jak to mówią — małżeństwo polityczne, ale mimoto jedno z najlepiej dobranych.

Z portretów, w sali tej umieszczonych, wymienić nam jeszcze wypada portret Zofii z Szymanowskich Lenartowiczowej, żony głośnego poety i rzeźbiarza Teofila Lenartowicza, przez artystkę samą wykonany. Portret Lenartowiczowej, zaopatrzony nrem 1095-m a stanowiący własność Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, wytłumaczyłby nam dostatecznie gorące przywiązanie poety do niej. Jest to jedna z tych twarzy, które się rzadko widzi i nie rychło zapomina. Myśląca z łagodnym, smętnym, bolesnym prawie wyrazem, z oczami czarnemi, przenikającemi cię do głębi. Do czarnych ócz wybornie dostraja się wyraz twarzy, dostraja się włos kruczy, w lokach spadający na szyję alabastrową, lekko odsłoniętą.

A na tej samej ścianie, tylko z drugiego boku, odgrodzony od artystki portretem Dzbańskiego: „Pastuszki przy ognisku“ — cóż to znowu za portret? To także rysy wybitne, z któremi się codziennie nie spotyka: to portret Kanutego Rusieckiego, również przez artystę samego wykonany*). I on patrzy coś

*) Redakcja katalogu przy tej sposobności w niemiły błąd wprowadziła czytelnika W książce bowiem portret, przez nas omówiony, podany jako portret Kanutego Rusieckiego a w dopiskach jako portret jego syna Bolesława.

bardzo smętno, płomienny wzrok zdaje się widza na wskroś przeniknąć, prawą rękę położył na sercu, a z ócz coś przemawia gdyby zapowiedź boleści głębokich, głęboko odczutych, nie przebolałych jeszcze a po których jedno się tylko pozostało pokrzepiające ducha uczucie: obowiązek pracy dla kraju, obowiązek poświęcenia.

I trzeciego widać tu, który się sam sportretował: jest to portrecista Lunda (nr. 1083.) Swobodna, wesoła prawie facjata wskazuje na szczęśliwego człowieka. Usadowił się z niedbałością mieszczucha-górala przy stole, kapelusz pilśniowy, siwy, z fantazją artysty założył na bakier, fajkę zapalił sobie i dymiąc bez troski patrzy na świat. Niestety! to wszystko tylko pozory; artysta liczył wtedy dopiero 23 lat i nie był prorokiem; nie mógł więc przewidzieć, że już w 7 lat później nieuleczalnemu ulegnie obłąkaniu, w którem domęczać się aż do ostatniej chwili przez 34 lat mu wypadło.

Wymieniamy jeszcze niektóre z malowideł, w sali tej umieszczonych.

I tak znachodzi się tu cały zbiór przepysznych architektonicznych obrazów, przedstawiających wnętrza kościołów krakowskich albo pałacu w Wilanowie. Jeden z tych obrazów przedstawia nam wyjątkowo zewnętrzną stronę kościoła P. Maryi w Krakowie, na który padają promienie słońca. To są wszystko prace Aleksandra Gryglewskiego, który jak niejeden artysta zginął w obłędzie dłonią samobójczą. Promienie światła padają na wielki obraz u góry zawieszony i przedstawiający przysięgę Jadwigi, mało z nich przedostaje się do malowideł architektonicznych Gryglewskiego, poniżej umieszczonych; ale — zdaje się nam — że nie trzeba dużo tego światła, gdzie się rozchodzi więcej może o kontury domów, aniżeli o profile osób.

Z narodowych tematów wymieniam tu jeszcze Simlera rysunki do Marji Malczewskiego, (nr. 1057, 1058, 1059.) Nra 1057 i 1058 przedstawiają pożegnanie Wacława z Marją, drugi obraz niemal to samo w zmniejszonym formacie. Zanim w bój podąży za wojskiem, chciałby się młody Wacław jeszcze po-

żegnać z ukochaną. Simler przedstawia go stojącego w pełnej zbroi i przyciskającego dziewczę ukochane do piersi gorącej. Większy rysunek pod względem wykonania korzystniej się przedstawia. Nr. 1059 pokazuje nam miecznika, siedzącego z zadumaną twarzą, u boku jego Marję z zwróconemi ku niebu oczyma.

W tej samej sali widzimy także historyczny obraz Władysława Łuszczkiewicza, zaopatrzony nrem 1123-m a przedstawiający „Kazimierza Wielkiego, odwiedzającego Esterkę.“ Obraz ten niebardzo korzystnie umieszczony, w dodatku nie w błyszczących barwach wykonany; więc nie dobrze się uwydatnia, jeśli pełny promień słońca nań nie padnie. Ojca Esterki nie łatwo dojrzeć, podrzędne figury wysuwają się uporczywie na pierwszy plan, a główne nikną. Powtarzam jeszcze raz, że to nie wina autora, ale niekorzystne umieszczenie winne wszystkiemu.

Ignacego Gierdziejewskiego obraz, zaopatrzony nrem 1102-m, przedstawia nam znowu scenę z tak bogatej w najrozmaitsze podania legendy o Twardowskim. Jak wypadło na temat djabelski, — cała też rzecz w ciemnym wyrażona kolorze na ciemnem tle po rembrandtowsku. Szlachcic zachęcony do wytrwałości słowami Twardowskiego: „Strachów żadnych się nie lękaj, stawiaj zwycięzko opór wszystkim strachom i pokusom“ — broni się usiłującym go oderwać od pracy zdaje się bezcelowej liczenia 9-ciu pieniążków od 1 do 9 i na odwrót aż do zachodu słońca. Rzecz nie bez humoru przeprowadzona.

Na końcu muszę jeszcze wzmiankę uczynić o płaskorzeźbie, wykonanej przez Piotra Kozakiewicza (nr. 1219 katalogu) a stanowiącej własność p. Sali Bergerowej we Lwowie.

Kościuszko przedstawiony tu w chwili, kiedy pod nim dzielny koń, towarzysz trudów, pada. Rzecz z energją wielką wykonana, bardzo korzystne robi wrażenie. Szczególnie dobrze oddana twarz wodza, pełna energji, zadająca kłam osławionemu „finis Poloniæ,“ twarz oficera spieszącego z pomocą również pięknie i wyraziście oddana.

W tejże samej sali umieszczona także rzeźba Teofila Lenartowicza, przedstawiająca „drzwi do grobowca hr. Cieszkowskich w Wierzenicy“ (nr. katalogu 1009.)

Wyszedłszy z trzeciej sali, wstąpimy do czwartej, większej cokolwiek rozmiarami, choć mniejszej znacznie od drugiej. Tu na samym wstępie u wejścia wita nas Leona Kaplińskiego „portret hr. Seweryna Mielżyńskiego“ (nr. 1109.) Obraz ten bardzo korzystnie umieszczony, ma światło należyte, to też człowiek o wzroku najbardziej zepsutym i krótkim, musi obraz rzeczony widzieć. Oblicze podobne do starego wiejskiego szlachcica raczej, aniżeli do magnata. Wzrok przenikliwy i bystry, twarz ubarwiona lekkim, ironicznym, ale dobrodusznym uśmiechem, jednem słowem portret wyborny, zdaje się przemówić do widza. Ubranie zastosowuje się i nastraja do całości. Czamara czarna, pod spodem szaro podszyta. Wyraz twarzy podobny do wyrazu wysłużonych żołnierzy, włos siwy nie pobielał jeszcze ze wszystkiem.

Czytelnik raczy mi wybaczyć, jeśli się stosunkowo krótko tylko zatrzymam przy sali czwartej, chcąc mu jak najprędzej umożliwić rozglądanie się w sali piątej, mieszczącej arcydzieła patrjotyzmu i fantazji artystycznej Grottgera.

Cóż oznacza ten skromny obraz, skromnie w kącie umieszczony a zaopatrzony nrem 1219-m? To temat nasz, to temat swojski; sam wybór tematu przemawia dostatecznie za sobą, mówimy o Kotsisa „Pogrzebie górala.“ Lud tatrzański chowa w łono matki ziemi jednego z synów swoich. Do smętnego i poważnego usposobienia żałobników dostraja się wybornie krajobraz; te góry niebotyczne, strome, wieczystym śniegiem i mgłami okryte; to niebo ołowiane, lasy szpilkowe a w głębi kościółek wiejski.

Orszak żałobny zbliżył się wreszcie do krzyża, przy rozstajnej drodze stojącego; tu u stóp figury pochowany ma być młodzian, którego do życia chyba wskrzesi głos trąby ostatecznej. A tu patrzcie na drużynę żałobną, na ojca, starego górala, słaniającego się z bolu. Sąsiad, gazda młody, podtrzymuje starego,

by nie runął na ziemię, przytłoczony nadmiarem boleści; matka zapłakana łzy obciera fartuchem. Przed żałobnikami, za nimi, w około nich — wszędzie widać postacie, dzielące smutek osieroconych rodziców a ksiądz i sługa kościelny zamykają pochód. Jest to jedno z arcydziełek wystawy a tem znaczniejsze, że małemi środkami wielkie wywołuje efekta.

Podobnież małemi obsługiwać się, nie zgadza się ze smakiem i przekonaniem artystycznem Leopolskiego: on, przedstawiając nam „Zgon Acerna", (nr. 1153 katalogu) pracuje na efekt, zresztą zmuszony do tego samą potęgą określonego przezeń przedmiotu historycznego. Widzimy w obrazie przez nas omówionym Acerna na łożu śmiertelnem z głową podpartą na ramieniu. Nad przepaścią wieczną stojąc, z której wyjścia nie ma, zniszczony materjalnie, zdradzony przez żonę — cóż mu począć? Zgodzi się na odwołanie najświętszych przekonań swoich autor „Worka Judaszów"? ulegnie namowom ojca Jezuity, rozkładającego w poczuciu zwycięztwa biblię na kolanach i przemawiającego ze wszelką możliwą swadą kazuisty do zatwardziałego grzesznika? Nie wiemy; ale wiemy, że książki, rękopisy, gitara, w nieładzie porozrzucane po samotnem mieszkaniu poety, wreszcie i wyraz beznadziejny umierającego aż zanadto wymownie o tem świadczą, że w tej duszy jeden z tych krwawych dramatów się odgrywa, nad którym anieli łzy ronić a ludzie rozpaczać muszą.

Szukajmy weselszych przedmiotów; chyba nie wiele takich a raczej nic nie znajdziemy w sali czwartej. Nieporównane świeżością i żywością wyrazu są Juljusza Kossaka obrazy, zaopatrzone nrami 1077, 1079 i 1082 (akwarelle), oraz nr. 1080 (olejny obraz.) Rodakowskiego ośm typów ludowych (nra 1047 — 1054) — to bardzo cenny dodatek do etnografii — każdy z tych typów jak gdyby żył; bardziej od wszystkich udał się „Josio Karczmarz" i „Iwan Bezuś gumienny." Typy ze Wschodu podał Chlebowski, który całą serję takich typów tu umieścił, a więc: „Bazar dywanów w Kairze" (nr. 1208), „Turczynki nad Bosforem" (nr. 1209) i t. d. Z działu rzeźb w sali czwartej umieszczonych, wymieniam

jako najwybitniejszą — rzeźbę Wacława Szymanowskiego, zaopatrzoną nrem 1534-m a przedstawiającą „Węgierskiego pastucha alias csikosza.“ Jest to figura wybornie obmyślana, zresztą układem cokolwiek przypominająca nadtatrzańskich górali, sąsiadów Węgier. Kapelusz ten sam, fajka w ustach także nie obca ludowi z tych okolic. Różnicę znamienną upatruję tylko w wąsach, niekoniecznie stanowiących ozdobę pierwszorzędną ludu z okolic Nowego Targu (górale nadtatrzańscy golą bowiem wąsy, nie zostawiając zgoła zarostu na twarzy), co do fizjonomii chyba taką tylko widzę różnicę, że rysy ostrzejsze i wybitniejsze, twarz kościstsza.

Na tem skończymy ten pobieżny pogląd na rzeczy w czwartej sali się mieszczące i rozpoczniemy pogląd piątej. To sala, przeważnie poświęcona pamięci Grottgera. Z nim zaczyna się też nowy okres sztuki polskiej, choć pogląd na sztukę retrospektywną u wrót jego pracowni artystycznej jeszcze nie zamknięty. Dał on jej tylko nowe motywa, ale nie zamyka ją stanowczo. Stoi jednak wraz z Matejką u kresu starej ery a u wejścia do nowej, gdyby prorok przyszłość wielką i świetną wróżąc polskiemu malarstwu. Widzimy też, jak ono od najstarszych czasów się ciągle przeobraża: Chodowiecki stoi na czele tej ery, za nim idą dworscy malarze Lampi, Grassi, Bacciarelli, ożywiający dotychczasową sztywność wzorami świeżemi, świetnemi, niestety zbyt często z obczyzny zapożyczanemi. Dworscy to malarze, którzy się jeszcze nie zżyli z Polską. Lipcowa rewolucja budzi jednak nowe hasła w drzemiących dotąd snem letargicznym, nastaje rok 1831-szy, ruch ku wolności pchnie także polskich artystów na nowe tory, ku nowszym, swobodniejszym, bardziej ojczystym kierunkom; ale to wszystko, choć poczciwe i zacne, jednak dosyć niedołężne. Ogranicza się często na opisywaniu scen wiejskich lub miejskich, na odźwierciedlaniu obrazków historycznych z dawnej Polski, sięgnąć w głąb życia nowożytnego nie ma jeszcze należytej odwagi, choć sposób stary zasilania się mitologją miast dziejami coraz więcej znika.

Dopiero Grottger miał odwagę, pchnąć poezję obrazową, poezję rylca i pędzla na nowe tory, ale jest przeważnie rysownikiem; myśl Grottgera uzupełnił i dalej posunął płomiennemi barwami na płótnie drugi mistrz sztuki polskiej: Matejko.

Ponieważ o nim już na innem miejscu uczyniłem wzmiankę, więc poprzestanę tu na bogatym materjale, jakiego nam sam Grottger dostarcza. Niemożebnością fizyczną byłoby dla nas wymienienie i streszczenie wszystkich jego dzieł, umieszczonych na wiatraku trzecim w sali piątej lub na ścianach w tejże sali. Ograniczę się zatem na pobieżnem wymienieniu bodaj najgłówniejszych. Katalog dzieli je na trzy epoki: i my więc pójdziemy za tym podziałem.

Niezmiernie zabawny jest szkic, zaopatrzony nrem 1273m i pochodzący właśnie z pierwszej epoki twórczości Grottgerowskiej. Udowadnia on, że w młodzieńcu jeszcze nie należycie wyrobione było owo poczucie, które — żebym się tak wyraził — pchnęło go do walki za krzywdy narodu, do walki pędzlem i rylcem: owo poczucie, któremu świat artystyczny zawdzięcza „Lithuanię“, „Polonię“ i inne arcydzieła. Tu młodemu Grottgerowi jeszcze dosyć pstro w głowie a fantazja jego — poniekąd naśladująca Hoffmanowską — dosyć jeszcze niejasna. Obraz, przez nas omówiony i przedstawiający „Sny młodzieńcze“ pokazuje nam artystę wraz z przyjacielem, spoczywających snem błogosławionych. Sen ów urozmaicony fantastycznemi kształtami i nazwami: znajdziemy tu list miłosny, serce przekłute strzałą, kupidyna i czartów, grupę ludzi zdążających do domku, stojącego na uboczu, lisa drapiącego się po skale, krzyże przydrożne, jednem słowem chaos, do którego nam objaśnień jeden chyba piszący również chaotycznie autor Edward Teodor Amadeusz Hoffmann udzieli.

O wiele wyraźniej przedstawia nam się już życie burszowskie artysty w pierwszej epoce jego działalności, jeśli spojrzymy na szereg obrazów, przedstawiających Grottgera na balach, w kawiarniach, na ulicy.

Dosyć niewinnie, konwencjonalnie prawie przedstawia się obraz, zaopatrzony nrem 1266m, a przedstawiający „przyjaciół, wybierających się na bal.“ Powiedzilibyśmy prawie, że to niewinne figurki z wystawy krawieckiej; tak stoją tu nieruchomi, wyelegantowani, sztywni, spoglądając z komiczną powagą jeden na drugiego, czy mu się przypadkowo fryzura nie zepsuła i czy ubiór nic nie pozostawia do życzenia. Nr. 1268 pokazuje nam sielankę z niemiłem zakończeniem: deszcz sprał bowiem przyjaciół, którzy bez parasoli na bal się wybrali a po skończonej zabawie schronić się przed niepogodą nie zdołają. A oto nr. 1271. Toż to tragedja skończona! Młodzieńcy w szalonym pędzie zawadzają o jakiegoś grubasa, który im ostrych wymówek nie szczędzi.

Niebawem jednak pstre myśli wywietrzeją z głowy młodemu artyście; zaniechawszy śmieszków i żartów, zwraca on się ku tematom więcej narodowym i przedstawia nam w akwarelli, umieszczonej na ścianie u wejścia, zaopatrzonej nrem 1278m a zatytułowanej: „Przed bitwą“ rycerzy — ojca i syna — imieniem Ojczyzny spieszących do boju. Stary udziela synowi rozmaite wskazówki i napomnienia; o ile jednak z twarzy młodego sądzić można, to zdaje nam się, że potrzebniejszą o wiele będzie mu przestroga, iżby zapał zbytni hamował, aniżeli druga, by tchórzostwem nie splamił czci antenatów. Obraz obok wiszący, zaopatrzony nrem 1279m zatytułowany: „Błogosławieństwo ojcowskie“ jest niejako duchowem uzupełnieniem myśli, wypowiedzianej w obrazie poprzednim. Walka się skończyła; ciężko rannego wynieśli z boju starego wojaka, któremu niebawem świat pożegnać trzeba będzie. W chwili tak uroczystej błogosławi on synowi, który jego nadziei nie zawiódł i — da Bóg! — tak samo kiedyś walczyć będzie i polegnie za kraj ojczysty, jak teraz ojciec.

Ostatnim obrazem, zamykającym pierwszą epokę czynności artystycznej Grottgera, jest portret, zaopatrzony nrem 1283-m a przedstawiający artystę samego. Umieszczony on również na wiatraku w sali piątej. Powiedzielibyśmy, że w tym obrazie autor stanowczy wziął rozbrat z myślami pustemi i dzie-

cinnemi. Ostatnia chyba pustota, to ta, że siebie samego odźwierciedlił w dosyć niedbałej pozycji z tureckim fezem na głowie i z cygarem w ustach.

W drugiej epoce wyrabia się duch sławnego rysownika i portrecisty coraz potężniej. Obok portretów szczególniej kobiecych, których nie zaniecha, rzuca on się coraz więcej na pole pracy w kierunku historycznym, przygotowując się tym sposobem niejako do przyszłych wielkich dzieł, mających wsławić imię jego pomiędzy wszystkimi, dla których sztuka ojczysta próżnym nie jest dźwiękiem.

Do tej kategorji zaliczam obraz, zaopatrzony nrem 1297m. Jest to „Powstaniec na koniu, z piką w bój pędzący". Ponieważ jednak na wystawie Grottgerowskiej także takie rzeczy figurują, które szerszym kołom publiczności obce nie są — więc o nich pozwolę sobie zamilczeć. Powiedziałbym nawet, że pietyzm w wystawieniu rzeczy po ś. p. Grottgerze czasami zanadto daleko się posunął. I tak widzimy tu illustracje Grottgera do „Anny Oświecimównej" z pierwszej gorszej edycji, w której ś. p. Mikołaj Bołoz Antoniewicz, autor „Anny Oświecimównej", sam nie rad był ich oglądać i coprędzej takowe z obiegu publicznego wycofał.

Jeżeli talent twórczy Grottgera w drugiej epoce potężniej rozwijać się poczyna — to w trzeciej jest on już w pełnym rozkwicie i o tej epoce pomówimy też obszerniej, nawiązując przy tej sposobności opowiadanie czasami także i do drugiej.

Porównawszy obrazy, z trzeciej epoki twórczości artystycznej Grottgera pochodzące, z dawniejszemi, znajdziemy wszędzie postęp znaczny, różnicę ogromną. Śmiałość jest w rysunkach, wyrazistość wielka w twarzach, jakiej jeszcze brak dawniejszym obrazom. Weźmy np. takie „opowiadanie babuni", czyli, jak je katalog oznacza: „bajki" (nr. 1353.) Z jaką wiernością oddana pozycja starej i to przerażenie, malujące się w oczach dzieci, jej się przysłuchujących. Sądzimy, że nierównie łatwiejsze zadanie autorowi trzeba było wykonać, kiedy odźwierciedlił rysy siostry swojej (nr. 1381 katalogu), ponieważ rysy najbliższych krewnych najłatwiej

każdemu zapamiętać; nie upoważnia to jednak do twierdzenia, iżby praca rzeczona mniej cenną była od innych. Pozwolilibyśmy sobie podnieść szczegół, że rysy p. Sawiczewskiej nieco męzkie, mało mają uroku kobiecego: tylko oko głębokie, duże, myślące, robi korzystne wrażenie, ale brakowi wdzięków kobiecych trudno zaradzić.

Męzki nieco wyraz twarzy ma także portret p. Sorgerowej (nr. 1361); ale rysy przecież nieco miększe. Bardzo mile przedstawia się twarz hrabianki Zabielskiej, uroczej blondynki (nr. 1356.) Wyraz oczu skromny, niepozbawiony przecież pewnej figlarności.

Wszystkie wymienione przezemnie rysunki uwydatniają jasno zalety Grottgera jako rysownika i portrecisty, jeszcze bardziej uwidocznione w „Batyniolczyku“ (nr. 1410.) Uczeń szkoły batyniolskiej przedstawiony tu siedząc w fotelu. Oczy z wyzywającym a śmiałym wyrazem ma wzniesione ku sufitowi, głowę zdobi konfederatka.

Prześliczny jest portret, zaopatrzony nrem 1359m a przedstawiający narzeczoną artysty. I ona ma — choć nie męzkie rysy, ale włosy krótko obcięte i zaczesane jak chłopczyk. Wyraz twarzy łagodny, marzycielski. Szczególnie dobrze oddany kotek, spoczywający na jej ręku i pieszczony przez nią.

W porównaniu z temi nieskończenie doskonałemi rysunkami, słabiej nieco wypadł nr. 1283, przedstawiający ojca artysty, jeszcze słabiej zaś nr. 1275, zatytułowany: „W pracowni.“ Wyżwymienione dwa rysunki pochodzące z drugiej epoki działalności artystycznej Grottgera, zdają się być dopiero zapowiedzią tego, co w późniejszych latach wykonał genjusz artysty.

Wszystkie przezemnie wymienione rysunki Grottgera umieszczone na wiatraku trzecim w piątej sali, gdzie ponadto jeszcze oglądać można szkic pierwotny do „Pochodu na Sybir“ (nr. 1350.) Mieszczą się tu także liczne szkice, kolorowemi ołówkami wykonane, z trzeciej epoki działalności Grottgera pochodzące; wolimy jednak jego rysunki.

Pełna życia i stanowczości oddana twarz szlachcica obrażonego i tłumaczącego się koniecznością pojedynku, a szkic ołówkiem (nr. 1391), przedstawiający cygana, grającego na skrzypcach, każe nam chwilowo zapomnieć o tem, że to tylko szkic a nie rysunek wykończony. Tak wszystko tu oddane trafnie i z taką pewnością siebie, autor kilkoma kreskami ołówkiem na małym świstku papieru rysunkowego uwydatnił fizjonomję grajka, upstrzonego łachmanami i niedbale się rozkraczającego na murawie, podczas gdy jedna ręka skrzypce trzyma a druga za smyczek pociąga.

Nr. 1354, wykonany wedle poematu Lenartowicza: „Anioł ziemi“ budzi już poważniejsze myśli. Nie będziemy się tu długo rozwodzili o technice znakomitej, o doskonałości rysunku. Sam przedmiot nastręcza nam wiele myśli. Widzimy staruszka ciemnego, opartego o kij, stojącego nad grobem i wskazującego młodemu towarzyszowi szczęśliwszą krainę. Ale ta kraina — jakżeż daleka! Dokoła widać tylko pustki i zniszczenie, a młodzian załamuje ręce z wyrazem rozpaczy. Tak to bywa i za życia. Ideały się ulatniają, pustki zostają się nam i ciernie, aż nieraz mistrzowi wypada, nad trumną najdroższej mu istoty jak niegdyś malarzowi Lucca Signorelli wysnuć ze zbolałej duszy wątek do najwznioślejszych poezyj, do najznakomitszych utworów sztuki.

Prawdą wielką wyszczególnia się także wykonany w Grybowie 30. Sierpnia 1866 przez artystę portret „biednego cygana“, zaopatrzony nrem 1385m. Włosy krucze, broda w nieładzie, wyraz twarzy na pół wzywający litości, na pół przebiegły — jakże to wszystko świetnie oddane! Nastrojowi fizjonomii odpowiada strój ciała i koszula, która tegoż ciała pojedynczych cząstek o wiele więcej odsłaniać, aniżeli zasłaniać się zdaje.

Do martyrologji polskiej odnosi się też obraz, zaopatrzony nrem 1389m a przedstawiający Sybiraków, noszących krzyż. Rzeczonym rysunkiem zamkniemy też pogląd rysunków na wiatraku umie-

szczonych, aby się lepiej przypatrywać obrazom, umieszczonym na ścianie.

I tutaj znajdziemy prace płodnego pędzla Grottgera, pochodzące z pierwszej, drugiej i trzeciej epoki jego działalności. Szczegółowe streszczenie tychże zaprowadziłoby nas jednak za daleko a zwłaszcza, że i tak już nie wiele czasu i miejsca nam pozostało. Pozwolę sobie zatem, zwrócić uwagę na akwarellę, zaopatrzoną nrem 1239m a przedstawiającą scenę krwawą z powstania r. 1831. Jest to jeden z najdawniejszych obrazów Grottgera; nosi bowiem datę r. 1847go. Przedstawia szpiega (zdaje się Moskala), wiszącego na dwu razem związanych drabinach. Wisielca otacza wojsko polskie; z prawej strony widać wieżę kościelną, z lewej mury domostwa wypalonego.

Większą nierównie wartość mają olejne obrazy, zaopatrzone nrami 1342m i 1343m a przedstawiające powitanie i pożegnanie powstańca. Do smutnego zdarzenia nastraja się wybornie ciemny koloryt, nastraja się smutne tło obrazów. W jednym powstaniec — kaleka bez ręki — wraca z powstania, aby ucałować rękę ukochanej, uroczej blondynki; w drugim dziewica w żałobie udziela błogosławieństwa młodzieńcowi, spieszącemu w bój za Ojczyznę. Nie analogiczność przedmiotów, ale analogiczność myśli łączy bezwarunkowo obydwa obrazy.

O jednym Grottgerowskim na ostatku uczynię jeszcze wzmiankę, aby potem przejść także i do innych artystów, których obrazy w sali tej umieszczono. Jest to rysunek kredką, zaopatrzony nrem 1393m a zarówno z dwoma poprzednio przezemnie wymienionemi, pochodzący z trzeciej epoki działalności Grottgerowskiej. To „Allegorja wojny.“ Jeździec ze spuszczoną przyłbicą, z pochodnią i mieczem spieszy w bój; za nim wszystkie zmory, znamionujące spustoszenie wojny. Artysta po prawej stronie (może sam Grottger) duma z głową smętnie na dół zwieszoną: genjusz piękna i sztuki, przy nim stojący, z odrazą odwraca twarz. Obraz ten odznacza się niezwykłą siłą w wykonaniu i w charakterystyce.

A teraz przystąpimy do pobieżnego rozglądu arcydzieł sztuki innych mistrzów, w tejże samej sali umieszczonych: do pobieżnego — mówię naumyślnie, gdyż i czas i miejsce nam nie pozwalają, głęboko nad tą kwestją się rozwodzić, ani też nie można innych artystów z należytą równowagą i sprawiedliwością osądzić wobec takiego olbrzyma, jakim jest Grottger a którego najbliższe sąsiedztwo niekorzystnie na innych oddziaływa, choć w zupełnie odmiennym kierunku pracowali.

Tu na pierwszy rzut oka uderza każdego kolosalnością kompozycji Józefa Brandta wielki olejny obraz, zaopatrzony nrem 1450m a przedstawiający „Odsiecz Wiednia 1683.“ Autor przedstawia nam nie już chwilę klęski muzułmanów, ale zupełny tychże pogrom. Niektóre oddziały słabo się bronią, większość pierzcha, nie mogąc się opierać zjednoczonym usiłowaniom chrześciańskiego wojska. Z namiotów uciekają inni, wyniósłszy z nich kosztowności. Czemu tureckie wojsko wszędzie na tym obrazie ma twarze ciemnobrunatne jak Beduini — nie mogłem tego dociec. Brandt, znany chlubnie jako batalista czyli malarz wojen, niewiele w retrospektywnym dziale sztuki polskiej wystawił. W sali piątej znajduje się oprócz wyżwymienionego tylko jeden jeszcze obraz tegoż samego artysty: „Przejście Czarneckiego pod Koldyngą“ (nr. 1449.) Mniej tu osób występuje na tle obrazu; ale treść staje się przez to zrozumialszą. Pod zasłoną ponurego i mglistego poranku listopadowego przeprawia się konnica wielkiego hetmana promami przez cieśninę morską pod warownią Koldyngą w Jutlandyi, zajętą przez Szwedów, 1658. Bardzo wyraźnie od ciemnego tła odrysowują się postacie mężów zbrojnych na koniach, przedzierających się pod warownię nieprzyjacielską.

W tej samej sali mieszczą się także prześliczne obrazy olejne Rodakowskiego w liczbie sześciu, z których wymieniamy: „Wojnę kokoszą“ (nr. 1032), „Portret wicehrabiny de Romanet“ (nr. 1037), oraz „Portret idealny każącego kardynała“ (nr. 1036.) Każdy z tych obrazów ma osobne nieocenione zalety a świeżością barw odznaczają się wszystkie.

„Wojna kokosza“ — to historyczny obraz, nieodźwierciedlający jednak coprawda bardzo szczytnej chwili z kart dziejowych historji polskiej. Przedstawiony w obrazie król, nadający zbuntowanej szlachcie przywileje, odczytane w głos przez hetmana Tarnowskiego. Historyczny fakt sam w obrazie tym podrzędną tylko odgrywa rolę, głównie rozchodziło się autorowi tu o uwydatnienie zdolności swych w portretowaniu i o ugrupowanie stosowne, co się mu też świetnie udało. Jeszcze lepiej został cel powyższy osiągnięty portretem wicehrabiny de Romanet. Na ciemno-oliwkowem tle uwydatnia się bardzo dobrze jej postać, otulona czarnem, aksamitnem okryciem. Twarz delikatną i bladą o sympatycznym wyrazie okalają ciemne włosy. Zupełnie inne cechy przedstawia nam kardynał. Twarz z lekka zabarwiona, okolona włosami siwemi: wyraz w niej dobroduszny, ale i powaga maluje się na niej. Gdyby nam jednak sąd o tej fizjonomii wydać przychodziło — to byśmy powiedzieli, że wyraz jej nie polski, raczej obcy, najbardziej zaś do francuzkich przybliżony, którem to zdaniem jednakowoż zaletom artysty ubliżyć nie myślimy.

Pomiędzy licznemi malowidłami w piątej sali umieszczonemi, jedna tylko znachodzi się rzeźba i to skromniutko w kąt wsuwana „Kalina“, popiersie pięknej dziewczyny, wykonane przez Stanisława Lipińskiego.

Przejdźmy się do szóstej sali. U samego wejścia, ale w framudze przy ścianie, że prawie poznać je trudno, widzimy dwa obrazy głośnego niegdyś pejzażysty Zygmunta Sidorowicza, którego portret obok umieszczamy. Są to krajobrazy, jeden letni a drugi zimowy, stanowiące obecnie własność Dra Emanuela Roińskiego we Lwowie. Ktoby się spodziewał, że śp. Sidorowicz, zdolny nietylko pejzażysta, ale i portrecista, o którym obszerniejszą wzmiankę uczyniłem w dziewiątym moim roczniku, tak po śmierci poniewieranym zostanie i że mu taki ciemny, niepokaźny kącik wyznaczą? A przecież dawniej bywało to inaczej; obrazy Sidorowicza, nie uganiające się za krwawemi, gwałtownemi lub sztucznemi

efektami, lecz odźwierciedlające tak naturę, jak i ludzie wiernie, szły w szeroki świat i figurowały na wszystkich wystawach, honorowe zajmując na nich miejsce. Ale co robić? Sic transit gloria mundi!

Mimowoli musimy jeszcze na kilka portretów i obrazów, w tejże samej sali umieszczonych, uwagę czytelnika zwrócić.



Zygmunt Sidorowicz.

Wielką naturalnością w układzie i podobieństwem niezmiernem odznacza się Aleksandra Gierymskiego „Żydówka z cytrynami“ (nr. 1475.) Ta twarz zmarszczona, pełna brudów i fałdów, ten strój pstrokaty, te odwieczne pończochy brudne, których cerowaniem babisko się zajmuje, a kosz z cytrynami, stojący w kącie i czekający cierpliwie kupca — to wszystko żywcem z życia wzięte. Tło, na które się składają domy i plac miejski, nic obrazowi ani ujmować, ani dodawać nie może.

Bardzo dobry pendant do starej żydowicy, zajmującej się rozprzedażą cytryn, stanowi Józefa Chełmońskiego obraz olejny, zaopatrzony nrem 1483m:

„Dziewczyna z dzbanem“, przedstawiający wiejską krasawicę z dzbankiem w ręku, przechadzającą się wzdłuż piaszczystej płaszczyzny. Każdy ruch w tym obrazie z życia uchwycony, naturalny, a dzban zdaje się raczej na to przeznaczony, aby sił swoich na nim wypróbowała dziewucha, aniżeli by służyć miał do napełnienia wody. Prawa ręka dziewczęcia w górę wyciągnięta, chustka w szybkim biegu rozwiązała się; bo widać kończyny, poruszające się za powiewem wiatru.

Jakiem prawem Siemiradzki, figurujący osobno w oddziale sztuki współczesnej, z „Elegją“ do tej sali się dostał—nie pojmujemy. Mówią mi, że ze względów chronologicznych. Być może, a mimoto dowód rzeczony nie przemawia mi do serca. Obraz kolorytem odbija od innych a zrobiłby lepsze wrażenie, gdyby razem z innemi obrazami Siemiradzkiego a nie osobno był pomieszczony.

Świetna jest akwaforta Henryka Redlicha, zaopatrzona nrem 1447m a przedstawiająca „Żydów w bibliotece, przeglądających sztychy.“ Jeden z okularami na nosie siedzi, zatapiając wzrok w obrazie, wywołującym -- zdaje się lekki uśmiech ironiczny. Pochylający się nad nim drugi żyd z miną znawcy, zdaje się wątpliwości swego przyjaciela także cokolwiek podzielać. Twarz bowiem wykrzywia się do uśmiechu jeszcze bardziej ironicznego, oczy szeroko rozwarte zdają się przedmiot ciekawy obopólnych badań przeniknąć na wskróś a ręka robi jakiś gest wcale nie dwuznaczny.

Wypada mi jeszcze podnieść zalety obrazu olejnego, zaopatrzonego nrem 1494m. Jest to to, co Niemiec osobnym na to stworzonym wyrazem nazywa: „Stimmungsbild“ i autor Stanisław Witkiewicz z Zakopanego uchwycił też sytuację bardzo szczęśliwie. Niebo chmurne, jesienne, ołowiane; każdej chwili zdaje się, że deszcz puszczać się będzie z obłoków, aby potem lać bez końca, aż zima nastanie i śnieg wszystko zakryje. Biały dworek po lewej stronie przerastają drzewa, obnażone z liści; łany zżółkły, natura zdaje się, że żałobę przywdziała na równi z tą kobietą, która w żałobę odziana, samotnym gościńcem wzdłuż pól i łąk się przechadza.

Z rzeźb, dosyć szczupło w sali tej pomieszczonych, wyszczególnimy jeszcze bardzo piękną hr. z Hausnerów Łubieńskiej, zaopatrzoną nrem 1498m a przedstawiającą „Ukrainkę.“ Rysy tej Ukrainki bardzo sympatyczne, wzrok otwarty, śmiały, a czapeczka barankowa i futerko, wyłożone barankiem, choć to akcesorja zazwyczaj w rzeźbiarstwie nie bardzo poszukiwane — tu jednak bardzo szczęśliwie nadają się do uzupełnienia całości.

A teraz przejdźmy się do siódmej, czyli ostatniej sali w wystawie sztuki retrospektywnej.

Tu na pozór nie wiele znajdziemy; ale są natomiast bardzo wybitne rzeczy. I tak na pierwszy rzut oka uderza obraz olejny, wykonany przez nieodżałowanej pamięci artystę Maurycego Gottlieba: „Shyllok i Jessica.“ Ludzie, którzy lada drobiazg do znaczenia kwestji politycznej podśrubować usiłują, zarzucili Dyrekcji Wystawy niesłusznie antisemickie tendencje, ponieważ na wystawie sztuk pięknych wrzekomo nie ma Gottlieba, tego genjalnego artysty i ulubionego ucznia Matejki. Możemy tym panom z całą stanowczością oświadczyć, że się mylą. Ale jednego zarzutu nie możemy przecież oszczędzić Dyrekcji, a to, że się za mało starała o wystawę bardziej wyczerpującą dzieł Gottlieba, co z wielkiemi trudnościami nie byłoby połączone, zwłaszcza, że rodzina liczne tego artysty posiada obrazy, z których dotąd nic na żadnej wystawie oglądać nie mieliśmy sposobności.

Cecha melancholijna, poważna, odznaczająca wszystkie prace artysty — przebija się i w tym obrazie. Ten Shyllock, ten stary krwi chrześciańskiej pragnący żydowski lichwiarz — jakże odmienne w tym obrazie przybiera cechy! Widzimy go tu z miną nieszczęśliwego, o przyszłość dziecka trwożliwego ojca. Z jaką on to czułością córkę do siebie przytula, a ona sama z jakiem rzewnem uczuciem — gdyby biała gołąbka z główką lekko pochyloną zastanawiać się zdaje nad tem, czy milczeć i nadal, czy odkryć ojcu tajemnicę serca, może zabójczą dlań!

W sali siódmej znajdujemy małą tylko stosunkowo ilość obrazów historycznych; jest natomiast

moc portretów i niektóre znachodzą się także obrazki rodzajowe.

Do kategorji historycznych obrazów zaliczyć nam wypada kolosalny obraz olejny Władysława Rossowskiego, zaopatrzony nrem 1523m a przedstawiający „Wjazd królowej Jadwigi do Krakowa“. Widać tu wpływy Matejkowskie, wskazuje na to ta ogromna komplikacja ciał i głów, służących jako refleks jednej osobie głównej, królowej Jadwidze, odbywającej uroczysty wjazd w mury królewskiego grodu. Cokolwiek skorzystał autor zapewne także z studjów Mackartowskich, unikał jednak starannie tego, co nas razi w malarzu „nagich ciał.“ Pysznie oddana Jadwiga na rumaku dzielnym i kardynał, towarzyszący jej, nie mniej też osoby z ludu; po prawej stronie ten nawpół nagi rybak, wysiadający z łódki, za nim mieszczki krakowskie; po lewej stronie widać burmistrza, niosącego królowej chleb i sól jako odznaki hołdu, dalej damy dworskie, duchownych, lud.

Kompozycja obrazu komplikacjami nieograniczonemi przypomina sposób malowania Matejki, różni się jednak większym spokojem w ugrupowaniu mas. Jeśli się zważy młody wiek artysty, urodzonego w r. 1857m — jakąż wielką i świetną przyszłość wypadałoby mu, wróżyć!

Historyczny przedmiot wybrał sobie także Leon Piccard w swoim obrazie, zaopatrzonym nrem 1458m. Jest to „Napad na Belweder 29. Listopada 1830.“ Obraz to o znacznie mniejszych rozmiarach i autorowi nie rozchodziło się także o silne efekta. Przedstawia on nam carskiego brata Konstantego, przerażonego napadem belwederczyków i chowającego się poza grono dam dworskich, występujących na pierwszy plan obrazu. Historyczna, ale świetna ironja losu, oddającego możnowładcę, trzęsącego światem sług płatnych i posiepaków — na opiekę słabych kobiet.

Z portretów męzkich wyszczególnić musimy Teodora Axentowicza wielki obraz, zaopatrzony nrem 1529m a przedstawiający „kowala.“ Jaka tu sprężystość, jaka tu siła niezmierna w każdym ruchu

muszkułów! Ramiona żylaste zdaje się zapasów z atletą by się nie obawiały, a brodata twarz i oczy wyzywające zdają się do takiej walki wprost każdego prowokować, który pragnie, aby mu ziobra połamano.

Doskonałą illustrację do przysłowia: „kozak konia napawau, dziuba wodu brała“ — tworzy olejny obraz Józefa Brandta, oznaczony nrem 1451m. Konie okulbaczone i charty węszące spoczywają przed studnią; kozak spoczywa także, korzystając z nadarzonej sposobności, aby dziewczę nawpół objąć i miłosne słówka do ucha jej szepnąć.

Z życiem odmalowuje nam Chełmońskiego olejny obraz, zaopatrzony nrem 1485m a zatytułowany: „Sanki, ścigane przez wilki“ — napad wilków na podróżnych podczas zimowej nocy. Podróżni odstrzeliwają się dzielnie. Czy im się uda, ujść niebezpieczeństwa? czy z dzielnej trójki koń jeden nie padnie, rozszarpany przez wilki? Nie wiemy! Grożą nieprzyjaciele z boku i z przodu. Już z wilków jeden padł, ugodzony na śmierć, drugi zmyka z krwawą raną, trzeci podskakuje przed koniem; ale z tyłu grozi już chmara napastników. Scena ta, jakże żywo przypomina nam analogiczny ustęp z „Pauliny“ Gaudy'ego tylko z tą różnicą, że tam czwórka koni a tu jeno trójka wymieniona:

„I pędzą konie, aż się dymi,
A pogoń wściekła w trop za nimi....
„„Koń padł a wściekła zgraja charczy:
„„Rzuć go! nam trójka też wystarczy!“
I dalej pędzi jazda dzika:
Koń, który padł, już rozszarpany!
Na karku czuć już przeciwnika!
„„Zmiłuj się! Panie Ty nad Pany!*)““

Na tem skończymy przegląd sztuki retrospektywnej, musimy jednak od siebie z żażaleniem dodać, że nra. 47my (Emilii Dukszyńskiej z Warszawy „Studjum“), 115sty (Józefa Krzesza z Krakowa „Przy

---

*) Polska w świetle niemieckiej poezji, Franciszek baron Gaudy, Paulina, stronica 32.

studni"), nr. 118sty (tegoż samego autora Ukrainka"), nr. 325ty (tegoż samego „Niedziela we wsi rusińskiej", wachlarz, akwarellą wykonany) i niektóre inne obrazy, przez pomyłkę chyba tu umieszczone, właściwie do sztuki współczesnej a nie tu należą.

III. Sztuka współczesna.

Stoimy u progu nowej ery: to sztuka współczesna. Na samym wstępie witają nas genjusze Matejki i Grottgera.*) Przy tej sposobności nie od rzeczy



Artur Grottger.

*) Podajemy poniżej, aczkolwiek za późno przez redakcję „Małego Światka" nam nadesłany, autoportret Grottgera z cygarem w ustach. Rzeczony obraz pochodzi z trzeciej epoki jego działalności i zaopatrzony w katalogu nrem 1362m.

będzie, jeśli bodaj chwilowo przebiegnę okres, poprzednio przezemnie omówiony. I tu oświadczam otwarcie, że choć na równi z redakcją katalogów sztuki polskiej przyjmuję podział tejże na trzy działy, to pod innym względem nie zgadzam się jednak ze wszystkiem na ten podział a mianowicie co do granic między sztuką retrospektywną a współczesną, o czem też poniżej nieco obszerniej pomówimy.

Sztuka starożytna, zwłaszcza w 16m wieku, wykazuje w Polsce nieomal te same cechy, co i w innych państwach. Tak jak w Florencji Medyceusze, w Rzymie zaś papieże jako protektorowie sztuki stali na jej czele a pod ich okiem dzieła swoje tworzyli genjusze jak Michał Anioł, Rafał i inni — tak w Polsce ostatni z Jagiellonów byli protektorami sztuki ojczystej. Sztuka to wprawdzie początkująca, sztuka, którą z obecną nie porównać, ale bądź co bądź piękna i — silna! Wiek 17sty i pierwsza połowa 18go jak wszędzie, tak i tu wykazują upadek. Sztuka staje się rzemiosłem i coraz więcej traci cech piękna.

Odradza ją, ale na sposób dworski Stanisław August i z nim też zaczyna się sztuka retrospektywna. Czysto-rzemieślnicze cechy znikają coraz więcej, sztuka staje się po części olśniewającą, błyszczącą barwami jak u Bacciarellego i jego naśladowców, po części elegancką, wybredną, francuzką prawie jak w miniaturkach Leseura; silną poczuciem prawdziwie narodowem — nie jest ona jeszcze. Jako odrębny genjusz z tej epoki jeden tylko nam się przedstawia — Chodowiecki.

Wojny napoleońskie słabo tylko oddziaływały na rozbudzenie ducha artystycznego u malarzów. Nawet taka postać jak ta Kościuszki nie potrafiła odrazu współczesnych artystów popchnąć na drogę właściwą. Pierwszy, jedyny prawie, który Kościuszkowskie dzieje zgodnie z duchem czasu i wiernie nam przedstawia — to Stachowicz.

Druga epoka w dziejach sztuki retrospektywnej według naszego — nie według redakcji katalogu sztuk pięknych — obliczenia, zaczyna się z r. 1830m a kończy z r. 1864m, gdzie się już zaczyna sztuka

współczesna. Powstanie listopadowe, z takim zapałem poczęte, rozbitem zostało; emigranci, rozprószeni po świecie, szerzyli ideę polską wszędzie słowem, piórem, pędzlem. Epokę tę nazwać by można epoką kozmopolityczną, międzynarodową: epoką odrodzenia w stylu i duchu Matejkowskim lub Grottgerowskim, nie jest ona jeszcze. To też widzimy między polskiemi motywami także sporo obcych. I tak uwiecznia nam Oleszczyński krwawą tragedję w Montpellier, o której obszerniejszą wzmiankę zdałem w dziale sztuki retrospektywnej, Norwid przedstawia nam djabła chyba paryskiego, ale nie polskiego i t. d. Powiedzielibyśmy nawet, że najwcześniejsze utwory Grottgera, pochodzące z pierwszej epoki jego działania, o wiele więcej zapożyczone z niemieckich i francuzkich wzorów, aniżeli z polskich. Jeśli malarz, artysta polski rzecz narodową odźwierciedlić się usiłował, to rzadko rzecz z powstania listopadowego, a więcej z ubiegłych dziejów Polski. Byli i tacy, co tak w początkach, jak i na schyłku sztuki retrospektywnej prawie wyłącznie w pewnym kierunku, ulubionym przez naszych współczesnych artystów pędzla pracowali, choć im daleko, bardzo daleko jeszcze do ich potęgi i siły! I tak w Bacciarellim, portreciście znamienitym, widzimy zapowiedź tego, co w daleko większych rozmiarach już za naszej pamięci zdziałał Rodakowski, Michałowski wyprzedza Kossaka i t. d.

Stanowczy wyłom w dotychczasowym sposobie zapatrywań czyni dopiero powstanie styczniowe. Z niem też według naszego poglądu, który uważamy za najwłaściwszy, zaczyna się sztuka współczesna. Rozpoczęcie jej datować od roku 1887go jako od roku wystawy krakowskiej uważamy za błąd zasadniczy a ponadto jeszcze za grube ubliżenie genjuszom mistrzów, jakimi byli Matejko, Siemiradzki, Kossak, Malczewski i inni, których wystawa krakowska nie dopiero wyrobiła i w świat wprowadziła, ale zastała w pełni siły działających. Zresztą i pod innym względem podobna rachuba nieuzasadniona i nieodpowiedna.

Pominąwszy to, że się nowe epoki nie liczy, zacząwszy od jakiejś wystawy krajowej, ale liczy się je od nowych mężów i od nowych prądów, które ich natchnęły — to trzeba i na to zwrócić uwagę, że sam genjusz artysty nie odrazu się wyrabia, ale powoli i czasami zmienia nawet kierunki. Jakże błędnem wydaje nam się twierdzenie, że ostatnia epoka w sztuce retrospektywnej zaczyna się z rokiem 1855m, t. j. z pierwszemi krokami artystycznemi Grottgera i Matejki, których genjusz — żebym się tak wyraził — wówczas jeszcze był w powijakach i nikomu za wzór służyć nie mógł! Powiedziałbym nawet, że już rok 1863ci jako rok powstania stanowczy zwrot w dotychczasowym sposobie myślenia oznacza: tak jak wytworzył poetów miecza i cierpienia w bohaterach Polski, tak wytworzył on też poetów pióra i poetów pendzla! Odkładam jednak perjod odrodzenia się sztuki w Polsce czyli początki sztuki współczesnej na rok 1864ty; wtedy bowiem idee powstania, idee, głoszone nieśmiertelnemi słowy:

„Za waszą i naszą wolność“ —

skuteczniej się przyjmowały i rozwijać się zaczynały. Grottgera natchnęło dopiero powstanie polskie do arcydzieł swoich, martyrologja polska oddziaływać musiała na Matejkę, aby z niego wytworzyć genjusza, którego świat podziwia.

Za tymi arcymistrzami sztuki polskiej stoi cały zastęp innych, mniejszych — ale mimoto nie małych. Że Grottgera przykład porywająco oddziaływał na wrażliwy umysł Sidorowicza, — to wiem z własnych jego ust; ale Sidorowicz miał miękką, zbyt miękką może duszę. Naginać się swemu otoczeniu dał jak wosk, jednem słowem: nie miał siły odporu. Z takich ludzi nie wyrabiają się genjusze, olśniewający i czarujący wszystkich potęgą swojej myśli, choć talenta mogą się wyrabiać niepoślednie. To też widzimy, jak Sidorowicz rodzaj pracy swojej z biegiem czasu zmienia: z dobrego portrecisty staje się nie gorszym pejzażystą. Troska o chleb codzienny daje mu się jednak coraz więcej w znaki: rzucony na obcy bruk, przyciśniony przykremi stosunkami domowemi — staje się wyrobnikiem dla chleba i ginie wreszcie

w Wiedniu w kwiecie wieku, bo licząc zaledwie 35 lat.

Tak jak powstanie oddziaływało na umysł Grottgera, tak jeszcze w wyższym stopniu na Matejkę. Z biegłego portrecisty, który barwnym kolorytem nam przedstawia fizjonomje znane ogółowi polskiemu lub nieznane mu, przerzuca on się na daleko szersze pole: staje się portrecistą doli i niedoli narodu. A tu już genjusz jego granic nie zna. Jeśli go podziwiamy jako portrecistę pierwszorzędnego, to jako malarz dziejów swego narodu nie ma on równego sobie. Nawet to, co mu za błąd poczytują — u niego jest osobistą zaletą: niepokój w układzie pojedynczych grup i figur. Myśl go tak parła do bezustannej pracy a myśl nie próżnuje; myśl go parła i zniewoliła do odźwierciedlania dziejów Polski, do utrwalenia na wieczne czasy tego, co tylko ciałem umarło a duchem żyje; więc poruszają się jego osoby myślą a wielki niepokój uwidocznia się w każdym ruchu, bo patrzą na nas, bo myślą i żyją, a życie — to niepokój ustawiczny, wieczną ciszę tylko śmierć nadaje.

Zbliżony cokolwiek do Matejki jest poniekąd Jacek Malczewski, jeśli opisuje katorżnie syberyjskie; dalej jednak, o całe niebo dalej sięga wzrok orli twórcy „Unii Lubelskiej“. On się nie ogranicza na jednym Sybirze; on takich etap cierpień i prześladowań o wiele więcej widzi w Polsce. Od najdawniejszych do najnowszych czasów trapiły ją duchy niezgody i waśni, duchy rozkładu i prześladowań, już nietylko praktykowanych na osobach innowierców, ale także na inaczej — to jest na prawo myślących. Duch twórczy nie umarł jednak: rozpięty na krzyżu on zbawca myślącej ludzkości, przykuty do skały on Prometeusz, który iskrę natchnienia w świat szeroki unieść pragnął — wyciąga ku nam ramiona i woła potężnym głosem Dantów i Mickiewiczów, płomiennemi barwami Matejki, delikatną kredą Grottgera, pędzlem Siemiradzkiego, Malczewskiego, Kossaka, echem niezliczonej plejady mistrzów pióra, pędzla i dłuta:

„Jestem — więc żyję!“

Powstanie styczniowe dało nam także wielkiego artystę pędzlem — Ludomira Benedyktowicza. Jego zasługi są prawie nieocenione: walczył za Ojczyznę i okaleczał dla niej. Pozbawiony rąk, nie puścił się na wygodną drogę pospolitego żebractwa, ale pracował i pracuje bezustannie na polu malarstwa narodowego, szczególniej jako twórca krajobrazów nieocenionych, czasem także jako portrecista. I tak posiada np. „Czytelnia Polska“ w Białej portret drugiego swego prezesa, św. pamięci Apolinarego Góry, odtworzony przez Benedyktowicza.

Powstanie, które jak iskra ożywcza oddziaływało na umysły braci galicyjskiej, poznańskiej, na twórczość malarzów i artystów polskich poza granicami Polski zamieszkałych — nie mogło w tej samej mierze w Warszawie działać. Cenzura moskiewska nie dopuściłaby do tego; ale nie mogła — choćby chciała — zatamować ze wszystkiem wymiany listowej. Artyści, którym nie wolno było, przedstawiać Polski w kajdanach caratu, przedstawili ją, prześladowaną przez politykę krzyżacką a polityka moskiewska pod tym względem nie stawiała im już przeszkód, aby uchodzić za liberalną. Illustruje więc Andriolli „Grażynę“ i „Wallenroda“; wolno było nawet podawać illustracje z „Pana Tadeusza“; ale dalej nie sięgała już wolnomyślność moskiewskiego rządu. Na czele szczególnie rysowników warszawskich stoi niezaprzeczenie Andriolli. On jest tem dla polskiej sztuki, czem Doré dla francuzkiej.

Obok genjuszów pierwszorzędnych, obok wielkich świateł, działają malarze, którzy — choć nie są tem, czem Matejko, Siemiradzki i Grottger, jednak w pewnej gałęzi do najwyższej doprowadzili doskonałości. I tak Juliusz Kossak niedościgniony dotąd jako malarz koni; Rodakowski jest pierwszorzędnym portrecistą; Fałat maluje polowania, Brandt wojny, Juljusz Makarewicz obrzędy ludowe na Rusi i typy z tamtych stron, Walery Eljasz typy i krajobrazy zakopańskie, Łuskina piórem i pędzlem uprawia historję w wielkim stylu, Styka z pola malarstwa religijnego, dotąd prawie wyłącznie przezeń uprawionego, przerzucił się w ostatnich czasach na pole

historji, Maurycy Gottlieb, żyd i polski patrjota, przeważnie jest malarzem, odźwierciedlającym typy żydowskie; obrazy rodzajowe mają także swoich zwolenników i mistrzów, rzadziej przytrafia się, że ten lub ów artysta polski dla urozmaicenia jakąś dworską scenę z ubiegłych stuleci, do obcych krajów się odnoszącą, nam odmalowuje; ale i ten rodzaj malarstwa ma swoich zwolenników.

Prądy najrozmaitsze nurtują obecne społeczeństwo; także malarstwo idzie czasem na lep hasłom niekoniecznie wszędzie zastosowywać się dającym. I tak, jeśli Matejko olśniewającemi oko i umysł barwami tworzył arcydzieła dotąd niedoścignione, to niejeden może myślał, że to już wystarczy, aby farby grubo nakładać, a będzie już obraz nieskończenie piękny. Tymczasem wytwarza się z tego wszystkiego krzycząca kłótnia barw, która oczy razi. Jeśli Matejko w tem znaczeniu był plein - airystą pierwszorzędnym, że wielka część jego malowideł akcję, rozwijającą się na wolnem polu przedstawia, ale przecież nigdy nie dopuszczał do tego, aby to wolne powietrze akcję samą usunęło na drugi plan, to bezmyślni naśladowcy obcych haseł i to już obecnie praktykować zaczynają. Żywimy jednak niepłonną nadzieję, że bądź co bądź duch prawdziwego piękna, duch sztuki ojczystej to wszystko usunie, co się nie zgadza z jej wymaganiami.

Czytelnik wybaczy mi ten długi wstęp, po którym niech mi wolno będzie, rzecz o sztuce współczesnej o ile możności dalej przeprowadzić.

Wstąpmy do pierwszej sali.

Tu widzimy już zupełnie odmienny układ grup, obrazów, rzeźb — powiedziałbym nawet kolorów, aniżeli na wystawie sztuki retrospektywnej. Zdaje się nam, że technika artystyczna nowoczesna innemi środkami pracuje, aniżeli dawniejsza. I nie poczyta mi może za zbyt wielką śmiałość ten lub ów, jeśli powiem, że w retrospektywnym dziale wśród daleko większej ilości dzieł sztuki łatwiej się często zorjętować widzowi, aniżeli tu wśród stosunkowo mniejszej? Może, że się do tego wrażenia przyczyniają rozmaite rzeźby, sprzęty ozdobne i tym podobne

przedmioty, po całej sali w artystycznym nieładzie porozrzucane, może i to, że sztuka dawniejsza skromniejszemi, aniżeli nowożytna, pracowała środkami, może wreszcie i ten szczegół, że oko dłuższy czas zajęte badaniem tego, co było, nie może odrazu nawyknąć do badania tego, co jest albo będzie.

Widzimy i rozróżniamy też, powiedzmy raczej: rzucają nam się w żywe oczy na samym wstępie najrozmaitsze rodzaje malowania: rembrandtowski, ciemny i czarny bez przebłysków jaśniejszych; żywy, jasny, nęcący lazurem naszych nieb i zielenią pól; kolor jeszcze żywszy, już nie z naszych pól i łąk, ale wprost z krwi ludzkiej zapożyczony.

Ciemne jak noc rembrandtowska i ponure ponad wszelki wyraz są malowidła olejne Włodzimierza Szereszewskiego, zaopatrzone nrami 248 i 249. Z nich pierwsze przedstawia „Etap na Syberję“ a drugie „Pieśń rodzinną“. Podobieństwo z rodzajem pracy Jacka Malczewskiego jest rażące. Ale poczytałbym raczej za zaletę, aniżeli za wadę młodemu artyście, że studjując starsze wzory, nie stał się prostym naśladowcą, ale pracuje oryginalnie a w dodatku pięknie.

„Etap na Syberję“ przedstawia nam więźniów, osadzonych w głębi strasznego więzienia o murach, których strzał armatni nie przebije, w podziemiach zdaje się fortecznych. Przez okno, grubo zakratowane, nie wpada światło dzienne. W grupach rozmaitych rozmieszczeni synowie złej doli. Dwaj starcy po prawej stronie, z głową na piersi pochyloną, dumają, czy to o własnem nieszczęściu, czy o nieszczęściu Ojczyzny — któżby się ośmielił, rozstrzygnąć to pytanie? U ich nóg, prawie w samej głębi, spoczywa w leżącej postaci młodszy, znużony długą drogą towarzysz niedoli. Po lewej stronie poniżej zakratowanej okiennicy żołdak moskiewski z nabitą bronią pilnuje więźni — może, by nie uciekli? O nie! o tem i wzmianki niema! Zanadto oni znużeni, by się ucieczki jąć mieli, a zresztą — to tylko etap, to tylko stacja po drodze męczeńskiej, która ich prowadzi do kresu cierpień a może i życia.

„Pieśń rodzinna“ — cóż to znowu? Czy pieśń rodzinna tak smutne mogłaby wzbudzić wspomnienie, że trzeba tak ponurego i ciemnego tła dla niej, jak dla etapu sybirskiego? O tak! bo rozbrzmiewa z daleka od kochanej Ojczyzny w głębiach sybirskich, z których wyjścia nie ma! Obydwa obrazy uzupełniają się nawzajem, nie ma jednak trzeciego, któryby zwiastował rychłe wyzwolenie!

Na tle pół-rembrandtowskiem wykonany obraz Leopolda Pilichowskiego, zaopatrzony nrem 180m a przedstawiający przygotowanie się do egzaminu. Uczennica pilna siedzi przy świetle lampy i przewraca kartki w książce, druga książka leży obok; poniżej umieszczone zeszyty szkolne i kałamarz świadczą o gorliwem zajęciu się nauką, a czego by wnuczka zapomniała, to jej już przypomni babka, podpatrująca ją z boku, choć nibyto zajęta tylko czytaniem. Jest to wyborny obraz rodzajowy, świadczący chlubnie o zdolnościach autora.

Pełnią szaloną życia i rozkoszy wre Wilhelma Kotarbińskiego z Warszawy „Orgia rzymska“ (nr. 101.) Biesiadniczki, damy z wielkiego świata rzymskiego, rozłożyły się w niedbałych pozycjach po murawie. W tym obrazie przedewszystkiem podziwiać nam wypada świetną grę kolorów, która jednak nigdy w krzyczącą nie przechodzi. Szczególnie dobrze oddane delikatne kolory ciała. Kontrast do rzeczonego obrazu tworzy tego samego artysty „Śmierć Messaliny“ (nr. 102.) Autor w rzeczonym obrazie przedstawia nam krwawy dramat z dziejów Rzymu. Rozpustnica Messalina sprzykrzyła się wreszcie Neronowi. I oto kazał dla niej kąpiel wonną, ciepłą, kąpiel tego rodzaju przygotować — po której już nie trzeba drugiej. Widzimy ją po prawej stronie obrazu, leżącą bez życia przy wannie, nad którą wyprostowana i dumna wznosi się postać niewolnicy, niegdyś może krwawo katowanej przez panią, która już teraz nad nikim pastwić się nie będzie — bo zgładzona ręką niewolnicy. Po lewej stronie obrazu fontana tryska. Zieleń i kwiaty, drzewa rozchylające wierzchołki ciemne wskazują nam, że rzecz dzieje się w ogrodzie. Ale mniejsza z tem: czy zemsta tyrana oglą-

dała się kiedykolwiek na to, gdzie i jak wykona krwawe swoje wyroki, albo czy kobierzec wonny krwią ludzką skrapiany zostanie?

Dyrekcja w katalogu wystawy odtworzyła miniaturową podobiznę rzeczonego obrazu. Pomysł nie bardzo szczęśliwy. Aby przedstawić wnętrze jednej ściany w sali, przez nas opisanej, skupiono na szczupłem stosunkowo miejscu zbyt wielką ilość przedmiotów. Cierpią na tem szczególnie wielkie obrazy, jak: „Orgia rzymska“ i „Śmierć Messaliny“, ponieważ w takiem zdrobnieniu wszystkie osoby wychodzą jak w mgle, zupełnie niewyraźnie.

Jako rodzajowy obraz uważamy za doskonały Wincentego Wodzinowskiego „Odpoczynek żniwiarzy“ (nr. 283.) Znużeni pracą dzienną żniwiarze, a jeśli nas fizjonomia nie myli Mazury, rozłożyli się na murawie. Dziarski chłop w białej sukmanie porwał się z siedzenia. Stoi po prawej stronie obrazu, wyprostowany jak dąb, z kosą w ręku. Fajkę wyjął z ust i opowiada coś zdaje się bardzo wesołego; bo całe towarzystwo mimo widocznego znużenia przysłuchuje się uważnie, twarze przybierają wyraz błogiego zadowolenia. Grupa świetnie oddana. Ani razu nie zbiła autora z tropu rozmaitość twarzy i pozycyj, choć słuchaczów i słuchaczek żniwiarzowi przysłuchuje się kilkunastu. Szczególnie dobrze oddana baba, po lewej stronie obrazu pod drzewem w stojącej pozycji umieszczona, biorąca się za boki z wielkiej radości i zazierająca mowcy wprost w oczy. Dobrze też oddana figura młodej włościanki, spoczywającej po lewej stronie obrazu w leżącej pozycji z uśmiechem zadowolenia na ustach.

Jako rodzajowy zadowalnia nas już w cokolwiek mniejszym stopniu Warszawianki Zofii Stankiewiwej czy Stankiewiczówną (nie wiemy, która pisownia najwłaściwsza?) obraz, zaopatrzony nrem 227m a zatytułowany: „Przy ognisku“. W śnieżnej nocy przed dużą dwupiętrową kamienicą ubodzy ludzie wzniecają ognisko, aby skostniałe rozgrzać członki. Taki prymytywny sposób grzania się dopuścilibyśmy jako rzecz zwykłą na wolnem polu; praktykowany on tam nieraz przez pastuchów; w Galicji

w żadnem mieście na zakładanie podobnych ognisk nie zezwolonoby, chyba, że w Warszawie pod tym względem inne panują prawa. Pominąwszy ten drobny szczegół — układ grup, tło, — jednem słowem wszystko dobrze oddane.

Tych samych pochwał oddać obrazowi Warszawianina Franciszka Ejsmonda nie możemy. Obraz rzeczony (nr. 50 katalogu) ma według tytułu przedstawiać „głowę starca“. Gdyby tytuł opiewał cokolwiek inaczej; gdyby ta głowa miała być głową uczonego, badacza, człowieka znużonego dzienną pracą, ale w sile wieku się znajdującego, — à la bonne heure! ale pod żadnym warunkiem głowa starca! Ten wrzekomy starzec nie ma ani jednego siwego włoska; ten wrzekomy starzec nie ma ani jednej bruzdy na czole; ten wrzekomy starzec wygląda na bardzo silnego człowieka, który jeszcze pięćdziesiątki nie przekroczył a na którego twarzy tylko unużenie po pracy widoczne.

Jako portret zadowalnia nas już o wiele więcej, reprodukowana w katalogu przez Dyrekcję postać en face hrabiny K. T., (rzecz wykonana przez Ludomira Janowskiego z Wilna a zaopatrzona nrem 78m.) Hrabina przedstawia nam się tu w stojącej postaci. Do młodziutkiej, lekko zaróżowionej twarzy o ciemnoblond włosach, zastosowuje się bardzo dobrze suknia chamois o lekkim décolté.

Wyborny jest Warszawianina Juljana Maszyńskiego obraz olejny, zaopatrony nrem 147m a zatytułowany: „Nawiedziny towarzyszy“. Przed domostwem swojem wiejski szlachcic z siwym włosem oczekuje dawno zapowiedzianych a przybyłych teraz na odwiedziny towarzyszy. Bramy dworu szeroko roztwierają się na przyjęcie miłych gości. Stary radby je z zawiasów wysadził, aby tylko przyjmować serdecznych druhów. Umieszczony po prawej stronie stoi on, wyprostowany jak dąb, w białym żupanie i czerwonych butach z nieodzowną butelką w ręku, z której radby przypijać natychmiast do gości. Za nim w tyle stoi chłopak, zdaje się syn gospodarza, który już beczkę wina wytoczył, aby gości przyjmować, co się zowie! Po lewej stronie młodzieniec

dzielny — być może, że starszy syn gospodarza — uchyla bramę i podważa nogą, aby gościom wstęp ułatwić. Niebo czyste, ani jedną chmurką nie zasłonięte, tworzy tło prześlicznego obrazu, który jako rodzajowy zaliczam do pierwszorzędnych a jako obraz gościnności polskiej tak samo.

Scenę dworską z czasów upadku Polski przedstawia nam obraz olejny Wacława Pawliszaka z Rzymu, zaopatrzony nrem 172-m a przedstawiający „Orzelskę i Augusta II“. Autor przedstawia nam pamięci niechlubnej kurtyzanę w niebieskim ubiorze dworskim, spieszącą na polowanie w towarzystwie króla. Otoczenie całe nosi charakter epoki: harcaby, kapelusze trzygraniaste, pludrowe spodnie i t. p. Para gończych psów wyprzedza kawalkatę: że jednego z nich niebiesko ufarbowano, to należy chyba do osobliwości malarskich.

Widok tej grupy, aczkolwiek z dziejów Polski wziętej i z pewnością wiernie oddanej — jednak niemiły dla nas. Wolimy sto razy niezrównane widoczki Tadeusza Rybkowskiego, zaopatrzone nrami 211m i 212m, przedstawiające zgodnie z prawdą: „Odpust na Kalwaryi Zebrzydowskiej“ i „Targ w Bieczu“. Figurki wszystkie tu w najdrobniejszych rozmiarach reprodukowane, a jednak jak wiernie! Toż to prawdziwe cacka!

Warszawianina Stefana Dąbrowskiego malowidło olejne, zaopatrzone nrem 43m a zatytułowane: „Krajobraz zimowy“ — ma również wielkie zalety. Na tle zimowem, przy zachodzącem i ozłacającem wszystkie przedmioty ostatniemi promieniami słońcu — widzimy wieś we śnie pogrążoną. Cisza dokoła, której nie przerywa ni to szczekanie psa, ni to krok przechodnia. Jako sztafaż obrazowi służy las po prawej i lewej stronie się rozciągający i woda zaskrzepła lodem, oddanym z taką wiernością, iż się szklnie na obrazie. Nie brak także szuwarów nad brzegiem wody, nie brak porozrzucanych tu i owdzie chałupek wiejskich, ani kościółka dla uzupełnienia bardzo dodatniego całości.

Jeśli już wzmiankę o obrazach uczynić mi wypadło, to nie mogę zamilczeć o osobliwszym ro-

dzaju tychże, w tej samej sali umieszczonych. Są to Józefa Hakowskiego z Krakowa płaskorzeźby w srebrze, przedstawiające w reprodukcjach według oryginałów Matejkowskich „Kościuszkę po zwycięztwie pod Racławicami,“ i „Rejtana“ (nra 403 i 404 katalogu.) Pomysł umieszczenia tych płaskorzeźb poza całym szeregiem innych, tak że trudno ich się dopatrzeć — bardzo był nieszczęśliwy i nieudały! Rzeczoznawcy oświadczyli mi, że Tobiaszowi Kohnowi, wystawcy ślicznej płaskorzeźby, przedstawiającej „Obronę Trembowli“ krzywda się stała, ponieważ go umieszczono w pawilonie przemysłowym a nie w pałacu sztuk pięknych; ale lepiej dla niego, że w pawilonie przemysłowym figuruje, aniżeli, żeby miał figurować jak Hakowski, nie widziany prawie przez nikogo.

Omawiając Hakowskiego płaskorzeźby w srebrze, zamilczeć nie możemy żadną miarą o Juljusza Bełtowskiego prześlicznej grupie z gipsu, zaopatrzonej nrem 385m a zatytułowanej: „Sto lat upadli — nie umarli.“ Grupa rzeczona przedstawia skazanych przez Moskwę na prace przymusowe w kopalniach synów Polski. Wieko ciężkie jak gdyby trumny przygniata ich ciała. Z pośrodka wydobywa się klęcząca postać starca z krzyżem ku górze wzniesionym; u prawego boku starca kobieta z niemowlęciem przy piersi spoczywa. Wzrok jej zwrócony ku młodemu więźniowi — może bratu — pracującemu z kilofem w ręku. Prześliczną tę rzeźbę ofiarował jak wiadomo artysta zupełnie bezinteresownie gminie miasta Lwowa na pamiątkę. Przy tej sposobności nadmieniam, że Bełtowscy to rodzina mieszczańska nowotarska.

Pięknie przedstawia się także Cypriana Godebskiego z Paryża grupa mitologiczna z gipsu, zaopatrzona nrem 401m a przedstawiająca Wenerę, poskramiającą lwa. Wymieniam jeszcze z rzeźb, nader licznie w tej sali umieszczonych Tadeusza Barącza ze Lwowa „biust Smolki“, zaopatrzony nrem 382m a odznaczający się łudzącem prawdopodobieństwem rysów. Smolka przedstawiony tu w naturalnej wielkości prawie aż do kolan w bogatym polskim stroju.

Dla zwolenników wielkości Krakowa i sławnych jego mężów wystawił znowu Mieczysław Zawiejski z Florencji popiersie Dra Dietla z marmuru (nr. 439.) Twarz tego uczonego i męża stanu odznacza się wielką powagą, prawie angielską, podobieństwo do Palmerstona rażące. Tegoż samego autora „Studjum“ (zaopatrzone nrem 448-m) przypomina nam cokolwiek rysy Słowackiego. Piękne studja w terrakocie wystawili Barącz i Zawiejski, jeden biust starca (nr. 378) a drugi biust młodej kobiety (nr. 447.)

Z wybitniejszych osób, odgrywających w życiu politycznem, literackiem i społecznem Polski porozbiorowej wybitniejszą rolę, godne tu wzmianki: Matejko, w gipsie przez Barącza wymodelowany (nr. 377 katalogu), Lenartowicz (mała figurka z bronzu, wykonana przez Teodora Rygiera w Rzymie, nr. 430 katalogu), oraz Kardynał Dunajewski (popiersie z marmuru, wykonane przez Mieczysława Zawiejskiego.)

A teraz przejdźmy się do drugiej sali. Mniej tu znajdziemy rzeźb a obrazów nierównie więcej.

Na samym wstępie widzimy tu wykonany przez Mieczysława Reyznera w naturalnej wielkości portret uczonego Jana Dybowskiego (nr. 206.) Przedstawiony badacz, mężczyzna w sile wieku z przyjemnym wyrazem twarzy, w siedzącej postaci. Na stoliku rozłożona mapa. Widzimy go piszącego. Obraz realistycznie pojęty i wykonany, nie obraża jednak dobrego smaku w niczem i zasługuje na wszechstronne uznanie.

Tego samego nie powiemy o Anny Bilińskiej olejnym obrazku, zaopatrzonym nrem 25m a mającym przedstawiać „Widok zbliżającej się burzy.“ Czy z bliska, czy z daleka widziany — wywołuje obraz rzeczony okropne wrażenie. Powiedziałbym, że to tryumf plein-airystów najgorszego kierunku. Widzimy coś na kształt niby chmury, niby rozpuszczonego w wodzie mydła, niby łąki, a powiedzielibyśmy raczej błota żółtego, roztopionego — a w pośrodku czarno-zieloną smugę. Co to takiego? Niech odgadnie kto inny. Ja sobie nad widokiem tej nadciągającej burzy głowy łamać nie pragnę, ponieważ widziałem już niejedną, inaczej jednak się

przedstawiająca. Przejdźmy się do innych przedmiotów, mających cokolwiek więcej sensu i poezji malarskiej.

Ponad bezmyślną chmurę czy burzę stokroć wyżej cenię ja sobie bezmyślne bydełko, umieszczone w ślicznym obrazie olejnym Tadeusza Kruszewskiego, zatytułowanym: „Poranek“ i zaopatrzonym nrem 111m. Jest to krajobraz bardzo szczęśliwie obmyślany. Wiejska baba w stroju naszych Rusinek szarym rankiem pędzi bydło na pastwisko. Zdaje się, że to jesień; wskazują na to ogołocone z liści smutne konary drzew. Perspektywa — to powietrze ołowiane, ciężkie, ten kolor nieba, — wszystko to tak świetnie oddane, że trudno o coś bardziej doskonałego w tym kierunku.

Jakim sposobem Wilhelm Stryowski z Gdańska obrządki religijne galicyjskich żydów podpatrzył, które on nam w obrazach swoich uwydatnia, nie wiem. Ale obraz jego, zaopatrzony nrem 235-m a przedstawiający „Modlitwę żydów po długiej nocy w Galicji“ ma niezaprzeczone i wielkie zalety. Widzimy całą gromadę żydów, zbitą w gęstą kupę, na wychodnem z bożnicy. Księżyc rzuca blade swoje promienie na grupę modlących się. Wyrazy twarzy żywcem zdjęte z natury, że lepiej nie można. Tło nawpół zamroczone wybornie przyczynia się do uwydatnienia wyrazu w oczach każdego z osobna.

W sali, przezemnie opisanej, znachodzą się także portrety dwóch literatek polskich. Jedna Anda znana już w szerszych kołach, choć nie dawno dopiero wystąpiła na pole literackie. Portret rzeczony, zaopatrzony nrem 6m a wykonany przez Augustynowicza, odznacza się wielką stanowczością i męzkością rysów; mało jest tam a raczej nic nie ma z miękkiego usposobienia kobiecego. Charakterystyczny to w swoim rodzaju obraz.

Prawdziwy kontrast do niego tworzy Anieli Pająkównej portret panny Z. S. (Sony), nr. 166. Znam tę autorkę osobiście i poznałem ją według obrazu natychmiast. Jest to najwyższa pochwała, którą oddać mogę talentowi Pająkównej jako artystki, jeśli oświadczam, że bez podania jakichkolwiek

bliższych szczegółów, przedstawioną przez nią autorkę podług obrazu poznałem i tożsamość rysów sprawdziłem. Panna Z. S. przedstawiona w lekkim i letnim białym muślinowym ubiorze. Stanik nieznacznie wcięty. Ozdób powierzchownych tam nie wiele; jeden tylko bukiecik fijołków przy piersi. Włos i oko czarne odbijają bardzo dobrze od bladej cery i od białego stroju.

W obec opisanych przezemnie portretów kobiecych ma „portret damy“, wykonany przez Jana Ciąglińskiego (nr. 40 katalogu) mało wdzięku i siły atrakcyjnej. Nie odznacza się ta „dama“ męzkością i energją rysów panny A. Cz., nie posiada kobiecej miękkości panny Z. S.; ale wygląda jak prosta kucharka. Ani jednego idealnego rysu, ani jednej wyższej myśli w tej twarzy, a czoło niskie, okryte włosem impertynencko rudym, podczas gdy mięsiste i obnażone aż prawie do szyi ramiona takie wrażenie wywołują, jak gdyby to jakaś praczka a nie dama z wyższego towarzystwa była.

Wielkie znaczenie ma Styki w tejże samej sali umieszczony poważny obraz: „Dwa światy“ (nr. 237.) Autor przedstawia nam w tych dwóch światach gasnący i rozpadający się w noc zapomnienia wraz z całym zasobem swoich rozpust i orgij — świat pogański, podczas gdy świat chrześciański — na razie nieznaczny, gnębiony, poniewierany przez Neronów i im podobnych tyranów, jednak powołany został do rychłego zwycięztwa. Pod zasłoną szarego tła zapadającej niebawem nocy mają chrześcianie chować na wieczny odpoczynek jednego z swego grona, podczas gdy równocześnie pogańskich służebników zgraja heterę nagą na noszach gdyby w tryumfie obwozi, posłuszna woli Cezara, który się z jej wdziękami popieścić pragnął. Po drodze krzyżuje się wzrok pogan z wzrokiem wyznawców wiary Chrystusa. W wzroku pogańskim czytamy bezmierną pychę, rodzaj wyzywania, pokorę w wzroku chrześciańskim. Obraz ten, głęboko obmyślany, z pewnością nie przejdzie bez wrażenia.

Z czasów zamierzchłych w nowożytne przenosi nas Apolinary Kotowicz swoją Telimeną (nr. 104.)

Zalotna Francuzica, którą Mickiewicz w swojej epopei uwiecznił, przedstawiona tu rozciągająca się na trawniku w pozycji niedbale lubieżnej z otwartą piersią i otwartą również książką, która tu jednak tylko na niepotrzebne akcesorjum wygląda, oczy czytelniczki bowiem biegają w świat zupełnie innemi śladami. Pozwoliłbym sobie uwagę, że Telimena jako wyrafinowana kokietka możeby sobie dla swojej sukni stosowniejszy kolor dobrała, a nie tak jaskrawo czerwony, krzyczący i niegustowny.

„Wieczornicę“, ale nie góralską, przedstawia nam wielki olejny obraz Kaczora-Batowskiego (nr. 15.) Widzimy jakieś panie dworskie na krzesłach wyplatanych siedzące i przysłuchujące się grze na gitarze ulubionego minstrela. U nóg pań dziecko spoczywa na barwnym dywanie; od kominka bucha ogień i rzuca czarujące światło na twarze i postacie grajka i przysłuchujących mu się. Technika obrazu znakomita, gra świateł i cieni w najwyższym stopniu wydoskonalona. Przy tej sposobności dodajemy od siebie uzupełniającą wzmiankę, że młody artysta był uczniem szkół lwowskich, gdzie już w najmłodszych latach zamiłowanie ogromne dla malarstwa okazał. Jako uczeń szkół realnych był jednym z najlepszych rysowników. Towarzystwo pedagogiczne najpiękniejsze swoje drzeworyty zamówiło według rysunków, które Kaczór-Batowski w większej części sam wykonał. W książce illustrowanej: „Ślady króla Jana“ znajdzie czytelnik także ślad pracy Kaczora-Batowskiego. Jako stypendysta lwowski poszedł następnie młody ten artysta w świat i miło nam powitać na obecnym turnieju sztuki jako skończonego artystę tego, który jeszcze w roku 1883m licho wynadgrodzone rysunki na obstalunek wykonywał.

Wielkie zalety — każdy w swoim rodzaju — mają też dwa portrety, wykonane przez pannę Pająkównę a zaopatrzone nrami 168m i 170m. Widać wielki artyzm w wykonaniu i wypracowaniu. Nr. 168 przedstawia nam „pannę M. M.“, nr. 170 „studenta“ z torebką przez plecy przewieszoną i z słomianką w ręku, reprodukowanego także w katalogu

Dyrekcji. Choć i studentowi nic z resztą zarzucić nie mogę, to sądzę jednak, że portret panny M. M. nieskończenie więcej artyzmu zdradza. Prawda, że i pozycja ciała, gesty, ruchy, wyraz wielką odgrywają tu rolę. Panna M. M., cała odziana w śnieżną biel, w stojącej pozycji z rozpuszczonemi jasnoblond warkoczami, z główką lekko na bok przechyloną, pozuje widocznie na Ofelję Szekszpira, a panna Z. S., również w śnieżnej bieli z bukiecikiem fijołków w staniku na Zosię Mickiewicza.

Nie możemy tej sali opuścić, nie uczyniwszy bodaj pobieżnej wzmianki o dwóch rzeźbach, tutaj umieszczonych. Pierwsza z tych rzeźb przedstawia Morfeusza w stojącej postaci z założonemi na piersiach rękoma. Katalog zaopatrzył rzeźbę tę nrem 387m i podaje jako imię autora czy autorki (rozstrzygnąć tego na razie nie możemy) imię o dziwnych dźwiękach, o jakiem my dotąd nigdy nie słyszeli. Jest to Tolla Certowicz z Paryża. Figura z bronzu wykonana, więcej nieskończenie ma podobieństwa z jakimś starym niemieckim pedantem szkolnym, aniżeli z Morfeuszem. Jakie znaczenie sowa, godło Minerwy, u nóg Morfeusza mieć może — nie pojmujemy również. Wszakże wielkiej mądrości, ani rozumu nie trzeba na to, aby się wyspać.

Więcej o wiele przemawia nam już do serca i do myśli biust, wykonany przez Teodora Rygiera, zaopatrzony nrem 427m a przedstawiający Lirnika Mazowieckiego. Patrzy on z rzeźby tej w świat z twarzą, pełną męzkiej stanowczości, z okiem w pół rozwartem, wąs z fantazją ma do góry podkręcony, jednem słowem: dzielna fizjonomia.

A teraz przejdźmy się do trzeciej sali.

Tu na pierwszy rzut oka widzimy tę, która tyle innych fizjonomij znajomych i przyjaciółek z takiem życiem oddała a sama tutaj skromnie w kącie wisi — Anielę Pająkównę (nr. 169.) Czy i swoje rysy tak wiernie oddała, jak innych — nie dociec nam tego, albowiem artystki osobiście nie znamy. Ale mimowoli narzuca nam się z pewną natrętnością pytanie, czemu nie umieszczona w drugiej

sali razem z odźwierciedlonemi przez nią postaciami, tem bardziej, że obraz jej do nabycia? Od siebie zaś powiemy, że kto szuka powierzchownych odznak piękności w rysach kobiecych, w układzie twarzy, we wszystkiem — ten tu wiele tych przymiotów nie znajdzie; ale znajdzie natomiast wiele myśli w tej bladej twarzy, patrzącej z ukosa na świat i ludzi i — na próżności ludzkie. Próżnościami temi panna Pająkówna zdaje się zupełnie pogardzać. Skromnie odziana, z czarną suknią futerkiem obramowaną, z czarnym kapeluszem na głowie wygląda, jak gdyby się przygotowała do wyjścia z domu chyba — aby szukać nowych wrażeń i nowych fizjonomij.

Jeśli widok „Burzy", dosyć niezręcznie naznaczonej przez Bilińską, pod każdym względem najwyższe niezadowolenie w nas wzbudził, to natomiast pogadza nas znowu z nią wielki jej obraz olejny, zaopatrzony nrem 24m a przedstawiający „Polityka." Wybornie oddana postać starego polityka, z zawodu zdaje się należącego do stanu rzemieślniczego — przemawia bowiem za tem przypuszczeniem fartuch szaroniebieski, jaki zazwyczaj rzemieślnicy przypasują, nie chcąc sukni zabrukać. W siedzącej postaci z twarzą en fâce trzymaną a lekko pochyloną przedstawiony, opiera on się lewą ręką o poręcze krzesła, trzymając w ręku gazetę, od której przed chwilą wzrok z miną dziwnie przebiegłą odwrócił, jak gdyby mu właśnie teraz wypadło, ważną jakąś kwestję polityczną rozstrzygnąć. Prawa ręka nieco zgięta, palcem średnim dotyka się piersi, jak gdyby na jakiś ważny szczegół uwagę ogółu zwrócić pragnął. Na kolanie spoczywają rozmaite broszury, listy i gazety.

Ucieszyłem się, kiedy wstąpiwszy do tej sali, tamże widziałem zapowiedziane w katalogu sławne obrazy Siemiradzkiego. Świetnością barw, kolorytem południowym wyszczególniają się wszystkie. Ale niestety! to nie n a s z kraj i nie n a s z lud, te widoki z włoskiego nieba zapożyczone a nie z naszego: na tym ośle włoski mieszkaniec Kampanii spieszy „na targ" a ja zamiast niego wolałbym hucuła kossow-

skiego na koniu. W „Sielance“ (nr. 219 katalogu) znowu widzimy wyobrażone włoskie postacie, włoską florę, włoskie niebo. Czy Siemiradzki, ten genjalny malarz polski, nie zdobędzie się już na żaden polski temat dla swoich dzieł?

Jakże inaczej do serca i do wyobraźni naszej przemawiają „Rybacy“ Stanisława Witkiewicza (nr. 278)? Ktoby się dzisiaj ośmielił, takiego Witkiewicza porównać z Siemiradzkim? Gdzie tu ten blask, ta świetność barw i kolorytu? gdzie przymioty, właściwe tylko wielkim mistrzom, a w pierwszym rzędzie twórcy „Świeczników Chrześciaństwa?“ Nic z tego wszystkiego nie ma tutaj, ale znajdziemy natomiast motywa nasze, motywa swojskie. Ta prosta baba, uśmiechająca się prostackim uśmiechem, gdy podniósłszy niebieską spodnicę przez wodę się przeprawia, ta nam więcej warta, niż Rzymianka w „Sielance“, zrywająca kwiaty; to powietrze ostre od gór więcej ma dla nas ponęty, aniżeli włoskie niebo; w wyższej cenie u mnie rybacy, w kruchej łódce przez wodę się przeprawiający, aniżeli ta cała Kampania włoska z jej wdziękami.

„Mgła wiosenna“ Witkiewicza (nr. 272) ma również wielkie zalety. Autor rzeczonej pracy ma tę właściwość, że małemi tylko pracując środkami i nie starając się o efekt zwłaszcza krzyczący, jednak efekt ten w całej pełni zdobywa. Cóż np. moglibyśmy sprawiedliwie sądząc tak bardzo podziwiać w takiej „Mgle wiosennej“, obrazku z natury, nie urozmaiconym ani jednym żywym przedmiotem? Podziwiamy naturę, która wśród ogólnej martwoty żywą jest. Doskonale oddane te drzewa, które się jeszcze zielenią nie okryły, ale i łąka i mgły szare nie gorzej oddane.

Od natury, która się dopiero odradzać zaczyna, do ludzi żywych, jeden tylko mamy skok.

Ułatwia go nam Juljusz Zuber w swojej „Pieśni o opryszkach“ (nr. 298.) Z jakiem nabożnem skupieniem słuchają ci huculi pieśni o „zbóju“, o Doboszu? Stary, po lewej stronie obrazu umieszczony, jednostajnym śpiewem akompaniuje się na instrumencie domorosłym. W około niego skupieni

słuchacze gestami najrozmaitszemi udowadniają współudział swój. Przyczołgali się na kolanach: stary góral, gospodyni jego i syn. Stary wytrzeszczył oczy na pieśniarza i zaciska pięście; młody rozdziawia usta szeroko, oczy również ma wlepione w twarz pieśniarza; baba pochwyciła za topór, jak gdyby tuż tuż nadciągnąć miał Dobosz, ów słynny uwodziciel krasawic wiejskich i miejskich, ów podpalacz i morderca.

Dzieje, w których taki Dobosz jeszcze rolę odegrać mógł w społeczeństwie i straszyć nawet królów — przeszły bezpowrotnie. Historja polska, o ile ona cały obszar Polski albo też pojedyncze lecz ważne wypadki historyczne obejmuje, większe w nas budzi zainteresowanie, aniżeli postać huculskiego Rinaldiniego.

Świetny jest obraz Wojciecha Kossaka, zaopatrzony nrem 97m a przedstawiający „Józefa Obertyńskiego majora wojsk polskich pod Połonną“ (1792.) Talent ojca przeszedł na syna i zdradza się każdym ruchem ręki, każdem pociągnięciem pendzla! O tym obrazie, który Dyrekcja także w illustrowanej reprodukcji umieszcza, nie będziemy się tu długo rozwodzili. Zdaje nam się bowiem, żeśmy ten obraz już na krakowskiej wystawie oglądali. W ogóle jest tu kilka takich obrazów, znanych mi z krakowskiej wystawy; widzę je tu po raz wtóry, widzieli i poznali je także inni sprawozdawcy. Natomiast brak zupełny obrazów Łuskiny, któremu się bodaj skromny kącik i tu należał, a którego obrazy na krakowskiej wystawie miałem sposobność poznać i podziwiać.

Ha! cóż robić! jednemu się wiedzie a drugiemu nie! Hr. Leonowi Pinińskiemu wiodło się tak, że choć młody, doprowadził do wielkich zaszczytów a ponadto znalazł jeszcze malarza w osobie Kazimierza Pochwalskiego, który jego rysy pełne dystynkcji w olejnym obrazie (nr. 177) unieśmiertelnił. Ale na tem nie koniec! pan hrabia znalazł bowiem także wielbiciela w osobie Dra Leona Feuersteina, który go w ognistej dytyrambie chwali, jaką my prości ludzie przywykli zastosowywać tylko do największych genjuszów

i ludzi najbardziej zasłużonych a którą też dla osobliwości w mojem tłumaczeniu przytaczam:

„Wyższej wart czci jest ów mąż mi,
Co zacne szerzy działania!
Choćby wśród zdrad po drodze padł,
Dosięgnie celu — świtania!
Nad ból i zgon wzniesie się On,
On szczęsny wybraniec chwili!
Gdzie nie mógł być Bóg, tam posłał swych sług,
By prawo światu głosili!“

Nie możemy tej sali opuścić, nie uczyniwszy poprzednio wzmianki o przepięknych obrazach Aleksandra Gierymskiego, z których jeden, oznaczony nrem 59m, przedstawia: „Święta Trąbek“, drugi, oznaczony nrem 60m: „Anioł Pański“ a trzeci, wykazujący nr. 61szy, przedstawia autora samego; poświęcimy także kilka słów obrazowi Kaczora-Batowskiego, przedstawiającemu „Kniazia Juriego I. u malarza ikonów“, poczem rzuciwszy jeszcze okiem na niektóre rzeźby w trzeciej sali umieszczone, przeniesiemy się do czwartej.

Pójdziemy według porządku a więc rozpoczniemy niniejszy pogląd od „Święta Trąbek.“

Obraz ten wielki i piękny uderza nas oryginalnością pomysłu. Rzecz wzięta z obrzędów religijnych żydowskich; ale żydzi nie nasi galicyjscy. Poznać to po ubiorze i po czapkach z płaskim daszkiem. Fizjonomje także rosyjskich żydów, nie naszych a okolica warszawska. Widzimy zatokę, do której zawinęły tratwy i łodzie moskiewskie. Na pokładzie przechadzają się dwaj Moskale, po prawej stronie obrazu umieszczeni. Po lewej widzimy gromadę żydów, wychodzących na przeciw i modlących się pojedyńczo, albo stojących grupami. W głębi widać chatę, ocienioną rozłożystemi drzewami, pod nią przechadzają się także pojedyncze grupy. Słońce zachodziło, księżyc niebawem się ukaże, refleksy chmur i światła, odbijającego się w wodzie, świetnie oddane, w niemniejszym stopniu fizjonomje osób.

Jeśli Gierymski nie idealizując, ani też nie karykaturując, samą powagą przedmiotu najgłębsze wywołuje wrażenie, to zdaje się nam, że to wraże-

nie potężnieje i więcej jeszcze sił nabiera, gdy z grup większych przechodzi do pojedynczych figur. Słaby znawca i płytko myślący powiedziałby: „Toż to nic nie jest trudnego! łatwiej jedną lub dwie figury wielkie wymalować, aniżeli cały szereg drobnych.“ Nie podzielam tego zdania. Gdzie wielka moc głów i osób działających, tam znajdzie się także dosyć figur podrzędnych, nie wymagających może tak starannej i wielkiej pracy; gdzie tylko pojedyncze osoby na pierwszy plan obrazu występują, tam każda z nich jest główną i osobliwszych wymaga starań.

Obraz Gierymskiego, zatytułowany: „Anioł Pański“, choć ogromny rozmiarami, trzy razy większy nawet od „Święta Trąbek“ — zajmuje się tylko dwiema osobami jako głównemi a nawet jedynemi czynnikami.

Rzecz dzieje się na wolnem polu, słońce znikło już z horyzontu, wieczorna zorza nie ozłaca promieniami swemi ziemi, widzimy natomiast silne refleksy białawo-zielonawe, jakie księżyc na opuszczoną ziemię rzuca. Noc zaskoczyła pracownice na polu, Anioł Pański głosem donośnym dzwonu daje znak na odpoczynek po wszelkiej pracy. Trzeba się przypatrywać fizjonomiom żniwiarek, trzeba się wpatrywać w wyraz twarzy, aby poznać, z jakiem głębokiem mistrzowstwem Gierymski nam tę chwilę odźwierciedla! Na zieleni w głębi obrazu po prawej stronie usiadła jedna z żniwiarek, widocznie starsza. Biały czepek, biała na piersiach otwarta koszula i kolorowa spodnica — to cały strój tej kobiety z ludu. Ręce złożyła do cichej modlitwy, oczy biegną w dal. Przed nią po lewej stronie obrazu stoi młodsza, cała wyprostowana, grabie opierając o ziemię. I ona złożyła ręce do modlitwy, wyraz twarzy jednak odmienny, głowę, kolorową chustką owiniętą, pochyliła lekko na bok w zadumaniu. O czem obydwie kobiety w tej chwili myślą — jakże trudno dociec! jakże trudno rozstrzygnąć, czy w uczuciach nabożnych nie główny udział przypada cierpieniom ziemskim! Jest to cicha modlitwa serca, nie bezmyślnie, ani według pewnego szablonu wypowiedziana, ale modlitwa tego rodzaju, która prę-

dzej niebiosa przebije, aniżeli niejedno namaszczone pychą ziemską słowo obłudnika i świętoszka!

Przejdźmy do trzeciego obrazu Gierymskiego: w tym obrazie artysta samego siebie sportretował. W jakiej pozycji miałby to uskutecznić? Ten lub ów, nienależycie obeznany z prawidłami sztuki, poczyta może autorowi za ogromną zarozumiałość, że się nam przedstawia en fâce, trzymając w prawej ręce pendzel a w lewej paletę. I tu jednak pozwolę ja sobie cokolwiek odmienne objawić zdania.

Jeśli nie poczytujemy za zarozumiałość komponiście popisu na ulubionym instrumencie; jeśli poeta pióra gęsie lub stalowe, stanowiące tylko bierne narzędzie jego myśli, na równo prawie ceni z myślą samą i to tak dalece nawet, że się o znakomitych autorach pisze, iż mają „złote pióra“ — to czemuż malarz-artysta niżej miałby cenić pendzel i paletę, stanowiące podwalinę jego sławy? Już prędzej to poczytałbym za zarozumiałość niektórym głośnym artystom, że w obrazach historycznych, ożywionych większemi grupami, siebie samych przedstawiają jako krzewicieli wielkich idei, jako męczenników światła, a przeciwników w śmieszne i wstrętne przyoblekają kształty!

Gierymski dla portretu swego wybrał tło rembrandtowskie, czarne. Ciemno ubrany stoi w samym środku obrazu, patrząc przenikliwemi oczyma na widza. Głowę lekko na dół ma schyloną, pojedyncze bruzdy na czole, włos przybierający ciemnostalowy kolor — znamionują wiek dojrzalszy, czoło wysokie zdradza głębokiego myśliciela, który nic powierzchownie robić nie lubi. Wielki zapas myśli w tem czole a głowa podłużna, przypominająca kształty periklesowskie, twarz blada i zamyślona — to wszystko razem potężniejsze w prostocie swojej, aniżeli całe tuziny obrazów, na krzykliwy efekt powierzchowny obliczonych.

Zauważać muszę przy tej sposobności, że weszło ostatniemi czasy prawie w modę, że głośni artyści i artystki siebie samych portretują; jest to rodzaj spowiedzi duchowej nakształt tej, którą autor

składa pisząc swoje pamiętniki. I jesteśmy artystom i artystkom wdzięczni za to; ale nie każda fizjonomia nada się może do takiej apoteozy. Przyznamy np., że panna Olga Boznańska (nr. 29 katalogu), sportretowawszy siebie samą w modnej białej sukience z białym kapeluszykiem na głowie — bardzo piękny i miły stworzyła obrazek, przypominający nam rysy pensjonarki, ponadto nic! Inne są autoportrety Gierymskiego i Gottlieba, po których się wrażenie nie tak prędko zatrze.

Wypada nam z kolei omówić jeszcze Kaczora-Batowskiego historyczny obraz, zatytułowany: „Kniaź Jurij I. u malarza ikonów“ (nr. 14 katalogu.) Rzecz wzięta z dziejów Rusi. Pracownię malarza ikonów, czyli ruskich świętości kościelnych, odwiedza kniaź wraz z całym swoim dworem. Trzeba się tylko patrzeć na tę twarz brodatą kniazia! Z jakiem on tu nabożeństwem ukląkł przed obrazem świętym, którego zasłonę malarz — mnich w kapuzie — w tej właśnie chwili uchyla. Za księciem nieco w głębi po lewej stronie obrazu umieszczony orszak jego. Dumnie wyprostowany starzec z odkrytą głową, z książką w ręku, odziany w płaszcz ciemno-niebieski — to zapewne wysoki dygnitarz dworski, kobieta młoda z rękami na piersiach skrzyżowanemi, to może kniahyni sama; reszta orszaku nie bardzo wyraźnie wypadła, bo i miejsce szczupłe, tylko starzec w samym kącie z głową na bok się zwracającą i z oczami, zdającemi się przeniknąć na wskróś i malarza i tegoż obraz — uwydatniony bardzo wyraźnie. Przez okno zakratowane i liściem zielonym obrośnięte wpada światło dzienne. Nie zapominajmy bowiem, że odwiedziny odbywają się w klasztorze.

Z rzeźb w trzeciej sali umieszczonych, uwydatnić mi wypada jeszcze Tadeusza Barącza biust Lenartowicza, zaopatrzony nrem 379m a tem się różniący od innych, że autor „Lirenki“ tu przedstawiony z hiszpanką i w fantazyjnem kozackiem ubraniu, w jakiem go w innych rzeźbach i obrazach nie widziałem. Antonina Rożniatowska wystawiła portret pośmiertny Józefa Blizińskiego, biust z bronzu, zaopatrzony nrem 422m a odznaczający się wielką siłą,

Leonard Marconi zaś reprezentowany tutaj projektem na pomnik Kościuszki (nr. 410 katalogu), przedstawiającym nam wodza na koniu z podniesioną w górę szablą.

Na tem skończymy pogląd rzeczy w tej sali i udamy się do następnych, do których dokładnego przeglądania mało nam już nawet czasu pozostało.

W czwartej i piątej sali obok olejnych obrazów mieszczą się także akwarelle.

Wyborne są Juliusza Makarewicza studja i typy z Chmielowy nad Dniestrem. Każdy rys naszego ruskiego chłopa z natury podchwycony, ubiór wiernie oddany, że lepiej nie można. Prawdziwą ozdobę czwartej sali tworzy cała kollekcja nader bogata tych ciekawych typów. Oto np. nr. 136: „Chłopacy wybierający się w drogę.“ Jak dobrze oddana tu mina głupkowato-zafrasowana tych młodzików! Kożuchy na nich o niewymownym kolorze, brudu na nich pełno, w ręku trzymają słomiankę również nieforemną i niezgrabną jak cała ich postać i ubiór. Alboż ci starzy (nr. 135 katalogu), noszący potężne świece, pewnie na żałobny jakiś obrządek religijny; jeden z nich bowiem smutno zwiesił głowę a pod pachą dźwiga ogromną książkę do nabożeństwa, drugi także nie wesoło patrzy. Nr. 140sty w tej samej grupie przedstawia nam znowu, jak świeca zgasła i jak ją chłop za pomocą sąsiada znowu zapala. Trzeba się tylko dobrze przypatrywać wyrazowi komiczno-poważnemu, jaki przybierają ich twarze. Z jaką kłopotliwą miną jeden świecę podaje a drugi z jakiem pobożnem namaszczeniem ją zapala! To są typy niezrównane. Na końcu wymienię jeszcze jeden taki typ Makarewicza, nie mogąc każdego z osobna streścić. Jest to oznaczona nrem 133m baba ruska. Kto takie typy raz w życiu widział, ten ich już nigdy nie zapomni! Wystarczy mu, widzieć je potem na obrazie a choćby i pobieżnie, aby ocenić, czy zgodnie z naturą i rzeczywistością zostały oddane. Nasza baba chodzi w tym samym kożuchu o niemożebnym kolorze, którym się wyszczególniają wszyscy jej bracia i siostry, a dla oddania którego wymyślić trzeba chyba kolor, osobno z lepkiej gliny, błota

i ziemi sporządzony. Chustkę ma białą na głowie a zdaje się, że ją zęby bolą, bo obwiązała dolną szczękę na przemiany znowu czerwoną chustką. Twarz przedstawia się jak gdyby mumii jakiejś. Charakteryzacja ruchów i rysów — wszystko jednem słowem wyborne!

Prawdziwie czarujące wrażenie wywołują trzy pastele Witolda Pruszkowskiego z Krakowa, również w sali czwartej umieszczone. Są to: „Pochód na Sybir“ (nr. 330), „Śmierć Ellenai“ z Anhellego (nr. 331) i Eloe“ z Anhellego (nr. 332.) Sposób wykonania obrazów pastelem ma osobliwsze zalety, których nie widzimy w żadnych innych obrazach. Jeśli na delikatność kolorów i cieni w tych obrazach zważymy, to wyda się nam, jakoby na porcelanie były wymalowane, z porcelany zrobione; to znowu blask taki wielki i olśniewający bije z nich, że oko mimowoli się łudzi, uważając prawie za oświetlenie sztuczne to, co jest tylko mistrzowską grą kolorów, jak np. w „Śmierci Ellenai“, gdzie z góry światło czerwoną strugą pada na twarz postaci, czuwającej u stóp łoża śmiertelnego Ellenai, podczas gdy ostatnie promienie tego światła jeszcze twarz wybladłą dziewczęcia opromieniają. Nr. 332 „Eloe“, także temat z Anhellego wzięty, przedstawia nam cmentarzysko, krzyżami obsadzone. Z jakiem podobieństwem, namacalnem prawie, przedstawia nam się tu każdy przedmiot! Ten śnieg w gęstą kupę zbity, rzekłbyś, że się zapadnie pod twojemi stopami; te krzyże, te drzewa, ogołocone z liści, a nad tem wszystkiem niebo, niezaćmione ani jedną chmurką, po cmentarzysku zaś, — zielonem światłem, gdyby koroną męczeńską otoczony, błąka się duch wędrowca, który po skończonej pielgrzymce ziemskiej, w grobie nawet pokoju znaleźć nie może. Nr. 330 przedstawia nam temat narodowy. Jest to temat, omawiany bezustannie przez najwybitniejszych poetów i malarzy naszych i obcych a niewyczerpany dotąd, ni też nie dający się wyczerpać. To „Pochód na Sybir“. Ostatnie promienie wieczornej zorzy oświetlają krajobraz, otulając go gdyby jakąś fantastyczną czerwoną mgłą. Po

śniegu głębokim kroczą nieszczęśliwi więźniowie krok po kroku bez wytchnienia, za nimi straż moskiewska z nabitą bronią. Z zaspów śniegu sterczy moskiewski słup graniczny. Kto tych obrazów dotąd nie widział, ten nie uwierzyłby, jak potężne wrażenie prawdziwy mistrz najdrobniejszemi nawet środkami osiągnąć zdoła! Od pasteli Pruszkowskiego wzrok zwraca się mimowoli w górę, aby oglądać pastel Anny Bilińskiej, zatytułowany: „Ukrainka“ i zaopatrzony nrem 300m. I ten obraz ma niezaprzeczone zalety; ale zalety te nikną wobec wrażenia, jakie wywołują pastele Pruszkowskiego.

Od pastelów do akwarell jeden krok: nie możemy sali tej opuścić, nie oddawszy należytego hołdu talentowi Juliusza Fałata, który się w dwóch akwarellach, zaopatrzonych nrami 307m i 308m a przedstawiających „Śniadanie myśliwskie“ i „Nagonkę“ świetnie zaprezentował. Jaka to żywość w wyrazie i fizjonomii tych myśliwych, którzy śniadanko na świeżym dopiero co spadłym śniegu spożywają! Natura jak tu wiernie oddana! drzewa z zżółkłemi liśćmi, powietrze jesienne! Myśliwi — jak się komuś udało — po części siedzą grupami na bardzo prymitywnych stołkach, bo na saniach przewróconych, po części chodzą i rozmawiają. Jeden z naganiaczy dworskich, umieszczony po lewej stronie obrazu, ukląkł na śniegu i wznieca ogień celem przygotowania strawy. Nim ją jednak myśliwi spożyją, ten i ów uraczył się już kieliszkiem. Jest to obraz pełen ruchu, życia i swobody.

Drugi obraz tegoż samego artysty, zaopatrzony nrem 308m i zostający w duchowym związku z poprzednim, przedstawia nam nagonkę. Myśliwi posilili się już na drogę. Teraz ma się rozpocząć właściwe dzieło: polowanie. Widzimy jednych, sankami wybierających się w dalszą drogę, drugich chodzących luzem. Cała armja naganiaczy dąży za myśliwymi, las w głębi pochyla konary, śniegiem obciążone. Mniej cokolwiek w tym obrazie życia i ruchu, aniżeli w poprzednim, ponieważ autor przedstawił tu nie chwilę pochodu, ale chwilę przygotowania się do

niego, nie mniej jednak i tu znajdziemy charakterystycznych rysów.

O „Legendach ludowych o Matce Boskiej“ Stachiewicza, jakoteż o rysunkach do „Wallenroda“, wykonanych przez Juliusza Kossaka a umieszczonych również w czwartej sali — nie będziemy się tu rozwodzili, raz że je każdy zna z licznych reprodukcyj a potem, że nam i czasu na podobny opis nie pozostaje wiele.

Rzuciwszy więc okiem jeszcze na dwie rzeźby, wykonane przez Antoninę Rożniatowską, a z których jedna, zaopatrzona nrem 421m, przedstawia biust gipsowy „Lotosu“, symbolicznie w kobiecym kształcie wyobrażony, drugi zaś biust pośmiertny śp. Dra Adryana Baranieckiego, w bronzie wykonany — przejdziemy się do sali piątej.

Z akwarell odznacza się tu „Ułaszkowiecki jarmark“ w trzech pysznych — powiedziałbym prawie chwilowych — zdjęciach, odźwierciedlony przez Michała Sozańskiego. Każdy z tych obrazów przedstawia nam z drobiazgową dokładnością odrębną jakąś fazę tego życia, jakie wre na targu i na ulicy. Małe to obrazki wprawdzie, ale nic im to nie ujmie co do charakterystyczności. Widzimy żydów, zacierających ręce i uśmiechających się nadzieją przyszłych zysków, widzimy chłopkę, zakupującą u żyda towar; widzimy kupców pod namiotem rozkładających towary swoje, a co trzeci człowiek —, to pewnie żyd lub chłop, bo bez nich nie odbyłby się żaden jarmark w Ułaszkowcach.

Ścianę całą w piątej sali zajmują Styki przepyszne rysunki do „Chorału“ Ujejskiego; ale o tych nie będziemy się tu rozpisywali, raz z braku miejsca, a potem także i z tego powodu, że wszystkie te rysunki znachodzą się już w handlu księgarskim, gdzie je każdy, kto chce, nabyć może.

Z działu akwarell zasługują na najwyższe pochwały cztery wielkie obrazy (takzwane Gniewoszowskie) mistrza Juliusza Kossaka, z których dwa, zaopatrzone nrami 321m i 322m, tu wymienimy. Sam autor tych obrazów zaopatrzył pierwszy z nich dumną wzmianką: „Hors concours“ — to znaczy, że

się nie obiega o osobne nagrody, co wszakże nie przeszkadza, by publiczność rozumna pochwałami swemi nagrodziła go według należytości.

Nr. 321 przedstawia nam „Jana Gniewosza, sekretarza króla Stefana i pułkownika w bitwie pod Pskowem, 1580.“ Rzecz odnosi się do jednego z przodków zasłużonej w kraju naszym rodziny Gniewoszów, również i następna. Być może nawet, że obydwie akwarelle obecnie stanowią własność tejże rodziny, w którem to mniemaniu nas umacnia herb powyżej umieszczony: być może, że i z tego względu autor na wszelkie nagrody zrezygnował.

Świetnie przedstawia się ta szarża konnicy polskiej w pierwszym obrazie, dopiero tego roku wymalowanym. Widzimy Gniewosza na dzielnym koniu, umieszczonego prawie w samym środku obrazu, z wyciągniętą z pochwy szablą, a ucierającego się z Moskalem, uzbrojonym w topór. Po za nim więcej ku lewej stronie obrazu zbliżony, powiewa proporzec polski. Tłumy polskiego i moskiewskiego wojska ucierają się z sobą z wściekłą zażartością. Po prawej stronie obrazu, koń szlachetny o karej maści rozciąga się po śniegu, śmiertelnie ranny. Niedaleko konia hełm tarza się po śniegu i jeździec leży z głęboką raną opodal. Po lewej stronie obrazu widzimy wojaka, również na śmierć ugodzonego a trzymającego puklerz w prawej dłoni, podczas gdy lewa bezwładnie na śniegu spoczywa z szablą również bezwładną i nieużyteczną. Ale wojsko nie ma czasu na spoczynek. Bój wre w całej sile; konie, napędzone przez jezdców, tratują w dzikim pędzie żywych i umarłych. Moskiewskie wojsko od polskiego nietrudno rozróżnić nietylko fizjonomią, ale i bronią. Podczas gdy polskie wojsko tylko szablą walczy, to wśród moskiewskich szeregów widzimy także topory, łuki, kołczany. Tak atak polski, jak obrona moskiewska zażartością odznaczają się wściekłą; ale zwycięztwo przychyla się na stronę polskiego oręża. Czują to zastępy barbarzyńców, nie mogące się ostać wobec dzielnego wojska polskiego. Widzimy Moskali, pierzchających w dzikim nieładzie, opór traci siły, obrona zmienia się w ucieczkę, a ko-

ścioły i wieże Pskowa, przypominające nam stylem orjentalnym podobne budynki na Bukowinie, poglądają ze zdumieniem na zwycięztwo hufców polskich.

Drugi obraz, zaopatrzony nrem 322m, przedstawia nam „Krzysztofa Gniewosza w obronie własnej chorągwi ginącego pod Chocimem, 1621.“ Obraz ten cokolwiek starszej daty od poprzedniego, wykonany został w roku 1892m. I on przedstawia wielką chwilę w dziejach Polski. Jest to chwila zwycięztwa, choć drogo okupionego.

I tu widzimy jednego z Gniewoszów, w samym środku obrazu umieszczonego, jak stoi przy chorągwi swojej, opierając się nawale muzułmańskiej. Ranę otrzymał już głęboką, bo ma skroń obwiązaną a hełm leży opodal; ale póki sił i życia starczy, nie odda on dobrowolnie sztandaru ojczystego w ręce wroga. Z prawej i z lewej strony nacierają na dzielnego wodza czciciele Mahometa. Widzimy ich z tryumfującą miną, wyszczerzających zęby do szyderczego uśmiechu, dzidy i krzywe jatagany wznoszących w górę. Z prawej strony obrazu widna postać Bajraktara czyli chorążego tureckiego z zieloną chorągwią w ręku, plecami do widza obróconego. Konnica polska z barwnemi chorągwiami czerwono-żółtemi po prawej stronie obrazu umieszczona, naciera nań, z lewej nacierają Turcy na polskie wojsko. Gęsto zaścielone trupami tureckimi pole bitwy, a bitwa pod Chocimem staje się zapowiedzią straszniejszego jeszcze pogromu Turków — pod Wiedniem!

Wymienimy jeszcze rysunek węglem, wykonany przez Warszawianina Antoniego Kamińskiego w Paryżu, 1893. Jest to, reprodukowany także przez Dyrekcję, szkic, zatytułowany: „Na wyżynach“ (nr. 316 katalogu.) Obraz ten przedstawia nam pracownię młodego artysty; wskazują na to rozmaite illustracje i rzeźby, bądźto po ścianach porozwieszane, bądźto w framudze umieszczone. Artysta w niedbałem ubraniu, w kamizelce i koszuli, oparty o rzeźbę po prawej stronie umieszczoną, odczytuje poufnemu gronu kolegów i przyjaciół (a jest ich z ośmiu) najnowszy utwór swojej muzy, którym ich podnieść pragnie „na wyżyny“ ducha. Trzeba się tylko uważnie

przypatrywać fizjonomiom i postaciom słuchaczów. Z wielką, klasyczną prawie niedbałością i oni umieszczeni; jedni z odkrytą głową, drudzy z kapeluszem lub czapką, stojąco, leżąco, siedząco, jak komu wypadło. Dwaj z nich mają cygara w ustach; trzej przyłożyli rękę do czoła, jak gdyby się głębiej zastanawiać chcieli nad treścią tego, co im kolega odczytuje. Że zdania tych młodych nie we wszystkiem się zgodzą na poetyczne wywody prelegenta, że to lub owo, co tu wierszem wypowiedział, spotykać się będzie z zaciętą opozycją kolegów — to już z ich twarzy wyczytać można; ale i to nie podlega wątpliwości, że utwór młodego artysty głębokie w tem małem gronie wywołał wrażenie i przeniósł słuchaczów bodaj na chwilę — „na wyżyny“ ducha.

Lekkim humorem odznaczają się dwa rysunki Stanisława Rejchana z Paryża. Jest to nrem 338m zaopatrzony „Flirt“, do którego niejako uzupełnienie tworzy nr. 339ty „Au coin du feu.“ Sposób rysowania, kompozycji, cieniowania w obydwóch obrazach lekki, swobodny, elegancki — prawdziwie paryski. Jeden z tych obrazów przedstawia „Flirt,“ czyli to lekkie, niewinne kokietowanie, praktykowane czasami w kołach młodzieży arystokratycznej. Widzimy w cieniu altanki siedzących kawalera z cwikierem na nosie i młodą damę, z którą on „flirtuje“; w drugim obrazku dama spoczywa samotnie na krzesełku „au coin du feu“, czyli — aby się po polsku wyrażać: „przy kominku.“ Nóżki odziane w trzewiczki balowe, oparła od niechcenia na poduszce i duma. O czem? nie wiemy, bo któżby tajemnice młodziutkiego serduszka odgadnął? Ale zdaje się, że to dumania, niekoniecznie smutne; twarz jej bowiem lekko uśmiechnięta, czy tryumfem przyszłego zwycięztwa, czy też nadzieją zwycięztw innych — nie wiemy!

Jeśli jeszcze wzmiankę uczynimy o akwaforcie Wandy Strażyńskiej z Paryża, przedstawiającej reprodukcję drzeworytniczą z obrazu Leona Lermitte'a: „La mort et le bûcheron“, czyli po polsku: „Śmierć i rębacz“ — to głównie z tego powodu, aby uwagę inteligentniejszej publiczności zwrócić na gałęź pomocniczą druku, będącą obecnie u nas prawie na

wymarciu, a która dawniej stanowiła główną druku siłę atrakcyjną: jest to drzeworyt, w wielu miejscach obecnie wyrugowany przez cynkografję. Drzeworyty wykonywane mogą być tylko na bukszpanowem drzewie, które przedstawia dla reprodukcji zbyt miękki i siły odporu nie posiadający materjał. Ztąd wypływa także inna niedogodność a mianowicie, że drzeworyty, zwłaszcza większe, już przy pierwszem użyciu się rozpękają, wykazując szkaradne szramy i rysy. Jeśli w dodatku rysownik lub drzeworytnik nienależycie jest uzdolnionym, to nic ohydniejszego przedstawić sobie nie można. Obraz w druku wychodzi rozpękany i sztucznie łatany w kilku a czasem kilkunastu miejscach. Czarny jest w dodatku jak węgiel, że nie poznać nawet, co przedstawia. O delikatnem cieniowaniu takich bohomazów wspominać nawet nie ma co. Gdzie jednak umysł artysty silniej rozwinięty, tam jeszcze panowanie drzeworytu trwa w pełnej sile. Wyrugowała go z Czech firma Huśnika i Häuslera niezrównanemi, mistrzowskiemi cynkografiami, przewyższającemi o wiele sławione dawniej tak bardzo cynkografje Angerera i Göschla; w Cieszynie Prochaska prawie wszystko wykonuje drogą cynkograficzną, w Wiedniu cynkografja także coraz więcej zdobywa terenu, widziałem ją także — choć słabo reprezentowaną — w niektórych illustrowanych wydawnictwach warszawskich. W Monachjum, jak w ogóle w większej części Niemiec, w Paryżu, w Londynie, w Warszawie trwa jednak dotąd panowanie drzeworytu w niezłamanej sile, a drzeworyty z „Münchener Fliegende Blätter“ odznaczają się nietylko dowcipem, ale także techniką rysownika i delikatnością cieniowania, która wszystkich w zdumienie wprawia.

Takim udatnym i bardzo dobrze oddanym drzeworytem jest także reprodukcja illustracyjna Wandy Strażyńskiej, przedstawiająca śmierć, zbliżającą się na zawołanie rębacza, który na wiązance drzewa spoczywa, spoglądając z miną niekoniecznie zachwyconą na nieproszonego gościa.

Jeszcze o trzech rzeźbach w sali tej umieszczonych, uczynimy wzmiankę, zanim ją opuścimy.

Jana Nalborczyka z Zakopanego biust „Sabały“, w gipsie wykonany (nr. 414 A) przedstawia nam ostre rysy starowiny, który jako poeta i bajarz ludowy w małym swoim zakątku, tem się stał dla górali zakopańskich, czem niejeden większy poeta dla ogółu: — postacią bajeczną, fantastyczną, niedoścignioną prawie. Jadwigi Milewskiej portret panny M. W. (nr. 414 katalogu), biust z gipsu, odznacza się wielkiemi wdziękami. Juliusz Bełtowski w płaskorzeźbie, zaopatrzonej nrem 384m, przedstawia nam polowanie na „niedźwiedzia niepołomickiego“, a jest to rzecz, wykonana z wielkiem życiem i siłą.

Z piątej sali, przeszedłszy przez czwartą i trzy główne poprzednio już omówione, dostaniemy się do szóstej.

Sala ta, jak i następna w przeważnej części poświęcona portretom; znachodzą się jednak tu, jak i tam obrazy rodzajowe mniejsze i większe, czasem nawet w wielkim stylu wykonane, o których też według porządku rzeczy pomówimy. W wielce oryginalnej i dotąd dla portretów nie używanej pozycji przedstawia się nam p. Zenon Przesmycki w olejnym obrazie Henryka Rauchingera z Wiednia (nr. 203 katalogu.) Opierając się górną częścią ciała na szufladce czy stoliku, z ramionami niedbale splatanemi i patrząc na nas z góry, wygląda, jak gdyby się z okna wychylił; pozycja co prawda niewymuszona, ale także nieestetyczna i nieartystyczna.

Podobną wolnością i dowolnością ruchów odznacza się także portret, wykonany przez panią Marję Nostitz-Wasilkowską z Warszawy (nr. 213 katalogu), przedstawiający pana D., siedzącego wygodnie na krzesełku, również pełną twarzą do widza obróconego i trzymającego na kolanach „Kurjer Warszawski“. Czy podobny sposób portretowania ludzi, jedyny i nieoceniony w dziale obrazów rodzajowych, także dla portretów w tak szerokiej mierze powinien być zastosowywany, — pozwolimy sobie o tem wątpić, nie przekonamy jednak upartych artystów i równie upartych gości, pozujących im, jak to śmiesznie wygląda, jeśli ten lub ów dla dowolnego kaprysu, czyniąc wyjątek z reguły, przez ogół

przyjętej — w olejnym obrazie a więc w rodzaju sztuki niezmiernie poważnym, całej publiczności, się przedstawia w postaci prawie arlekinowskiej, omal że nie w szlafroku i pantoflach. Od podobnego zarzutu nie możemy także Józefa Krzesza uwolnić, jeśli w portrecie, zaopatrzonym nrem 113m, nam przedstawia postać magnata, rozpierającego się wygodnie w fotelu i zadzierającego nogę do góry. Wszystkie rzeczywiste zalety wyżwymienionych przezemnie trzech obrazów: koloryt piękny i żywy, wyrazistość rysów, wykonanie drobiazgowe i sumienne najdrobniejszych szczegółów — nie wystarczają, aby zatrzeć przykre wrażenie, jakie w nas mimowoli wywołuje pozycja niewłaściwa portretowanych.

Nierównie lepiej przedstawia się olejny obraz, wykonany przez Stefanję Wachtlówną z Wiednia, przedstawiający ojca artystki i zaopatrzony nrem 261m.

Stary przedstawiony tu również en face, z wielką powagą w obliczu, rozpierając się na czerwonym aksamicie poręczy krzesła. W całej postaci starca nie ma ani jednego gestu, któryby — czy to portretowanemu, czy to publiczności — ubliżał. Obraz ten doskonały postawiłbym za wzór portrecistom, ubiegającym się bezpotrzebnie za ekscentrycznościami.

Mniej pod pewnym względem udał się Ludomira Janowskiego portret pana M. R., zaopatrzony nrem 79m, gdyż głowa w bok pochylona mimowoli robi wrażenie krzywizny.

W tejże samej sali spotykamy się także z obrazem o większych rozmiarach, wykonanym przez Tadeusza Popiela i zaopatrzonym w numer 191. Jest to krajobraz: „Po burzy“. Tadeusza Popiela podziwiałem dotąd na wystawach krajowych jako świetnego kolorystę, zajmującego się także z wielkiem zamiłowaniem przedmiotami, z życia żydowskiego zaczerpniętemi, do czego mu szczególnie brodzcy żydzi znacznego kontyngensu dostarczyli. Że się przerzuci także i na inne pole — tegom się nie spodziewał. Obraz „Po burzy“ oznacza stanowczy zwrot w dotychczasowym sposobie artystycznej twórczości Popiela. Autor przestał tu, na efekt robić, kolory nie

są jaskrawe; ale wrażenie mimoto pozostaje trwałem. Popiel przedstawia nam w swym obrazie chłopa i babę, Rusinów, przechadzających się wzdłuż pól, nawiedzonych burzą, która ślady pochodu wszędzie zostawiła. Baba załamuje ręce, chłop patrzy z niemą rezygnacją przed siebie, oboje tworzą jednak tylko sztafaż do głównego przedmiotu, którym tu bezsprzecznie jest natura, oddana z łudzącą naturalnością.

Muszę się spieszyć, aby opis doprowadzić do końca: wymienię więc z rzeźb, w salce tej umieszczonych, dwie terracotowe, wykonane przez Marję Gerson a zaopatrzone nrami 397m i 398m. Z tych przedstawia pierwsza „Słowackiego“ w greckiej zarzutce, odrazu każdemu rysami wybitnemi się przypominającego; druga rzeźba przedstawia „Proroka“. Co by to zaś za „prorok“ był, czy Mojżesz, czy Izajasz, czy jeden z nowożytnych? na te pytania autorka nie udziela nam odpowiedzi.

Odrębne cechy, ale niekoniecznie dobre, zdradza rzeźba, wykonana przez Anielę Wisłocką ze Lwowa, zaopatrzona nrem 432m a przedstawiająca w figurce z gipsu „rozmarzoną“. Pytamy i mamy prawo się pytać, co to za „rozmarzona?“ My sobie bowiem dotąd „rozmarzenie“ cokolwiek inaczej wyobrazili. Widzimy nagą, ale to zupełnie nagą dziewczynę w siedzącej pozycji, z oczyma w górę wzniesionemi a z książką w ręku. Gdyby to choć była jakaś grecka hetera z czasów Peryklesa — to byśmy się temu nie dziwili. Ale taka z pewnością nie czytała i nie trzymała w ręku książek w tym rodzaju, w jakim to ta „rozmarzona“ praktykuje. A jeśli to znowu dziewczę, rozmarzone według nowomodnych pojęć — to taki décolté czyli negliż poniżej kolan nadałby się już lepiej w ciepłem łóżeczku przy świetle lampy, gdy się czyta „okropny“ romans o „okropnych“ przygodach „okropnie“ się kochających i „okropnie“ przez los prześladowanych kochanków.

Przejdźmy się do siódmej sali; jest ona cokolwiek większa od poprzedzającej, choć swoją drogą nie bardzo wielka.

Znajdziemy tu kilka bardzo ładnych portretów, oraz niektóre obrazy rodzajowe i jedną rzeźbę.

Paradny jest obraz Mieczysława Reyznera z Paryża, zaopatrzony nrem 205m i zatytułowany z francuzka: „Aux vèpres“, co Dyrekcja zgodnie z wymaganiami polskiej publiczności przetłumaczyła wyrazem polskim: „Na nieszporach.“ Kiedyśmy się patrzyli na twarze tych trzech francuzkich dewotek, to nam się odrazu przypomniało polskie przysłowie: „Modli się pod figurą a ma djabła za skórą!“ A choć to Paryżanki, to sądzę, że niekoniecznie trzeba aż do Paryża podróżować, aby się zejść z podobnemi figurami. Jaka to różnica między tą udaną nabożnością a prawdziwą za serce porywającą w „Aniele Pańskim“ Gierymskiego! Patrzcie tylko na postacie i twarze tych trzech kumoszek od bractwa św. Lucypera! Jedna nibyto ręką łzę ociera, która jakoś z ócz wypłynąć nie chce a drugą zacisnęła kurczowo, zapewne z zamiarem, aby po powrocie do domu potężnemi razami okładać barki nieszczęśliwej młodej sługi, która sposobu myślenia swojej pani nie podziela; druga uśmiecha się świątobliwie i składa ręce do modlitwy, aby Bóg pogromił i starł z oblicza ziemi tych wszystkich Judaszów, którzy Pana Boga jawnie zdradzają, bo mają dłoń otwartą dla niedoli współbraci, ale nie wycierają dzień w dzień progów w kościele; trzecia, umieszczona po lewej stronie obrazu, ręce pobożnie złożone spuściła na kolana, głowę przechyliła na bok, oczy zamrużyła mimowoli, a myśl pobożna, świątobliwa ulata pod niebiosy: „Boże! twórco Wszechświata! zeszlij głupotę na umysły twoich dzieci! niech będą ciemne jak tabaka w rogu! Niechaj nikt nie wesprze bliźniego w złej doli, ale niech pomyśli, że ci z pewnością dostąpią zbawienia, którzy się usilnie o to starali, wytworzyć za pomocą lichwy cały szereg błogosławionych, bo ubogich, dla których otworem staną wrota niebieskie.“

Z portretów, w sali siódmej umieszczonych, godny wzmianki portret kobiecy, zaopatrzony nrem 255m a przedstawiający dziewicę „po modlitwie“. Autorem jest Maurycy Sztencel z Warszawy, który także inne obrazy, między niemi jeden, przez Dyrekcję reprodukowany, wystawił.

My jednak co do wykończenia artystycznego ten typ kobiecy wyżej stawiamy. Przedstawia on nam dziewicę „po modlitwie". Skromność, pokora, niewinność, wszystkie cechy prawdziwego a nie udanego nabożeństwa, malują się w jej twarzy, a ręce trzymają modlitewnik, złożony napowrót, bo „modlitwa już skończona". Efektów powierzchownych w tym obrazie żadnych nie ma, efekta prawdziwe są porywające.

Inny typ kobiecy przedstawia nam Eugeniusz Steinsberg z Brodów w wielkim swoim obrazie olejnym, zaopatrzonym w numer 232 a przedstawiającym „Opuszczoną". Widzimy dziewczę, opuszczone przez kochanka. Z jakim wyrazem bezmiernej rozpaczy ona do rozwartego na oścież okna bieży, wzrokiem obłąkanym w dal wodząc! Widzimy ją, opierającą się o balustradę i zdaje nam się, że lada chwila wyskoczy i w morze się rzuci, chcąc od razu kres zadać dalszym cierpieniom! I tu autor nie pracował na powierzchowny efekt jak wielu jego braci, a mimo to osiągnął prawdziwy w całej pełni!

Wzmianki godny jest także obraz olejny, zaopatrzony nrem 215m, wykonany przez Sylweriusza Saskiego z Krakowa a przedstawiający „ojca autora". Widzimy staruszka w postaci wygodnej siedzącego w krześle z długim cybuchem w ręku. Twarz na widza patrzy wprost. Wyraz przenikliwy, nie pozbawiony jednak pewnej łagodności i dobroci.

Żywą grą barw, aż zanadto żywą może, odznacza się Austena obraz, zatytułowany: „Po spacerze" a zaopatrzony nrem 9m. Tu wiele środków sztucznych bezpotrzebnie wypotrzebowano, aby osiągnąć cel stosunkowo mały, a ta damulka w samym środku obrazu z całą pretensjonalnością wielkiej pani umieszczona, nie wygląda na to, jak gdyby spocząć chciała po spacerze, ale raczej jak gdyby tę pozycję naumyślnie wybrała, by tem skuteczniej podbić serce jakiegoś „kawalera".

Wyborny jest obrazek rodzajowy Antoniego Kozakiewicza z Monachium, zaopatrzony nrem 117m a zatytułowany: „Całusa albo cię nie puszczę". Po wązkiej kładce spotykają się dziewczyna Podhalanka i góral

z tychże stron. On jej nibyto puścić nie chce, żądając jako myto całusa; ale sądzimy, że nie długo trzeba będzie mu czekać na upragnione to myto: dziewczyna bowiem wyszczerzyła do niego ząbki z wesołym uśmiechem, oświadczającym gotowość odpłacenia mu się nietylko jednym całusem, ale i dwoma, jeśli trzeba.

Pan Kajetan Łużan z Krakowa w wielkim olejnym obrazie, zaopatrzonym nrem 126m, przedstawia nam panią K., osobę w starszym wieku, w domowem skromnem ubraniu, jak przy stoliku siedzi i podobno kawę popija. Jak się na portretowanie osób w dziwacznych i niestosownych pozycjach zapatruję, o tem była już powyżej wzmianka, a poważny wyraz w twarzy tej pani nie przeszkadza temu, że pozycja jej wcale nie jest stosowną, ani też poważną.

„Święta rodzina“ Sylweriusza Saskiego (nr. 214) co do wyrazu twarzy więcej wygląda nam zapożyczoną z teraźniejszości, aniżeli z ubiegłych wieków.

Natomiast odnosimy bardzo korzystne wrażenie z Warszawianina Romana Szwojnickiego „Hulanki z 17go wieku“. Z jaką żywością i siłą każdy ruch tu oddany! Patrzcie tylko na tego młodego, obejmującego dziewczynę, nie broniącą mu się, wpół; na ten roztruchan czerwonego wina, rozlanego po ziemi; na postacie tych biesiadników, trunkiem podnieconych! To wszystko typy z życia!

Marja Madeyska z Tyczyna, wykazująca wielkie zamiłowanie do motywów wschodnich, wystawiła tu rzecz małą, ale śliczną, pełną poetycznego uroku. Jest to obrazek, zaopatrzony nrem 130m a przedstawiający „naczynia greckie“. Rzecz ta odznacza się wielką biegłością w rysunku ornamentacyjnym.

O dwóch rzeźbach, w sali tej umieszczonych, wypowiem jeszcze pobieżnie zdanie swoje. Są to rzeczy, zaopatrzone nrami 374m i 406m.

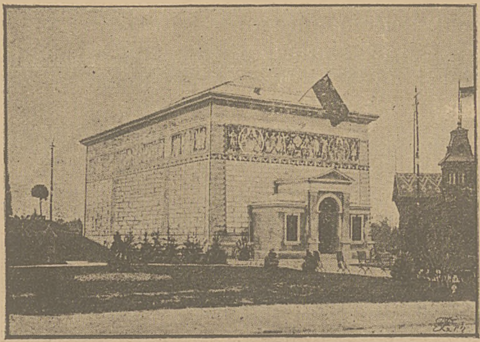
Pierwsza z tych rzeźb: biust w terracocie, wykonany przez Natalję Andriollową z Paryża, przedstawia nam nie demona, ale „demonika,“ oczywiście ze świata kobiecego. I uwierzymy chętnie, że ten

„demonik“, wyszukaną swoją kokieterją i oczami o wyrazie nawpół skromnym, na wpół wyzywającym, niejednemu mężczyźnie głowę mógłby zawrócić.

Druga rzeźba, której autorem jest Konstanty Laszczka z Paryża, przedstawia nam w gipsie „skończoną pieśń.“ Przedstawiona w postaci nagiej dziewicy, siedząc na skale i głowę smutnie opierając o gitarę, której dźwięki ucichły — może na zawsze.

Na tem skończymy nasz pogląd na sztukę współczesną, w dalszy rozbiór zawartości ósmej czyli ostatniej sali się nie wdawając, ponieważ, jak już poprzednio nadmieniłem, sala ta przeważnie sztuce retrospektywnej poświęcona, małą tylko ilość rzeczy współczesnych mieści; rozdział zaś był tu o tyle niesystematycznym, że można było snadnie tę małą ilość obrazów umieścić w sztuce współczesnej a nie w sztuce retrospektywnej. Cierpią na tej mieszaninie w zestawieniu portrety, wykonane przez Krzesza i innych zdolnych portrecistów, szczególniej zaś obraz, zaopatrzony nrem 17m, wykonany przez Stanisława Bergmana z Krosna a zatytułowany: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Miły ten obrazek rodzajowy przedstawia nam grupę uprawiaczy rzemiosła Kilińskiego, siedzących przy stole i śpiewających znaną pieśń legjonów. Tu w kącie umieszczony a w dodatku tak wysoko zawieszony, że go oko ludzkie zaledwie spostrzeże, traci obraz widocznie.

Mauzoleum Matejki.



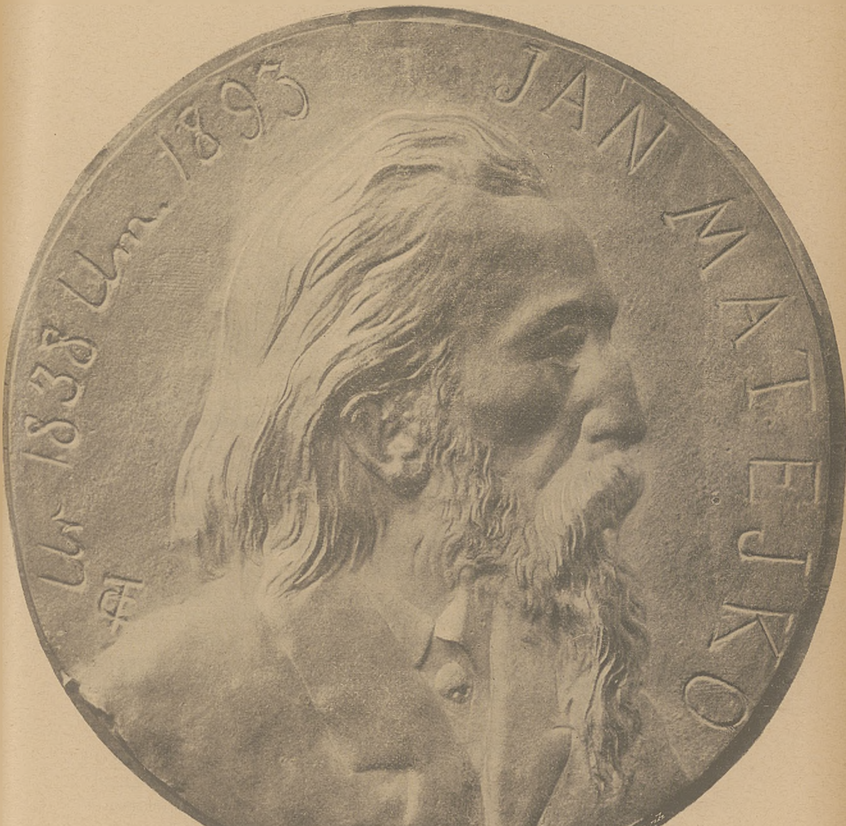
Wchodzimy w ponury, smętny, egipski grobowiec: taki na pierwszy rzut oka wywiera wrażenie przybytek chwały wielkiego mistrza, po którym nic nie pozostało krom wielkiego imienia i wielkiej spuścizny duchowej. Przybytek chwały arcykapłana malarstwa polskiego odźwierciedla w ogólnych zarysach nasza winietka, podczas gdy medaljon, wykonany przez Franciszka Kopaczyńskiego z Krakowa, wiernie reprodukuje rysy pośmiertne króla polskiej sztuki.

Wszystko, cokolwiek bujna wyobraźnia mistrza w połączeniu z gruntowną wiedzą historyczną nagromadzić zdołała, to widzimy tu zebrane w tym przybytku chwały, a więc obrazy olejne, kartony akwarellowe, akwarelle i rysunki.

Część tych utworów sztuki przeszła już w posiadanie prywatne; właściciele użyczyli ich jednak bezinteresownie Wystawie Lwowskiej na czas trwania tejże, za co im się wdzięczność publiczna należy.

Spuścizna po zmarłym mistrzu jest nader bogatą: zapełnia dwie wielkie sale, samych rysunków zaś jest sto kilkanaście.

W pierwszej sali oprócz olejnych obrazów i akwarell — umieszczone także rysunki Matejki w porządku chronologicznym. Nadzwyczaj charakterysty-



Jan Matejko (według medaljonu Franciszka Kopaczyńskiego, bronzownika i wystawcy z Krakowa).

czne są rysunki w liczbie sześciu, wykonane przez mistrza w 12ej życia wiośnie.

Kto obrazki rzeczone oglądnie, temu przypomni się mimowoli przysłowie: „ex ungue leonem.“ Są to same historyczne rysunki, przypominające nam pod każdym względem stare kopersztychy z końca 18go i z początku 19go stulecia. Nie ma w nich jeszcze tego życia, ani tego ognia, znamionującego wszystkie następne rysunki i malowidła mistrza, ale wielka jest energja i pewność w charakterach i urządzaniu grup. Jako najwybitniejszą pracę z tego cyklu wymieniłbym tu: „Zajęcie odwachu w Krakowie przez wojska polskie i zawieszenie orłów, 1809.“ Ten tłum głów i ludzi, cisnących się na rynku krakowskim — co to za mrówcza praca, a budynki same z jakiem mistrzowstwem, z jaką dokładnością oddane! Inne obrazy, do tej samej kategorji należące, stosunkowo mniej nas zadowalają, rysy wszędzie za sztywne. Większem cokolwiek życiem odznacza się obrazek, przedstawiający Jana Olbrachta pod Bukowiną 1497 (katalog podał mylną liczbę 1427.) Wybornie oddany tu atak niespodziewany Rumunów, padające buki, zgniecione ciężarem swych koni kolumny polskie.

Jaka niesłychana różnica między początkowemi temi rysunkami a następnemi mistrza! Podobną różnicę upatrujemy także między pierwszym historycznym obrazem mistrza, przedstawiającym „Carów Szujskich wprowadzonych przez Żółkiewskiego na sejm warszawski przed Zygmuntem III. w r. 1610“ a następnemi. Figury wszystkie wiernie oddane — cóż, kiedy życia nie ma? O wiele więcej ma go już obraz, przedstawiający Stefana Batorego pod Pskowem, a całą pełnią życia wre oznaczony nrem 111m obraz, przedstawiający „Napad na Bróg czyli na zbór luterski w Krakowie 1587 r.“

Na zgromadzonych celem obrad Luteranów, zwanych także Arjanami, napada tłum rozfanatyzowany prawowiernych i pali ich księgi. Sztuka wielka w ugrupowaniu mas uwydatniona tu jak rzadko! Motłoch nie ogranicza się na paleniu ksiąg kacerskich, ale rozbija także walizy heretyków, którzy ze zgrozą

uciekają. Smutny to widok palenia ksiąg i grabienia własności obcej przez motłoch, rozfanatyzowany do prześladowań religijnych imieniem tego, który mówił: „Kochaj twego bliźniego, jak siebie samego.“

Odwróćmy się na chwilę od przykrego widoku, aby się przypatrywać portretom rodziny mistrza — wykonanym z całym artyzmem genjuszu i z całą miłością ojca, przywiązanego do rodziny swojej. Nie obce nam te figury: mieliśmy już sposobność, oglądać je na wystawie krakowskiej, a mimoto z niemniejszem przypatrujemy się im zajęciem. Jak wybornie oddane twarze dziewcząt ek i chłopców, szczególnie najmłodszego, u którego nóg pies wierny, stróż domu się łasi. Obraz ten zaopatrzony nrem 54m, pendant do niego tworzą obrazy nr. 61 i 80, przedstawiające Beatę, córkę mistrza z kanarkiem w ręku i Helenę z sokołem. Portretował się mistrz także sam i to kilkakrotnie. Szczególnie piękny jest obraz, zaopatrzony nrem 106m. W pierwszej sali złożone także szkice do portretów królów polskich, jak również rozmaite figury, mające następnie służyć jako akcesorja do nieśmiertelnych malowideł Matejki.

Scenę z martyrologji polskiej przedstawia obraz, zaopatrzony nrem 25m a zatytułowany: „Rok 1863, sądy Murawiewa w Wilnie i skuwanie zesłańców w kajdany:“ bolesna mina czarnowłosej kobiety, okutej w łańcuchy, twarze spokojne jeńców rannych, w których się cicha rezygnacja maluje, tu znowu blondynka, broniąca się rozpaczliwie i wyrywająca się mużykom, którzy ją znieważyć usiłują, twarze posiepaków zimne, litości pozbawione, a tło obrazu ciemne, jak gdyby niebo samo się żaliło doli skazańców. Obraz to niewielki, sztucznych efektów nie ma tu wiele — ale są prawdziwe i porywające.

Wejdźmy do drugiej sali. Tam nie ma tyle obrazów, ile nagromadzono w pierwszej; nie ma też szkiców i próbek rysowniczych. Są natomiast historyczne obrazy o kolosalnych rozmiarach, jak np. znana już z innych wystaw „Bitwa pod Grunwaldem“, „Rejtan“, z nowszych zaś „Kościuszko pod Racławicami“, „Piotr Włast, sprowadzający Cyster-

sów do Polski“, „Joanna d’ Arc“, „Zaślubiny Kazimierza Jagiellończyka z arcyksiężniczką Elżbietą“, oraz obraz niedokończony mistrza: „Śluby Jana Kazimierza“.

A tutaj znowu na honorowem miejscu figuruje portret mistrza, zaopatrzony nrem 107m, jak bardzo różniący się od poprzedniego! Włos blond posiwiał, postać zgarbiona wiekiem i pracą, twarz znużona, ale w oku pała jeszcze iskra natchnienia, myśl żyje jeszcze i nie wychłódła! U stóp portretu w gablotce umieszczone odznaki mistrza: paleta, pędzle, medaljon pośmiertny, dyplom honorowy miasta Krakowa, berło akademickie, a ponad tem wszystkiem wieniec z uschłych liści i krepa czarna — jakże żywo to wszystko przywodzi nam na pamięć słowa: „Vanitas vanitatum — omnia vanitas!“ A przecież duch sam przeciwko orzeczeniu surowemu, że wszystko z prochu pochodzi i w proch obracać się powinno — protest podnosi. Patrzcie na te postacie Kościuszki pod Racławicami, na te zastępy chłopskie w sukmanach, ugrupowane na około wodza w sukmanie; patrzcie na tę „Bitwę pod Grunwaldem“, na „Hołd Pruski“, na „Rejtana“, obnażającego piersi i wołającego: „Po moim trupie przejdziecie!“; patrzcie na te szkice do „dziejów cywilizacji w Polsce“, przedstawiające nam w dwunastu obrazach postęp oświaty i cywilizacji w kraju, na obraz skromnie w kącie umieszczony, zaopatrzony nrem 110m a przedstawiający jako pendant do prześladowania Luteranów, — wypędzenie żydów z Krakowa w r. 1494 — a poznacie, że duch taki nie umiera, ale żyje po śmierci i na przyszłe jeszcze pokolenia oddziaływa pouczającym wszystkich przykładem.

Racławice.

„Pamiętają Racławice
Nasze kosy i konnice“ —



Wojciech Kossak i Jan Styka, dwaj wielcy artyści, usiłowali za współudziałem kilku mniej głośnych, choć swoją drogą bardzo uzdolnionych współpracowników, uzmysłowić nam wielką chwilę dobijania się szeregów polskich o wolność pod dowództwem Kościuszki pod Racławicami. Współpracownikami tymi byli Ludwik Boller, Tadeusz Popiel, Teodor Axentowicz, Zygmunt Rozwadowski, Włodzimierz Tetmajer i Wincenty Wodzinowski. Wspólnemu działaniu wyżwymienionych artystów udało się też, za pomocą środków najbardziej wydoskonalonych techniki stworzyć rodzaj arcydzieła, czarującego wzrok widza i stanowiącego siłę pociągającą Wystawy Krajowej.

Po krętych schodach dobywamy się na podium. Tu złudzenie staje się zupełnem: nie patrzymy bowiem przez szkła powiększające, nie widzimy obrazu na ścianie, a zdaje nam się natomiast, że jesteśmy na wolnem polu, ponad nami porozwieszany strop niebieski, w dali pola i łany, które niebawem zrosić ma krew walczących o wolność i niepodległość Ojczyzny synów Polski, jak niemniej zastępów moskiewskich.

W wielkości naturalnej przedstawionych widzimy wodza w sukmani na koniu i jego zastępy chłopskie; Bartosza, pędzącego na armaty, kurzawę dymu, gwar walki, jednego tylko nie ma: głosu potężnego, który się niegdyś tak silnie odzywał w martwych obecnie zastępach, aby złudzenie uzupełnić.

Pochwały, oddane pracy tej jako arcydziełu sztuki pięknej, nie są też przesadą, panorama racławicka, wykonana nadludzkiem wysileniem i półtorarocznym trudem dwóch artystów, którym garstka stosunkowo bardzo szczupła wybranych dopomagała

stanowiła siłę pociągającą Wystawy i słusznie wyraził się jeden z sędziwych gości wystawowych, iż kto panoramy racławickiej nie widział — ten nic nie skorzystał z całej Wystawy.

Nie możemy niestety czytelnikom naszym obrazu panoramy podać, albowiem prawa reprodukcji zastrzeżone już zostały przez innych wydawców; ale umieszczamy natomiast na czele tego artykułu winietę, wykonaną przez rytownika Aleksandra Schindlera a na zakończenie grupę krakowskich dzieci przed panoramą według fotograficznego zdjęcia Edwarda Trzemeskiego ze Lwowa.



Natura płacze.

Znikła już zieleń z ziemi kobierca;
Odziana w barwy smętne, żebracze,
Nie oczaruje, nie porwie serca:
Natura płacze.
    Czy to, że groźna zbliża się jesień,
    A po niej sroższa zima nam grozi,
    I przytłumiwszy iskrę uniesień,
    Ducha zamrozi?
Czy, że z stryjskiego zniknie ogrodu
Ten widok cudny, zwany „Wystawą“,
A te pomniki chwały Narodu
Porosną trawą?
    Niech zniknie, zginie to, co śmiertelne!
    Duch przetrwa wszystko, przeżyje groby,
    Świat przyodzieje szaty weselne,
    Nie strój żałoby!
I postać wielka w setną rocznicę,
Zagrzawszy wszystkich zgodnie do dzieła,
Wspomnieniem wnuków rozjaśni lice,
Że „Nie zginęła!“

Lwów, 17. Października 1894.

OSTATNIE ECHA ROKU KOŚCIUSZKOWSKIEGO.

Jako ostatnie echa pamiętnej rocznicy uważam uroczystości narodowe, naumyślnie odłożone na ten rok, aby tem większą okazać cześć wielkiemu wodzowi w sukmanie. Przepowiedzią pierwszą nastąpić mających uroczystości były obchody solenne kwietniowe i illuminacje w całym kraju, na cześć stuletniej rocznicy zwycięztwa pod Racławicami urządzone; w Maju kolonia polska w Czerniowcach obchodziła swój jubileusz; w Czerwcu otwartą została Wystawa Kościuszkowska we Lwowie; 29. Września jako w dzień patrona Galicji Polonia na zachodnich kresach w Białej zamieszkała, poświęca uroczyście dom własny; wreszcie 20. Października w dzień sobotni młodzież gimnazjalna izraelicka obchodzi 55tą rocznicę śmierci Józefa Perla uroczystym wieczorkiem w Tarnopolu.

O tych dwóch uroczystościach jako o ostatnich echach roku Kościuszkowskiego rozpiszę się na tem miejscu nieco obszerniej.

I. Dzień polski w Białej.

Że istnieje kolonia polska w Białej; że w tem na wskróś zniemczonem polskiem mieście żyją jeszcze patrjoci polscy o gorącem sercu, o ofiarności, manifestującej się nie słowami, ale czynem — któż kilkanaście lat temu wstecz o tem wiedział? Biała dla wszystkich była niemieckiem miastem, a jeśli nie była niem rzeczywiście, to bodaj uchodziła za takie. Biała była przyczepkiem niemieckiego Bilska. „Bielitz-Biala!“ — tak brzmiał urzędowy tytuł, nadany czy raczej narzucony Białej w wszystkich niemieckich pismach.

Ja sam — nie znając jeszcze Białej — wierzyłem w to, w co mi inni wierzyć kazali: że Biała jest siedzibą wszystkich Niemców. Poznawszy rzeczone miasto bliżej, przekonałem się dopiero o nieprawdziwości owych pogłosek. Jedno tylko musiałem rzeczywiście stwierdzić: że inteligencja polska znachodziła się jeszcze w r. 1883 w znacznej mniejszości, prosty lud w mieście i okolicy zaś był i jest polskim, ale wówczas jeszcze nie dostąpił do samopoznania, nie umiał się upominać i dopominać o swoje prawa polityczne i społeczne. To byli parjasi, w dodatku srodze zdemoralizowani, których stosunek do wyzyskiwaczów niemieckich świetnie odmalowali autorowie współcześni, między innymi także Janina Antonowiczówna z Lipnika w swojej „Wyrobnicy“.

Ale wpatrzywszy się bliżej w stosunki miejscowe, poznałem, że i Bilsko nie tak na wskróś niemieckie, jakoby się niejednemu zdawało. Na ulicach Bilska słyszałem wszędzie obok niemieckiej mowy dźwięki polskiej, choć okropnie spaczonej i wykoszlawionej: na tablicach sklepowych wyczytałem napisy, że tu „kaszki, groch i drobne le-

g o m i n y*) są na sprzedaj"; wielu Polaków z Bilska należało i należy do „Czytelni Polskiej" w Białej; fabryka papieru braci Fijałkowskich w Bilsku zatrudnia prawie wyłącznie polskich robotników — to wszystko dowodzi, że także i w Bilsku Polonia jeszcze nie wymarła, choć Niemcy tam bądź co bądź górą.

Do szerzenia niemieckości niepospolicie przyczyniło się także „Bielitz-Bialaer Wochenblatt", uzurpujące sobie prawa nietylko do Bilska, Skoczowa i Strumienia, ale także do Białej i innych galicyjskich powiatów. Żeby sytuację wyraźnie określić, to powiem, że Polska już była na miejscu w Białej, ale że skupiała dopiero w ukryciu siły do przyszłej walki z przeciwnikiem, albo też, że nie ufała jeszcze należycie swoim siłom. Wiele zależało także od postępowania starostów jako przełożonych powiatu, których zapewne niebardzo zachwyciła perspektywa narażenia się czy to jednemu, czy drugiemu obozowi. Hild pod tym względem zachowywał się zupełnie biernie; Foedrich**) jako Polak biadał srodze nad uciskiem polskiej narodowości przez Niemców, ale nie czuł w sobie siły, aby złemu zapobiedz; Kraus***) odznaczał się znowu brakiem inicjatywy, który tylko Niemcom na dobre wyszedł i pod jego to rządami uchwalono, aby ulice miasta zaopatrzyć w tablice o wyłącznie niemieckich nazwach: dopiero pod obecnym starostą Piwockim, który równocześnie trzecim z rzędu jest prezesem „Czytelni Polskiej" w Białej, widzimy stanowczy zwrot ku lepszemu. Polska bierze górę.

Stosunki w Białej poznałem po raz pierwszy w r. 1883, wkrótce po przeniesieniu starosty Hilda do Lwowa i po objęciu steru w powiecie przez sta-

*) Niech się nikt nie myli co do znaczenia tego wyrazu, błędnie używanego przez lud w Białej i w Bilsku. D r o b n e l e g o m i n y — to nie kluski, pierogi albo naleśniki, ale owoce strączkowe, wyraz błędnie wzięty z łacińskiego: l e g u m i n o s a. (*Przyp. aut.*)

**) Jako starosta urzędował w Białej 1883—1888.

***) Jako starosta urzędował w Białej 1888—1892.

rostę Foedricha. Postanowiłem świat polski zapoznać z temi stosunkami, nieznanemi mu jeszcze należycie i podniosłem też pierwszy sprawę tę w piśmie krajowem a mianowicie w „Gazecie Polskiej Czerniowieckiej," w 89m numerze z 5go Listopada r. 1885.

Artykuł rzeczony, który tu dosłownie przytaczam, brzmi:

„Z zachodnich kresów.

Jakim wielkim czynnikiem w dziele oświaty są nasze czytelnie, o tem może i setny, który z nich korzysta, nie ma należytego wyobrażenia. A jednak— możemy to na podstawie własnych doświadczeń na śmiało twierdzić — jednak znikłoby bez nich nasze życie publiczne, zatraciłby się patrjotyzm, zagubiłoby się słowopolskie,i zostalibyśmy zalani obcymi żywiołami, którym oprzeć się nie byłoby w naszej sile.

Matka pierwsza wpaja w dziecię swoje, w przyszłego obywatela lub obywatelkę kraju pojęcia najświętsze o obowiązkach w obec Ojczyzny; ale jak często później wśród obcych zacierają się wpływy korzystne wychowania z lat dawniejszych, i wyrasta młodzieniec bez pojęcia o tem, co winien Ojczyznie i czy jej coś winien: wyrabia się takzwana złota, a raczej pozłacana młodzież, trwoniąca zdolności, siły i majątki swoje na rozpustę i wybryki rozmaitego rodzaju, zamiast oddać się całkowicie na użytek kraju.

Otóż na to są czytelnie polskie w kraju i na to zakłada się je, aby w nich wyrobić pojęcie obywatelskie, aby w nich uczyć słowa polskiego, aby w nich gromadzić młodzież i starszyznę naszą i tworzyć dla wszystkich ognisko naukowo-społeczne, któreby zastąpiło zabawy poniżające knajp i szynków.

Tak pojmuję czytelnię polską i tak też każdy człowiek z prawdziwie patrjotycznem uczuciem pojmywać ją powinien. W tych też warunkach wzrasta i kwitnie czytelnia polska w Czerniowcach, i tylko na podstawie tych warunków czytelnia prawdziwie polska utrzymać się i zadaniu swemu prawdziwie godnie odpowiadać zdoła. Gdzie nie przestrzegają

tych warunków, upada życie publiczne, upadają czytelnie. Moglibyśmy nawet na podstawie własnych doświadczeń wzrost tych instytucyj, lub upadek ich wykazać cyframi; ale nam nie rozchodzi się o to: pisząc ten artykuł na kresach cywilizacji polskiej na Wschodzie, chcielibyśmy wykazać, jakie postępy robi polskie życie również na kresach cywilizacji polskiej, ale na Zachodzie.

Rzućmy więc okiem na życie publiczne w Białej. Jak wiadomo napływem obcego (i to jeszcze jakiego) żywiołu zalana Biała musiała się stać pastwą pangermanizmu; zewsząd pachołcy Bismarka, pachołcy idei obcej i wstrętnej nam zanucili hymn tryumfu nad pogrzebaną w ich myśli Polską.

Wtem wśród zgermanizowanych na wskróś tłumów bialskich wstaje jeden mąż czynu i imieniem idei polskiej wskrzesza obumarłe już nawpół życie, a to co Paweł Stalmach w Cieszynie, choć może w mniejszych rozmiarach, ale w bardziej nierównie zgermanizowanej Białej zdziałał Dr. Edward Stiasny, notarjusz bialski. Zasłużony ten mąż, jeden z głównych filarów życia polskiego w Białej, jest równocześnie założycielem czytelni polskiej tamże, która z dniem każdym bardziej wzrasta i wzmaga się i zyskuje wpływy moralne. Stiasny zmysłem prawdziwie politycznym odgadł odrazu, czego naszej Polonii rozprószonej na kresach trzeba: trzeba jej było ogniska, by skupiać życie narodowe. Bo Polaków w Białej nie wielu, a właściwie składa się żywioł polski na kresach li tylko ze szczupłej garstki urzędników i adwokatów, oraz włościan po większej części ciemnych i nieoświeconych, a których dopiero o ich obowiązkach obywatelskich pouczyć trzeba.

Na przeciw tej szczupłej garstki wiernych stali i stoją falangą wszyscy prawie kupcy i fabrykanci Białej i Bilska, anektując sobie per fas et nefas każdą piędź polskiej ziemi, każąc i zohydzając język polski, zalewając targi polskie towarem niemieckim i tworząc sztucznie wśród żyjącej i oddychającej pełnią życia Polski ród nieznany nam dotychczas „Wasserpolaków.“ Przyszło już do tego nawet, że Polacy, w Galicji urodzeni, wychowani i władający

niezgorsza językiem ojczystym, polską literaturą, polskiemi książkami gardzić poczęli, ponieważ żony ich są Niemkami, a dzieci kształcą się w duchu niemieckim.

Bilsko zgermanizowane już całkowicie chciało zgermanizować i Białę, w tym celu urządzili sobie Niemcy Bilska parady kościelne i festyny śpiewackie, do których przywabili Niemców z Białej; założyli kasyno niemieckie w Bilsku, liczące już obecnie kilkuset członków, w tym celu nurtowali tajemnie i otwarcie Niemcy w Białej, aby o ile można żaden Polak nie zasiadał w Radzie gminnej bialskiej. Jednem słowem przygotowano wszystko, coby mogło prowadzić do moralnej aneksji Białej dla Niemiec, po której to aneksji de facto, niezawodnie musiałaby także nastąpić aneksja de jure.

Nie wolno nam lekceważyć zasług Dra Stiasnego, który otoczony zewsząd żywiołem niemieckim, pracował wśród warunków rzeczywiście nie pozazdroszczenia godnych. Początki Czytelni polskiej w Białej były też bardzo nikłe i byt jej może nieraz zagrożony, do czego się przyczyniły zmiany rozmaite, niebardzo korzystne.

Dzisiaj byt tej instytucji, która jedynie prawie życie polskie na kresach zachodnich Galicji przedstawia, zdaje się być zapewnionym. Czytelnia polska w Białej liczy 90 członków, płacących regularnie wkładki dosyć wysokie; trzyma mnóstwo gazet polskich, kilka niemieckich, a nawet dwa czeskie czasopisma wyłącznie dla dwóch czeskich członków. Czytelnia polska w Białej urządziła wspólnym kosztem wieczorek Mickiewiczowski, połączony z zabawami i tańcami, na którym to wieczorku Niemki z Bilska tańczyły z Polakami z Białej na złość wszystkim zaciekłym Prusofilom i Germanom. Czytelnia polska obok gazet zakłada także księgozbiór, który się z dniem każdym darami członków, jakoteż i obcych wzmaga i dla którego się o dalsze dary wszystkich zwolenników ojczystego słowa uprasza; członkowie czytelni polskiej w Białej noszą się z myślą założenia osobnej biblioteki ludowej dla włościan Białej i okręgu bialskiego, z którejby ludność uboga

bezpłatnie korzystać mogła. Jednem słowem, czytelnia polska w Białej w porównaniu do innych czytelni galicyjskich odpowiada godnie swemu zadaniu szerzenia oświaty i krzewienia ducha polskiego w kraju, na kresach tegoż.

Użyteczna ta i patrjotyczna działalność czytelni polskiej w Białej niestety za mało znaną jest u nas; to też członkowie jej użalają się na to, że zapomniano o nich, że zostawiono ich samopas na pastwę wrogów żywiołu polskiego, że nie zwabiła dotąd uczonych i prelegentów, nie zwabiła głośnych muzyków i koryfeów świata literackiego, którzyby polskiem słowem, polskim duchem zamanifestowali łączność swoją z bracią walczącą imieniem Ojczyzny i znoszącą dla niej upokorzenia od wrogów.

Nie możemy im zaprzeczyć słuszności, to niechże więc pismo, służące sprawom ojczystym Polski na Wschodzie, podejmie się także sprawy uciemiężonych naszych współbraci na Zachodzie, udzielając im moralnego wsparcia, na które każda sprawa zacna zasługuje.

Czerniowce, 26. Października 1885.

G. Kohn."

Kreśląc dalsze dzieje „Czytelni Polskiej" w Białej, piszemy nieomal historję Polonii, na kresach zachodnich zamieszkałej. Dziesięć lat minęło od chwili, w której artykuł mój w „Gazecie Polskiej Czerniowieckiej" umieściłem, a w tem dziesięcioleciu zmieniło się niejedno.

Polacy, parci i wyparci prawie wszędzie ze stanowisk swoich przez nieprzychylnych im Niemców, uczyli się od przeciwników niejednej rzeczy: przedewszystkiem zaś uczyli się wytrwałości i energji, dwóch przymiotów niezbędnych do skutecznego przeprowadzenia cichej a nieustannej walki z przeciwnikiem. Stosunki stały się w istocie coraz to nieznośniejszemi. Rugowana ze siedzib swoich przez nienawistnych Niemców „Czytelnia Polska" musiała się ustawicznie z lokalu do lokalu przeprowadzać; uczyniono zamach skrytobójczy na życie Stiasnego, a gdy

się zamach dzięki energji i przytomności umysłu zagrożonego nie udał, wtedy zuchwałość tak daleko posunięto, że zawezwano czcigodnego tego męża i obrońcę żywiołu polskiego przed kratki sądowe: nauczyciele Polacy stracili posady swoje dla tego, że byli członkami czytelni, jednem słowem: co tylko Niemcy czy to jawnie czy tajnie na przekór zrobić mogli polskiej narodowości, to zrobili, a posunęli się w swojej zaciekłości nawet tak dalece, że wnieśli skargę do biskupiego konsystorza w Krakowie na ks. proboszcza w Białej, ponieważ kazania głosi w języku polskim, niezrozumiałym dla publiczności niemieckiej. Jeśli to się działo między inteligencją, jakiż dopiero był los opłakany polskich robotników fabrycznych! Z wyjątkiem niewielu ludzkich i zacnych fabrykantów, do których w pierwszym rzędzie zaliczam Fijałkowskiego w Bilsku, robotników polskich nie o wiele lepiej traktowano, aniżeli przedsiębiorcy naftowi w Borysławiu robotników swoich traktują. Któż się starał o moralne podniesienie tych biedaków? Któż im powiedział, że mają także pewne prawa? chyba nikt! Sam widziałem jako częsty gość w Białej w dnie sobotnie i niedzielne tłumy obdartusów, oblęgających propinację na Lipniku. To robotnicy fabryczni zdemoralizowani i zbydlęceni, którzy po otrzymaniu zapłaty tygodniowej, takową przepili. Nie jeden z nich był zadłużony po uszy a żona dziećmi obarczona, nie miała czem głodu zaspokoić. Ale nie myślał nikt o nich i nie mógł na razie o nich myśleć. Inteligencja polska w Białej dosyć kłopotu miała z własną egzystencją.

Zniechęcony ciągłą walką i utarczkami z nieprzyjacielem, usunął się wreszcie Stiasny od steru, choć członkiem Wydziału nigdy być nie przestał i jeszcze teraz nim jest. Po Stiasnym został prezesem czytelni bialskiej naczelnik sądu Apollinary Góra. Mąż ten miał najlepsze chęci, żywił najzacniejsze zamiary dla czytelni, nie doczekał się jednak ich spełnienia. Prezesostwo jego przypada podczas rządów starostów Foedricha i Krausa. Foedrich jako Polak był gorliwym członkiem czytelni, nie czuł się jednak w sile, aby skutecznie rozpocząć walkę z Niemcami;

Kraus unikał tej walki. Skutki takiego postępowania okazały się niebawem. Niemcy wystąpili z coraz to dzikszemi pretensjami, przeforsowali nawet w radzie gminnej rezolucję, by tablice z napisami polskiemi usunięto z ulic miasta, albowiem każdy wykształcony człowiek w Białej powinien doskonale rozumieć po niemiecku, a kto z okolicznych włościan do miasta przybywa, temu także niemiecka mowa nie powinna być czemś obcem. Wniosek ten przyjęty większością głosów, wsparty został w dodatku przez Dra Mateusza Kwicińskiego, Polaka, który sobie przychylność Niemców na ten sposób skaptować usiłował. Uchwalono rzeczoną rezolucję i przeprowadzono ją, a nie pamiętano przecież o tem, że tysiące znachodziło się i znachodzi włościan polskich w obwodzie bialskim, którzy ani czytać, ani pisać po niemiecku nie umieją.

Przykre i bolesne ponad wszelki wyraz były ostatnie dnie rządów Góry jako prezesa czytelni, przykre jemu samemu jako Polakowi. Patrzyć on się musiał na zaostrzający się bardziej z dniem każdym konflikt między Polakami a Niemcami; rezolucja co do nazwy ulic jemu jako Polakowi z pewnością nie była przyjemną; ze wstrętem i boleścią patrzał na to, jak agitatorowie niepowołani doprowadzili do zaburzeń krwawych, których ofiarą padło tyle robotników polskich. Zresztą i byt czytelni prawie że był zachwiany. Widział on to wszystko i jako Polak, jako prezes czytelni ubolewał nad tem szczerze. Nie dożył szczęśliwej chwili rozwoju i rozkwitu czytelni; ale położył bodaj cegiełkę pod przyszłą budowę „Domu polskiego“ w Białej, a to główna jego zasługa.

Pod jego rządami powzięto myśl zbierania składek po kraju, nawoływania do ofiarności dla „Czytelni Polskiej“ w Białej, wreszcie opodatkowania się wzajemnego celem zdobycia grosza na budowę własnego domu dla Polonii w Białej. „Czytelnia Polska“ ogłosiła drukowane odezwy i puściła je w świat, aby swemi losami szerszy zainteresować ogół. Odezwy rzeczone mają obecnie wartość i znaczenie historycznych dokumentów; ogłaszamy je też jako dokumenta, nad któremi historja cywilizacji polskiej z pewnością do porządku dziennego nie przejdzie.

Pierwsza ta odezwa, datująca z roku 1890-go i wydrukowana u Andrzeja Mädlera w Białej — brzmi jeszcze dosyć skromnie i umiarkowanie, unikano tego wszystkiego, coby Niemców drażnić mogło, albowiem sam drukarz Mädler był Niemcem.

Oto dosłowne brzmienie rzeczonej odezwy:

„Czytelnia Polska" w Białej.

P. T.

Czytelnia polska w Białej założona przed kilkunastu laty, mimo wszelkich przeciwności przebyła zwycięzko lata ciężkiej próby, nie mogła jednak jak dotąd podołać zadaniu zakreślonemu przez założycieli towarzystwa. Szersze warstwy ludności bowiem nie mogły korzyści odnosić z Czytelni; — brak funduszów, brak odpowiednego lokalu stawał temu na przeszkodzie. — I najpiękniejszy ustęp statutu: pouczanie rzemieślników, wspieranie podupadłych lub chorych, pozostać musiał tylko martwą literą, aż wreszcie przy zmianie statutu całkiem opuszczonym został. Czytelnia wegetowała, nie nęciła członków do przystępowania, tak że ich liczba ledwie do trzydziestu dochodziła. — W ostatnich latach dopiero, dzięki nadzwyczajnej ofiarności i zrozumieniu celu ze strony członków towarzystwa, których liczba o stu wzrosła, stanęliśmy tak, że już o przyszłość obawiać się nie potrzebujemy. Wzbogaciwszy bibliotekę, sprawiwszy potrzebne meble, pozbywszy się długów wspaniałomyślną ofiarą członków Czytelni, poczęliśmy myśleć o rozszerzeniu zakresu działania. — Pierwszym krokiem ku temu była składka na dwoje sierót po jednym z naszych zmarłych członków, która zł. 400 przyniosła. — Dalszym krokiem była myśl, aby wybudowaniem własnego domu, wyjść z ciasnych ram naszych czynności. Gdy już początek był zrobiony, albowiem zebrano około 900 złr., wybrało Zgromadzenie waine w Styczniu 1889 r. stałą komisję budowy własnego domu. — W zbieraniu funduszów nie zawiodła nas ofiarność członków Czytelni. Dotąd bowiem nie licząc przyobiecanego materjału budowlanego wartości 500 złr., zebraliśmy gotówką 2000 złr. w. a. a drugie tyle

spodziewamy się zebrać z subskrypcyj między członkami i niečzłonkami na ten cel w Czytelni urządzanych. Nie zawiedzie nas zapewne i odwołanie się do byłych członków naszej Czytelni, którzy potrzeby nasze dokładnie znają, bo niektórzy po części już pośpieszyli z datkami, za co im serdecznie dziękujemy.

Z tem wszystkiem jednak długo jeszcze wypadłoby nam czekać z ziszczeniem naszych zamiarów, jeżeli tylko na nasze słabe siły zdani będziemy i jeżeli nam szersze warstwy Publiczności z pomocą nie przyjdą. A rozchodzi się o los tysięcy rzemieślników i wyrobników w mieście zatrudnionych, którzy tutaj wzbogacając swą wiedzę zawodową, zarazem i wynaradawiają się. Rozchodzi się o tę ważną placówkę na granicy zachodniej kraju naszego, która jest mostem ze Ślązkiem nas łączącym. — Rozchodzi się o to, abyśmy pod jednym dachem skupiać mogli wszystko co swoje, aby mieć przybytek dla wiedzy i sztuki, aby nasz robotnik przyszedł do przekonania, iż i jego rodacy na tem polu świetnych mają przedstawicieli, aby i wśród wesołej zabawy duch narodowy nas owiewał. Biała wtedy i dla naszych rodaków, których losy chwilowo w te strony zawiewają, nie będzie tak przykrą.

W tym duchu ośmielamy się odwołać do szerszej Publiczności i jesteśmy przekonani, że Wielmożny Pan przyklasnąwszy naszej pracy, użyje swego wpływu, aby nam dopomódz do przysporzenia funduszu na budowę własnego domu.

Biała, w Styczniu 1890.

Z komisji budowy własnego domu dla Czytelni."

Rok upłynął od ogłoszenia rzeczonej odezwy; zapomogi, tą drogą napływające musiały się atoli zbyt niedostatecznemi okazywać, skoro „Czytelnia polska" zniewoloną się widziała do ogłoszenia drugiej odezwy. Tu nie obwija już rzeczy w bawełnę; występuje ostro i energicznie; odmalowuje płomiennemi barwami ucisk, praktykowany na osobie Polaków przez Niemców; przedstawia, co Polakom w Białej wśród takich warunków może w niedalekiej

przyszłości zagrozi — zupełne wymarcie i wynarodowienie. Jednem słowem „Czytelnia polska“ w tym memorjale rzeczywiście na mistrzowski sposób opracowanym, porusza wszystkie sprężyny uczuć, odzywające się w sercu ludzkiem, aby przekonać każdego prawdziwego i szczerego Polaka o konieczności niezbędnej pomocy. Celem zaś zupełnego zastrzeżenia niezawisłości słowa wydrukowano tę drugą odezwę już nie u Niemca Mädlera w Białej, ale w Krakowie w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Przytaczam dosłowny tekst tej odezwy, wyglądającej na krzyk śmiertelny tonącego, wołającego pomocy:

„Rodacy!

Jedynem miastem w Galicji, gdzie duch germanizacyjny rozwielmożnił się do tego stopnia, że z każdym niemal dniem zwiększa się ucisk ze strony Niemców na ludność polską, a dążność ich skierowaną jest wyłącznie w tym kierunku, aby na każdym kroku zatrzeć polski charakter tego zakątka Galicji — jest miasto Biała.

Aby Wam dać bodajby tylko słaby obraz położenia Polaków w Białej mieszkających, dosyć przytoczyć, że mimo iż na 7000 mieszkańców Białej wynosi liczba polskiej ludności poważną cyfrę około 2000, mimo to we wszystkich szkołach jest wyłącznie język niemiecki językiem wykładowym, a nasz język ojczysty tylko przedmiotem niemal nadobowiązkowym i to po macoszemu traktowanym. Dzieci polskich rodziców dla braku innych szkół, kształcone pod wpływem nauczycieli germanizatorów, którzy wpajają w nie takie pojęcia jak np. że Bismark jest największym człowiekiem tego stulecia, zapominają zwolna ojczystej mowy, a wzrósłszy w takich zasadach, zapominają, ża są Polakami, wstydzą się własnego polskiego imienia i ztąd pochodzi, że czysto-polskie nazwiska przeistaczają się w krótkim czasie na potworne niemieckie.

Schulverein niemiecki, propagując idee pangermańskie, nie szczędzi znacznych ofiar, ażeby przez zakładanie coraz to nowych szkół niemieckich w najbliższej okolicy Białej, zniemczyć ludność polską.

Wpływ kapitału na germanizację ludności jest u nas również bardzo doniosłego znaczenia, gdyż kapitał ten skoncentrowany jest wyłącznie w ręku fabrykantów Niemców, którzy ze swej strony wszelkiego dokładają starania, ażeby w polskiego robotnika wpajać niemieckie myśli i tendencje. Wystarczy dodać, że każdy intratniejszy choć lżejszy zarobek w tutejszych fabrykach, dostaje się tylko Niemcowi.

Wpływ germanizacji na tutejszą polską ludność tem jest silniejszym, że Niemcy miejscowi biorą przykład i zachętę od mieszkańców sąsiedniego Bilska, miasta na wskróś niemieckiego, połączonego nieznacznym mostem z Białą. Niemiecka ludność obu tych miast uważa je za jedną całość i nazywa je nawet miastami siostrzanemi „Schwesterstädte". Wrogowie nasi wiedząc dobrze, jak potężny wpływ wywiera teatr na ducha narodowego, wybudowali wspólnemi siłami kosztem przeszło 100.000 reńskich gmach teatralny, a powodowani ślepą nienawiścią ku wszystkiemu co polskie, postawili w akcie erekcyjnym warunek, że w teatrze tym przedstawienie polskie bezwarunkowo nigdy odbyć się nie może.

Jeszcze w ubiegłym roku widzieć było można w Białej tu i owdzie polskie nazwy ulic. W skutek uchwały tutejszej rady gminnej zdarła ręka teutońska w polskiem mieście polskie napisy ulic, a zastąpiła takowe wyłącznie niemieckiemi napisami!

Do jakiego zaślepienia doszła u nas nienawiść i buta niemiecka, niechaj posłuży za dowód, że nie zbyt odległe są czasy, kiedy na odgłos polskiej mowy odpowiadano szyderczym śmiechem i plwaniem!!

Śród takich to warunków powstała w Białej w roku 1868 „Czytelnia polska." Celem jej jest krze-

wienie mowy ojczystej, podtrzymywanie i szerzenie ducha narodowego, opiekowanie się polskimi rzemieślnikami, łączenie Polaków w jedno ognisko, oraz przeciwdziałanie szkodliwym zamachom germanizacyjnym na ludność polską.

Czytelnia polska w Białej to nie zwykłe kasyno małomiejskie, — **to reduta**, w której Polacy skupiają wszystkie swoje siły, by bronić wszystkiego co nasze, co polskie, a tem samem co każdemu Polakowi i drogie i święte.

Szczupłemi rozporządzając środkami, założyliśmy w Czytelni naszej bibliotekę i zaopatrujemy polskiemi dziełami tak naszych Członków, jak również i klasę robotniczą. Urządzaniem przedstawień amatorskich w lokalu Czytelni, staramy się o ile się to da, paraliżować niebezpieczny wpływ teutońskiej muzy na ludność polską, a uroczystem święceniem pamiątek narodowych, przypominamy swoim, oraz naszym wrogom, że byliśmy i jesteśmy narodem, mającym historyczną przeszłość i przyszłość przed sobą, — narodem, którego z karty Europy wykreślić nie można i który z ojczystej ziemi jaką jest Biała, przenigdy wyprzeć się nie da.

Praca nasza zaczyna zwolna przynosić owoce, a dosyć wspomnieć, że miejscowościom, które do niedawna jeszcze nosiły nadane im przez Niemców nazwy jak: Alzen, Schreibersdorf, Batzdorf, Kunzendorf, Drösseldorf i t. p., przywrócono ich pierwotne, rodzinne, polskie nazwy: Hałcnów, Pisarzowice, Komorowice, Lipnik, Straconka i t. p.

Istnienie Czytelni polskiej w Białej i jej działalność, jest solą w oku Niemcom, to też każdy z nich z niekłamaną radością powitałby chwilę jej upadku. W obec coraz to więcej zaostrzającego się antagonizmu Niemców przeciwko wszystkiemu co polskie, łatwo może przyjść do tego, że Niemcy — a ci są niemal wyłącznie właścicielami domów — odmówią wynajęcia lokalu na cele Czytelni.

W obec tego podniesiono myśl wybudowania własnego domu dla Czytelni. Myśl ta znalazła w naszem szczupłem gronie tem gorliwszych zwolenników, ile że od urzeczywistnienia tejże zawisłe są najistotniejsze cele Czytelni, aby polskich rzemieślników przygarnąć do siebie i wyrwać ich z pod zgubnego wpływu Niemców.

Dzięki ofiarności i należycie zrozumiałemu patrjotyzmowi Członków Czytelni, a w szczególności hojnym datkom kilku jej Członków oraz Posłów polskich w Wiedniu, zebraliśmy na cel powyższy w ciągu lat trzech dosyć pokaźną jak na nasze stosunki sumę 3500 złr. w. a. Suma to na pozór dosyć znaczna, atoli zbyt mała, aby przystąpić do urzeczywistnienia tak wielkiego dzieła. Ponieważ zaś zastęp Członków Czytelni składa się niemal wyłącznie z ludzi niezamożnych, a zbieg okoliczności jest tego rodzaju, że do budowy domu w jak najkrótszym czasie koniecznie przystąpić należy, przeto zwracamy się do Was Rodacy z prośbą o podanie nam bratniej dłoni do urzeczywistnienia tak wzniosłej myśli patrjotycznej i w tem przekonaniu, że wezwanie nasze znajdzie odgłos wszędzie, gdzie tylko bije serce polskie i że tak instytucje narodowe jak również i ogół naszych Rodaków przyjdzie nam w pomoc. Pomnijcie, że od naszej dobrej lub złej doli poniekąd i przyszłość Śląska zależy!

Wzywamy Was przeto, nie dajcie upaść instytucji narodowej, która pomimo największych przeszkód, zawsze, silnie i wytrwale blisko przez ćwierć wieku skupiała siły narodowe na kresach Galicji, około wspólnego sztandaru polskiego, tej instytucji, która wśród najtrudniejszych okoliczności i pomimo groźnego a bezustannego napierania wrogich nam żywiołów, potrafiła nietylko wiernie przechować, ale i silnie rozniecić świętą iskrę Znicza narodowego polskiego w żywy płomień gorącej miłości Ojczyzny.

Komitet budowy własnego domu Czytelni polskiej w Białej.

Łaskawe datki prosimy przesyłać pod adresem: Czytelnia polska w Białej.“

Kolonia polska w Białej, zagrożona w egzystencji swojej, gotowała się tymczasem do odporu i do walki. Walka nie łatwa! gdyż krok po kroku i to tylko nader powoli zdobywać było można napowrót stracone pozycje!

Od niepamiętnych lat zamawiała i sprowadzała publiczność w Białej swój pokarm duchowy z Bilska. Bilsko ze swemi trzema czy nawet czterma księgarniami teroryzowało pod tym względem Białę jak najzupełniej, dostarczając jej wyłącznie tylko niemieckich książek, ponieważ w Białej nie było żadnej księgarni. Panowie Lang i Kubaczka założyli w r. 1888 pierwszą księgarnię polską w Białej i zapisali się jako członkowie do „Czytelni polskiej.“ Nie powiem, żeby polskie ludowe wydawnictwa tych panów wartością wewnętrzną przewyższały o wiele Feitzingerowskie; ale samo założenie księgarni polskiej w Białej uważać można za krok naprzód, za zajęcie i zdobycie — jeśli nie straconej — to bodaj opuszczonej i przez nikogo niezajętej placówki.

Czasem Polonia w Białej narażoną została ni ztąd ni zowąd na nieobliczone straty moralne przez karygodną nierozwagę i lekkomyślność samychże Polaków. Śp. Aleksander Morgenbesser swojem „Zwycięztwem książki“ a zwłaszcza zakończeniem tego dziełka na nieobliczone straty narazić mógł sprawę naszych ziomków na Zachodzie, poniewierając ją publicznie. To też widziałem się zniewolonym do udzielenia mu zasłużonej odprawy w mojej „Bibliografii“ (XV. Rocznik Samborski, str. 209), gdzie się o jego dziele w następny sposób wyrażam: „Czy w Białej, jak autor twierdzi, już granice języka polskiego, granice narodowości polskiej? Nie! wszakże duch narodu żyje wszędzie — ubi vult, spirat! bo tak jak myśli ograniczyć nie można żadnemi nakazami i zakazami, tak i język swobodnie buja, choć skoszlawiony często gęsto lichą wymową, a gdzie się tylko Polacy znachodzą, chociaż w mniejszości, tam jest i Polska. Nie dajmy przecież wrogom naszym podstawy do twierdzenia, że już Polski nie ma,

albowiem sami Polacy twierdzą, że w miejscowości dawniej polskiej, Polska istnieć przestała.“

Być może, że skutkiem nowych prądów, jakie zawiały i nowych stosunków, jakie się szczególnie w życiu naszej Polonii, na zachodnich kresach zamieszkałej, uwydatniły — i „Czytelnia polska“ powoli inny charakter przybierać zaczynała, aniżeli ten, jaki jej przed dwudziestu laty szanowny założyciel, c. k. notarjusz, Dr. Edward Stiasny zaznaczał. On miał na myśli stworzenie za pomocą tej czytelni punktu zbornego dla rzemieślników polskich, gdzieby się kształcić mogli swobodnie w języku ojczystym i duchowo podnieść wspomnieniami owych czasów, w których rzeźnik Morawski i szewc Kiliński jaśniali, aureolą wyższą owiani obok postaci kmiotków Bartosza Głowackiego i Tomasza Świstackiego. Stiasny jako szczery demokrata i przyjaciel ludu myślał tylko o rzemieślniku polskim, kiedy założył dlań czytelnię. Stało się to, czego nie przewidział: wyższa inteligencja wtargnęła w to schronisko rzemieślnika polskiego i wyparła go zeń. Rzemieślnicy polscy wystąpili i założyli osobną czytelnię, która pod zarządem księdza polskiego z Białej zostaje. Dr. Stiasny jako dobry Polak należy do obydwóch stowarzyszeń. Jeśli w przedmowie swojej, wygłoszonej z powodu poświęcenia nowego domu „Czytelni polskiej“ tonem wątpliwości wyraził się o tem, czy ta nowa czytelnia w nowej swojej formie zupełnie odpowiada ideałom, jakie mu przyświecały przy założeniu pierwszej, ale niebawem tą myślą się pocieszył, że bodaj pod względem artystycznym ta zmiana naszej Polonii kresowej na lepsze wyszła, to widocznie zapomniał dodać: „i pod względem patrjotycznym, pod względem śmiałej inicjatywy w duchu narodowym, polskim.“ Chociaż bowiem rzemieślnicy zdobyli się na tyle, aby o własnych siłach założyć odrębną czytelnię, to wątpię, żeby im się samoistnie i bez pomocy i porady wyższej inteligencji to udało, co przed niespełna dwoma laty za rządów Polaka Piwockiego, trzeciego prezesa czytelni i starosty w Białej zdobyli a mianowicie: założenie Stowarzyszenia pt. „Dom robotniczy“ w Białej“.

Rok 1892 wykazuje nowe zmiany w konstellacji politycznej bialskiej: dotychczasowy starosta Kraus, tytułem c. k. Radcy Namiestnictwa odznaczony, poszedł do Lwowa. Jego miejsce w Białej zajął dotychczasowy starosta trembowelski Jerzy Piwocki. Pierwszym objawem nowego życia polskiego, budzącego się już bez przeszkód pod jego rządami na gruncie bialskim, jest właśnie owo Stowarzyszenie „Domu robotniczego“ w Białej. Stowarzyszenie rzeczone ma raczej charakter i cechy wzajemnego wsparcia i ochrony w obec wyzysku niemieckich fabrykantów, charakter odporno-narodowy, aniżeli socjalistyczny. Wynika to jak najwyraźniej z §. 1. statutu, zatytułowanego: „Firma i cel.“

„Firmą Towarzystwa jest: D o m r o b o t n i c z y w B i a ł e j, Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką a godłem: „Człowiek ze snu się budzący,“ w około którego napis firmy Towarzystwa §. 3 i 4 ust. z 9. Kwietnia 1873, Nr. 70. dz. p. p.

Celem Towarzystwa jest udzielać swoim członkom moralnej i materjalnej pomocy, zdążającej do poprawy ich bytu i postanowienia ich w możności, by z czasem do własnych majątków dojść mogli, które by im na stare lata po pracy odpocząć dozwoliły i w trudnych chwilach życia przytułek dać mogły.

W tym celu będzie się starało Towarzystwo:

a) urządzić sklep ze wszystkiemi potrzebami dla robotników i ich rodzin;

b) wybudować tani bez kosztownych zewnętrznych dekoracyj trwały dom robotniczy z dobrego materjału, w którym będą urządzone sale jadalne i sypialne, oraz magazyny, sklep, jatki i piwnice na artykuły spożywcze;

c) zgromadzić z wkładek członków najmniej po 2 złr., zapisów, darów i składek tanią fundację pożyczkową na trzy procent od sta rocznie, z której członkowie będą mogli otrzymywać pożyczki na zakupno majątków rolnych lub domów;

d) utworzyć z pewnej części corocznie wydzielonych zysków fundusz na wsparcia dla podupadłych

robotników, oraz fundację na zapomogi dla członków lub ich rodzin, którzyby czy sami, czy swoje dzieci na wykształconych majstrów i kierowników fabryk kształcić chcieli.“

Z §. 2. statutu zaś wynika, że to polskie stowarzyszenie, albowiem „językiem urzędowym jest język polski.“

Z całej osnowy statutu, streszczonego w 22 paragrafach, znać, że go streściła nie dłoń zwykłego rzemieślnika polskiego, ale umiejętna ręka biegłego adwokata albo doradcy prawniczego, tak tu wszystko wzorowo według wszelkich przepisów prawa sformułowane i wypowiedziane; skutkiem czego też „Rada c. k. Sądu obwodowego w Wadowicach z dnia 20. Listopada 1891. L. 6722 poleciła zapisanie do rejestru stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych firmy „Dom robotniczy w Białej“ na podstawie niniejszego statutu.“

Zupełnie odmienne wrażenie wywołuje streszczony na ostatniej stronicy statutu „Dodatek“. Poznać, że go skreśliła nieumiejętna dłoń prostego syna ludu, nie obdarzonego nadzwyczajnemi zdolnościami pisarskiemi. Prosty chłop, umiejący czytać i pisać, możeby się także nie inaczej wyraził, aniżeli rzemieślnik, który tę odezwę do swoich braci streścił. Ja mówię: „prosty chłop“, boć wiadomo, że i chłop obok uprawiania roli uprawą rzemiosła nie pogardza. Przytaczamy ten ciekawy dokument w dosłownem streszczeniu:

„Bracia członkowie!

Stowarzyszenie nasze pod nazwą „Dom robotniczy“ ma być jakoby zakon rycerzy pracy nad odrodzeniem moralnem i materjalnem bytu naszego robotniczego.

Bracia kochani! Stan nasz robotniczy oddawna tak był przez przodków naszych, jak niemniej przez nas samych marnie zaniedbany i lekceważony. Co jest lekkomyślnie opuszczone i zaniedbane, to z czasem, rzec można, wszystko idzie w nieład i ruinę, a zatem staje się tem bardziej trudniejszem do na-

prawy i przywrócenia dawnej formy, należytego porządku lub nowej reformy.

Otóż bracia członkowie! czas jest najwyższy, abyśmy sobie podali dłoń braterską i wspólnie z jak największą energją i ochotą zaczęli pracować nad polepszeniem naszej doli i dobrobytu robotniczego. Bo na nic się nam nie przyda i próżnem jest szukać winowajców obecnej nędzy i niedostatku, jeżeli my naocznie widząc w czem leży przyczyna złego, wobec niej stajemy się lekceważącymi, mogąc jej sprostać. My patrząc na nią z założonemi rękoma, czekając i wierząc w beznadziejne, błahe obietnice, iż nas kto inny wybawi z tej ciężkiej niedoli i los nasz polepszy, sami jesteśmy pierwszymi sprawcami naszego robotniczego położenia, a ztąd też najprzód powinniśmy zacząć pracować nad sobą, pozbywając się własnych jakichkolwiekbądź wad, a dążyć do naprawy tego, co nam najbardziej dopieka.

A więc bracia! budźmy się z tego długiego letargu, wszak nam to wyraźnie przypomina godło naszego stowarzyszenia, t. j. Człowiek ze snu się budzący, trzymający w prawej ręce wagę, dążąc do sprawiedliwości, lewą zaś wskazując nam gwiazdę, która go olśniewa rzęsistym promieniem, niejako zwiastując nadzieję lepszego powodzenia. Za tym więc przykładem budźmy się ze snu, wstawajmy zarazem rychło i bierzmy się żwawo do poprawy tego co oddawna popsute jest, a przytem opowiadajmy innym o celach naszego Stowarzyszenia, jednając jak najwięcej nowych członków, bo nas potrzeba wielkiej armii do tych wielkich i trudnych prac, które wykonać musimy, jeżeli chcemy los i dolę naszą polepszyć — a więc bracia członkowie: „ramię do ramienia — Bóg nam dopomoże!“ w dobrej sprawie, nie traćmy nadziei, lecz ufajmy Jego opiece.

J. B.“

Statut „Domu robotniczego“, wydrukowany na początku roku 1892 w Białej u Andrzeja Mädlera, nie odznacza się czystością i wzorowością druku; przytoczyłem rzeczony statut naumyślnie, aby wykazać, że nietylko w wyższych, ale i w niższych warstwach polskich

duch samozachowawczy w Białej budzić się zaczyna, występując w jawnej walce z przeciwnikiem, choć pod inną formą.

Wkrótce po przybyciu Piwockiego do Białej umarł dotychczasowy prezes „Czytelni polskiej“, Apollinary Góra, paraliżem tknięty. Na walnem zgromadzeniu członków prezesem obrany został starosta Jerzy Piwocki a wiceprezesem Dr. Edward Stiasny. Piwocki jest — jak już powyżej wykazałem — trzecim z rzędu prezesem „Czytelni polskiej“ w Białej. Jest nim ledwie od dwóch lat, a w tym krótkim czasie sprawę polską o całe niebo naprzód posunął, choć nigdy i nigdzie dorywczo nie działał, ni też nie działa, ale wszędzie postępuje z należytem umiarkowaniem, nawet obrachowaniem i rozwagą, niemniej jednak z stanowczością i wytrwałością, godną tak godnej sprawy, jakiej się służyć podjął.

Będąc przełożonym powiatu, jako Polak i obrońca polskiej narodowości, nie miał z pewnością zamiaru, Niemców bezpotrzebnie drażnić; trudno jednak było, zimną krew zachować wobec prowokatorskich wybryków napaści niemieckiej, z których jeden, opowiedziany mi przez członka „Czytelni polskiej“, poniżej przytaczam:

Na burmistrza, Dra Rosnera, zrobiono donos do Wydziału krajowego za wadliwą gospodarkę; śledztwo przeprowadzone z ramienia Wydziału krajowego nie miało wrzekomo śladów tej złej gospodarki odkryć. Dla Niemców zamieszkujących Białę, wystarczyło to jednak, aby Rosnerowi owację wyrządzić. P o l s k a i n t r y g a spowodowała donos na burmistrza; p o l s k a i n t r y g a spowodowała śledztwo. Zrobiono z burmistrza męczennika idei niemieckiej, a zrobionoby dla antagonizmu męczennika niemieckości z niego nawet w takim razie, gdyby był powstańcem polskim, nie umiejącym ani słowa po niemiecku. Bo śledztwo przeprowadzone zostało z ramienia Wydziału krajowego, a więc p o l s k i e j i n s t y t u c j i i było dziełem p o l s k i e j i n t r y g i. Logika niemiecka nie ograniczyła się jednak na owacji; trzeba było tych przykładnie ukarać, którzy intrygą swoją śledztwo spowodowali. Padło więc ofiarą

podczas pochodu uroczystego kilkanaście szyb w lokalu, wówczas jeszcze wynajętym przez „Czytelnię polską.“ Przychwycono wprawdzie sprawców tej ulicznej demonstracji na gorącym uczynku i ukarano ich przykładnie; ale brutalno-zaczepne zachowanie się Niemców nakazało już i Polakom, mieć się na baczności i z większą aniżeli dotąd energją krzątać się około sprawy wybudowania własnego domu.

Nowy prezes czytelni rozwijał teraz podwójną prawie sprężystość i gorliwość celem przysporzenia czytelni nowych funduszów; nie opuszczał najdrobniejszej nawet sposobności, by wzbogacić kasę budowlaną nowemi dochodami. Brak nam słów, aby w należytem świetle określić jego poświęcenie i ofiarność dla sprawy narodowej! Na najrozmaitsze sposoby starano się o powiększenie potrzebnych funduszów. Pisma krajowe, szczególnie krakowskie, poruszyły sprawę bialską, gdzie i kiedy tylko mogły; skoro nową jakąś szkołę w obwodzie bialskim poświęcono, starosta nie zaniechał tej sposobności, aby między gośćmi urządzić składkę na wybudować się mający „Dom polski“ w Białej; gdzie wiedziano o człowieku, przychylnym polskiej sprawie, tam z pewnością nie omijano go. Ja sam, zagadnięty w tej sprawie, nie zadowoliłem się tem, poruszać ją w pismach, ale zarządziłem także składkę między znajomymi której rezultatem włącznie mojej kwoty było 8 złr. w. a. Oprócz tego nadesłałem na rzecz „Czytelni polskiej“ w Białej 12 rozmaitych książek i broszur, pochodzących z dawniejszych wydawnictw moich, a przedstawiających łączną wartość 13 zł. 95 ct. Książki te zostały wsystkie bez jakiegokolwiekbądź opustu w cenie, na rzecz budowy „Domu polskiego“ w Białej, na miejscu spieniężone. Obecnie dom ten stoi pod dachem i służy celom, dla których poświęcony został. Jest to budowa pomnikowa, zaszczyt czyniąca tym, co ją wystawili; jest to pomnik ducha polskiego „monumentum ære perennius.“ Ale dług na ten budynek dotąd jeszcze nie został umorzony. Na publiczności polskiej cięży obowiązek rychłego umorzenia te-

go długu. Niechajże mój „Rocznik Samborski“ ten dług narodowy przypomni dalekim i bliskim. Redakcja „Roczników Samborskich,“ jak i niemniej redakcja „Gazety Samborskiej“ chętnie pośredniczyć będą w wspieraniu celów tak wzniosłych i świętych!

Czytelnik wybaczy mi to chwilowe zboczenie od przedmiotu, na tem miejscu — zdaje mi się — zupełnie usprawiedliwione. Składki pierwotne wykazały, do jakich ofiar zdolna garstka prawdziwych patrjotów, którym dobro kraju leży na sercu, ale nie o wiele posunęły sprawę budowy „Domu polskiego“ naprzód. Wtem w najkrytyczniejszej chwili znalazł się dobrodziej cichy a skromny, mieszkający w zapomnianym zakątku, dobrodziej, który ofiarnością swoją nie jednego zawstydził magnata i którego imię dzieje Polski kresowej z czcią i wdzięcznością zapiszą w swoje księgi ku wiecznej pamięci przyszłych pokoleń! Tym dobrodziejem był ks. kanonik Temple z Hałcnowa, który swoją wspaniałomyślnie ofiarowaną a bezprocentową pożyczką 7000 złr. „Czytelnię polską“ z najgorszych prawie wybawił kłopotów. Z taką sumą w ręku już na śmiało zacząć można było interes.

Znalazł się Niemiec bialski, który starą jednopiętrową a walącą się ruderę w rynku dawniejszym (obecnie przechrzczonym na „Plac Franciszka Józefa“) wraz z należącym do niej placem budowlanym miał na sprzedaż. Trzeba było z Niemcem wejść w pertraktacje, ale bardzo ostrożnie, aby najmniejszego pod tym względem nie budzić podejrzenia. Cena — co się zowie — była słoną, podobno 14.000 złr. O to jednak nierozchodziło się kupującym wcale: czytelnia do większych zobowiązałaby się może nawet ofiar, aby tylko mieć pewność, że ugoda prawomocną się stanie. Miano więc naradę poufną, którą bym prawie wojenną nazwał i tak jak w wojnie nieraz fortel drobny o przyszłej wygranej rozstrzyga, tak i tu uciekano się do podobnego fortelu.

Czytelnia wyprawiła członka swego, sekwestratora Długoszowskiego do Niemca celem załatwienia

interesu. Nakazano Długoszowskiemu jak najsurowiej, aby broń Boże czytelni nie wmięszał do tego interesu, ale dla zamydlenia oczu Niemcowi kamienicę jedynie w swojem imieniu i dla siebie kupił. Obawiano się bowiem i to nie bez przyczyny, że skoro czytelnia się jako strona kupująca przedstawi, wtedy Niemiec na sprzedaż pod żadnym warunkiem zgadzać się nie będzie. Przezorność wcale uzasadniona! Niemiec, mając przed sobą jedynie Długoszowskiego, ofiarującego mu żądaną za dom kwotę, zgodził się chętnie na sprzedaż, bardzo rad temu, że za wysoką kwotę pozbyć się mógł walącej się i zupełnie nieużytecznej mu rudery. Tegoż samego dnia notarjusz Stiasny zalegalizował kontrakt kupna i sprzedaży, który się tem samem stał prawomocnym, w dzień później zaś Długoszowski dom swój odsprzedał „Czytelni polskiej“ i kontrakt ten również urzędową drogą przez Stiasnego został zatwierdzony. Czytelnia weszła w niezaprzeczone i zaprzeczyć się nie dające posiadanie ohydnej, obdrapanej, chociaż jednopiętrowej rudery i placu budowlanego pod nią, na którym okazalszy teraz wznieść mogła budynek, a Niemcy wściekali się ze złości.

Był plac pod budowę, był grunt, był i dom, który obecnie własność czytelni stanowił: ale dom ten w obecnym swoim stanie — zaniedbany, obdrapany, walący się — miał chyba wartość zamku na księżycu. Trzeba było całą ruderę z gruntu rozebrać a dopiero na ruinach tego, co było, wznieść nowy, okazalszy, celowi swemu więcej odpowiadający budynek. Czytelnia i przed tym ogromnym wydatkiem nie zawahała się ani chwili. Zaciągnęła w „Banku krajowym“ we Lwowie pożyczkę na 20.000 złr. i zabrała się raźno do budowy. Budowa ta, pod umiejętną ręką budowniczego Rosta rosła z dnia na dzień na chlubę „Czytelni polskiej“ w Białej, na chlubę przyszłych pokoleń, którym i po wiekach jeszcze świadectwo złoży o bezprzykładnej ofiarności i wytrwałości tych, którzy mimoto, iż byli małą tylko garstką, przecież tak wielkiego dzieła się podjęli i takowe w stosunkowo nader krótkim czasie wykonali ku nauce swoich i ku zdumieniu dziesięć razy liczniejszego i silniejszego wroga.

Dom czytelni, „dom polski“ — to prześliczny, stylowy, dwupiętrowy budynek, nad którego portalem orzeł polski z złotą koroną wesoło skrzydłami bije na przywitanie ziomków, na pohybel wrogom! Uroczyste poświęcenie tego domu nastąpiło w sobotę, 29. Września 1894 jako w dzień św. Michała, patrona Galicji; nim jednak to poświęcenie się dokonało, które jako naoczny świadek opisuję — idea polska odniosła nowe tryumfy. „Szkoła ludowa“ ma już i w Białej swoją filję a prezes „Czytelni polskiej“ jest jej członkiem i „Nowa Reforma“ zawitała już także do dwóch lokalów publicznych, w których dotąd wyłącznie tylko niemieckie pisma prenumerowano.

Już w przededniu otwarcia (28. Września 1894) „Czytelni polskiej“ zwiastowały dwie z okien czytelni powiewające chorągwie o barwach państwowych i narodowych urbi et orbi, że niebawem odbyć się ma uroczystość poświęcenia i otwarcia instytucji narodowej w własnym tejże domu.

Po uroczystem nabożeństwie, poprzedzającem akt otwarcia czytelni, rozpoczęły się nader liczne odwiedziny gości, przybyłych z najodleglejszych stron, pomiędzy którymi wyszczególnił się liczny zastęp „Sokołów“, przybyłych z Krakowa, Wadowic i Oświęcimia a z miejscowych gości zastęp wcale pokaźny pań i dziatek, przez Wydział czytelni zaproszonych.

Pierwszy przemówił Dr. Bogdanik, jeden z wybitniejszych członków „Czytelni polskiej“ i jej wydziałowy. Skreśliwszy początki i zadanie arcytrudne „Czytelni“, która nietylko z warunkami nieprzychylnemi na zewnątrz walczyć musiała, ale której ponadto jeszcze brakowało funduszów, opisywał on żywemi barwami ofiarność tak pojedynczych czynników, jak i całego kraju na rzecz tak pożytecznej dla ducha polskiego instytucji, jaką jest „Czytelnia polska“ w Białej. Niestety! wybudowanie własnego gniazda — mimo wszelkich ofiar, łożonych na nie — nie przyszło tak łatwo. Trzeba było znaczny dług zaciągnąć na budowę „Domu polskiego“ w „Banku

krajowym“ we Lwowie; ale mowca nie traci nadziei, że dług rzeczony jak najrychlej umorzonym zostanie. Wyraziwszy jeszcze raz podziękowanie tak ogółowi, jak i pojedynczym czynnikom, w pierwszym rzędzie zaś ks. kanonikowi Templemu z Hałcnowa za pożyczkę 7000 złr. i budowniczemu Emanuelowi Rostowi z Białej za wzorowe i artystyczne wykonanie budowy, niezapomniał też o zasługach nieżyjącego już obecnie prezesa czytelni, śp. Apollinarego Góry, za których to przyczynieniem taki świetny rezultat został osiągnięty. Podniósłszy należycie wszystkie te okoliczności — składa tedy z pełnem zaufaniem klucze nowopowstałego gmachu w ręce gospodarza i prezesa tegoż.

Przemówił jako drugi prezes czytelni, starosta bialski p. Piwocki. W ognistych słowach streścił on cel i zadanie „Czytelni polskiej“ na kresach. Nie jest ona i nie pragnie być instytucją wrogą dla innych narodowości, mających byt ustawami zabezpieczony; ale pragnie byt własny zamanifestować i uwydatnić wobec ogółu polskiego, pragnie służyć jako stały przybytek polskiej pracy i polskiej wiedzy, polskiemu duchowi, cieszy więc mowcę niewymownie szczegół, że sale nowopoświęconej instytucji służyć mogą równocześnie jako teren dla celów naukowych i służą też rzeczywiście tak poważnej korporacji, jaką stanowią lekarze, zgromadzeni na zjazd naukowy a przybyli nawet z sąsiednich powiatów do Białej. Ubolewa nad tem, że przybyłych z rozmaitych okolic „Sokołów“ witać nie może imieniem nieistniejącego dotąd w Białej „Sokoła“, ale żywi nadzieję, że i „Sokół“ niezadługo zawiąże się w Białej a wtedy i takie przywitanie nastąpi. Na zakończenie wzniósł jeszcze mowca zdrowie tego, pod którego łagodnem berłem wszelkie instytucje narodowe tak świetnie się rozwijają a którego popularności najlepszym dowodem było p r z y j ę c i e, zgotowane mu podczas odwiedzin wystawy krajowej we Lwewie — zdrowie najjaśniejszego monarchy.

Jako trzeci przemówił zastępca prezesa a były założyciel „Czytelni polskiej“, używający powsze-

chnego miru i szacunku u ludności polskiej w Białej — rejent Dr. Edward Stiasny. Bolesna nuta zadrgała w jego przemówieniu. Przypomniało ono nam żywo gorzkie czasy reakcji i prześladowań; przypomniało nam owe dzieje, kiedy tych wyszydzano, wykpiwano, prześladowano, którzy obecnie stoją na świeczniku, kiedy organ podrzędny policji lwowskiej (a było to w r. 1864) znanemu obecnie w dziejach literatury polskiej pisarzowi ośmielił się wytykać chodzenie w stroju polskim a uczynił to niezmiernie taktowną przemową: „Ty kiernozie! czemu chodzisz w konfederatce?“ Czytelnia polska w Białej, przez Stiasnego założona, inne miała cele niż obecna, a mianowicie służyć miała jako miejsce zborne dla zgromadzeń i wymiany myśli, jednem słowem dla kształcenia mas szerokich ludu polskiego, pozbawionego dotąd podobnego przytuliska — dla rzemieślników polskich w Białej. Z czasem instytucja rzeczona inny przybierać zaczęła charakter. Inteligencja wyższa wtargnęła w to ognisko, dotąd przeznaczone tylko dla rękodzielników i wyparła ich zeń. Mowca nie chce wchodzić w to, czy rzeczona zmiana korzystną lub niekorzystną była dla ducha polskiego. Może jednak o tyle korzystną się zdawać, że bez utraty cech narodowych duch polski na polu artystycznem pod nowym kierunkiem, przez inteligencję mu nadanym, korzystniej rozwijać się zaczyna. Władzom germanizatorskim i germanizującym nie podobało się jednak życie polskie, w jakichbądź objawiające się kształtach. — Burmistrze, prześladowce ducha polskiego, zaczęli więc dokuczać, gdzie i komu tylko mogli: nauczyciele jak Gajczak, Schnepp, Kowalewski (z których tylko pierwszy jeszcze żyje) padli ofiarą prześladowań germanizatorskich, stracili posady dla tego, że ponad chleb codzienny cenili polskość swoją. Zmieniły się czasy, zawiał prąd inny i teraz chwała Bogu! możemy się otwarcie wobec wszystkich przyznać do tego, że jesteśmy Polakami. Nie grozi nam już prześladowanie ze strony nieprzychylnych nam; Polonia na kresach ma już własny dom, ma przybytek aczkolwiek krwawemi ofiarami kupiony, w którym gromadzić może skarby wiedzy,

skarby nauki, skarby ducha polskiego. Zakończył mowca przemowę swoją ognistym wierszem na cześć „Czytelni polskiej“, gorąco oklaskiwanym przez obecnych.

Nastąpiło z kolei odczytanie telegramów i listów, nadesłanych na ręce p. starosty Piwockiego jako prezesa „Czytelni.“ Telegramów tych i listów, włącznie z temi, które dopiero popołudniu nadeszły, było około 100. Jako najwybitniejszy podnoszę na tem miejscu telegram Kornela Ujejskiego, wyrażający nadzieję, że niebawem duch polski w Białej wszystko to wyruguje, cokolwiek obczyzną tchnie i że Biała przestanie być miastem kresowem dla Polski; telegramy z życzeniami najserdeczniejszemi powodzenia i pomyślności przysłali arcybiskupi: Issakowicz i Morawski ze Lwowa, Czytelnia polska w Cieszynie, Czytelnia w Frysztaku, Czytelnia w Morawskiej Ostrawie, Czytelnia w Strumieniu (Schwarzwasser na Szlązku), redaktor „Djabła“ Emil Borkowski z Krakowa i inni, których z braku miejsca tu już nie wymieniamy.

Z kolei przemówił delegat Wydziału krajowego Romanowicz, przybyły w towarzystwie drugiego delegata Sawczaka na uroczystość narodową otwarcia „Domu polskiego“ w Białej. I o n t e ż z naciskiem podniósł okoliczność, że duch polski wzmaga się w kraju i rozwija; że naród cały jako polski sprzyja temu kierunkowi; że Wydział krajowy jako najwyższa władza autonomiczna w kraju, wyraża swoje sympatje dążnościom patrjotycznym „Czytelni polskiej“ na kresach i zachowywać je będzie, dopokąd „Czytelnia polska“ w oznaczonym kierunku działać nie przestanie. (Dowód tych sympatyj upatrujemy także w subwencji 200 złr., przez Wydział krajowy na rzecz „Czytelni polskiej“ w Białej ofiarowanych.)

Jako piąty mowca przemówił delegat „Sokołów“, Dr. Bandrowski z Krakowa i podniósł z naciskiem solidarność w wszelkich sprawach narodowych, która także „Sokołów“ jako zastępców idei polskiej, tutaj sprowadziła, by we wspólnem gronie tak piękną święcić uroczystość.

Jako ostatni przemówił Danielak, krakowski delegat „Szkoły ludowej“, której filia niedawno w Białej się zawiązała. Wyraził nadzieję, że duch patrjotyczny, tak świetnie się rozwijający na kresach, i nadal nie osłabnie i że „Szkoła ludowa“, to słabe pisklę, wyda kiedyś na świat potężnych „Sokołów“, z użytkiem dla idei polskiej pracujących.

Tem przemówieniem skończono szereg oficjalnych powitań, a goście rozchodzili się grupami, aby spożyć obiad, gdzie każdemu przeznaczono, lekarze zaś mieli w południe osobne posiedzenie w lokalu „Czytelni“, poczem według programu, przez Dra Bogdanika ułożonego*), wspólny obiad miał nastąpić.

O godzinie trzeciej popołudniu urządzono przedstawienie teatralne dla dziatek, w dodatku wyłącznie przez amatorki dzieci wykonane. Niewymowna rzewność budziła się w sercu na głos dziewczątka, deklamującego wiersz znanego poety polskiego, wzywającego do ofiar dla Ojczyzny. Zaprawdę! takich słów i to w polskim języku wypowiedzianych, nie spodziewaliśmy się usłyszeć w „niemieckiej“ na pozór Białej! Odegrały potem amatorki młodociane Bolesławicza obrazek dramatyczny: „Fraucymer Anny Jagiellonki.“ Huczne oklaski wy-

---

*) Rzeczony program brzmi według treści, dosłownie przez nas przytoczonej, w sposób następujący:

„Wielmożny Panie Kolego!

Kolega Gawlik zaprosił nas do Białej na posiedzenia sekcyjne, w dniu 29. Września b. r. odbyć się mające. W obec tego ułożyłem następujący porządek dzienny:

O godzinie 7. rano zebranie w szpitalu Bialskim, zwidzenie tegoż, demonstracje chorych i t. d.

O godzinie 12. w południe posiedzenie w lokalu „Czytelni“, a po posiedzeniu wspólny obiad.

O godzinie 3. zwiedzenie szpitala Bielskiego, kaffildesinfektora i zakładu kontumacyjnego.

Resztę dnia zapełnią uroczystości otwarcia nowego gmachu „Czytelni polskiej,“ którego program równocześnie zasyłam.

Z koleżeńskiem pozdrowieniem

Bogdanik.“

nagradzały młode artystki, które z należytą werwą z zadania swego się wywiązały.

Aby i świat dziecięcy pamiętał o tem, że to „dzień polski“, obchodzony uroczyście w Białej w „domu polskim“ — zaproszono dziatwę po przedstawieniu na podwieczorek. Wkrótce też sale obszerne „Czytelni polskiej“ pomieścić nie zdołały młodych gości; lokal, jakkolwiek wielki i piękny, prawie za szczupłym się okazał.

Po rozejściu się dzieci i w międzyczasie, wyprzedzającym następne przedstawienie amatorskie sztuki Fredry: „Pan Benet,“ przedstawicielki „Szkoły ludowej“ pozostały na chwilkę w salce przyległej, czy dla swobodnej pogawędki, czy też celem konferencyj naukowych — nie wiem.

O siódmej godzinie wieczorem rozpoczęło się w głównej sali przedstawienie komedji Fredry. Przedstawienie rzeczone wyprzedziła przemowa wiceprezesa p. Dra Stiasnego, który streściwszy dokładniej cele narodowe „Czytelni“, założonej nietylko na to, aby bawić, ale także, aby pouczać a przedewszystkiem, aby budzić ducha narodowego — nawoływał do wspierania jak najsilniejszego sztuki ojczystej. Niestety! nie mieliśmy dotąd odpowiedniego lokalu, aby w nim pielęgnować sztukę polską. Do Niemców o pozwolenie użyczania nam swego lokalu udać się ani myśleć nie można było; jakkolwiek oni celem budowy swego teatru niemieckiego nie gardzili ofiarami ogółu, do których to ofiar niestety i nasi Polacy nieraz się przyczynili*), — to nie mieli tych samych względów dla nas, a zawarowali sobie nawet osobnym statutem, że w niemieckim teatrze broń Boże! żadna sztuka w języku polskim nie może być przedstawioną.

Mowca zwraca się do ogółu z prośbą, aby zachęty swojej nie szczędził sztuce swojskiej i uczęszczał na przedstawienia jak najliczniej. Wygłosił

---

*) Z ust wiarygodnych dowiedzieliśmy się, że i śp. Stanko, Polak i aptekarz w Bilsku zamieszkały, do owych ofiarodawców na rzecz teatru niemieckiego należał.

jeszcze na zakończenie wiersz na pół poważnym, na pół lekkim tonem wypowiedziany, za który mu oklasków nie skąpiono.

Również darzyła publiczność także i amatorów licznemi oklaskami, a amatorowie (szczególnie przedstawiciel roli starego Beneta) odegrali sztukę z należytą werwą i bez najmniejszego zająkania.

Po zakończeniu sztuki nastąpił raut. Przyrządzono w przyległych salach wieczerzę dla gości. Podczas wieczerzy delegat „Sokoła“ zbierał składki na gimnazjum polskie w Cieszynie i nie wątpimy, że składka bardzo pomyślnym została uwieńczona rezultatem.

Na żądanie Dra Stiasnego powstałem i wygłosiłem następny wiersz, ułożony przezemnie na cześć Polonii, na kresach zachodnich zamieszkałej:

„Czy sen to, czy widok na jawie?
Stuletnie odżyły znów hasła,
I ta, która w sercach nie zgasła,
I w walk nie ulotni się wrzawie; —
Ta miłość dla strzechy rodzinnej
Zapału dźwięk budzi gorący,
Jak „człowiek ze snu się budzący*)“
W postaci ogląda świat innej.
I my też, przybyli tu z krańców
Ostatnich tej ziemi kochanej,
Widzimy ten cud niesłychany,
Jak stojąc na warcie u szańców
Lud polski pod sztandar się garnie,
Co niesie mu cześć i zbawienie,
I dnia ozłacają promienie
Trud polski, by nic nie szło marnie!
Widzimy, widzimy to dziwo,
Jak w imię misyi apostolskiej
Na kresach powstaje „dom polski;“
Widzimy, jak duch zbiera żniwo...
Jak prorok, co stojąc na skale,
W przyszłości spoglądał tam cudy,

*) Alluzja do znanego godła „Domu robotniczego“ w Białej.

Tak widzim tłoczące się ludy:
Żywiołu polskiego to fale!
To duch twój, to duch twój potężny,
Tradycjo ojczysta, oświato!
Co tutaj gromadzi bogato
Lud nauk, lud prac, lud siermiężny!
Otworem dziś stoją mu wrota,
By obcym się nie czuł na ziemi,
I błąkać pomiędzy obcemi
Nie będzie się już jak sierota!
Imieniem tej wielkiej idei,
Co chociaż tłumiona, nie zginie
I sztandar zwycięzko rozwinie
Wśród burz i potopów zawiei;
Imieniem tej, która natchnęła
Do walki garść małą, lecz dzielną,
Okryła lud czcią nieśmiertelną,
Budziła i budzi do dzieła;
Imieniem tej, co się nie kryje,
Lecz stoi jak pogotowie,
Pozwólcie wygłosić mi zdrowie:
„„Polonia na kresach niech żyje!““

A gdy ten toast przez zgromadzonych na uroczystości życzliwie został przyjęty, wtedy od siebie dodałem drugi wiersz nadprogramowy, w którym nawiązując do stosunków miejscowych, napominałem do solidarności w obec wroga:

„Stańmy jak j e d e n mąż
Przy narodowych znakach!
Kto się czołga jak wąż,
W zdradnych ćwicząc atakach,
Temu urwiemy łeb,
Tak jak Herkules hydrze,
A kto się cofnie — kiep! —
Zwycięztwa nam nie wydrze!“

Wkrótce gości zgromadzonych w przyległych salach przy uczcie, głos silny zwabił napowrót do sali głównej: był to głos przewodniczącego Czytelni, odczytującego telegramy, popołudniu nadeszłe. Telegramów tych było 31.

Przytaczamy wyżwymienione telegramy w liczbowym porządku:

1) „Cześć Prezesowi Czytelni i cichemu, ale wytrwałemu pracownikowi na polu narodowem za uwieńczenie skutkiem trudnego dzieła otwarcia domu „Czytelni“. Miłość nasza niechaj Ci będzie bodźcem do dalszej pracy. Wydział kasyna Trembowelskiego.“

2) „Obrońcom praw narodu na kresach cześć i szczęść Boże na przyszłość! Towarzystwo „Szkoły ludowej“ i „Sokół“ w Oświęcimiu.“

3) „Czytelnia Polska. Najlepszego powodzenia! Władysław i Wiktor Piwoccy we Lwowie.“

4) „Wydział Czytelni Polskiej w Trembowli. Dumni z Was jako straży polskiej na kresach przesyłamy każdemu członkowi Waszej Czytelni z całego serca szczęść Boże. Cześć Wam za Waszą uczciwą pracę narodową! Bóg niech Was i dom Wasz błogosławi. Kochajmy się, nie dajmy się!

Kasyno Trembowelskie.“

5) „Szanowna Czytelnia Polska, Kraków. Przesyłam życzenia najpomyślniejszego dalszego rozwoju. Za zaproszenie dziękuję. Szczęść Boże! Karol Góra.“

6) „Szanowny Wydział Czytelni Polskiej, Przemyśl. Magistrat w Przemyślu nie mogąc pospieszyć na uroczystość, którą dziś obchodzicie, przesyła najszczersze życzenia dla utworzonej z wielkiemi trudami Czytelni jako warowni obronnej dla naszej narodowości! Szczęść Boże! Dworski.“

7) „Czytelnia Polska, Zator. Szczęść Boże wytrwałej pracy! Cześć kresowym szermierzom! Czytelnia Zator.“

8) „Czytelnia Polska, Tarnów. Niechaj we własnym domu dozna pomocy Boga w obronie interesów narodowych. Magistrat Tarnowski.“

9) „Czytelnia Polska, Biała. Na odpuście w Witkowicach zebrani duchowni i świeccy rodacy przesyłają Wam w dniu tak uroczystym: Szczęść Boże sprawie narodowej! ks. Kwiatkowski, Kęty“.

10) „Czytelnia Polska, Biała. Nie mogąc przyjechać, przysełamy życzenia szczęścia i gorące słowa zachęty do dalszej wytrwałej obrony naszych kresów i praw narodowych. Sokół Żywiecki.“

11) „Czytelnia Polska Biała, Kraków. Nieobecnem ciałem łączę się z wami duszą i sercem i wołam: Szczęść Boże! Ludomir Benedyktowicz.“

12) „Wydział Czytelni Polskiej, Sambor. Wytrwałej pracy i dalszemu rozwojowi Szczęść Boże zasyła czytelnia w Samborze. Bukietyński.“

13) „Czytelnia Polska Biała, Sambor. Szczęść Boże w własnem gnieździe! Czytelnia ludowa, Sambor.“

14) „Szanowny Wydział Czytelni Polskiej w Białej, Sambor. Reprezentacja król. wol. miasta Sambora z powodu uroczystości otwarcia domu własnego przesyła Szczęść Boże! Bukietyński.“

15) „Wydział Czytelni Polskiej w Białej, Stanisławów. Oby Wasz dom był strażnicą narodu, o której piersi łamać się będą ciosy germanizmu. Redakcja Gazety Stanisławowskiej.“

16) „Wydział Czytelni Polskiej w Białej, Lwów. Imieniem zarządu głównego Towarzystwa pedagogicznego zasyłam w dniu otwarcia Czytelni Polskiej najserdeczniejsze życzenia. Szczęść Boże! Jerzy Czartoryski.“

17) „Czytelnia Polska w Białej, Czerniowce. Przestrzenią najdalsi, dolą najbliżej stajemy dzisiaj sercem pomiędzy Wami, aby dzielić radość dnia uroczystego, od bezdomnych z daleka krainy ślemy pokłon i życzenia! Koło pań „Szkoły ludowej.“

18) „Czytelnia Polska w Białej, Czerniowce. Tryumf Wasz dzisiejszy nas podnosi na duchu. Pokłon od wschodnich kresów kresom zachodniej Ojczyzny, co tak dzielnie niosą sztandar odrodzenia narodowego. Czytelnia Polska.“

19) „Czytelnia Polska w Białej, Czerniowce. Pokój Waszemu domowi, co będzie jedną z jasnych gwiazd przewodnich na polskiem niebie! Cześć tym, co kładą węgle odrodzenia! Redakcja „Gazety Polskiej.“

20) „Czytelnia Polska w Białej, Czerniowce. Pozdrowienia a czołem braciom kresowym, co nie upadli, w wierze wytrwali i zwyciężyli! Nie zginęła sprawa, którą tak dzielnie bronicie. „Sokół Bukowiński.“

21) „Czytelnia Polska w Białej, Polska Ostrawa. Na uroczystość otwarcia własnego lokalu zasełamy serdeczne Szczęść Boże! Czytelnia Michałkowice.“

22) „Szanowna Czytelnia w Białej, Galicja. Orlau. Grzmiące Szczęść Boże! Czytelnia Łazańska.“

23) „Czytelnia Polska w Białej, Chybi. Uznając wytrwałość, energję, niezmordowaną pracę w narodowej walce i łącząc się duchem z Wami, szlemy przy dzisiejszem święcie narodowem Braci kresowej życzenia: „Vivat, floreat, crescat!“ Ganszer aptekarz, Giełdanowski, Gretschel sędzia, ks. Herman, Dr. Hladisch, ksiądz Muzek,Rużycki aptekarz, Dr. Rybak, Zagórny.“

24) „Czytelnia Polska Biała, Kozy. Sercem radośny biorę udział w Waszej uroczystości, niech w najdalszą przyszłość z domu poświęconego tryska zdrój ożywionych idei dla społeczeństwa. Ksiądz Łabaj.“

25) „Czytelnia polska, Rozwadów. Nie mogąc przybyć, przesyłam moje najserdeczniejsze życzenia. Vivat, crescat, floreat! Gajewski.“

26) „Czytelnia Polska, Lwów. Gratulire bestens zur Eröffnung. Architekt Ungwer.“

27) „Prezes Czytelni Polskiej, Podgórze. Matka moja słaba, przybyć nie mogę, życzę całem sercem szczęścia i powodzenia. Marjan Grodzicki.“

28) „Czytelnia Polska, Kosów. Nie mogąc osobiście wziąć udziału w dzisiejszej uroczystości, zasyłamy Szczęść Boże! Czepielewscy.“

29) „Dr. Józef Bogdanik, prymarjusz szpitala w Białej,Kalwarja.Z powodu nieprzewidzianych przeszkód przybyć nie mogłem, życzę zjazdowi powodzenia, duchem i sercem jestem z Wami. Dr. Gęślak.“

30) „Czytelnia Polska w Białej, Prądnik Biały. Twierdzy na kresach, zbudowanej kosztem wytrwałej pracy, szlachetnych myśli, cnych zabiegów Szczęść Boże! Gottlieb.“

31) „Czytelnia Polska Biała, Kraków. Do uroczystości założenia własnego ogniska dla Czytelni Polskiej w Białej przesyłam najszczersze życzenia: Szczęśliwego rozwoju! Dr. Tilles.“

Późnym wieczorem lokale czytelni zaszczycone jeszcze zostały niespodziewanemi odwiedzinami upragnionego gościa, Dra Weigla, byłego prezydenta miasta Krakowa, który osobiście przybył, aby życzenia swoje złożyć a przyszedł podczas najweselszej zabawy, ponieważ za danym przez prezesa Czytelni znakiem, sala główna tejże zmieniła się w salę balową, gdzie przy dźwiękach pieśni narodowych ochocze pary puściły się w tany a tańczyły niezmordowanie do białego dnia to poloneza, to walca, to mazura. W jednej z pauz nastałych powtórzyłem na życzenie prezesa Czytelni pierwszy wiersz, poprzednio przezemnie wygłoszony; spodziewam się jednak, że tej zachęty nie trzeba było, aby podniecić patrjotyzm gości, którzy — jak tu powszechnie mówią — na gimnazjum polskie w Cieszynie złożyli 60 złr. a na „dom polski“ w Białej, za kwiaty przez panie sprzedawane, drugie tyle.

Reprezentacja rady gminnej miasta Białej podczas całej tej uroczystości świeciła niebytnością swoją, redakcja nowego pisma niemieckiego „Bialaer Stadtblatt“ wzdrygała się, nawet bezpłatnie przyjąć odemnie krótką wzmiankę reporterską o naszem święcie narodowem, co tem bardziej zastanawia, że „Silesia“ cieszyńska, zresztą polskim sprawom nie bardzo przychylna, długie i dosyć życzliwe sprawozdanie umieściła. Prawda! zapomniałem, że są wyjątki i że nie każdy Niemiec musi być wybitnym niemieckim szowinistą. Pan Czopp, redaktor niemieckiego pisma „Bukowinaer Rundschau“ zawstydził pod tym względem swego kolegę, p. Ludwika Ruziczkę z Bilska, gdyż wprost zamówił u mnie artykuł niemiecki o uroczystości polskiej w Czerniowcach, choć z góry przekonany mógł być o tem, że w duchu polakożerczym pisać nie będę, a p. starosta Derlik i p. komisarz powiatowy Karmański z sąsiedniego Bilska, którzy — chociaż na krótki czas — w „Czytelni polskiej“ się zjawili, zawstydzili znowu Reprezentację rady gminnej bialskiej, świecącą nieobecnością swoją.

Czytelnia polska w Białej otrzymała także w dniu uroczystym wielkiego swego święta rozmaite dary

w upominku, niejako „chrzestnym“. Wymienię tu najgłówniejsze:

Bałucki przysłał „Czytelni polskiej“ w Białej zbiór nowel p. t. „Mój pierwszy występ literacki“ z dedykacją następną: „Nie mając na razie żadnej innej mojej książki pod ręką, posyłam na początek choć ten drobiazg z życzeniem, aby każdy z autorów choć paru tomami zasilił Czytelnię i pomógł zacnym usiłowaniom Czytelni Polskiej w Białej.

Kraków, d. 29. Września 1894 r.

M. Bałucki.“

„Nowa Reforma“ przysłała dwa większe dzieła i kilka broszur; ks. Pelczar w Krakowie wszystkie swoje dzieła z dedykacją; autor piszący pod pseudonimem Jana Załęgi dzieło swoje pt. „Kiliński, obraz historyczny w pięciu aktach,“ również z dedykacją; „Szkoła ludowa“ w Krakowie pieczątkę srebrną z prześlicznym orzełkiem polskim.

Dla amatorów statystycznych wiadomości dodaję jeszcze na zakończenie, że biblioteka „Czytelni polskiej“ w Białej, zostająca pod zarządem bibliotekarza, p. Truskolaskiego, obecnie liczy 1020 dzieł polskich a niemieckich 370 — wszystko razem do 3000 tomów.

Sambor, 29. Grudnia 1894.

II. Uroczystość Perla w Tarnopolu.

Ledwie minęły echa uroczystości Bialskiej, ledwie wystawa Kościuszkowska urzędownie została zamkniętą, gdy wtem młodzież szkolna żydowska ogłasza wieczorek wokalno-muzykalny na cześć śp. Józefa Perla. Józef Perl — to jeden z najświatlejszych i najzacniejszych żydów, jeden z największych cywilizatorów Podola. Umarł w r. 1839. Jest to zatem uroczystość spóźniona, bo uroczystość 55ciolecia, a nie 50ciolecia. Czy to jednak taki dziwny zbieg okoliczności, czy co — ja w to wchodzić nie chcę — dosyć, że i ta uroczystość odbyła się w roku Kościuszkowskim i jest niejako ostatniem jego echem.

Młodzież nasza tarnopolska zacna i zapalna, choć nieraz pali się także do ideałów, których wyznawcą nie jestem, nie będąc „Syonistą.“ Nie chciałem i nie mogłem jednak żadną miarą współudziału odmówić w uroczystości na uczczenie imienia tak zacnego i światłego męża, jakim był śp. Józef Perl, i myślałem też: „Non tibi, sed Petro.“

Na zaproszenie jednego z komitetowych przysłałem wiersz naumyślnie w tym celu napisany i przyrzekłem także sam przybyć do Tarnopola, skoro tylko rozliczne moje zajęcia, zabierające mi bardzo wiele czasu, na to pozwolą.

Wiersz, który poniżej przytaczam, zatytułowany:

Ku uczczeniu pamięci Perla.

Gdy noc ciemnoty przyćmiewa umysły,
I zdradne zwątpień ściskają nas węże,
Wtedy powstają mieczem zbrojne męże,
Co nam jak gwiazdy na niebie zabłysły,
Miecz ich prowadzi do boju zwycięzki,
A żywe słowo chroni nas od klęski,
I duch nam widną jaśnieje pochodnią
Na drodze myśli, na tryumf nad zbrodnią.

Takim to mężem wśród plemienia Judy
Szczycą się dzisiaj Tarnopola syny;
Pamięci Perla za wiekowe trudy
Pomnik zbudowan w sercu wiernej gminy.
On światło wzniecił, co płomieniem bucha,
By olśnić głowy niepojętne, ciemne;
On ludzkość wszczepił w mas rozwięzłych ducha,
Trudy położył, ale nie daremne.
Dziś, gdy nie zbrojnym mieczem, lecz oświatą,
Ducha ludzkiego rozkwitnąć ma rola,
Niech pamięć Perla, chroniąc nas przed stratą,
Echem rozbrzmiewa w synach Tarnopola!

Sambor, 28. Czerwca 1894.

G. Kohn.

Wkrótce po odesłaniu rzeczonego wiersza otrzymałem bardzo grzeczny list z zaproszeniem, abym się — jeśli można — sam także zjawił na tej uroczystości, która odbyć się miała 20. Października.

Przybyłem do Tarnopola jeszcze o dwa dnie prędzej. Tam otrzymałem program, w sposób następny ułożony:

„Młodzież szkolna żydowska urządza dnia 20. października r. b.

w sali „Jad Charuzim"

Wieczorek wokalno-muzykalny

na cześć śp. Józefa Perla.

Program:

1. Słowo wstępne. A. L.
2. Deklamacja. „Wiersz ku uczczeniu pamięci Józefa Perla" przez G. Kohna. S. R.
3. Skrzypce. „Mazasa duett" N. i F.
4. Chór odśpiewa z psalmu 16. wiersz 8. i 9.
5. Odczyt. „O życiu i zasługach Perla" W. N. (Nussbrecher.)
6. Deklamacja. „El mole rachmim" przez Wiktora Gomulickiego S. H.
7. Skrzypce. „Mazasa duett."
8. Chór odśpiewa psalm 118 N. i H.
9. Deklamacja „Gwiazda Syonu" Z. K.
10. Skrzypce „Mazasa tercett" N. F. H.

11. Chór odśpiewa „Weani Sefilusi."
12. Zakończenie.

Początek o godzinie 6."

Ponieważ komitetowi sami się wahali, komu to ostatnie słowo „na zakończenie" powierzyć, więc udali się do mnie z prośbą, abym je wygłosił. Nie byłem wprawdzie na tę propozycję przygotowany, ale wypracowałem przecież na poczekanie koncept mowy, którą też następnego dnia „na zakończenie" wygłosiłem.

Komitetowi jednak w pośpiechu popełnili małą pomyłkę i zgłosili się po mnie, kiedy już według programu 2 czy 3 numera wygłoszono. Sala natłoczona była publicznością, która się jednak bardzo przyzwoicie zachowała.

Oklaskiwano odczyt Nussbrechera „o życiu i zasługach Perla" i przyznaję, że oklaski te zasłużone, praca Nussbrechera była bowiem pod każdym względem wyczerpującą i piękną.

Któż nie zna wzruszającego opowiadania poetycznego, które Wiktor Gomulicki tytułem „El mole rachmim" zaopatrzył? Praca piękna Gomulickiego — zdaje się — zyskała jeszcze na świetnej deklamacji pana S. H.

Mniej udatnym wydał mi się wiersz Salzmanna „Gwiazda Syonu."

Na końcu i na mnie przyszła kolej. Wygłosiłem następującą mowę:

„Szanowni słuchacze i słuchaczki!

Nie bez celu święci dziś izraelicka młodzież postępowa, w Tarnopolu zamieszkała, pamięć zasłużonego około dobra ogółu męża i obywatela, śp. Józefa Perla, założyciela tutejszej izraelickiej szkoły postępowej, pierwszej w Galicji. Nie będziemy się szeroko rozwodzili o zasługach tego szermierza na polu ludzkości, a podnosimy tylko ten szczegół, że aczkolwiek nie zginął ręką fanatycznych zacofańców, jednak prześladowany był przez nich ustawicznie.

Cóż wśród takich warunków natchnąć go mogło do przeprowadzenia dzieła, wielkiemi ofiarami, ustawiczną stratą okupywanego? cóż go natchnąć

mogło do tego, że z Tarnopola, tej kwitnącej w bujne łany stolicy Podola, stworzył warowną twierdzę postępu, o którą bezskutecznie się łamią zatrute strzały chasydyzmu, wysłane z Czortkowa, z Husiatyna, z Wyżnicy?

Myśl wyższa, iskra Boża, która ożywczo działa w umysłach i sercach wybrańców, która im się podstarzeć nie pozwala, która ich podtrzymuje przy świeżym umyśle i sercu, wiecznie młodem mimo starości i doświadczeń gorżkich, szronem skroń osrebrzających. Młodzież tarnopolska, czcząc pamięć śp. Józefa Perla, czci siebie samą.

Pozwolą mi szanowni słuchacze i słuchaczki, że kilkoma słowy wyznaczę im ten kierunek pracy, jaki nakreślony im został przez wielkich mężów, choć naśladując ich przykład, nie każdy z nas może równie wielkim będzie. I tu nie mogę zamilczeć także o zasługach barona Hirscha, który to, co w stosunkowo szczupłem kółku przeprowadził śp. Józef Perl, w daleko szerszem znaczeniu i z większemi jeszcze ofiarami przeprowadza, nosząc kaganiec oświaty w najodleglejsze zakątki Galicji. Gdyby ten światły i zasłużony mąż wiedział, jaką „serdeczną“ nieprzyjaźnią nasi „najserdeczniejsi“ go otaczają; jak go przedstawiają w rozmaitych karykaturach i pamfletach jako szatana, czyhającego na zgubę chrześciaństwa, jako rogatego jelenia, który rogami swemi wprost zagraża naszym współbraciom chrześciańskim! Myślicie, iżby te podłe napaści odstraszyły go od dzieła? Przenigdy! chyba do większej jeszcze pobudziłyby ofiarności i dobroczynności!

Młodzieży izraelicka! idź za przykładem wielkich twoich przewodników duchowych! Idź za przykładem Mendelssohna i Lessinga! za przykładem Abrahama Kohna, Józefa Perla, Maurycego Hirscha, a nie za przykładem tych, co własnych celów nie świadomi, niedojrzałe umysły zbałamucić pragną! Idź za przykładem tych, co budują twierdze ducha a nie tych, co je burzą!

Z nas każdy niech pracuje na stanowisku swojem jak żołnierz na posterunku, a niech nie liczy na wdzięczność ludzką — bo kto liczy na nią, ten

g ł u p i i n i k c z e m n y; ale niech pracuje, aby zadość uczynić sumieniu swemu.

Młodzieży izraelicka! stanowisko masz wytknięte przed sobą. To stanowisko tkwi w pracy rąk twoich, o n o t k w i w l u d z i e. Zbliż się do ludu, ale nie poniżaj się! Podnoś umysłowo, podnoś materjalnie i moralnie tych, którzy upadają pod brzemieniem prześladowań, których słabe duchy się chwieją wobec zaciętości wrogich ciemięzców światła! T o c z y ń, t a k d z i a ł a j, młodzieży izraelicka, a zdziałałaś wiele.

Lata upłyną! wkrótce i was tu nie będzie! Każdy zajmie stanowisko, na które go los i własne zdolności powołały! Będziecie rzecznikami prawa, będziecie lekarzami cierpiącej ludzkości, będziecie nauczycielami i przewodnikami ciemnych, a wtedy niech sobie każdy tę podniosłą chwilę przypomni, która go t u sprowadziła na uczczenie pamięci pierwszego cywilizatora Podola, Józefa Perla.

Z was już żaden zastępów ćmicieli słońca nie powiększy, ani powiększyć nie powinien! Z was wytworzy się zastęp potężny armii szerzycieli wiedzy. Nie ostoi się przed nią żadną miarą zastęp zacofańców i jak na głos trąby hufców wybranych w proch runęły mury Jerychonu — tak przed tobą, o postępowa młodzieży izraelicka! runąć i w proch rozsypywać się będą twierdze cudotwórczej i bałwochwalczej wiary na wschodzie, urągające jeszcze dotąd bezkarnie wpływom światła i słońca, wpływom ducha bożego!“

Czy ostrzeżenia, przezemnie w tej mowie wypowiedziane, skutkowały — nie wiem. Ja z obowiązku dziennikarskiego oznaczam uroczystość Perla jako ostatnie ważniejsze echo uroczystości Kościuszkowskich i roku Kościuszkowskiego i sądzę, żem się pod tym względem nie pomylił.

Sambor, 31. Grudnia 1894.

G. K o h n.

PRZY OPŁATKU,

(wiersz oryginalny G. Kohna, członka „Czytelni ludowej“ w Samborze, wygłoszony przez autora w lokalu czytelni na dniu 30. Grudnia 1894.)

Przy opłatku my dziś zgromadzeni,
Myśl rozchmurzmy, rozchmurzmy i czoło:
Przeszkód moc, co się piętrzą w około,
Zburzy ten, który siły swe ceni.
Siły nasze nie w słowie, lecz w pracy:
W *jedno* myśl nam zestrzelić i słowo,
By *ta praca* nie była jałową,
By *tą myślą* się wznieśli rodacy.
Myśl ta *szersze* dziś koła zatacza
W setną wielkich rozbiorów rocznicę:
Opromienia nam blaskiem swym lice,
Myśl *to polska* — nie pragnie tłumacza.
Każdy pojmie ją w sercu i w duchu,
By ją pojąć, nie trzeba nam cudu;
Bo potęga jest w ludzie i z ludu
Wyjdzie hasło jedyne do ruchu.
Hej! połączmy się w silnych uściskach!
Hej! do góry ramiona i serca!
A zwycięztwo odniesie szyderca
Chyba, dępcąc po naszych zwaliskach;
Chyba, gdy się idea ludowa
W gruzy, proch i zwaliska rozpadnie;
Gdy czart nami miast Boga zawładnie,
I gdy myśleć przestanie już głowa!
Ale spieszno mi skończyć: w ostatku
Jedno ślę wam życzenie jedynie:
Światło niech was oświeci, niech spłynie
Na was wszystkich dziś tu przy opłatku!

Niespodziewane zetknięcie się.

(Obrazek z życia.)

Miasto X. położone jest na wydmach piaszczystych we wschodniej Galicji tuż przy granicy rosyjskiej. Opodal od miasta wznosi się góra piaskowa. Wiatr ją falami piasku rysuje w różne arabeski, kilka karłowatych choinek zalotnie przystraja, tu i owdzie tuli się dziecię piasków, drobny goździczek.

Ileż to razy bawiliśmy się dziećmi na tej górze! Ileż chwil swobodnych tam zbiegło... a dziś, gdy mnie po latach kilkunastu tęsknota za rodziną w te strony zagnała i gdy inne pokolenie goniące po złocistej pochyłości piaskowej góry ujrzałam, jakieś westchnienie się z piersi wydarło... i wpółszeptem rzucone słowa: „przeszłość nie wróci!“

O szczęśliwe lata dziecięctwa!

Wracając z wycieczki pod górę piaskową w towarzystwie całej rodziny mojej, przechodziliśmy koło chaty pochylonej, zapadłej prawie do połowy w ziemię z oknami pozaklejanemi papierem lub szmatami. Spojrzałam na nią wypędzoną jakąś, wygnaną z sąsiedztwa innych, któreby się chyba wstydziły takiej towarzyszki, i stanęła mi jako żywo przed oczyma „chata za wsią“ Tumrego i Motruny. W jednej szybce całej, nie rozbitej i nie poklejonej uśmiechnął mi się purpurowy kwiat pelargonii. Rzecz dziwna, pomyślałam, w tej chacie zapadłej, nędznej, odartej mieszka jakaś istota lubująca się w pięknie, kochająca kwiatki.

Ktoś zażartował, wybuchł śmiech ogólny, na nędzne domostwo nikt uwagi nie zwrócił.

W kilka dni później ojciec udał się ze mną do magistratu, miałam tam interes do załatwienia.

Jakiś dobroczyńca ludzkości nadesłał cały wagon ziemniaków do rozdzielenia między najuboższych. Tego właśnie rozdzielono za okazaniem kartki poświadczającej ubóstwo. Mimowoli zajrzałam po za kulisy tej sceny wielkiej, na której tysiące tragedyj i dramatów się rozgrywa a bohaterowie schodzą z niej bez oklasku nieznani.

Całe szeregi nędzarzy rozmaitej płci i wieku defilowały przedemną.

W okryciu z łachmanów, z brudną płachtą przewieszoną przez plecy, z okiem wlepionem chciwie w olbrzymie paki ziemniaków, stali ci nieszczęśliwi. Ognie głodowej gorączki drgały w tych nawpół błędnych źrenicach, ja stałam strętwiała z przerażenia i grozy.

Z natłoku nędzarzy wysunęła się postać kobieca. Z pod czarnej chustki kosmyki siwych włosów rozsypywały się po czole, dłoń chuda, żółta wyciągnęła się z kartką, policjant odmierzył ćwierć ziemniaków i wsypał do worka. Niestety! siły biednej kobiecie zabrakło, by go podnieść. Ktoś litościwy się znalazł, podał go jej na plecy, aż zatoczyła się pod ciężarem i powlokła się zwolna przez podwórze.

Od pierwszego wejrzenia zdawało mi się, że ją znam zkądeś, że mi jej rysy nie obce, w chwili dopiero, gdy bliżej mnie się znalazła, przechodząc z workiem ziemniaków, pochylona, z krwawą jakąś plamą na policzku, przypomniało mi się jej nazwisko.

Była to dobra niegdyś znajoma moja, mieszkałam z nią razem w jednym domu przez całą zimę a długie wieczory schodziły nam na pogadankach przyjacielskich, serdecznych. Przeszłość jej znaną mi była dokładnie.

Urodzoną była na królestwie polskiem pod zaborem rosyjskim. Rodzice jej posiadali znaczne posiadłości ziemskie, to też otoczoną była zbytkiem i wytwornością. Miała bony, guwernantki, metrów muzyki, śpiewu, tańca. Szczebiotała po francuzku, śpiewała włoskie piosenki, tańczyła jak sylfida.

Piękną była, oko czarne przy złotych włosach dodawało oryginalnego wdzięku temu pieszczonemu dziecięciu.

Rój wielbicieli otoczył młodziuchną podlotka prawie, poszła za głosem serca i rodzice po długim sporze zezwolili na ślub ukochanej jedynaczki z młodym, pięknym acz nieco lekkomyślnym obywatelem z sąsiedztwa.

Słodko biegły dnie, miesiące, lata nawet szczęśliwemu małżeństwu, aż wybuchło powstanie.

Nie pomogły łzy, płacze, zaklęcia: młody małżonek z objęć żony się wyrwał, poszedł w szeregi walczących. Wiadomo, jaki był wynik powstania, ranny, zbiedzony, odarty przemknął się do Galicji, gdzie go w rok ledwie z dwuletnim synkiem odszukała żona. Rodzice jej pomarli, majątek cały na imię męża zaintabulowany rząd rosyjski skonfiskował, na jego głowę nałożono kilka tysięcy rubli. Tułali się tu i owdzie, czepiali się wszystkiego, jednak nic im się nie wiodło. Wszystko rozbijało się o brak gruntownych wiadomości naukowych. On wychowany był na panicza, pracy nie znał, nie wiedział, jak się jej imać.

Ostatecznie udało mu się pozyskać posadę sekwestratora.

Przybyła im córeczka. Dziewczę piękne jak anioł w obrazie.

W owym to czasie mieszkałam z nimi.

Jak dziś pamiętam, gdy on powrócił nieraz z komisji sekwestracyjnej późnym zimowym wieczorem blady, zmęczony, chory. Z jakim wstrętem, z jakiem oburzeniem wyrażał on się wtedy o swych obowiązkach.

— Ja, co tak ludzkość kochałem — mówił on a oczy mu błyszczały gorączką —, ja, com ojczyznie życie i mienie niósł w dani, ja dziś muszę pełnić służbę katowską niemal i ostatnią poduszkę, ostatni łachman, ostatnią miarkę zboża wydzierać biednemu wieśniakowi za podatek! Ha! szatan chyba chciał zakpić ze mnie i zrobił mnie sekwestratorem. —

Dziś to, jutro owo mu dolegało, cierpiał na bicie serca, na reumatyzm, na duszność, lecz życie się wlokło ciężkie, smutne, ponure. A ona cicha była, zrezygnowana, zbyt dumna, by się skarzyć, zbyt tkliwa, by nie odczuwać ledwie gorączkowym blaskiem oka lubo czerwoną plamą na policzku zdradzała, co się dzieje w jej duszy.

Mimo niedostatku urządzenie ich domu miłe było bardzo. Mieszkanko świeciło czystością, śmiało się kwiatkami do gościa, kokietowało zalotnie jakąś bronią starą, symetrycznie pod rogami jelenia rozwieszoną, kilkoma obrazkami i firankami jak śnieg białemi.

Zachorował im synek na nogę. Bóg wie zkąd przez jakieś zaziębienie czy otłuczenie rozwinęła się choroba groźnie, kość pruchnieć poczęła. Powiozła nieszczęsna matka jęczące z bolu dziecię do operacji. Operacja się udała, zostało jej dziecię bez nogi, kaleka, lecz żyło. Ranę potrzeba było lodem okładać, zaziębiono chłopaczka a w dni kilka już runęła matka na ziemię, zemdlona przy martwych zwłokach dziecka, które padło ofiarą dyfterji.

Ile to bolów przeszło przez duszę tej nieszczęśliwej matki, nim się oswoiła ze stratą syna, ile cierpiała jego cierpieniem, któż to opisze! Przetrawiła, przegryzła boleść w sobie samej, tylko rysy twarzy stężały, stała się cichszą jeszcze, oczy czarne, wielkie, łagodne błądziły często po niebiosach, jakby wśród chmurek pierzastych szukały anioła twarzy i białych jego skrzydeł.

Wówczas rozstałam się z nimi i po latach kilkunastu teraz dopiero ujrzałam i to w takiem położeniu.

Ojciec uzupełnił mi historję jej życia.

Niedawno umarł jej mąż. Niedostatek, praca i zgryzoty zrobiły swoje, rozwinęła się długa, ciężka choroba i po długich męczarniach przestał cierpieć.

Została kobieta delikatna, uczuciowa, nie umiejąca nic, czemby sobie zarobić mogła z córeczką 16letnią wśród nędzy, głodu i mnóstwa długów, pozaciąganych podczas choroby męża. Co jeszcze było, zagarnęli wierzyciele, z mieszkania ją wraz

z córką wyrzucono, bo nie było czem zaległego czynszu opłacić.

Jakiś wieśniak litościwy zabrał je z sobą i przeniósł do miasta, o którem na wstępie wspomniałam. Tutaj udało im się wynaleźć tę chatę za miastem na wpół zapadłą i walącą się i za małą opłatą pozwolono im w niej zamieszkać. Był dach nad głową choć lichy i dziurawy, był kąt trochę przynajmniej osłaniający od wichrów jesiennych i od śnieżnej zawiei.

Rozglądnęła się biedna kobieta po tej rezydencji swojej nowej, po tem królestwie nędzy, łzy spłynęły po wychudłej twarzy, ręce załamały się gwałtownie.

Przebiegła w myśli cały rejestr wiadomości i próbowała, jakby je zużytkować.

Francuzczyzna uleciała dawno, zostało kilka może frazesów, włoskie piosenki umarły w tej piersi zeschłej, ręce jej i fortepian, aż się uśmiechnęła, zresztą — prócz „kawałków“ wyuczonych nie znała tak muzyki, jak i innych sztuk pięknych. Szycie, roboty ręczne — dziś, gdy tyle maszyn, gdy tyle wyrobów zagranicznych! Pranie, mycie podłóg, noszenie wody — to nad jej siły. Ona do dziś zawsze po każdej takiej pracy zupełnie nieprzytomna leżała w migrenie. Służba u obcych — cóż z dziewczęciem zrobić, kiedy jej nawet na służbę oddać nie można było, bo na ślicznej twarzyczce bladej jawiły się rumieńce, które lud niemiecki nazywa poetycznie „Friedhofsrosen“, rumieńce suchotnicze, bo krótki urywany kaszel, ból piersi wskazywały, że anioł śmierci już jej imię w swej księdze podkreślił.

A śliczne, poetyczne miała imię: Irydiona.

Ostatnie sukienki, ostatki bielizny, obrazki jakieś pamiątkowe, albumy, książki do nabożeństwa i gdzie się co znalazło, wszystko poszło do handlarek, a te wyzyskując o ile mogły, za najdroższe pamiątki dawały po kilka sztuk drobnej monety miedzianej, ale w końcu litością a więcej jeszcze interesem powodowane znalazły jakąś robotę i dawały tym biednym kobietom a pośrednicząc potem w sprzedaży zarabiały w dwójnasób.

W ten sposób ułożyło się ich życie obecne. Irydiona więdła, nikła z dniem każdym, jakaś dobra dusza dała jej kwiatek w wazoniku, którym się cieszyła, i tak coraz słabsza, coraz bielsza na twarzy wychodziła przed próg chaty zapadłej, wyglądając rychło matka z miasta nadejdzie.

W owej to epoce widziałam tę matkę nieszczęsną, dźwigającą darowany wór ziemniaków dla nędznego domostwa u stóp piaskowej góry.

Janina Antonowiczówna.

Pieśń bez tytułu.

Pięknym był świat,
Gdym ja mój kwiat
Hoży, jak słonko rumiane,
Rymami czcił,
Z nich wieniec wił,
Kaskady tworząc świetlane.
Przyjaciół śpiew
Brzmiał pośród drzew,
Łącząc się z tony ptaszemi,
Gwar był i ruch,
A młody duch
Czarami poił się temi.
Dziś zwiędnął kwiat,
Na licach zbladł,
Jak wszyscy moi rówieśni,
Przeminął czar,
Ucichnął gwar,
Zamilkły rymy i pieśni.

Paquet.

Tajemnica królewny.

OPOWIEŚĆ FANTASTYCZNA

przez

Aleksotę.

I.

Nie pamiętam już, jak to dawno, na pewnej wyspie mieszkał król bogaty i wspaniały. Uśmiechało mu się słońce, wdzięczyło morze; ranek zwiastowały mu ptaszki dźwiękiem lubego głosu — było mu tak dobrze, nie brakło niczego — a jednak szczęśliwym nie był. Posiadał wszystko, ale cóż za szczęście, używać jedynie samemu? Wszak szczęście dzielone z drugim jest potrójnem szczęściem. Król był sam i ta samotność, ta myśl, że nie zostawi nikogo po sobie, że nikt po nim nie zapłacze, truła mu życie. Aż raz na dwór jego przychodzi goniec z niezwykłą wieścią.

— Co zwiastujesz? — pyta król.

— Do zachodniego brzegu naszej wyspy przybiła łódź malutka z jasnego drzewa, a na niej siedzi prześliczne młodziutkie dziewczę i wiosłuje.

— Czegóż życzy sobie to dziecko?

— Rozmawia z nami na migi. Przywołuje każdego, przypatruje mu się w pierwszej chwili, lecz już w drugiej każe mu iść precz.

— Cóż to znaczyć może?

— Wyjdź królu do niej, bo widocznie nikogo z nas widzieć nie chce, ale samą Królewską Mość.

Poszedł król.

Skoro go spostrzegła dziewczynka jasnowłosa, wyciągnęła ku niemu rączęta, oczy jej zabłysły —

a gdy się król zbliżył, pierwsze doń przemówiła słowo:

— Panie! Weź mię pod opiekę.

Uchwycił król wyciągające się doń białe rączki a dziewczę wyskoczyło na brzeg. Z promieniejącą twarzyczką patrzyła na otaczających.

— Więc ty umiesz mówić, Maleńka? — zapytał kanclerz królewski z najwyższem zdumieniem.

— A umiem.

— Czemużeś z nami rozmawiać nie chciała?

— Bo pierwsze słowo do najlepszego z pomiędzy was przemówić mi było trzeba.

— A któż ci powiedział, żem ja z nich najlepszy? — podchwycił król.

— Ci, którzy mię tu posłali.

— Któż taki?

— Moi opiekunowie.

— A któż się tobą dotąd opiekował?

— Pasterz i pies pasterski.

— A śliczne opiekuństwo! — zaśmiali się dokoła.

— Zkądże pochodzisz? — pyta król.

— Z nieba.

— Wprost? — zapytał z uśmiechem łowczy królewski.

— Nie było jeszcze czasu na to, aby nie iść prosto.

— Ileż lat żyjesz na ziemi?

— Tyle, ile królewski sokół.

— Ośm lat? A zkądże wiesz o królewskim sokole tak dokładnie?

— Z nieba.

— Znowu z nieba! Więc ty chyba aniołem jesteś?

— Na ziemi nie mieszkają aniołowie, lecz ludzie — chociaż aniołom podobni być mogą.

— Dziecko mówi jak mędrzec! — zauważył ktoś z otoczenia a wszyscy coraz bardziej nad jej słowami zastanawiać się zaczynali.

Król położył jej rękę na ramię.

— Moje dziecko! czem ja ci pomódz mogę? Czy zostaniesz u mnie, na dworze moim? — zapytał.

— Jeśli mię przyjmiesz panie, to niebo hojnie ci szczęściem zapłaci, bo kto przyjmie sierotę w dom i do serca ją przygarnie, ten staje się wierzycielem nieba — a niebo takie długi przez sieroty zaciągnione, zawsze spłaca.

— Cudowne słowa! — woła sokolnik królewski.

— Więc pójdź zemną, „Maleńka"! — rzecze król — i za rączkę prowadzi ją ku wspaniałemu pałacowi, a cały tłum rusza za nim w ożywionym pochodzie.

— Nie nazywaj mnie Miłościwy Królu „Maleńką" — ozwie się dziewczę, nazywam się Stella.

— Znowu coś niebiańskiego — mruknął chciwy kucharz nadworny, któremu chodziło głównie o to, aby jak najmniej ust otwierało się ku półmiskom i całym miskom, przez niego przygotowywanym.

Ale ktoby tam zważał na te egoistyczne głosy niechęci. Król przyjął dzieweczkę do pałacu, otoczył staraniem, troskliwością najwyższą, wygodą, bogactwem, rozrywkami, a po dwu latach uznał ją za przybraną córkę i nie pozwolił jej innego dawać tytułu, jak tylko tytuł królewny. A śliczną w istocie była ta dziesięcioletnia królewna!

Jasne i piękne sploty jej włosów rozsypywały się zgrabnie i fantastycznie zarazem po kształtnych jej ramionach; twarz pełną życia i jakiejś niezwykłej jasności krasił brzoskwiniowy rumieniec, alabastrowe czoło w złotawe ubrane kędziory a pod niem para oczu, ale jakich! Oczy te, to istne gwiazdy nieba, co drżały w głębi czarownym ogniem, co przenikały tych, na których promienie ich spoczęły, co ogrzewały i pociągały duszę patrzących. Barwę ich oznaczyć najtrudniej, bo blask pochłaniał kolor właściwy, a może nie pozwolił go tak raźnie dojrzeć, uchwycić, określić. To były jakieś ciemne dyamenty, otulone czarnemi, długiemi rzęsami, niby promieniami zestalonemi w włos twardy.

Całemi dniami szczebiotała jak ptaszę — śpiewała, biegała tu i owdzie, nic nie uszło jej oka, wszystko budziło ciekawość i radość.. Gdzie przyszła, zdawało się, że za nią wpadał cały snop promieni

słonecznych, cała wiązanka niespodzianek miłych, cała kaskada słodkich śmiechów i uśmiechów. Pałac królewski wyjaśniał, wypogodniał tą piękną istotką. Król ożywił się, stał się weselszym, łagodnym a ilekroć zobaczył to wiosenne dziewczę, usta jego krasiła radość, oczy szczęściem przemawiały.

* * *

Wszakże niebawem i to wolne ptaszę musiało się do poważniejszych zabrać czynności.

Król wybrał najznakomitszych mistrzów i mistrzynie — aby Stellę uczono.

Trochę to spętało swobodę dziewczęcia, lecz jej żywa natura, jej wrodzona ciekawość znalazła w nauce zawsze coś powabnego i rychło przylgnęła serdecznie do pracy, po której przecież tyle swobody jej zostawało. Ale w miarę, jak jej przybywało lat, coraz to mniej miała wolności — a nauki pochłaniały już nader wiele czasu. Stella uczyła się z zamiłowaniem a okazywała ogromne zdolności do malarstwa; we wszystkiem zaś zdradzała sąd jasny i zdrowy.

Miała już lat ośmnaście.

Z całej wyspy młodzież znała ją i wielbiła nieśmiało zdala, jakby boginię piękności i mądrości.

Nikt przecież z najbogatszych, z najwspanialszych młodzieńców nie znalazł drogi do jej serca, pomimo usilnych i coraz nowszych zabiegów. Powiewna, rozprószona — zdawała się nawet nie zwracać uwagi na nich — ale wobec natarczywości okazywała się niezwykle stanowczą. Raz wszakże król zagadnął ją w tej mierze. Przyszła do jego pokoju, wesoła, uśmiechnięta.

— Ojcze mój, wezwałeś mnie?

— Tak, dziecię moje. Chciałem z tobą pomówić o ważnej rzeczy. Zauważyłaś zapewne, że od pewnego czasu książę Memnon bywa u nas tak często, że jego rumak przepyszny tak często goni na kwiecistą łąkę, dokąd ty zwykłaś kierować kroki swoje. Tam zdala patrzy, śledzi ciebie, studjuje ruch twój każdy, jakby chciał obraz twój wiecznie wyryć w pamięci swojej, objąć postać twoją drobną i na

zawsze w duszy zachować. Cóż powiesz, moja córko, gdy on stanowczo zapragnie twojej ręki?

—Czyżby już wyraził podobne pragnienie?

— Tak jest.

— Mój ojczusiu, mój panie, a mnie tak dobrze przy tobie! Czyżbyś się mnie pozbyć rad?

— A uchowaj Boże! Wszakże wiem dobrze, że z tobą pod dach mego pałacu dopiero weszło szczęście. Samotność nikomu szczęścia nie da, bo do niej człowiek nie stworzony.

— O prawdę mówisz! Ja samotności nie lubię — a nawet wtedy, gdym sama, to rozmawiam z ptaszkami, z kwiatami — i one mówią do mnie tak cicho, tak cicho, że tylko je dusza słyszy. Gwaru nie znoszę. Za księcia Memnona nie pójdę, bo on lubi gwar, zabawy, hałasy, próżny jest, pochwał żądny, robi wszystko dla olśnienia drugich i wyniesienia swej osoby na szczyt sławy.

— Książę kolosalnie bogaty...

— Bogactw nie życzę sobie, bo mi one zbędne—

— Książę ma rozległe posiadłości, miljony poddanych, co czołem przed nim biją...

— A on ich uciska! Ach szkaradny, niegodny, nie chcę go, nie chcę widzieć nawet tyrana!

Strzepnęła niecierpliwie rączkami, jakby kogoś od siebie odpychała.

— Więc może wolisz królewicza Samsona?

— Tchórz jakich mało — takimi gardzę.

— Stara się o ciebie sławny Herkules.

— Nie wart tego mitycznego imienia.

— Ubiega się dzielny Ajaks.

— Tak — nieludzki Ajaks powiedz raczej — brzydzę się nim.

— Merkury szaleje za tobą.

— Merkury? ten, który nigdy nie ma własnego zdania a wszystkie myśli, jakie dźwiga jego niedźwiedzia głowa, są obce, pożyczone lub kradzione.

— Surowo sądzisz Stello. Kogo wybierzesz z ubiegających się?

— Nikogo. Bez męża się obejdę — bezradną nie jestem.

— W istocie? takie są twoje zamiary?

— Nie inne. Czy masz co przeciw nim, królu?

— Nie nalegam — lecz niemłody jestem — dlatego rad bym ci zapewnić opiekę.

— A jeśli ja jej nie potrzebuję?

— Ha, niech ci będzie jak najlepiej: masz dużo rozumu i dzielności a przytem serce zacne. Tacy ludzie nie zaginą, tacy to są twórcami własnego szczęścia. To wybrańcy Boscy — a za taką ja cię uważać muszę — tobie niebo nie odmówiło niczego. Błogosławiona myśl twoja każda i czyny twoje.

II.

Od owej rozmowy upłynął rok prawie. Nie było żadnych ważniejszych zmian, tylko król, pan tej szczęśliwej wyspy zauważył, że jego przybrana córka w pewnych porach dnia znika gdzieś bez śladu. Postanowił rzecz wybadać, bo go to niezmiernie zaciekawiało. Raz wyszła Stella z wiernym swoim paziem o świcie — a wróciła dopiero późnym wieczorem i udała się wprost do swego mieszkania. Doniesiono o tem królowi. Po chwili zapukał do jej pokoju i wszedł.

— Ojcze! — zawołała Stella, zbliżając się do niego z czułością żywą i serdeczną.

— Cóż to, dziecię moje! opuściłaś nas na cały dzień dzisiejszy?

— Byłam na polowaniu.

— Niezła rozrywka! — odrzekł król i zamilkł. Oglądał się po komnacie Stelli.

Na krzesłach leżały porozrzucone: torba myśliwska zupełnie próżna, strzelba, bicz, kapelusz.

— Ale coś nie udało ci się polowanie?

— W istocie.

Lekki rumieniec pokrył prześliczne policzki królewnej, a z pod rzęs błyszczały jakieś dwa ognie.

— Jesteś znużona?

— Niesłychanie.

Przy tych słowach rzuciła się na miękki szezlong.

— Stello! od tak dawna nie malujesz?

— Prawda ojcze. Muszę znowu zabrać się do tej pracy, bo mi nawet tęskno za nią, przyznaję.

— A takie śliczne te twoje obrazy! Gdy ciebie długo nie widzę — a smutno bez ciebie, o bardzo smutno — ujął główkę Stelli i do serca przycisnął — to wtedy spojrzę na te obrazy twoje, co w moim wiesz gabinecie — i lżej mi wówczas. Oj Stello — gwiazdo ty moja! opuszczasz coś teraz ojca twego, mocno go zaniedbujesz!

— A ojciec, czyż nie chciał mnie raz na zawsze oddać z domu i to jeszcze jakimś tam nic wartym ludziom?

— Zapytywałem tylko. Ach, przecież jabym Cię całe życie rad mieć przy sobie, lecz o szczęście mi twoje idzie przedewszystkiem.

— Znajdę je, stworzę sobie sama.

— Ja w to wierzę najświęciej.

Stella podniosła rękę jego do ust.

— Opuszczę cię, bo spoczynku potrzebujesz.

— Dobranoc mój ojcze. Niech aniołowie przyniosą Ci najpiękniejsze sny z niebiańskich rogów obfitości.

Wyszedł, rzucając przeciągłe długie spojrzenie na swą ulubioną córkę.

Stella spojrzała ku oknu. Tam siedział złotowłosy paź jej. Piękny był jak Antynous. Spojrzała nań Stella raz, drugi — odwróciła głowę a w końcu półgłosem zawołała, podnosząc ją:

— Mój Kastorze!

Paź jak motylek lekki podniósł się z siedzenia i przybiegł do swej pani.

— Do usług, piękna królewno!

Pogroziła mu palcem.

— Tytułów ci wzbroniłam. Mów jak chcesz, byle nie królewna. Otóż teraz usiądź. Chciałabym pogadać z tobą.

— Uszy moje są ku słuchaniu głosu twego, czarodziejko!

Przytem z brylantowym swoim uśmiechem przyklęknął na poduszce, leżącej na podłodze przy kozetce.

— Czy moje łowy nie nudzą ciebie?

— Przeciwnie rozochocają,

— Nie trudzą?

— Dodają sił i animuszu. I tak zanadto rozpieszczony jestem, trzeba mi się trochę w wytrwanie ustroić, w cierpliwość uzbroić.

— Sofistyczną drogą mówisz mi, że cię one niecierpliwią. Czy wiesz, czemu bez zwierzyny wracam?

— Bo na nią nie polujesz.

— Tylko?

— Na człowieka.

Stella porwała się z kozetki i osiadła.

— Jakto? wiedziałbyś?

— Odgaduję tylko. Ty pani nie zgodzisz się nigdy w życiu na rzeczy zwykłe, utarte i powszednie. Dla ciebie potrzebne sprzeczności, przeszkody, wiodące do celów niezwykłych i niecodziennych.

Rozśmiała się całą gamą tonów.

— A jednak najzwyklejszych i najcodzienniejszych.

— Miłość jest zawsze nową i niezwykłą, choć równocześnie ze światem stworzoną została — z potopem nie zatopioną, lecz uratowaną na arce Noego — i pierwszą wolną i bujającą po opadnieniu wód — była.

— Któż mówi o miłości?

— Rozumiem cię królewno.

— Znowu tytuł?

— Drażni cię on właśnie od czasu, gdy ten posłaniec bogów i olympijski gość w serce twe zawitał.

— Ach psychologu niegodziwy! O wszystkiem wiesz! Jakiemiż to patrzysz okularami, że tak dostrzeżesz łatwo?

— Oczyma duszy.

— Ale paziu, tak patrzeć i odgadywać umie tylko serce bliźnie, bratnie, miłości pełne.

— Alboż mi je pani zaprzeczasz? Serce pazia wyłącznie do kochania i poezji stworzone.

— Nielogicznie się wyrażasz; już samo kochanie jest żywą, płonącą, poezją.

— Tak, pojmuję to i czuję — och czuję gorąco Stello! pani moja! paź twój całą swą duszę rzuca ci tu u nóg twoich.

Pochwycił drobną nóżkę Stelli i zaczął ją pocałunkami okrywać. Stella trzepnęła go po białej szyi.

— Przestań! — zawołała niecierpliwie.

Powstał paź i wyprostował się jak struna.

Na atłasowym trzewiku Stelli błyszczały łzy pazia. Milczenie zapanowało w pokoju — Stella patrzyła na ucałowaną i perłami łez oblaną nogę swoją.

— Pójdźże tu dziecię moje — rzekła po chwili. Nie stój zimny jak głaz.

Zbliżył się Kastor ku niej i padł na kolana. Objęła głowę jego, przycisnęła do swych piersi głowę jego złotowłosą, ucałowała z czułością.

— A teraz idź, zostaw mnie w spokoju — rzekła po chwili.

Kastor powstał. Na białej jego dziecinnej twarzyczce zakwitły śliczne róże rumieńców, oczy miał wilgotne, długie, czarne rzęsy wyglądały jak marzenie.

*
* *

Stella została sama. Chwyciła się oburącz za głowę, jak gdyby chciała przywołać jakieś myśli umykające z pamięci, byle uśmierzyć burzę, wrzącą pod czaszką. Trudno było odgadnąć, co jej jest — bo w następnej chwili leżała już spokojnie a w trzeciej nawet uśmiech zaigrał na koralowych usteczkach. Długie promienie księżyca wpadały do komnaty. Półcienie pląsały po pokoju. Stella marzyła. Wtem usta jej lekko, jakby falą atmosfery potrącone, szepnęły: „Apollo!“ Zdawało się, że jakaś magiczna siła imię to powtarza i stutysięcznem cichem echem rozbija je po ścianach komnaty, bo odtąd ciągle brzmiało w uszach Stelli. — Prawdziwy bóg piękna! — szepnęła znowu. — Czy jeno taką ma duszę, jak twarz i oczy? — pytała ledwie uchwytnym szeptem. — O pewnie! Piękno nie może w sobie mieścić złego. Piękno złemu nie służy! Piękno jest dobrem samem! Piękno fałszu nie zniesie, musi być prawdą. Piękno bez

cnoty, tak wyglądać nie może. Piękno bez dobra i prawdy, nie jest pięknem!

Takie były sentencje, jakie sobie Stella wysnuła, zasypiając tego wieczora po polowaniu.

III.

Odtąd coraz częściej chmury zadumy osiadały na czole młodej a dawniej wesołej aż do trzpiotowstwa dziewczyny. Wymykała się z pałacu tak, aby jej nie widziano, szła sama jedna drożyną leśną, która wiodła aż nad brzeg morza. Tu siadała, patrzyła na falującą wodę... z odpływającą falą puszczała smętne swoje myśli.

Daremnie uśmiechała się do niej natura w pełni swej wspaniałości i uroków, daremnie wdzięczyło się słońce, obrzucając ją snopami swych brylantowych połysków, daremnie ptaki swym świergotem usiłowały spłoszyć troskę jej serca — ona popadła w jakiś stan odrętwienia, który zwiastuje zazwyczaj okropne burze, lub przed szczęściem niezwykłem hartuje serce. Bo tak nieszczęście, jak i szczęście potrzebuje od duszy ludzkiej siły — inaczej znieść ani jednego, ani drugiego człowiek nie zdoła. Słabe istoty pod gromami jednego, jak i pod władzą drugiego uginają się; nieszczęście je druzgoce, szczęście upaja do szaleństwa i szafarzyć niem wobec samych siebie nie umieją. Szczęście — oto także jeden z tematów rozmyślań Stelli. Dusza jej poetycka wiedziała, że jest w życiu zgotowane ludziom szczęście — ale to pojęcie względne da się w najróżnorodniejsze ująć formy. Jest szczęście — miłość i to najpromienniejsze, prawie przez wszystkich śmiertelników doświadczone, ale przez mało kogo z nich należycie szanowane; to szczęście wymaga boskich cnót, boskiego uczczenia, inaczej gasną w duszy promienie, co ją oświecały, rozwidnieją królewskiemi blaski i ogrzewają ogniem palącym, a tak idealnym, że choć duszę prawie pożera, właśnie wtedy jest twórczym i wielkim, bo miłość jest potęgą, ale nie niszczącą. Najwspanialsze dzieła powstały z miłości. Świat stworzyła Najwszechmocniejsza Miłość — najznakomitsze pomysły i natchnienia po-

wstawały wtenczas, gdy miłość skrzydeł duszy ludzkiej przypięła. Miłość jest boską i świętą, ale dla tych tylko, co z pokorą przed nią uderzyli czołem, co nie szukali przez nią władzy i przewagi nad ukochaną istotą — co czuli się szczęśliwymi nie dla tego, że zyskali panowanie nad wzajemnie kochającą — ale władzy miłości użyli na najszlachetniejsze zharmonizowanie dusz, dlatego, by razem dążyć przez życie, i czego jedna dusza nie ujrzy, nie uczuje, tego druga dopełnić musi. — Taka miłość jest jedynie boską potęgą — ale taką można było znaleźć jedynie w jednem sercu na owej wyspie — drugiego serca już znaleźć do wspólnego nastroju nie można było. Jest szczęście — siły — ale nie tej siły, co wstrząsa światem, lecz siły, co na dusze działa, siły, co duszę w niewolnicze pęta ujętą przez ślepotę, oswobadza, uwalnia od jarzma, ludzkiemu sercu nie przystojnego. Szczęście — siły, co jarzącem słowem pada w mózgi tych ludzi, którzy nie widzą na około siebie świata dla tego, że ich walka ze złem, walka z narzuconem jarzmem zużywa; — siły, która podnosi duchy i odrywa od cierpień moralnych i fizycznych trudów i podnosi je aż ku tym sferom, gdzie myśl zna swobodę, gdzie serce pragnie czegoś lepszego, czegoś słodszego nad trud i zużywanie się dla marnego bytu niedołężnych stworzeń. Jest dalej szczęście — tęsknota — które przepełnia kochającą duszę, wprawia w luby jakiś niepokój, porusza ją życiem, sięgającem poza sfery widzialne dla ziemskiego oka; tęsknota opada mózg i rzuca marzenie na wzrok nasz, pada na serce i rwie je w górę, pociąga ku jakiemuś przedmiotowi. Podnosisz w tym stanie magnetycznym ramiona, by objąć i do serca przytulić kogoś — kogo tu nie ma przy tobie, kto jest daleko, daleko — może nie okolicą — ale myślą, ale działaniem. Szczęście — tęsknota znane tym tylko, co kochają serdecznie a całą duszą, a jedynie, a wyłącznie, a całem życiem, myślą każdą, czynem każdym. Inaczej tęsknota jest męczarnią a nie szczęściem. Tęsknota wtedy tylko jest szczęściem, gdyśmy pewni, że i za nami ktoś tęskni — że i do nas radby wyciągnąć swe ra-

miona — że nas odczuwa, że spełniając swą pracę, spełnia ją lepiej, podniesiony myślą tej lubej tęsknoty, której końcem, której koroną będzie chwila, gdy znów serce przy sercu uderzą, oczy spojrzą w oczy, posyłając gorące promienie, co się skrzyżują i pójdą do dusz, złączonych ogniwem własnej woli, ogniwem gorącem, co się zwie szczęście — miłość. Jest szczęście — marzenie; dusza pełna ognia, krzesze z myśli różnobarwne blaski, układa je w cudowną tęczę i wtedy myśli z rozkoszą: włożę ją na głowę mego anioła, co swe skrzydła roztoczył nad życiem mojem.

Marzenie jest szczęściem, gdy czujesz i wiesz, że z tobą marzy ktoś drugi — i równocześnie splata ci z swej pracy, ze swych myśli bogaty wieniec, aby na twe ubóstwione złożyć go skronie. Jest szczęście — rycerskość; lecz nie ta rycerskość, co szablą ogień krzesze, co kruszy kopie na przeciwniku — ale rycerskość, co oprze się huraganom życia, najkrwawszym huraganom bolesnego zawodu serca i rozczarowania. Kto rycerskością pokona bole rozczarowań — kto zgniecie cierpienie zawodu serca i na nowo się odradza i ufa, ten szczęściem — rycerskości dojdzie do wszechwładztwa losu; już on teraz silny i pewny; on panuje nad złem, a nie złe nad nim. Gdy z szczęścia rycerskości — przejdziesz w miłości szczęście, to będziesz wielki i święty w twej miłości — bo dawniejsza miłość szczęściem ci nie była prawdziwem a tylko zwodniczem. Wielki i święty, pasowany rycerskością zawodu i cierpienia, teraz do kogo się zbliżysz duszą całą, choćby był biedny, choćby zimny, ty go rozgrzejesz, uszlachetnisz swem szczęściem, ubogacisz swą wielkością.

* * *

Stella zaznała z wszystkiego tego potroszę... dusza jej zbudzona nagle do życia, rozkwitała całą pełnią swych władz. Dano jej wszystko, czego pragnąć można. Dnie jej barwiły się prawdziwem szczęściem — swobody, która buja po kwiatach, po przestrzeniach i nie zna tamy, ni przeszkód dla swego polotu. W zaraniu swych lat, w otoczeniu, w jakiem żyła, znalazła jakąś nową gwiazdę, która się obecnie

stała osią dla obrotu wszystkich jej myśli. Osią tą był Apollo. — Piękny — lecz to nie była owa piękność męzka, odważna — ale coś w istocie miał w sobie z owych posągów Apollina — boga piękna — i niczego więcej. Samo piękno — to abstrakcja, która wyższych dusz nie pociąga. A jednak bywają błędy w życiu, bywają zaślepienia, którym nawet wyższy ulegnie umysł. Taką zasłonę rzuciła piękność Apollina na duszę Stelli. Może inne do tej piękności akcesorja podziałały tak na wrażliwą jej naturę. Łuk w ręku, łuk kościany, strój śmiałego strzelca, postawa wyniosła, — do tego jeszcze otoczenie, w jakiem się znajdował: skała mchem okryta do połowy, szaremi złomami ponad mchem stercząca — opodal wieniec jodeł — po stoku zgrabnie przebiegały kozice i migały się tylko błyskawicznie. Słońce na swym ognistym rydwanie już dochodziło do mety... On stał na złomie skały niby posąg — ona jak druga Dyana z przyborami myśliwskiemi zatrzymała się tuż i patrzyła w twarz młodzieńca, na której rumieniło się zachodzące słońce. Piękno oczarowało poetyczną Stellę. Ona nie szukała wyrazu męztwa, dziarskości na tej twarzy, snać już jej starczyło własne męztwo i niezwykła odwaga — szukała żywej poezji i tu w tej chwili, w tem otoczeniu znalazła ją. Przyroda podnosiła uroki — jak wieczór swem sztucznem światłem wśród balowej sali podnosi wdzięki wymuskanych balu uczestników. — Tutaj dekoracja ta była stokroć bogatsza. Apollo, przeczuwając, że ktoś patrzy nań i to patrzy duszą całą, utkwioną w tych prześlicznych ciemnych oczach, zwrócił swe czarne, duże oczy na cudowne zjawisko. Zachwyt w tej chwili malował się na obydwu twarzach. Zdawało się, że ciała ich promienieją, a promienie te łączą się wzajem w aureolę nad głową dziewczęcia. Apollo zbiegł ze skały, zgrabny, zręczny, szybki i błyskawicznym ruchem stanął przed Stellą.

— Na usługi! — szepnął i wyciągnął ku niej ręce.

Ona podała mu swoje.

— Usług nie żądam — chwytam tylko widoki, by je później przenieść na płótno.

— Czyż miałem być tych widoków ożywieniem?

— Nie inaczej! Postać Twoja młodzieńcze na tej wyżynie, to dla mnie obrazek świetny — dziś go rzucę na płótno i już za kilkadziesiąt godzin będzie wisiał w moim pokoju.

Uśmiechnął się Apollo.

— Wiem, że rozmawiam z królewną i znam ją oddawna. Śledziłem, jak jej mistrzowska ręka szkicuje, co natura ma w swem bogactwie; znam królewnę jako dobrą łowczynię...

Stella zaczerwieniła się aż po białe czoło.

— W istocie, tej sławy używam, lecz dziś z próżnemi wracam rękoma, nic nie złowiwszy.

— Mam upolowaną kozicę, mogę odstąpić.

— A ja twoją zdobyczą będę się chlubiła? O nie, nigdy na to nie przystanę; kradziona sława zniesławia i upadla.

— W tak drobnej rzeczy?

— W najdrobniejszej.

— Słońce zachodzi, czy wracasz już królewno?

— Czas już, czas, to prawda.

— Czybym cię nie mógł przez las przeprowadzić?

— I owszem.

Szli obok siebie drożyną leśną — ale w zupełnem milczeniu. Nagle załopotało coś ponad ich głowami. Spojrzeli w górę — to sokół spóźniony wracał do gniazda. Apollo naciągnął łuk i przeszyty w locie strzałą ptak padł u stóp Stelli.

— Niedobry myśliwy! — zawołała z wyrzutem.

Złożył ręce jak do modlitwy i rzekł miękkim głosem:

— Myśliwy przeprasza za to odebrane ptakowi życie, boginię, która panuje nad całą wyspą.

— A wróciszże mu życie?

— A wrócisz mi spokój zabrany, królewno?

— Oho, już winną jestem w obec ciebie?

— I dawno! Zabrałaś mi duszę — i odkąd ujrzałem cię po raz pierwszy na murawie, siedzącą z pędzlem i paletą w ręku — myśli moje wszystkie zostały przy tobie!

Powstał i spojrzał jej raz jeszcze w oczy, potem odwrócił głowę.

Znowu milczenie padło między nich. Tymczasem słońce purpurowym blaskiem żegnało góry, tonęło za nimi, owinąwszy się ciemnym obłokiem, jak płaszczem hiszpańskiego granda — drzewa kołysały lekko swe konary, zniżały korony, jakby z pozdrowieniem dla idących.

— Stello niebiańska — droga coraz się skraca — pałac niedaleko — pożegnać Cię trzeba — czy na długo? Pamiętaj, żeś zabrała z sobą duszę Apollina.

— I już jej nie oddam — szepnęła Stella.

— Zostaw mi przynajmniej nadzieję widzenia Cię.

— Gdy pragniesz tego, to się o to postarasz sam. Tylko wytrwały a mężny wart jest spełnienia swych pragnień. — Żegnaj mi!

Wysunęła swe różane paluszki i podała mu je. Uchwycił je nieśmiało i do ust przycisnął. W tej chwili księżyc całą pełnią wszedł na niebo i oblał ich swym blaskiem.

— Apollinie! niechaj Bóg będzie z tobą.

— Stello, nie zapominaj o mnie!

Tego dnia po raz pierwszy Stella wróciła do pałacu późno — jakaś inna — strudzona, milcząca. Paź szedł za nią ze spuszczoną głową, złączył się z nią dopiero po odejściu Apollina, bo poza lasem czekać mu kazała. Wtedy to, gdy powróciła, król przybył do niej i miał ową wyżej opisaną rozmowę. Wtedy to także wypominał córce, że od tak dawna nic nie malowała. Nazajutrz Stella wstała o świcie — lecz nie opuściła pałacu. Spędziła cały ranek w swej pracowni malarskiej; dopiero przy obiedzie zeszła się z ojcem. Na twarzy jej dostrzedz było można zmian pewnych; — lekka bladość zwykle rumianej twarzyczki zdradzała niewyspanie i dręczące ją jakieś myśli — oczy miała trochę utrudzone, choć jak zwykle pełne blasku.

— Czemże Stello zajmujesz się dzisiaj? — zapytał król.

— Maluję.

— A tak to lubię. Anielskie ty dziecko moje! jakże rychło wypełniasz życzenia twego ojca!

Stella zaczerwieniła się silnie. Nie było to bowiem wypełnienie życzeń ojcowskich, ale potrzeba dusz, urzeczywistnienia tego, co wczoraj jak sen przemknęło przed jej oczyma. —

*

* *

Przez kilka dni Stella nie wychodziła dalej, aniżeli do ogrodu pałacowego i przechadzała się po alei z książką, której chyba nie czytała, bo trudno było spostrzedz nawet najuważniejszemu, obracanie kartek. Niebawem w pokoju Stelli ukazał się prześliczny obraz. Skały wśród cudownej okolicy nadmorskiej a na jednym cyplu wystającego złomu stał dorodny strzelec, celujący do kozicy. Blaski zachodzącego słońca obejmowały widok i tuliły stojącą na skale postać. Z szczególniejszem upodobaniem patrzyła Stella na nową swą pracę. Kastor przywołany, by ją ocenił, popatrzył chwilę na obraz, a potem na swoją panią i milczał.

— Cóż? niepodoba ci się?

— Nie.

Stella się zdumiała. Gorsze, mniej udatne prace chwalił Kastor, a tę odrzucał stanowczo.

— I czemuż, mój Kastorze?

— Strąć myśliwca ze skały, a będę z obrazu zadowolony.

Stella pobladła.

— Kastorze!

— Królewno! Stello! zrzuć go, zrzuć — on nie do tego obrazu — on nie do twej duszy, on nie do twych oczu, on nie do twego serca!

Łzy strumieniem rzuciły się paziowi do oczu — zakrył twarz rękoma.

— Dziecię moje! — zawołała Stella, tuląc jego głowę, którą oparł na jej kolanach.

Powstał paź.

— Królewno, nie potępiaj twego pazia, on Cię tak kocha, jak aniołowie Boga.

— Paziu mój, Kastorze! przestań!

— Czyż drażni Cię miłość dziecięcia, ubóstwianie duszy, co na twe usługi stworzoną została — co bez ciebie zmarnieje, jak kwiat bez słońca?!

— Paziu, co za przeczucia mówią przez ciebie, że wyrzucasz strzelca z obrazu?

— To nie rycerz królewno — to mazgaj a takimi paź twój się brzydzi, gardzi.

— Nie dręcz mnie! Zkąd go znać możesz?

W tej chwili rozmowę przerwało wejście króla.

— Stello, dziś wyprawiamy wspaniałe gody, książę sąsiedniego kraju będzie u nas — książę wielki i możny; sądzę, że przyjmiesz go łaskawie.

— Nie, mój ojcze, ja na waszych godach nie będę; wszakżeż na tej wyspie panuje zupełna swoboda i etykieta nie krępuje nas, jak w innych krajach, choćby na królewskim dworze.

— To prawda, ale gościnność wymaga, abyś była przy uczcie. Wszakżeś Ty najpiękniejszą ozdobą mego pałacu!

— Uwolń mię dobry mój ojcze od tego przymusu, jakibym sobie zadać musiała. Dziś właśnie zamierzyłam zrobić wycieczkę i zdjąć parę widoków z dalekich okolic.

Król się nachmurzył.

— Używasz najzupełniejszej swobody — krępować cię i teraz nie myślę, a jednak sprawiasz mi przykrość ogromną.

Stella zamyśliła się. Wtem paź podchwycił:

— Na uczcie dzisiejszej będzie mnóstwo gości.

— Czy w istocie, mój ojcze?

— Tak, zaprosiłem setki osób — w dodatku ogłosiłem, że dziś podwoje pałacu królewskiego otwarte każdemu.

Stelli błysnęła myśl jakaś.

— Będę na uczcie, mój królu.

Król zdziwił się i spojrzał na nią.

— Zmieniasz więc zamiar? To dobrze, dawniejszy twój upór...

— Nie ojcze, to była tylko stanowczość a nie upór...

— Cieszy mnie to Stello, że się tak dobrze bronisz, a jeszcze więcej to, że spełniasz życzenie moje.

Przycisnął jej głowę do piersi i ucałował. Spojrzał raz jeszcze na córkę, rzucił przelotnem okiem na pazia i odszedł.

Paź stał jakby przybity do posadzki, z pochyloną głową. Stella zbliżyła się ku niemu i zajrzała w oczy.

— Kastorze, tyś niedobre i kapryśne dziecko.

— Uczta dzisiejsza, królewno, nie będzie miała w sobie nic pociągającego, jedynie sam przybysz książę jest czarującym młodzieńcem, widziałem go przed rokiem na jego własnym dworze.

*
* *

Uczta była wspaniała, jakiej dawno na owej wyspie nie pamiętano. Król z radością i uprzejmością podejmował swych gości, nie bacząc nawet, jakimi byli, jakiego stanu,bo na wyspie panowało braterstwo, żaden stan nie wynosił się nad drugi, każdy pełnił swe obowiązki i był panem sobie, a ceniono każdego w miarę jego charakteru i zasług. Królewna żywo zajmowała się przyjmowaniem uczestników biesiady. Książę był ożywiony, rad rozmawiał z królewną — ona też wzajem nie szczędziła słów i uśmiechów, aby uprzyjemnić pobyt gościa w pałacu swego ojca. Król rad był, że znowu widział swą córkę promieniejącą, szczęśliwą i swobodną jak dawniej. Najbardziej go zawsze dręczyły owe zasępiania i chmurki na czole ulubienicy.

— Jak wy tu żyjecie! jak w raju, prawdziwie — woła książę.

— A tybyś książę rad wejść do raju takiego? — pyta król.

— Czy jest jaki z śmiertelników, coby raz zajrzawszy do was, miał siłę opuszczenia tego miejsca na zawsze?

— A bywają tacy niewdzięczni — roześmiał się król.

— Czy być może? — woła książę.

— Ty dostojny książę, pono nie potrudzisz się do nas więcej!

Gdyby książę widział, jak dwie iskrzące źrenice utkwiono teraz z trwogą w jego twarzy, byłby oniemiał chyba — nie spostrzegł tego wszakże i rzekł:

— Obaczycie, czy się mnie pozbędziecie — zwłaszcza, że macie tu gwiazdę, co wszystkich przykuwa a gdy przykuje, to zapewne już na wieki!

Spojrzał znacząco na Stellę.

W tej chwili odetchnął swobodnie Kastor, stojący za krzesłem swej pani. On to przedtem z taką trwogą czekał książęcej odpowiedzi.

Rozmowa dalej toczyła się żywo — panie zarumienione chłodziły się wachlarzami z liści palmowych, panowie podawali im ramiona i prowadzili dla wytchnienia na taras pałacowy, to znowu do ogrodu. Przechadzali się wśród alei. W innych salach zasiadali biesiadnicy nieproszeni osobiście i pojedynczo, lecz ryczałtowo — kto chciał, przychodził, a każdego mile tu widziano. Książę podał ramię Stelli a nachyliwszy się do niej, mówił coś półgłosem. Stella uśmiechała się. Wtem przechodząc przez ostatnią salę, wzdrygnęła się. Przy drugim stole siedział Apollo, zadumany, rozparty o poręcz fotelu, zapatrzony w okno.

Uczuł książę lekkie zaniepokojenie swej towarzyszki i obrócił na nią pytający wzrok.

Stella zarumieniła się jak wiśnia i pociągnęła księcia ku miejscu, gdzie siedział Apollo. Zwróciło to uwagę strzelca. Porwał się z miejsca i głęboko skłonił się królewnie. Ona przystąpiła ku niemu i podała mu swą śnieżną dłoń. Apollo ledwo dotknął tej królewskiej ręki.

— Nie pójdziesz z nami, dzielny strzelcze? — spytała królewna Apollina.

— Nie, królewno, towarzysz twój byłby pokrzywdzony, gdybyś i mnie przy sobie iść pozwoliła.

Książę parsknął śmiechem.

— A to oryginalny chłop! — rzekł do Stelli, gdy się już o parę kroków oddalili.

Stella spojrzała nań z wyrzutem.

— Jest to najcelniejszy myśliwy tej wyspy — i zarazem najpiękniejszy młodzieniec.

— To prawda, że wygląda jak najpiękniejsza panienka, — rzekł książę, podkręcając swój śliczny czarny wąsik.

Książę miał słuszność. Jakżeż różnej piękności byli oni obaj! Czarny zarost, gorący wzrok, wyniosłe czoło, smagła twarz składały się na dziarską piękność księcia. A tamten? Zauważyła to Stella, że towarzysz jej wygląda w istocie na ideał męzkości, energji i inteligencji. — Ach! czemużem go pierwej nie widziała? — westchnęła do siebie.

I za nią jak echo westchnął nieopuszczający jej paź Kastor.

Książę przedłużał przechadzkę jak mógł. Następnie zabawił w gościnie dni parę. Sądził, że tych kilka dni opłacą mu się hojnie rozkoszą widzenia Stelli — lecz zawiódł się srodze, bo Stella znikała o świcie — a wracała po zachodzie słońca. Przez ten czas nie widział jej także Apollo. Unikała go umyślnie. Przestała polować, bo igraszka ta dla niej zaczęła nabierać cech barbarzyństwa; malowała za to nieustannie — a w chwilach odpoczynku oddawała się najdziwaczniejszym rojeniom.

Raz świta królewska i książęca nadeszła z panami na to miejsce, gdzie na murawie leżała Stella; podparła twarz na obu rękach i patrzyła w dal na morze. Cisza zaległa dokoła, tylko rybitwy szybowały nad jej głową. Zbudził ją szelest zbliżających się kroków; odwróciła głowę i spojrzała za siebie. Książę wyprzedził znacznie orszak i szedł ku niej z wyciągniętemi rękoma.

— Witaj czarodziejko! — zawołał serdecznym głosem.

Stella podniosła się i powitała go przyjaźnym uśmiechem.

— Szukamy Was tak długo — rzekł jej z wyrzutem — opuściliście nas królewno!

— To niegościnnie — szepnął Kastor, figlarnie potrząsając złotemi swemi kędziorami na czole.

— Prawda, zawiniłam mój książę, w obec obowiązków gościnności — ale wybaczcie mi; jam taka jakaś roztęskniona do tej natury, z którą ciągle żyję.

— Należałoby coś i ludziom ustąpić — rzekł książę.

— Prawda, prawda, zwłaszcza w obec takich jak Wy książę wartoby być lepszą.

— Napraw więc krzywdę królewno, pójdź z nami.

— Chętnie. Dokądże zmierzacie?

— Dziś wyprawił nam król i pan tej wyspy wielkie łowy.

— A gdzież mój ojciec?

— Jakto? nie ma go? Wszakże szedł z nami — rzekł zaniepokojony książę.

W tej chwili zbliżył się sokolnik i objaśnił:

— Król zatrzymał się na polance poza gajem; spotkał tam strzelca, który wczoraj był u nas na biesiadzie i wszczął zwadę z podczaszym dworskim. Rzecz doszła do króla, bo strzelec w zwadzie wymierzył podczaszemu ciężki policzek.

— I o cóż poszło? zapytał książę.

— O jakąś kobietę.

— A zawsze o to — rzekł i odwrócił się ku Stelli. Zdumiał się zmianą, dostrzeżoną w jej twarzy. Była blada śmiertelnie.

— To jakiś awanturnik! — bąknął koniuszy.

Słowo to zgrzytnęło jak stal po szkle w uszach Stelli. — To jakiś awanturnik — brzmiało jej ciągle w uszach i duszy.

Rozmowa z księciem była jakaś luźna, porozrywana, roztargniona. Książę zdawał się odgadywać powody i z szlachetną wyrozumiałością prowadził dalszy dyskurs.

Łowy na teraz*) były świetne, Stella polowała

---

*) Niektórzy piszą: „tym razem“, Walicki w wielkiem swojem dziele: „Nasze błędy“ uważa to stanowczo za błąd językowy i radzi pisać: „tą razą“. Ja nie zgadzam się bezwarunkowo ani na jedno, ani na drugie. W wątpliwych wypadkach najlepiej pisać: „na teraz“, wyraz pochodzący i przerobiony z przestarzałego: „na ten raz.“ (*Przyp. red.*)

z takim zapałem, jak nigdy, książę dotrzymywał jej celu i łupu. Nie dał się wyprzedzić swej czarownej towarzyszce.

Nazajutrz trzeba było odjeżdżać. Posmutniał gość, gdy go żegnać zaczęto — onby wolał nie wracać do swej siedziby wcale. Coś go tu przykuwało, coś go ciągnęło siłą magnetyczną, siłą niepokonaną. Stanął przed Stellą.

— Żegnać mi przychodzi ciebie, której żegnać nie radbym nigdy!

— Wiem książę, że wam do gustu przypadam.

— Mylisz się królewno, do gustu przypaść, to zbyt utarte a względne wyrażenie. Nie lubię tego — wytłumaczę to zaraz. — Czy paź musi być przy tobie? — wtrącił po cichu.

— Mogę go oddalić, lecz to zbyteczne. Mów książę — to twój najlepszy sprzymierzeniec i mój także.

— Posłuchaj królewno: Patrzysz na twarz piękną, na oczy ponętne, na usta do uśmiechu i pocałunków stworzone i upodobanie w tem znajdujesz, bo to odpowiada twemu gustowi. Ale czyż jest myśl w tem jaka? Bynajmniej — to pociąga twoje zmysły, na duszę nie działa albo tylko chwilowo. Patrzysz na postać kształtną — przypada ci do gustu — może radabyś otulić ramieniem kibić tę powiewną — czy silną i dziarską — to gust tylko — myśl w tem wszystkiem drzemie, udziału nie bierze. Gust może być objawem upodobań estetycznych, ale w stosunkach z ludźmi przypaść do gustu komuś to ani zaszczytne, ani pożądane. Nic z tego dobrego nie wynika. Dam przykład. Gust twój znajdzie na pierwszy rzut oka przedmiot, który obejmuje, który czaruje i upaja zmysły, oślepia cię na wszystko inne — i wpadasz w sidła nastawione przez los, czy przypadek — nazajutrz widzisz to, ale wyrwać już się nie możesz, choćby ci ktoś stokroć piękniejszy, szlachetniejszy, zacniejszy stanął przed oczyma, już on oczarować Ciebie nie potrafi, dopóki tamtego nie pozbędziesz się pociągu, dopóki łuska z oczu nie opadnie i pozwoli prawdę widzieć. — Uczucie, co przez podrażnienie w danej

chwili wśliznęło ci się w serce, rośnie i potęguje się własną twą siłą, własną poezją twej natury — wpadasz coraz głębiej, toniesz w niem, marzenia stubarwne dopomagają ci w tem — uczucie to rodzi palącą namiętność, już się nie pozbyć jej — giniesz w niej — lub jeśliś silna — pokonywasz zwycięzko, lecz ileż to walki i pracy ducha kosztuje!!

Paź ręce załamał, Stella stała jak posąg. Książę zamilkł. Po chwili dodał:

— Tyś mi królewno nie do gustu, lecz do mej duszy przypadła. Nie będę ci mówił, jak szczerze myślę o Tobie, jak jestem dla ciebie usposobionym — to darmo, to dzisiaj nie trafi do celu — otacza cię mur chiński namiętnego złudzenia, pierwszy mur taki, świeży, nowy. Odgadłem cię królewno — i choćbym dużo miał ci o sobie do powiedzenia, nie mogę. Wrócę, gdy będzie czas — na teraz wystarczy ci to, że masz we mnie najwierniejszego przyjaciela — gdy mnie zapotrzebujesz, to wezwać ci wolno a ja lotem błyskawicy zlecę do ciebie. Żal mi cię, najlepsza moja Królewno!

Paź przybiegł do księcia, padł przed nim na kolana i nogi mu ucałował.

— Książę! — zawołał — to modlitwy moje zesłały tutaj ciebie; o jakżem szczęśliwy, że pani moja takiego znalazła przyjaciela.

Książę milcząc podniósł z klęczek pazia i zwrócił się do Stelli. Uścisnął jej rękę szczerze i pogodnym swym wzrokiem zajrzał w jej pałające a teraz łzą zaszły źrenice.

Milcząca scena pożegnania długą po sobie pamięć pozostawiła w umyśle Stelli. Tego i następnego dnia nieopuszczała swej komnaty. Zdawało się, że wraca dawny spokój. Trzeciego dnia jednak raniutko, prawie ze zbudzonemi ptaszkami wstała Stella i otworzyła okno, wychodzące do ogrodu. Pomiędzy krzewy mignęła się postać jakaś. Stella stanęła jak wryta.

— To on! — wymknęło się jej z ust.

— Apollo! — co on tu robił, pod memi oknami? A, widocznie przygnała go tutaj tęsknota. O! dzięki niebu! —

Serce biło jej tak radośnie, jakby z piersi wyskoczyć miało. To samo powtarzało się w następnych dniach z tą jedynie różnicą, że już nietylko widziała Stella Apollina rano, ale i wieczorem w swoim ogródku. Jednego dnia nawet zatrzymał się, skłonił uprzejmie i życzył jej dobrego dnia.

— Gwieździe mego życia pokorny sługa śle dobry dzień — przemówił.

— Apollinowi wywzajemniam się w tem życzeniu.

— Jakie marzenia kołysały królewnę do snu?

— O strzelcu i pierwszym ubitym sokole.

Apollo przyskoczył ku niej i ukląkł, całując rąbek powiewnej jej szaty.

— O Boska moja!

Położyła mu rękę na bujnych kędziorach.

— Oby tak wieki pod miękkiem dotknięciem twej rączki trzymać głowę, na zawsze twym sługą pozostać.

— Sług nie brak mi w moim orszaku. —

— A czemżeż mógłbym zostać? przyjacielem?

— Mam przyjaciela niezrównanego.

— Zatem? Czy śmiałbym wyżej w rojeniach sięgać?

— Odważ się — do mężnych należy świat.

Powstał Apollo.

— Nie królewno — odwaga taka graniczyłaby z bezczelnością.

— Lecz nie byłaby nią. Czy żartujesz ze mnie?

— Nie Stello! Kocham cię, ubóstwiam, a żart z ciebie byłby bluźnierstwem nie do wybaczenia.

— Powtórz, czy dobrze słyszałam? Tyżeś to rzekł, że mię kochasz?

— Ja królewno, kocham do szaleństwa!

— Apollo mój luby!

Objął ją ramieniem i pocałował w usta. Śliczny rumieniec okrasił oba młode lica, na których gorzała miłość, jak łuna nagłym pożarem wzniecona, co jednak prędko zagasnąć miała. —

Apollo odtąd codzień przybiegał do pałacu, najczęściej przynosił kwiaty — lecz któż uważał na to? Stella miała tylu wielbicieli, którzy obrzucali ją kwiatami...

IV.

Jesienią okropne burze nawiedziły wyspę. Dzień zasępiał się z rana, chmury nabierały coraz to ciemniejszej barwy, już ciężyły ołowiem w atmosferze, około południa padał grom po gromie, błyskawice migały się jedna po drugiej — morze rzucało z hukiem i szumem spienione bałwany o brzeg, drzewa wyrywał wicher z korzeniem, lub łamał stare i spruchniałe. W takie dnie każdy rad siedział w domu, nie chcąc pozwolić burzy igrać ze sobą.

Wtedy i Stella nie opuszczała swej komnaty, dzień po dniu mijał — Apollo nie pokazywał się. Tęsknota ogarnęła dziewczynę. Ani wesołe dworskie towarzystwo, ani król dobry a rozumny, ani paź miły, dowcipny z swoją dziecięco-rzewną naturą, nie mogli rozpędzić jej tęsknoty. Zapadła w jakąś niemoc fizyczną, z której nic jej wyrwać nie zdołało. Leżała na swej otomance bez ruchu, bez życia prawie. Nie zajmowała się niczem, nie chciała widzieć nikogo prócz ojca i pazia. — Jednego popołudnia wszedł na palcach Kastor.

— Śmielej Kastorze, ja nie śpię.

Usiadł u nóg jej i spojrzał w twarz bladą a tęskną.

— Mów co, bo mi w tej głuszy umrzeć przyjdzie...

— Lekarz radzi zmienić klimat.

— Rady do niczego — zawyrokowała królewna.

— Nic nie jesz królewno i ruchu się pozbawiasz.

— Bo umieram z tęsknoty.

— To dobrze dla słabych dusz, lecz nie dla takiej spiżowej jak twoja — rzekł paź i spuścił głowę na piersi. Stella podniosła się, w oczach jej zabłysł jakiś szczególny ogień.

— Masz słuszność Kastorze. A gdybym powiedziała: „umieram z miłości?“ — Cóż ty na to?

— Wzdrygnąłbym się; miłość to życie a nie śmierć, z miłości żyć się chce a nie umierać.

— A przecież jedna miłość daje do tego prawo.

— Jaka?

— Bezwzajemna.

— Bajka! — machnął pogardliwie ręką. Kto kocha a miłości nie zdobył, ten jeszcze więcej sił i życia potrzebuje do spędzenia zniechęcenia i smutku, bo mu róść trzeba i doskonalić się, bo mu wielkości trzeba duszy — tej wielkości, co podbija zimne serca — bo niewzajemność prowadzi bój ukryty, bój, którego strzałą zwycięzką szlachetność, wspaniałomyślność.

— Zatem mój mądry Kastorze... ja umieram z żalu.

— Że umrzeć nie możesz... rozśmiał się paź.

— Nie, dajże mi skończyć! — Z żalu, że celu nie osiągnę nigdy, celu mej miłości...

— Jakto?! — porwał się paź, marszcząc alabastrowe swe czoło, ozłocone cudnemi kędziorami — jakto? Czyż jest kto na świecie, ktoby nie wielbił ciebie?

— Cóż mi po jego wzajemności, gdy na zawsze być z nim nie mogę.

— Czemu? Wszakże książę powróci lada dzień!

— Książę! I pocóż mi księcia?!

— Jakto, więc nie o nim marzysz?

— Bynajmniej... nigdy — ach gdybym go dopiero znała!

— Zanim tego strzelca chochliki zaniosły na skałę!

Porwał się za głowę.

— Ach, żeby wtenczas deszcz był padał — żeby ten strzelec był zmókł jak szczur Faraona — żeby miał włosy w nieładzie, twarz osmoloną, kapelusz podziurawiony — nie byłby cię oczarował królewno!

Chodził niecierpliwie po pokoju i tupał nogami.

— Gdy tymczasem książę, książę, taki rycerz, taki zacny, idealny! Wielki, a serce ma jak słońce! Czyste, bez skazy i takie gorące!

Wicher huczał na dworze okropnie — Stella w milczeniu słuchała podrażnionego pazia: —

— Nawet pani moja nie tłumaczy sobie tego —

— Tłumaczę — lecz nic powiedzieć ci nie mogę — jest tajemnica, co wiąże usta moje... Przysięgnij, że mnie nie zdradzisz a zwierzę ci wszystko.

— Przysięgam na Boga.

— Wierzę. Nigdy niczyją żoną być nie mogę.

— Dlaczego?

— Ojciec mój, w niemowlęctwie mojem przeznaczył mnie na wybawczynię narodu mego, jeśli się potrafię zaprzeć uczuć ludzkich... Naród mój... daleko ztąd mały, nieliczny, ale ujarzmiony, w kajdanach.

— Jakto? cały naród w niewoli?

— Cały naród, człek w człeka skuty, nędzny niewolnik — nietylko ręce i nogi skute, ale ujarzmiciel mózgi i serca w swe posiadanie zagarnął.

— Jakto? I kochać wam niewolno?

— Nie wolno.

— A to istne piekło! Nie, królewno, żartujesz chyba ze mnie; na całym globie nie ma tak strasznego miejsca, ani tak nieszczęśliwego narodu.

— A ja ci mówię, że jest — i ja ztamtąd pochodzę i tam wrócić muszę. Było mi dobrze, tu w waszej ziemi braterstwa i wolności — zaznałam tu wszystkiego, czego zaznać można na ziemi ludzi wolnych a mężnych — czas mi powrócić. Powinno się serce moje radować, bo wracam do pracy nad wyswobodzeniem ludu — a jednak tu przylgnęła dusza moja, tu król mi najlepszym ojcem, tyś jak brat, książę przyjacielem... a on... kochankiem.

— Wiem, królewno — jak gołąb do swej gołębicy zlatuje on tu co rana, czy pogoda, czy burza, by choć spojrzeć na ciebie — lecz wypróbuj uczucia jego.

— Na cóż mnie się zda próba, gdy go zostawić muszę.

— Czy opuścisz nas na zawsze?

— Nie wiem — ale zabrać muszę z sobą dwóch walecznych mężów.

— Na kogóż wybór pada?

— Na księcia... i na waszego sokolnika.

— Czemuż nie na strzelca?

— Bo w walce mógłby zginąć — a ja tego przeżyćbym nie potrafiła.

Roześmiał się paź ironicznie.

— Więc go więcej kochasz niż własną ojczyznę?

— Przestań Kastorze — zawołała Stella, stając przy nim z iskrzącym wzrokiem. Myślałam, że mam takie hartowne serce, iż osobistym uczuciom nie ulegnie. Przekonałam się, iż tak nie jest; to mnie smuci i nęka. Strata jego była by mi bolesną, zachwiałaby równowagę mej duszy, która należy jedynie do ojczyzny podbitej. Nic nie może zniszczyć potęgi, jaką posiadam w charakterze, nic obalić energji nie śmie, dopóki najświętszego obowiązku nie spełniłam — dopóki ślubu przez ojca uczynionego nie dopełniłam. Czy rozumiesz teraz, kto mi droższy?

Paź oniemiał. W twarzy Stelli płonął gniew taki, jakiego nigdy nie widział. Przeszła się parę razy po kobiercu. — Ale wiem — dodała po chwili — znam źródło twej ironii — ty gardzisz tym, którego ja kocham, dziwisz się mojej ślepocie — oto wkrótce cię przekonam, że jesteś w błędzie, posądzając o brak męztwa Apollina. Idź natychmiast, rozkaż służbie, by strzelec Apollo przyszedł do mnie dziś, zaraz, jak najprędzej!

Paź wychodził ze spuszczoną głową. Ona zatrzymała go wzrokiem i ruchem ręki.

— Nie tak wychodzisz zazwyczaj.

Skłonił się głęboko.

— Ukłon zimny zostaw dla panów i władców, pójdź do mnie jak dawniej, jak przed godziną.

Paź stał we drzwiach.

— Kastorze, niedobry Kastorze!

Łzy rzuciły się chłopcu do oczu — popatrzył na Stellę przeciągle, boleśnie — i wymknął się. Chciała biedz za nim, ale ją wstrzymało poczucie własnej godności.

— Poco zresztą? — rzekła do siebie — ja, żebym pędziła za paziem? tego się nie robi — powróci kapryśny dzieciak, powróci i przeprosi mnie.

Usiadła przy oknie i przyglądała się przepysznym kwiatom, przyniesionym przez Apollina, któ-

ry zwyczajem swym dawał kwiaty codzień której z dworskich panien z poleceniem doręczenia takowych Stelli.

Przesiedziała tak z pół godziny — a ani paź nie powracał, ani wezwany Apollo nie przychodził. Wtem na dziedzińcu rozległ się hałas. Było słychać nawoływanie i szybkie a mnogie stąpania i bieganie. Ktoś zawodził głośno. Królewna wybiegła na taras, zkąd wszystko dobrze można było widzieć. Ale już tłum służby i obcych ludzi tłoczył się do oficyn pałacu.

— Co się stało? — zapytała Stella służącej.

— Kastor się utopił.

— Co? co? — zawołała przerażona Stella i zbiegła z tarasu do oficyn. Tłum rozstąpił się na jej widok — wpuszczono ją do izby, gdzie już na dużym kocu leżał paź z obmokłemi włosami, twarzą obrzękłą, oczami wpół otwartemi. Widok był okropny! Młode, prześliczne stworzenie w objęciach okrutnej, umyślnie przywołanej śmierci. Stella rzuciła się do chłopięcia, dotykając jego skroni, słuchając oddechu.

— Jakto? nie żyje? — pytała nawpół nieprzytomna.

— Niestety, miłościwa królewno! — rzekł smutnie lekarz.

Łzy strumieniem spłynęły Stelli po twarzy i padły na martwą twarz pazia. Płakała i łkała długo — aż nadszedł zawiadomiony o wypadku król i oderwał córkę od zwłok najlepszego pazia.

— To przezemnie, przezemnie! — wyrzucała sobie w duszy Stella i zalewała się łzami.

Tajemnica jej poszła z paziem do grobu.

Odtąd stała się jakaś ponura i w sobie zamknięta. Najmłodsza z panien dworskich została teraz jej nieodstępną towarzyszką. Wspomnienie pazia bolem padało na jej duszę, kamieniem tkwiło w myśli. Roztkliwiony, rozpieszczony i rozegzaltowany dzieciak zdaje się nie umiał pokonać swej rozpaczy, wywołanej pierwszem uniesieniem ubóstwianej królewny. A może, co prawdopodobniejsze, manja samobójstwa,

aberracja umysłowa tkwiła już w jego młodej głowie i w pierwszym zapędzie żalu podała mu radę swoją, za jej popędem poszedł.

V.

Mijał rok prawie od ostatnich opisanych tu wypadków. Pamięć o Kastorze zacierała się w duszy Stelli — Apollo był jej całym światem, wypełniał pamięć i serce całe.

Król nie sprzeciwiał się sympatji córki.

— Wolałbym — mówił do niej — aby książę pozyskał twe względy, lecz wolno ci czynić, co chcesz — u nas równość zupełna, dobry sobie książę, lecz i dobry strzelec — kogo lepiej pokochasz i kto będzie godniejszym ciebie, ten twoim zostanie.

— Dobrze ojcze, kto godniejszy, przekonamy się — lecz boję się, że mój strzelec próby nie wytrzyma w porównaniu z rycerskim księciem.

— Obaczymy — rzekł król.

Apollo żył całą pełnią szczęścia — kochał bez miary i był kochany nie od zwyczajnej śmiertelniczki. Zawsze wesoły, polotny, dowcipny — stawał przed panią swego serca.

Było to znowu w jesieni — lecz różnej od zeszłorocznej. Jesień była pogodna i piękna. Zbiory bogate uśmiechały się ludziom, słońce złociło ich niwy i ogrody, srebrne nitki pajęcze snuły się od krzewów i gałęzi drzew. Zefirek muskał czoła przechodniów, ale tak delikatnie, że nikt go nawet wiatrem nazwać się nie ośmielił. Ludzie używali piękności przyrody, poili urokami jej swe dusze, jakiś powiew ogólnego zadowolenia zawitał wśród nich. Takie to dnie wabiły rozkochanych na wycieczki. Wtedy dnia jednego wpadł i Apollo do pałacu, wesoły, trzpiotowaty, jak ptak do złoconej klatki, a zastawszy pusty salon, gdzie go zazwyczaj czekała królewna o tej porze, pobiegł do ogrodu i tu ujrzał ją w przepysznym kiosku na górze. Wyciągnął ku niej ręce.

— Gwiazdo! zleć ku mnie — bom nie godzien aż do twego dostać się nieba! — zawołał z uśmiechem.

— Spróbuj — bo i jabym się przekonać rada, czy skrzydła twe ptaku wolności dosyć mocne.

Pędem strzały puścił się na górę. Odrazu padł przy swej bogdance na kolana.

— Stello najdroższa, otom przy tobie. Mocne skrzydła.

— To próba zbyt mała — ale gdybym tak od ciebie wymagała ofiary jakiej?

— Choćby i życia, tom gotów oddać je dla ciebie.

— A zaraz życia — każdy z was życie gotów stawić w ofierze, bo go cenić nie umiecie należycie, bo nie robicie zeń dobrego użytku, bo nie pojmujecie dobrze obowiązków — żyjecie jak motyle.

Słowa te wypowiedziała szybko, tchem jednym. Apollo wstał, założył ręce na piersiach.

— I cóż kaznodziejko, jakiejże to żądasz ofiary?

— Porzuciłbyś ojców twych siedziby?

— Owszem — bo poznać obce strony, rzecz dobra i użyteczna.

— Lecz na zawsze?

— Chociażby — byle zostać przy tobie, jak dziś, jak teraz.

— Lubisz ty wojny?

— Któżby lubił widownie morderstwa legalnego?

— Wolisz nielegalne?

— Ach, bynajmniej — żachnął się Apollo — lecz do czego pytanie twe zmierza?

— Czy mnie kochasz?

— Ubóstwiam!

— Czy dla mnie ująłbyś oręż?

— Nie ma potrzeby — ale i to uczyniłbym.

— Otóż dowiedz się, że jest. Czas nadszedł. Teraz ja ztąd, gdzie mi było jak w raju, odejść muszę. Jest tajemnica, która wiąże moje życie, tajemnica, wymagająca ofiar nietylko odemnie, lecz i od tych, którzy mnie kochają. Nadszedł czas ofiar — czas działania. Opuść dla mnie i mojej idei tę wyspę — uzbrój się, bądź gotów przelać ostatnią kroplę krwi.

— Stello! wszakżeż nam tutaj tak dobrze — celem moim jest tylko ciebie dostać.

— Dowiedz się, że nigdy niczyją żoną nie zostanę.

— Jakto? i nie zniewoli cię do tego miłość?

— Jest wyższa miłość, co mnie do czegoś innego zniewala.

— Do czegóż?

— Do zapomnienia o osobistem położeniu a działania dla sprawy ważniejszej.

— Podziwiam ciebie, lecz do takiego bohaterstwa ja się nie wzniosę — bo ciebie ponad wszystko inne kocham.

— Nie żądam od ciebie niczego bez nagrody. Gdy cel główny zostanie osiągnięty... będę twoją, jeśli mi na to pozwolą ci, którzy mi teraz tego wzbraniają.

— Stello jedyna! jakaż to niepewna nagroda — a wszakżeż dla ciebie zostawiłbym tu wszystko poza sobą.

— Wybieraj, jak chcesz, co ci się podoba.

Apollo był w niemałym kłopocie. Kochał Stellę, rad był z nią połączyć się na wieki, lecz jak dawniej nie miał odwagi zbliżenia się do niej, tak i teraz brakło mu energji wyboru i rzucenia ojczyzny i ogniska matki swej.

Rozstali się niewesoło. Nazajutrz Stella udała się do króla. Była ubrana jak do podróży. Rozrzewnienie i łzy zamykały jej usta, nie umiała pożegnać tego, co ją przed laty przygarnął i dał wszystko, czego tylko pragnąć mogła.

— Ojcze najdroższy! — zaczęła ze łzami — opuszczam cię.

— Co? ty? Nie pojmuję! Dokąd idziesz — na jak długo, Stello?

— Na zawsze królu mój — do ojczyzny mojej.

— Najświętsze są ojczyzny prawa — wiem o tem — lecz Stello, zapomniszże ojca twego na zawsze? Jam cię tak ukochał szczerze, takiem nietylko

ojca, lecz prawdziwie jakby i macierzystem uczuciem, bom ci ojca i matkę zastępować musiał.

— Wiem, czuję, żem Wam wszystko winna. Nie, nie, ja tego nigdy nie zapomnę — ale iść muszę, obowiązek mnie woła. Królu, jam przeznaczona do spełnienia wielkich rzeczy dla ojczyzny mojej — idę ją zbawić — wyrocznia nad kolebką moją wyrzekła, żem ja na to przeznaczona — jeśli uczynię ofiarę z najsłodszych uczuć serca. Kogo pokocham, tego rzucać muszę, taki już los mój!

— Ja ci błogosławię — rzekł drżąc i łkając prawie król — lecz dziecię moje, wróć jeszcze kiedyś, sędziwego ojca twego zobaczyć! O jam tak marzył o pięknym zgonie, aby mi tylko śnieżna twa ręka powieki przy ostatniem spojrzeniu przymknęła! O Boże!

Chwiał się cały, obejmując jej głowę i płacząc.

— Królu mój! Jedna jeszcze prośba: nie wolno mi z ludzi zabrać ztąd nikogo, bo tego wyrocznia wzbrania, chyba takiego, ktoby niewolniczo i na zawsze przywiązał się do mnie... Czy mi wolno Apollina zabrać?

— Ach! bierz kogo chcesz i co chcesz, tylko wróć dziecię jedyne — oddalenie twoje zachmurzy tak dnie moje, że tylko śmierć weselszą mi będzie.

— Proszę także o zbroję dla siebie i dobrego konia — nie mogą wiedzieć ziomkowie moi, kto jestem — sztandar narodu mego tu wyhaftuję z pomocą panien dworskich. Za kilka dni mój ojcze, rozstaniemy się — tymczasem na osamotnionem miejscu ja muszę jeszcze sił swych próbować w robieniu mieczem, w dźwiganiu zbroi wprawiać się.

— Zgoda — ale wróć kiedyś jeszcze do twego ojca.

Przycisnął ją do serca — ona ręce jego ucałowała i odeszła.

Skinęła na czekającego u drzwi sokolnika i poszła w stronę oddalonej dąbrowy. Sokolnik był bitnym wojownikiem — uczył królewnę używania miecza. Był pewien, że to nowy jakiś wybryk jej fantazji — lecz jakże się zdziwił, gdy nazajutrz ujrzał ją w zbroi stalowej, błyszczącej jak słońce. Piękna

była — jakaś nieziemska, jakby z archaniołów chóru — zeszła w tej zbroi na ziemię, by stoczyć bój ze złem, co dotąd jeszcze niepotrzebnie gospodaruje po świecie. Ćwiczenia odbywały się przez kilkanaście dni, poczem Stella oświadczyła swemu mistrzowi, iż zakończyć musi lekcje i wyjechać. Patrzył w nią — i oczu oderwać nie mógł. Zdawało się, że duszę swą przykuł do niej na zawsze.

— Pójdę za tobą pani, pójdę! Powlokę się jak pies wierny za tobą, choćby na koniec świata!

Stella położyła mu rękę na ramieniu.

— Pójdziesz na śmierć pewną.

— Chociażby; dla ciebie i śmierć będzie mi rozkoszą.

— Śmierć, poświęcenie dla mnie bez żadnej nagrody?

— Za poświęcenie nagroda nie spada na nas, lecz na następców naszych — gdy poświęcamy się za wolność, giniemy a owoce poświęcenia dojrzeją dopiero dla potomków czy dla pokoleń dalszych. Gdy się poświęcę dla ciebie, ty zapłać mi w ostatniej chwili zgonu spojrzeniem przyjaznem a po zgonie rzewnem wspomnieniem. Zdala patrząc na ciebie uwielbiałem cię — powoli jak kropla po kropli wsiąkało w duszę moją przywiązanie dla ciebie, lecz jakieś szlachetne, bezinteresowne, bez rojeń o wzajemności, bo nie czułem się godnym ciebie i dziś się nim nie czuję, a będę nim dopiero, gdy umrę za ciebie. Wy kobiety umiecie być tak wielkie i święte, że aby zasłużyć na względy wasze, trzeba być samemu zacnym i rycerskim, aby zasłużyć na miłość waszą, trzeba dla was żyć, pracować dla was, ducha i jego twórczość poświęcać temu przywiązaniu dla was. Prawda, że zyskujemy na tem wiele, bo sami szlachetniejemy; gdyż każdemu z nas, jeśli co wart, przyświeca ta pewność w życiu, iż tylko kobieta, co zeszła ze swej wyższości i godności, potrafi kochać mężczyznę niedołęgę, kłamcę, obłudnika, nicponia. Dla was zbroimy się w moc i wytrwanie, nie kalamy ust swych kłamstwem, brzydzimy się obłudą, gardzimy takimi, co żyją tylko z myślą o sobie, nic nie robiąc czekają, czy się nie znajdzie kobieta, coby

wspierała ich zamiłowanie w lenistwie i dawała swe siły — do ofiar nawet gotowa, byle opieszalca, wygodnisią i egoistę utrzymać w jego błogiem ukochaniu siebie samego, samochwalstwie bez przyłożenia ręki do czegokolwiek. — Ja takim być nie chcę, królewno! Nie ośmieliłbym się, żądać od ciebie ani jednego uprzejmości uśmiechu, nie zasłużywszy sobie nań. Sam jestem na świecie, wzdycham do czegoś idealniejszego — pójdę, by ci służyć dopóki można a umrzeć dla ciebie, gdy będzie tego trzeba. — Czy zgoda?

— Najzupełniej — oto moja ręka na ugodę.

Sokolnik serdecznie uścisnął tę rękę, w rycerską odzianą rękawicę.

VI.

„Serca niewiast zdobywa
„Ten, kto służy ojczyznie."

Noc była prześliczna. Gwiazd ani policzyć na niebie — świeciły miljardami — cały firmament zda się poruszał się niemi, żył, oddychał. Na ciemnem tle, ten prześliczny różnowzory haft mówił tajemnym językiem wszechświata o potędze, o wielkości Tego, który wszystkie byty w Swej dłoni wszechmocnej trzyma i nad niemi czuwa. Jakżeż to wszystko małe na ziemi w obec tej wielkości niezmierzonej Stwórcy! Jakżeż wszystko powiewne wobec Jego wieczności, jakie niepewne w obec Jego niewzruszoności, jakie stroskane, zbiedzone, jakie dziecięce w swem krzątaniu i zabiegach w obec Jego wiekuistego spokoju i mocy, Jego wszechwładztwa i woli niezmienionej!

Tej nocy od strony zamku słychać było powolny tentent koni, dalej z poza murów wynurzyły się dwa cienie, które przy blasku gwiazd można było dokładnie rozpoznać; były to cienie dwóch jezdców na koniach. Ktoś stał na balkonie i chustką im powiewał. Znikł w oddali tentent, a gdy już ani najlżejsze echo nie dolatywało uszu mieszkańców pałacu królewskiego, postać stojąca dotąd na balkonie, znikła. Zaskrzypiały drzwi od komnaty królewskiej, z balkonu wszedł król, zostawiwszy za sobą otwarte po-

dwoje. Siadł blisko nich i ukrył twarz w dłonie. Po pokoju błyskał migotliwy kaganek, co stał na dużym dębowym stole. Cisza głucha zapanowała dokoła. Przerwało ją tylko czasem ciężkie westchnienie lub nawet łkanie suche, bezdźwięczne. Powstał wreszcie możny pan wyspy i spojrzał dokoła po swej komnacie.

— Tu — tak mówił, wskazując ręką na niską kozetkę — tu siedziała przed chwilą... tu klęczała ona przedemną, ucałowała kolana, patrzała na mnie łzawemi oczyma, ból dojmujący malował się na jej twarzy i bladem czole. Rozstała się ze mną, poszła w świat daleki... poszła, na los burzliwy się zdając... poszła, bym jej więcej nieoglądał w życiu. Uleciała mi gołębica moja jasna, porzuciła ciche gniazdo nasze... Leć ptaszko jedyna w dal, niech cię Bóg szczęśliwie przeprowadzi! Niech na dolę twą tyle spłynie błogosławieństw, ile wypowiada ich dusza moja każdej chwili!

Zamilkł sędziwy król, ręce załamał i patrzył na to miejsce, gdzie tak niedawno widział klęczącą i żegnającą go Stellę. Teraz to miejsce zapełnić mogło tylko wspomnienie o niej, bo w rzeczywistości pozostała próżnia nieznośna, próżnia, żalem przejmująca i smutkiem. — Nie wróci! — szeptał król i drżał ze wzruszenia. Padł wyczerpany na duży fotel — rozmyślał nad tem, co go teraz spotkało, nad przyszłością Stelli— i usnął wreszcie utrudzony; pod ciężarem myśli głowa mu opadła na piersi. Sen uniósł go gdzieś w odległe krainy. Ziemia to była żałobna jakaś, ludzie kirem okryci, miasta do grobu podobne. Nie znano tu innych głosów nad płacz, wzdychanie i dźwięk pogrzebowych dzwonów. Nagle w krainę tę ciemną, grobową przybyła rycerska, niebiańska, z gwiazdą u czoła. Gwiazda ta siała takie blaski dokoła, że wnet najdalsze zakątki napełniły się światłem i życiem. Fizjonomia tej krainy zmieniła się nie do poznania; z jednego żalnika raj istny powstał — niebiańskie tony brzmiały wszędzie, nie słychać było narzekań, umilkły żale, odtąd radość tylko dźwięczała w mowie ludzkiej, w powietrzu, w głosie ptaków.

Zbudził się starzec i blask oślepiający rzucił mu się w oczy. Przecierał powieki — nic dojrzeć nie mógł w płomieniach. Pobiegł na balkon, fala świeżego powietrza, owiewającego go, przyprowadziła go do przytomności. W pokoju powstał pożar. Kaganek zapalił lekką suknię, którą porzuciła Stella na stole, przyrządziwszy zbroję. — Ratunku! ratunku! — wołał król, otwierając gwałtownie wszystkie drzwi. Zerwała się służba, rzuciła się do gaszenia płomieni i za kilka chwil — o pożarze można było nawet nie wiedzieć, przynajmniej prócz sukienki spalonej i kawałka zwęglonego stołu nic o tem nie przekonywało. Powoli zaczęli się wszyscy rozchodzić, król podążył do swej sypialni a przy nim zostało dwóch pachołków.

Znowu cisza spowiła zamek, noc cicho przechadzała się po sferach powietrznych — wreszcie świt zaczął pierwsze swe połyski przeciskać przez szare niebo, gwiazdy bladły, błękitna barwa widnokręgu rumieniła się coraz mocniej, wreszcie zapaliła purpurą, purpura przerzuciła się w złoto, a złoto szukało metamorfozy w jasności przejrzystej, co najcudniejszym rozbłysła porankiem. Przebudzone stworzenia i ludzie biorący się do pracy, napełniali świat życiem, muzyką, pięknością i splatali Panu z tej pracy, westchnień, śpiewów jedną modlitwę pochwalną i hymn wspaniały. Dzień po dniu mijał, na wyspie nic się nie zmieniło, tylko brakło dwoje dzielnych ludzi — tylko król starzał się prędko i w smutku pocieszyć się nie dał — tylko piękny strzelec polować przestał a długie godziny spędzał samotny, przygnębiony, w rozpaczy i żalu. Gdy się dowiedział, że Stella opuściła już pałac królewski, rwał włosy z rozpaczy. Nietylko jej odjazd sam bolał go tak mocno, ubodło go to jeszcze, że pojechała, nie pożegnawszy go, nie rzuciwszy mu jednego słówka nadziei, nie wskazawszy, co czynić, by znowu zobaczyć ją kiedy. Rzuciła go porywczo, nagle, nie zawiadamiając wcale, gdzie odtąd przebywać będzie. W duszy jego obok żalu odzywała się także dotknięta do żywego miłość własna. Kochał ją jak umiał — każdy kocha wedle swej wartości — ale

nie pojmował, by ta kobieta, skupiająca wszystkie akta swej woli i wszystkie serca uderzenia około jego osoby, porzucić go mogła a nawet zapomnieć. Był pewien, że wróci do niego, że przynajmniej da mu znać o sobie, że każe jej przyjechać — i weźmie go, by na zawsze przykuć do siebie. W to, co mu o celu swego wyjazdu mówiła, niecałkiem wierzył. Uważał ją za osobę ekscentryczną, mającą wygórowane fantazje — i oto jedna z najgórnolotniejszych porwała ją ku jakiejś krainie dalekiej, wedle jej zeznań rodzinnej, macierzystej. — Czekał i czekał — mijały dnie i tygodnie — o Stelli nic nie słyszano. Miesiąc, dwa, trzy, ośm, dziesięć — ani znaku życia nie dała. Apollo wątpić zaczął w swoją moc wrzekomo przykuwającą duszę tej niezwykłej dziewczyny do jego osoby. Uważał siebie za doskonałość, za coś, co porwało ją, zczarowało na wieki! Myślał, że jej imponuje, że go ona uwielbia, czuł się kochanym i upajał się tem do szaleństwa. Egoizm jego używał przez to rozkoszy niezwykłej. Nagle wszystko znikło mu z przed oczu i z życia. Pozostał sam, bezradny, bezsilny, roztęskniony, rozpieszczony poprzednią rozkoszą i szczęściem, był jak dziecko rozkwilone po stracie najpiękniejszego cacka. Nie umiał znaleźć chwili spokoju — coś go dręczyło niesłychanie i niepokoiło, jak najniedołężniejszy z niedołęgów umyślił wziąć na cel swego strzału nie zwierzynę, lecz siebie. Zdawało mu się, że dokona czynu bohaterskiego. Cóż z tego? Nie dowie się o tem Stella, nic mu zatem śmierć taka nie przyniesie, nawet tej satysfakcji nie osiągnie przez nią, że ukochana popłakałaby nad jego zgonem. Dał więc spokój myślom samobójczym. Starał się o niej zapomnieć, ale i to było niepodobieństwem. Wryła mu się w serce głębiej, aniżeli sam myślał. Zaczął wmawiać w siebie upodobania nowe, szukał towarzystwa kobiet; lecz żadna nie robiła na nim wrażenia takiego, jak Stella. — Boska ta Stella! — rzekł raz sam do siebie w rozmarzeniu — siłą jej miłości opanowała mnie, jestem pod jej władzą, choć jej nie widzę, oderwać się nie mogę, zapomnieć nie mogę

i żyć nie umiem bez niej. Miałem szczęście tak blisko a nie wyciągnąłem po nie ręki, miałem raj obiecany a na przetrzymanie próby brakło odwagi. O tchórzostwo przeklęte! cóżem ja utracił przez ciebie! Królewno moja! Stello jedyna — wołał jak nieprzytomny — com ja postradał.

Rozpoczęły się dla Apollina ciężkie męki duszy; aby im kres położyć, postanowił bądź co bądź dowiedzieć się o miejscu jej pobytu — aby udać się do niej, przeprosić, że jej niewiernym się stał w czynie, bo pomiędzy słowem a działaniem stanęło tchórzostwo jego i wahanie, a potem — ufał Apollo — potem, gdy mię przygarnie, wróci szczęście dla nas obojga. Zdawało mu się, iż Stelli prócz niego nie może nic braknąć do szczęścia, że nie może mieć innych pragnień nad połączenie się z nim, że zapewne tak samo jak i on wygląda dnia i godziny, kiedy mu się rzuci w objęcia i powiedzą sobie: Tyś teraz mój na wieki, jam twoja. Jam twój do grobu i poza grobem! — Uśmiechał się na myśl tę i coś czynić już raz postanowił.

VII.

W kraju niewoli, w kraju swym rodzinnym przygotowywała tymczasem Stella cichaczem dobę wyswobodzenia. Lud czekał tej chwili, bo wszyscy wiedzieli, co im wyrocznia ogłosiła i nikt nie wątpił w jej spełnienie. Kto zwątpił, ten zwątpieniem samem słabnąc na duchu zamierał za życia powoli i za mogiłą wzdychał.

Widok pełnej wiary i zapału dziewicy-rycerki, którą jeszcze w kolebce wyrocznia zbawczynią naznaczyła, napełniał otuchą i dodawał siły. Naród zdawał się olbrzymieć od dnia do dnia aż w końcu nadeszła umówiona i oczekiwana godzina. Stella ani chwili nie miała odpoczynku; musiała jeździć po całym swym górzystym, jak dzisiejsza Czarnogóra, kraiku, w dziczy tej rozniecać trzeba było serca skrzepłe, gdzie jeszcze tlały ostatnie iskierki święte płomienia miłości ojczyzny. Kazała się zbroić tłumom, a w koń-

cu udała się do władcy obcego, który trzymał kraj ów malutki w swej mocy. Sokolnik jej towarzyszył.

— Wolności żądamy, wielki a srogi panie!

— Nie mam jej dla was, piękna gołąbko!

— A więc wywalczymy ją sobie! — zawołała z zapałem.

Zaśmiał się władca.

— Kto? wy? garstki spróchniałych niewolników?

— Obaczysz, czyśmy spróchnieli! Imieniem narodu mego wydaję ci wojnę!

— Dobrze, dobrze, poślę moje sługi i pachołków, by z wami walczyli rożniami i tesakami.

Sokolnik pięście zaciskał a oczy jego sypały iskrą. Stelli zniewaga ta paliła policzki, usta jej drżały. Milcząc opuścili komnaty potężnego władcy. Wychodząc za próg słyszeli szyderczy głos władcy, który wołał:

— Po skończonej wojnie ty dzierlatko, będziesz ozdobą moich salonòw!

Sokolnik nie mógł się dłużej hamować. Porwał łuk z ramienia, wymierzył i strzała ugrzęzła w gardle szydercy. Byli sami, ale lada sekundy mógł nadbiedz ktoś z dworzan i tak już odgłos kroków rozlegał się na kurytarzach.

— Umykajmy Stello! — rzekł sokolnik z niepokojem i pociągnął ją za rękę.

Wybiegli prawie pędem na dziedziniec, dosiedli swych koni i umknęli. Za chwil kilka usłyszeli pogoń za sobą. Obawiali się pogoni, dopóki nie byli na swem terytorjum. Ale na ziemi swej pewni byli wygranej — bo nikt obcy nie znał tych gór, jarów, przepaści i czeluści podziemnych — zatem tutaj dobre znaleźli schronisko. Pogoń się cofnęła, lecz nazajutrz tysiące zbrojnych rycerzy do ziemi niewoli przybyły. W pierwszej chwili strach opanował uciemiężonych. Lecz gdy zobaczyli śmiałą dziewicę z pogodnem czołem, spokojnem spojrzeniem, i w nich wstąpiła otucha. Stella przywdziała zbroję, wsiadła na ognistego rumaka, w rękę wzięła sztandar swego kraju i nawoływała: Do walki! Wolność was czeka! — Tą obietnicą słodką a upragnioną rozpalała gło-

wy i serca, zastępy ochotnicze mnożyły się, bój krwawy zawrzał. Zdawało się, że wróg wymorduje niewolników do szczętu; ale tamci upojeni obietnicą wolności, rozwściekleni przypomnieniem doznanych krzywd, stali się lwami co do siły i odwagi. Moc w nich wstąpiła nieziemska. Ziemia drżała, szyki się łamały to z jednej, to z drugiej strony; trwoga, to znów radość przelatywały po twarzach, krew płynęła jak woda. Nie żałowano jej ani u jednych, ani u drugich. Wtem ujarzmieni chwiać się poczęli... wróg mierzył w pierś dziewicy-rycerza — ale zasłonił ją sokolnik. Strzała utkwiła w jego sercu, padł na wznak a uśmiech jakiś błogi zaigrał mu na ustach, oczy jego spotkały się z oczyma Stelli, skonał z jej imieniem na ustach. Widok ten jakiś święty i porywający zagrzał znowu słabnących. I znowu za chwilę osłabły walczących ramiona. Po raz drugi mierzono z nieprzyjacielskiej strony do Stelli — i raniono ją. Zachwiała się, pobladła, lecz sztandaru nie opuściła z dłoni. Nadeszła chwila, że już wojsko Stelli wątpić zaczynało o wygranej! Wtem nadpędził rycerz jakiś, cały w zbroję zakuty ze spuszczoną przyłbicą, na czarnym koniu, z długą kopią w ręku, olbrzymim mieczem u boku.

— Dalej bracia za mną! — zabrzmiał głos jego, jak grom silny.

— Kto w Boga, kto w wolność wierzy, za mną!

Pocwałowali wszyscy, uderzyli raz jeszcze, jak huragan na wroga, starli się z nim srogo. Wydarli już sztandary wrogie, zewsząd zabrzmiało: Górą nasi! Niech żyje wolność!

Tylko rycerz czarny i Stella znikli z placu boju. — Gdzie oni? gdzie oni? — pytano dokoła. Im zawdzięczamy wszystko, wróg pierzchnął w bezładnej rozsypce!

Odszukano ich na brzegu lasu — tam na trawie złożył rycerz Stellę i ranę jej opatrywał. Nadbiegli zwycięzcy z radosnemi okrzykami. Stella otworzyła oczy i szczęście zaigrało lekkim uśmiechem na jej twarzy. Rzucili się wszyscy do jej ratowania, zaniesiono ją na lepsze miejsce. Rycerz czarny nie odstę-

pował jej, a gdy mu dziękowano, nie chciał wyjawić, kim jest.

*
* *

Maluczki kraik był wolny, a zbawczyni jego powoli odzyskiwała zdrowie. Naród składał jej swe hołdy, a w końcu królową ją swoją obwołał. Wtedy Stella przyzwała do siebie czarnego rycerza. Stanął przed nią milczący, zimny jak posąg.

— Ktoś ty jest — dłużej ukrywać ci tego nie wolno.

Rycerz odsłonił przyłbicę i zdjął hełm z głowy.

— Jestem książę Walgon, na twe gotów usługi.

Stelli radośnie uderzyło serce, wyciągnęła ręce ku niemu.

— Toś ty, przezacny książę! Biedny Kastor nie żyje, a tak dobrym był tobie rzecznikiem! Lecz zkądże się tu wziąłeś?

— Wychowałem się zagranicą i tam żyłem, lecz z tej ziemi jestem rodem i dla niej me życie daję. Nie zabito mnie w boju, bo tak widocznie chciały nieba; lecz robiłem, co mogłem i od najpierwszej mej młodości nie miałem innych marzeń nad szczęście biednej mojej Ojczyzny i ujarzmionego narodu.

— Zacny, Najlepszy Książę! Tobie winien ten naród wszystko! Czemżeż wypłacić ci się zdoła?

— Co czyniłem, nie było dla zapłaty.

— A ja także winnam ci życie.

— Żądałbym nagrody, gdyby to było możliwe.

Stella podała mu rękę.

— Obaczymy — rzekła na pożegnanie.

*
* *

Stella królowała mądrze swemu krajowi. Spokój trwał a naród mężniał, korona, która zdobiła skronie Stelli, przynosiła jej dużo kłopotów, lecz nie zmartwień. A we wszystkiem pomagał książę Walgon. Dnia jednego zjawił się w pałacu Stelli gość jakiś szczególniejszy. Wpuszczono go do królowej. Padł jej do nóg i łzami oblał stopę swej pani.

— Powstań gościu — rzekła mu dość sucho.

— Stello! czy mnie nie poznajesz? — spytał młodzian.

— Owszem, tyś strzelec Apollo.

— Ach więc znasz mię, znasz jeszcze, twe serce pamięta o mnie! Myślałaś więc o biednym strzelcu, Stello, czy kochasz go?

Uśmiechnęła się dumnie.

— Powoli młodzieńcze! Hamuj się w twym zapale. Porywów najświeższych serca tak się nie sądzi. Wykwitają one w przywiązanie szczere, lecz tylko przy obopólnej wartości charakterów. Dziś zapóźno — lecz co cię tu sprowadziło?

— Tęsknota za tobą, bo bez ciebie żyć mi trudno.

— A któż ci powiedział, że tutaj jestem!

— Sława twoja wielka, co zaćmiewa dziś najsławniejszych. O Stello! czemużeś mi dobrze nie powiedziała o wszystkiem, byłbym poszedł za tobą! O jakżem był bez ciebie biedny!

Chmura jakaś zasępiła czoło Stelli.

— Miłość jest absolutną, wymaga stanowczości, wymaga ufności bezwzględnej. Nie sztuka na dokładne wyjaśnienie chwycić się sprawy jakiejś i zważywszy korzyści, iść choćby w ogień i na śmierć.

— Jakto Stello, więc ty odpychasz mię?

— Opuść ten pałac, wróć do swej ziemi rodzinnej, tutaj nic nie wskórasz.

Apollo chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy wtem dano znać, iż książę Walgon pyta, czy może wejść.

— Ach naturalnie — odpowiedziała Stella.

Służba otworzyła szeroko podwoje i do komnaty królewskiej wszedł wspaniały książę Walgon.

— Oto, Apollinie, rozwiązanie zagadki, dlaczego opuszczać ci każę mój pałac — książę, ten wielki i najszlachetniejszy książę jest dziś rywalem twoim z tą różnicą, że posiada całe serce moje i rękę — a ty nic.

Podała rękę księciu — ten przykląkł, całując podaną sobie dłoń.

— Stello, czy ja śnię, czym w istocie tak szczęśliwy? więc to nagroda?

— Na jaką zasłużyłeś dobrze! — odrzekła Stella.

Książę przycisnął jej rękę do serca.

— O jakżem szczęśliwy! — szepnął.

Apollo zakrył ręką oczy — zapłakał.

— Tak, tak—i wszystko na łzach się kończy— rzekła mu Stella. Źle postępujesz młodzieńcze; wróć do ojców siedziby i pracuj. Praca innym cię zrobi człowiekiem. Liczyłeś na to, że piękność twoja da ci wszystko, tymczasem dowiedz się, że piękność bezduszna działa tylko chwilowo na fantazję, na zmysły — a krótkie nawet oddalenie od fantazją i zmysłami ukochanego przedmiotu leczy nas z tej choroby na zawsze. Tak było ze mną. Poznałam cię — dziś jesteś mi obojętny — wracaj, zkąd przyszedłeś.

Bez słowa wyszedł Apollo i opuścił tę ziemię niegościnną, gdzie go pierwszy spotkał zawód — na zawsze.

Stella oddała rękę Walgonowi, naród radował się z tego, że miał sposobność, słusznie zdobytą i zasłużoną koronę włożyć na skronie swego wybawcy.

Apollo nauczył się, że tchórz nakłada sobie od razu przez swe tchórzostwo obrożę, która go kiedyś prędzej czy później, zadławi. Świadkowie tych dziejów miłości, którzy niegdyś zazdrościli szczęścia Apollinowi, nauczyli się, że szczęścia nie wart, kto go sobie sam zdobyć nie umie.

Król bogatej wyspy doczekał się jeszcze jasnej chwili w swem życiu — odwiedzin Stelli, która przybyła ze swym Walgonem.

Jakże się cieszył król, że los łaskawy połączył tych dwoje zacnych i mężnych ludzi!

Błogosławił im serdecznie i szczęśliwy, spokojny umierał, widząc spełnione swe nadzieje i pragnienia.

*
*   *

Rzecz tu opisana, działa się nie na globie ziemskim, lecz gdzieś na jednej z gwiazd, podobno tej, co na samym przedzie wielkiego wozu świeci. Co się tam więcej działo — nie wiem.

Lwów, 1893.

ANTITEZA*).

O! kto swe życie spędził wesoło,
Nad kim jaśniało tęczowe koło,
Z nadziei wite, z kwiatów i róży —
Kto czoła swego troską nie chmurzy,
Ale je wznosi, bo mu dzień świta —
Kto o los przyszły jutra nie pyta:
Szczęśliw, o szczęśliw!

Nad kim w kolebce gwiazda zatliła,
Komu nad głową matka nuciła
Pieśń do snu cichą — nad czyją głową
Anioł pochodnię wzniósł rubinową —
I w duszę zesłał słoneczne blaski,
Od Boga zniósł mu promienie łaski,
Szczęśliw, o szczęśliw!

Kto nie wie, co jest życie tułacze,
Kto nad mogiłą matki nie płacze,

---

*) Prześliczny ten wiersz figurował już — będzie temu 8 lat — w „Jednodniówce pedagogicznej stanisławowskiej," obecnie całkowicie wyczerpanej. Sądzimy, że przysługę wyświadczymy nie tak autorowi, jak raczej czytelnikom naszego wydawnictwa, odgrzebując z pyłu zapomnienia piękną pracę Andruszewicza. (*Przyp. red.*)

Kto w sercu cnoty chowa przeczyste,
Kto kocha ludzi, strony ojczyste,
Kto odczuć umie ludzką niedolę
I łzy ocierać i koić bole,
Szczęśliw, o szczęśliw!

Lecz kto samotny w pośrodku ludzi,
Kogo nadziei gwiazda nie łudzi,
Nad kim noc czarna, nad kim pioruny
I burze ryczą — w oczach całuny
I pogrzebowe świecą gromnice,
Kto serce swoje stargał na nice,
Biedny ten, biedny!

Kto stracił wiarę, płakać nie może,
Kto dźwiga kajdan ciężkie obroże —
Nad kim niebiańska zorza nie tleje,
Komu się anioł jasny nie śmieje —
Nad kim już matka łzy nie uroni,
Komu nikt bratniej nie poda dłoni,
Biedny ten, biedny!

Bolesław Andruszewicz.

Różnowierce w Polsce.

NA SPIŻU.

Zgliszcza żywopalenia Hussa i Jarosza Praskiego były podnietą wojny krwawej Czechów z Niemczyma i Węgrami. Sławiańszczyzna zachodnia walczyła o swoją narodowość w obrzędach: Czechy stanowili zastęp groźny rdzenny a łączyli się Morawianie, Ślązacy, Polacy, Słowacy a nawet Ruś z Koryatowiczem na czele.

Jak daleko sięgało osadnictwo niemieckie na Węgrach, tak daleko zapuszczały się zagony Hussytów, ciągły ich tabory, hen! hen na Spiż, w Saroskie i dalej aż po Munkacz.

Po złamaniu potęgi Czechów, po zerwaniu ugody z nimi, gdy cesarz Luxemburg i papież koniecznie chcieli wyniszczyć do szczętu obrządek czeski: niedobitki spokojniejsi umknęli w pustynie i góry odludne, żyli nędznie z pracy ciężkiej, dzielili się ostatnim okruchem chleba po bratersku i zwali się *Braćmi i Siostrami żebraczemi*, a w jaskiniach mową czeską, obrzędem czeskim chwalili Boga. Niemce dworując w bogactwie i dostatkach, zwali ich *jamnikami*.

Gromady te brackie o ile mogły, naśladowały pierwotne gromady Chrystusowe apostolskie: nabożeństwo bez wszelkiej okazałości zmysłowej, życie cnotliwe, równość społeczna, wspólność mienia... przestrzeganie dziesięciorga przykazań boskich i przykazania miłości, do tego chrzest dorosłych, zaniechanie rozlewu krwi i wojen, więc też i zniesienie urzędów i tym sposobem sprowadzenie królestwa bożego na ziemię — oto ich obyczaj.

Prześladowanie, więzienia i śmierć znosili cierpliwie.

Nie tak *Bracia polska*, połączona z niedobitkami Zyszki, których prostoduszność pierwotna przeszła w gorycz i jad ponury.

Zasada ubóstwa wyrodziła się w nienawiść dóbr kościelnych i klasztornych, niemniej wspaniałości obrzędowej, a zasada narodowej mowy obrzędowej przeszła w nienawiść obrzędów kościelnych rzymsko-łacińskich.

Taboryci czescy z Bracią polską wraz przeszli na Spiż, złupili Kezmark, Lewoczę, Czerwony klasztor. —

Prowadził ich Biedrzych xiądz odszczepieniec, w liczbie niemal 20.000 piechoty i jazdy z mnóstwem wozów, złupił cały Spiż, imał prałata spiskiego i wrócił przez Liptów.

Kniaź Fedko Koryatowicz pozostał w pobliżu Corstyna zamku, chcąc założyć Syon nowy na górze Żdżar, kędy od Gorczow poczyna się odczoch Pienin (w dzisiejszych Kluszkowcach nad cestą z Krościenka do Corstyna).

Żdzar ten, szczyt okrągły odosobniony na wirchowisku lesistem, sam przez się obronny, jął kniaź Fiedor utwierdzać i zamieniać w gród, aby zapanować nad pograniczem polsko-węgierskiem.

Król Jagiełło w samą Wielkanoc obwieszczon o tem, natychmiast mimo śniegów, topieli i mimo powodzi, wysłał tam wojsko swe nadworne. Potracili oni wiele rzeczy na przeprawach przez rzeki wezbrane, ciągnąc z Krakowa, lecz zdążyli na miejsce, rozgromili kniazia Fiedora, nie dali wykonać zamysłom powziętych.

Podanie ludowe powszechne okolicy całej wskazuje on Żdzar hussycki, łącząc z dziejami onemi Pieniny góry z zameczkiem ongi św. Kingi, gdzie znaleziony *bełt* żelazny (grot strzały z kuszy puszczanej), *który posiadam*, stwierdza podanie, wskazując, iż tam bronili się i zdobywani rozbitkowie.

Grodzisko też w Sromowcach do tych odnosi się czasów.

R. 1440. Władysław Jagiełłowicz powołany na tron Węgier, nie miał pieniędzy nawet na podarunki posłom. Zbigniew Oleśnicki kardynał pożyczył, ale nie inaczej jak na zastaw Spiża.

R. 1444. Władysław pod Warną w boju z Turkami odbieżany od Węgier pod wodzem Huniadym, poległ.

Huniady wróciwszy gotował się do wojny z Iskrą Brandysem, stronnikiem małoletniego Ladysława Pogrobowca.

Iskra zaś z Czech i Moraw ściągał niedobitki Taborytów, którzy też nieomieszkali szerzyć czeski swój obrządek — czem się nie pomału gorszył i kardynał Zbigniew Oleśnicki.

R. 1449. Madziary z sejmu swego pisali do Rzymu do x. Mikołaja, posła z Krakowa: Wiedz, iż w Węgrach górnych powstali łotrowie Czechy, którzy między innemi wprowadzają niedowiarstwo Hussytów tak, iż w ziemi spiskiej i saroskiej istnieją już parafie, w których już istotnie biorą komunią pod obiema postaciami. Przeciwko nim rozpocznie się wojna. Bacz więc i Najświętszemu panu naszemu przedłóż, że to jedno już powodem jest niemałym żądania posiłków apostolskich; gdyż już nie idzie o naprawę szkód majątkowych, lecz zachowanie wiary od upadku....

Kardynał Zbigniew bojąc się o swój Spiż zastawny, użył wszelkich sposobów, by zażegnać burzę; pogodził Huniadego z Iskrą.

Bracia czescy swobodnie jęli prawić swe obrzędy, murować kościoły i dwory obronne, żenić się z Słowaczkami: żywioł sławiański brał górę.

Madziary nie mogli tego przenieść: Huniady przez Berczala nastręczył siostrę swą owdowiałą Iskrze też wdowcowi, aby na zaręczynach wyciąć Czechów naczelnych. Iskra dowiedział się o zamiarze, obsadził klasztor obronny w Łużeńcu pod tysiącem Czechów i Polaków.

Huniady w 16.000 obległ ich, Berczal Czech, starosta z Kezmarku przystał do Madziar: Iskra zrozpaczony w 4000 przypadł na odsiecz i poraził Madziar

tak zupełnie, iż zwycięzcom ręce obwisły od zabijania rozgromionych (r. 1451).

Na odgłos wojny z Madziarami, czeskie Taboryty stare rozjątrzone, że sobor w Florencyi unieważnił ugodę Czechów z Rzymem, spieszyli na Spiż, zakładać Syon nowy.

Utworzyli Bractwo religijne wedle słów Ewangelji (*Math. 23, 8*)... „jeden jest nauczyciel wasz a wy wszyscy: bracia.“ Wodzem obrali Polaka: Piotra Axamita z Kossowa.

Utwierdzili się najpierw na Zielonej górze przy Hrabuszycach (*Kaposztafalva*) nad Hernadem, twierdzę nazwali Taborem i wyprawiali zagony łupieskie.

Oblężeni cofnęli się ztamtąd na Krępak, do Haligowiec, kędy jaskinie przestronne i niedostępne nęciły *jamników* starych.

Axamita jaskinia i sąsiednie *Dziury haligowskie* milkę od Czerwonego klasztora a milę od Szczawnicy odległe, niedostępne i niesłychanie obronne, były chronowem Bractwa tego, które w jaskini przekowało ścianę skały prostopadłej, tworząc wygląd ku Węgrom wprost z majdanu wodza. W jaskiniach zaś sąsiednich, zwanych *Dziury*, mogło się chronić i bronić jakie półtora tysiąca zbrojnych.

(*Opisałem je w Sądecczyznie, tom II. str. 213*).

Lud wiejski zachował mnogie podania o Hussytach i Axamicie a groby hussyckie wskazuje lud hen! hen! na wschód... ku Dukli.

Huniady chcąc się pomścić na Czechach, podstąpił pod ich Nowy Syon, ale Axamit przywitał go wstępnym bojem, nie dając się zbliżyć; poraził, rozgromił. Użalił się Huniady królowi, prosząc o posiłki, a król Ladysław nakazał pospolite ruszenie miast spiskich na one zbójce.

Niepomogło i to: więc Huniady hetman koronny Węgier wiciami obesłał Bardjowian, żeby chwytali wszystkie obierzniki i zbójce, jakie się nawiną, aby je karali i karcili!

Wkrótce Huniady umarł, syn jego Ladysław zabił Ulrycha wuja królewskiego, więc ścięty, a drugi syn Matyasz uwięzion w Wiedniu.

Axamit samotrzeć z Berczalem i Bartusem, mając ręce wolne, zakładali Bractwa między ludem polsko-słowackim na Krępaku i Beskidzie.

Axamit zajął Paloczę-Pławiec i Kamieniec, a chłopi słowaccy, urządzeni w brackie drużyny wojenne, zapuszczali swe zagony ku dworom madziarskim i osadom niemieckim. Bardjowianie Niemcy wzywali pomocy Perenniego marszałka sądów madziarskich, ale on bronił hrabiego Pałoczaja. Opuszczeni więc od Madziar, od siebie i miast Koszyc z Preszowem zawarli mir z Axamitem starostą pławieckim roku 1457 i rozejm jednoroczny.

R. 1461 znowu prześladowano Hussytów w Czechach—mianowicie Bractwo osiedlone w *Poczteimie* na pustych górach Karkonoszach. Pod karą śmierci zakazano im obrzędów wedle nauki Hussa. Rozprószeni udali się znów na Spiż, osiedli nad miasteczkami *Poprad i Markuszewice*, uzbroili się a rozdrażnieni od Lewoczan, napadali, pochwycili ich 60 i powiesili.

Węgierski król Maciej, wiciami zawezwał ruszenie miast: bo Czechowie w stolicach Liptow, Zwoleń i Turocz, zamierzają znowu wyprawę na Spiż i Sarosz... aby po staremu utwierdziwszy się po górach, rozpocząć swe zagony zwykłe. Zapoly Stefan przeznaczon na wodza.

Bacząc trudność dobywania taborów czeskich i grodków górskich a znając naczelników Barczala Marcina i Horwikowicza Bartusa, wszedł z nimi w ugodę jako kapitanami na Kezmarku, ofiarując 16.000 złotych węgierskich okupu, na który król zezwolił chętnie. Wzięli i ustąpili z Kezmarku, Gilnicy, Wagendryssel, Szczawnika i grodziska św. Marcina (*Donnerstmarkt*).

Wojenna drużyna czesko-polska poszła w rozsypkę; jedni zaciągli się przeciw Turkom, drudzy osiedli na roli.

Krzesz Mikołaj, niegdyś pan na Słupowie, z starożytnych Leliwitów słowackich pochodzień, zakupił się w Polsce. Od żony Reja Mikołaja z Szumska, Barbary z Topola, kupił nad Rabą wsie Mirzeń, Kwapinkę i część Gruszowa, (r. 1464).

Niektórzy zgromadzili się i zalegli taborem nad rzeką Wagą, aby po staremu puszczać zagony na Węgry. Zapolia jednak spólnie z polskimi starosty spiskimi, czuwali i niedopuszczali.

W Czechach i Morawach prześladowanie obrządku hussyckiego, tułaczka po pustych górach i jaskiniach, oddziałało na umysły Braciej, usposobiło ich do marzycielstwa, a czytanie i wykład Biblji i Ewangelji dokonało reszty — podobnie jak w wieku 12-m u zwolenników Piotra Valdo, zwanych po prostu Waldeńczykami.

Waldeńczycy twierdzili, że kościół odstąpił od pierwotnej prostoty, że trzeba go nawrócić do pokornego ubóstwa czasów apostolskich, kiedy obrzędy odbywały się bez zbytku, kiedy kościół nieposiadał dóbr a papież nie posiadał władzy doczesnej. Uczyli, że religia nie potrzebuje ani kościołów, ani obrzędów: wystarczy opowiadanie ewangelji i życie według jej przepisów. Gorszyli się ślubami zakonnemi i mnichami i zaprzeczali danin kościelnych, dziesięcin, świętopietrza, twierdząc, iż każden chrześcianin jest kapłanem.

Podobnie nauczali i marzyciele Bractwa czeskomorawskiego, twierdząc jeszcze, że godniej cierpieć niedolę, niżeli walczyć w obronie nawet przeciw Turkom, więc też, iż nie godzi się nikogo sądzić, ani rządzić ludźmi, ani pogan potępiać, ani dzieci chrzcić, ani oddawać się naukom.

Marzycielstwo takie musiała władza potępić. R. 1464 król nakazał, wszystkich takich więzić i karać.

Więc znów kryli się po puszczach, jaskiniach i jamach.

Panowie jednak możni niektórzy, mianowicie w Morawji użyczyli im przytułku.

Doczekali się panowania Jagiełłowicza.

R. 1481 Bracia czescy wyszli do Moraw, gdzie Bractwa morawskie w Lanckoronie, Fulneku i Hranicy żyły zupełnie obyczajem Waldensów.

Połączyli się z nimi w Bractwo spólne, że zaś nieprzyjmowali Sakramentów a małżeństwa zawierali wedle umowy świeckiej: okrzyczano ich *Pikardami*, *Adamitami* — jakich Żyszka wycinał bez litości.

Doniesiono ich królowi, zapadł wyrok wygnania,

Stefan wojewoda wołoski przyjął ich do Multan, kędy też wyruszyli. Turcy jednak zagrażali im a gorszyła ich nieobyczajność Wołoszy.

Udali się więc zasię do króla swego i wyprosili odwołanie wyroku wygnania, r. 1483, więc wrócili do Moraw.

R. 1487 –1489 rozesłali śledzić ukrywające się drużyny pierwotnochrześciańskie w Rossyi, Grecyi, Syryj, Egipcie, Italji, Francyi i Szpanji — do czego im dopomógł sam król, dając pieniędzy i listy bezpieczeństwa. Odnaleźli jednak tylko Waldensów i Pikardów, z którymi się też zbratali.

W Czechach w Prosnicy założyli xiągotłoki i szkoły czeskie, nauką i xiążkami czeskiemi wypierając łacinę rzymską.

Trwało tak aż do r. 1502 — kiedy królowa młoda, z domu francuska hrabianka de Foix za podmową biskupów czeskich i madziarskich wyrobiła znów ukaz wytępienia ich. Lecz sejm nie posłuchał a w Pradze samej wytworzyło się stronnictwo kaznodziejów świeckich a wydalenia xięży, które jednak rozpędzono. R. 1506 umarła królowa a 1508 król znowu bezskutecznie nakazał wytępienie Pikardów, 1510 potwierdził ukaz; lecz panowie możni dali im przytułek w dobrach swych i tylko kilka gmin rozpędzono.

Tak doczekali się Marcina Lutra, któren z początku mienił ich marzycielami szkodliwymi, r. 1522 zaś przeczytawszy ich wyznanie wiary, uznał przyjaciołmi prawdy i chrześcianami prawowiernymi.

Nurki.

Czytanie biblii żydowskiej rozpowszechniało się ogromnie w Niemczech od czasu, jak Luter przełożył ją na niemieckie. Wydawano ją raz po raz, a świadomi pisma czytali ludowi, słuchającemu nabożnie. Powieść o Adamie, Ewie i raju wywierała wpływ ogromny, jak zawsze; jak ongi za czasów *Pikarda* francuza (około r. 1400), który się przezwał Adamem i zakładał raj w Holandyi, Niemczech północnych, w Czechach i Morawji, gdzie umarł. Nauczał on wiarę w Boga jednego i żywot w równości społe-

cznej bez zwierzchności, bez obrzędów kościelnych, bez małżeństwa. Po jego śmierci Adamici w Czechach założyli sobie raj taki, we wsi Klokot na wyspie rzeki Łużnicy, przytoka Mołdawy i utwierdzili go sobie. Zyszka zdobył ich gród rajski, żywcem palił niedobitki (r. 1421), idące na śmierć z uśmiechem na twarzy. — W Morawach na wyspie rzeki Morawy we wsi Nedokunice zbudowali już nie raj, ale biblijny Nowy-Tabor a biskup ołomuniecki nie mógł pokonać wodzów ich Biedrzycha i Wyżonicza. (*Laur. Brzezina*...)

R. 1525 w Niemczech, *Stork i Münzer* na podstawie biblji, wzniecili wojnę straszną, w której między innymi przywodził chłopom mnich zbiegły Pfeifer. Niedobitki rozpierzchli się na wszystkie strony.

R. 1526 krótko przed śmiercią króla Ludwika, zjawiło się na Morawie dwóch niedobitków: *Hutter* Jakub i *Szarding* Gabriel, z drużyną Nurków niemieckich. Przyjęto ich w państwie *Nikolsburg* i okolicy, więc osiedlili się i jęli uprawiać pustki w około, tak pilnie i rozumnie, iż wkrótce stali się wzorem rolników i gospodarzy.

Na bezrok jednak, prorocy obadwaj jęli się sprzeczać, wykładając biblią, powadzili się a rajska ich gromada pracowita i spokojna zamierzała istyki zamienić na oręż. Biskup ołomuniecki przelękniony, żeby nie wróciły czasy Biedrzycha, udał się o pomoc do króla. Ferdynand najpierw przysłał xiędza Fabrego Jana, teologa słynnego, który ich miał nawracać: ale niezdołał. Więc kazał ich wypędzić z kraju; jakoż wyszli przeważnie na Sląsko. Szlachta postradawszy rolników najpracowitszych, jęła narzekać na biskupa i króla...

A tu trzeba było Morawian bitnych przeciw Zapolji: więc odwołał wygnanie, tusząc iż się opamiętają w wierze. Wracali tedy daleko liczniej, niż wyszli: z Sląska samego przywiódł ich Szerding 2.000 wzwyż. Ale przystali do Braci czeskiej, aby uniknąć prześladowania: pozostając po staremu nurkami i przy zamkniętych drzwiach spełniając swe

obrzędy i w tajemnicy zachowując naukę swą, która się też potajemnie szerzyła.

Prusy lutrzały już od r. 1522, najpierw przez *Koppiusa* Jana, lekarza z Erfurtu, osiadłego w Toruniu. Lekarze ówcześni byli oraz gwiazdarzami, więc jako znachorów ziemi i nieba bał się ich lud ciemny, wierzył w ich leki i ich przepowiednie. Podczas wielkopostu zapanowały w Toruniu choroby; Koppius wołał, że to z ryb! bo ryby niezdrowym pokarmem a post, to zabójstwo. Zamożniejsi, troskliwi o zdrowie swoje, ustali pościć, jęli jeść mięso niechcąc popełniać samobójstwa.

Koppius, bacząc iż go słuchają, jął wróżyć rzekomo z gwiazd: że niedługo klasztory będą zamienione w szpitale lub mieszkania osób świeckich, mnichy będą się żenić, mniszki pójdą za mąż, mienie klasztorne przypadnie miastom i wsiom... a stanie się za dwa roki! bo tak wskazują gwiazdy!

Pospólstwo głupie słuchało rade proroctw onych korzystnych dla siebie i wierzyło, że gwiazdy tak wskazują.

Boć w gwiazdy wierzyli wszyscy! A jakżeż nie mieli wierzyć, skoro czytali Biblią, gdzie stoi wyraźnie: że Mojżesz już znał się na gwiazdach; że gwiazda była przewodnikiem Żydów na puszczy, że Jozue zdołał zakląć słońce i miesiąca... Więc też i później znano gwiazdę „Trzech królów“ i zaćmienie słońca, gdy Chrystus konał na krzyżu!! — W Krakowie mędrce najuczeńsi zajmowali się tą nauką a na pół świata słynął kanonik i nauczyciel krakowski Maciej z Miechowa czyli Miechowita, lekarz i wróżbita króla Zygmunta. Umiał on czytać w gwiazdach tak doskonale, że r. 1515, gdy król 5 marca wyjeżdżał na Węgry, aby się widzieć z cesarzem, przepowiedział, iż cesarza nie obaczy aż w lipcu, co się też stało na wielkie upokorzenie niedowiarków mędrkujących a podziw ludzi uczonych, jak np. Panów Bielskich ojca i syna.

R. 1524 zaczęły się spełniać wróżby Koppiusa i to całkiem niespodzianie. Król jegomość miastu Toruniowi nadał prawo składu kupieckiego wodnego; spławnicy wiślańscy musieli tam na sprzedaż wy-

stawia kupią swą, jaką spławiali. Na to trzeba było budowli ogromnej na skład, a niebyło pieniędzy... mieszczanie zachodzili w głowę, jakby się na nie zdobyć. Wtem zjawia się w mieście przybysz niemieckiego jakiegoś zakonu, mnich zbiegły, gaduła mieniący się także lekarzem, który gdy mówił, do niemieczczyzny wplatał wyrazy łacińskie, greckie, szwabskie, polskie a nawet żydowskie. Więc Torunianie przezwali go łataczem niemieckim „*Flickendeutsch*“. Posłyszawszy, że radzą mieszczanie, zkądby dostać pieniędzy, rzekł: — W wielkim palcu mam ducha wieszczego, który mi mówi, że tu w klasztorze w miejscu pewnem, są skarby wielkie, zatajone niepożytecznie; a możnaby niemi zaradzić potrzebie pospolitej.

Przełożony klasztoru tego, tajny zwolennik Lutra, nie tylko że przyznał, ale i wydał skarb klasztorny urzędowi miejskiemu, prosząc o przyjęcie pod straż skarbową... gdyż wedle zakonu niewolno im posiadać majątków a nabożeństwa mają odprawować w kielichach z cyny i ołowiu. Zakonnicy radzi nieradzi musieli na wiecnicę pooddawać, co było srebra i złota. Odtąd jednak nie chcieli słuchać przełożonego, którem zasię zaskarzył ich w urzędzie. Wysłano kilku radziec, którzy oświadczyli zakonnikom: jeżeli który z nich nie chce żyć w ubóstwie zakonnem, wolno mu opuścić klasztor. Dwunastu mnichów opuściło klasztor św. Mikołaja.

Mieszczanie przyjęli sobie kaznodzieję luterskiego a gdy tenże poszedł dalej apostołować, zakonnicy zlutrzali na kazaniach rozgłaszali naukę nową, potępiając mianowicie posty i bezżeństwo xięży. Pospólstwo cieszyło się, zapijało, lżyło i zigrawało się z obrazów, nabożeństwo katolickie przedrwiwało po karczmach.

Doniesiono o tem biskupowi chełmińskiemu Janowi Konopacie prosząc, by zaradził złemu. Biskup przez sekretarza swego luteranina zachwiany w wierze cokolwiek, odrzekł: Torunianie nigdy mi nie oddawali czci... niechże sobie teraz radzą sami.

Franciszkanie toruńscy, słysząc to, nie opierali się urzędowi miejskiemu, żądającemu zdaty dóbr;

wyrzekli się wszystkiego. Dominikanie przeciwnie, zanieśli żałobę do króla, który nakazał zwrot mienia zagrabionego.

W Gdańsku biskup *Drzewicki*, słysząc, że xięża się żenią i lutrzeją mimo niedawno złożonej przysięgi, z przyzwanym x. Łaskim prymasem koronnym, zagaił sąd i kazał uwięzić niedowiarka jednego, który przez okno użalił się pławnikom, pławiącym Wisłą. Zebrało się ich jakie trzysta, napadli wychodzącego z kościoła, za umykającym rzucali siekierami i rapierami, byliby dobywali i zabijali: ale burmistrze wymogli zwolnienie jeńca.

Biskupi wynieśli się z miasta, dali znać królowi, który surowie pogroził miastu. Gdańszczanie zatrwożeni przepraszali biskupa, ale niewydali winowajców żądanych, lecz owszem (22 stycznia 1525) pospólstwo ustanowiło urząd nowy, luterański, łupiło klasztory i kościoły, upijając się z kielichów poświęcanych. Wyruszyli potem na klasztory okoliczne: Oliwę, Peplin, Suchow i Zartowiec, wzywając do spółki szlachtę pomorską. Lecz szlachta nie przybyła; zakonnicy wywieźli skarby do miast i broniły się otoczywszy chłopy poddanymi.

Kartuzy jeno ufni w zażyłość sąsiedzką i ubóstwo własne nie opatrzyli się w obronę żadną. Napadnięci oddali, co mieli: 70 grzywien srebra. Nie wierzono im: przeora i gospodarza wzięto na męki, przypalano pochodniami boki i członki wstydliwe... co też czyniono i zakonnikom drugim — acz nadaremno! Przeor nieborak umarł w dni kilka, drudzy ozdrowieli po ciężkiej boleści.

Rajce starzy wyrugowani udali się do króla, donosząc o wszystkiem, prosząc o pomoc. Urząd nowy też wysłał posły, oświadczając, że miasto całe zgodnie uchwaliło zmianę religji, lecz poprzysięga wierność królowi polskiemu.

Do łupiestwa klasztorów pochop dawał między innemi przykład Krzyżaków pruskich, lutrzejących i żeniących się na swych dobrach zakonnych. Mistrz ich *Albrecht Brandenburg*, siostrzeniec króla Zygmunta, odjął zakonowi dobra dzierzawne przez 300 lat i oświadczył się onych panem i xięciem podwłądnym

Polsce, której przysięgę wierności wykonał w Krakowie na rynku (10. kw. 1525).

W Niemczech chłopstwo szalało w imię wiary nowej, popełniając okrucieństwa i zbrodnie straszne i ściągało na siebie zemstę niemniej krwawą, niemniej groźną. W Wircburgu samym ścięto 211 osób...

Król Zygmunt w Polsce chciał powstanie stłumić w zarodku, zjechał osobiście do Torunia (19. lutego 1526), do Malburga (8. marca), a w końcu do Gdańska, kędy przed sobą wysłał Szydlowieckiego z Tęczyńskim i Górką; bo tak poradził Bischof Filip, stary rajca gdański, nienawidzący samozwańców luterskich.

Król w kilka tysięcy ludzi ruszył z Tczewa. Gdańszczanie strzelbą osadzili mury a w bramach rozwiesili mosty zwodzone i niechcieli tego pousuwać mimo nakazu króla. Posłuszeństwa jednak państwowego nieodmawiając, przybyli na wiecnicę, przysięgli na wierność. Wtedy król zażądał wskazania winowajców i przewodników, a Biszof wymienił przed wszystkimi *Szolca* wójta, którego z łacińska zwano *Salicetus*.

Król radziec starych przywrócił do urzędu a Szolca kazał uwięzić; dozwolił mu jednak stanąć przed osobą swoją.

Szolc stanął i wywodem długim chciał wykazać niewinność swoją. Ale Bischof ławnik stary przewodzący śledztwo, zagadał go:

— Czemuś ty Szolcie! połupił kościoły z złota, srebra i klejnotów?... Czemuś ty sam w kościele głównym na kazalnicę wstąpiwszy ważył się najpierw wnosić luterską wiarę?... Czemuś ty przed ratuszem postawił miecz i szubienicę?...

Szolc zmieszany odrzekł, że to czynił z rozkazania pospólstwa. Pospólstwo krzykiem zaprzeczyło twierdząc, że czynił samowolnie. Odprowadzon do więzienia, kędy wraz zamknięto siedmdziesiąt obwinionych, Szolc z dwunastą najwinniejszych ścięt.

Na przywitanie króla przybyli dwaj siostrzeńce jego: Albrecht xiążę pruski i Barnim xiążę pomor-

ski każdy w pocczie trzechset zbrojnych. Do nich udali się Gdańszczanie przerażeni, błagając o wstawienie się przed królem rozgniewanym, że sobie lekceważyli rozkazy jego, więc z tej przyczyny groźnym.

Szydłowiecki przeprowadzał sprawę pruską i Albrechta z mnicha krzyżaka uczynił xięciem swobodnym. Do niego wstawił się Albrecht, nie szczędząc słówek słodkich i pochlebstw, ofiarując przyjaźń i braterstwo — jeżeli ułagodzi Zygmunta rozsierdzonego.

Gdańszczanie swoją drogą, prosili go czołobitnie, składając poczty drogie: pieniądze, sukna, śledzie w beczkach...

Szydłowiecki, dworak stary i wytrawny, nie mógł się oprzeć tym dowodom zaufania i pokory; rozczulał się, słuchając żalów płaczliwych, litował się nad ludźmi tak dobrymi. Bez trudności zdołał ronić łzy wobec króla zagniewanego.

Zygmunt bacząc łzy w oczach ulubieńca starego, łagodniał bezwiednie. Łagodniały też wyroki; karę śmierci zamieniał na wygnanie, wygnanie na więzienie krótkie, więzienie na łaskę. Król ani się domyślał, że łzy kanclerza ulubionego były zapłacone. Domyślali się zaś dworzanie doświadczeni a wiedzieli o tem podwładni kanclerza i zapisywali, wyszydzając łakomstwo obłudne. (*Acta Tomiciana....*)

Albrecht xiążę pruski niepomału też wpłynął na umysł króla wuja, zwierzając się Szydłowieckiemu z zamiarem żenienia się i przyjęcia luteranizmu. Skoro wolno było dostojnikom zakonu Krzyżaków, trudno było za odstępstwo ścinać głowy ludziom świeckim!

Z Szydłowieckim w Gdańsku (26. maja 1526) zawarł braterstwo, spisane urzędowo, w którem pismie obadwaj zwą się pobratymcami gdyby rodzoną bracią. W pismie tem przechwala się kanclerz, że Polszcza nigdy tyle nie słynęła jak przez niego i że on uświetnił jej imię, dotąd okryte pomroką i ciemnością. — (*Liber genescos*, *Acta Tomiciana*). Siostrzeńce królewscy mieli go odtąd na usługi swoje.

Albrecht niebawem doniósł mu, iż się ożenił z królewną duńską, Dorotą. Król nic na to nie mówił. Szydłowiecki odpis listu dał legatowi papieskiemu, kardynałowi Kampedżya, który go przesłał papieżowi (*Theiner II. 441*)

Jerzy na Stołpie książę pomorski otrzymał od króla wuja Lemburg, Bytom i inszą pobrzezną morszczyznę, w dzierżawę koronną wieczystą. Bo król był usposobiony łaskawie rozrywką pławu po morzu, którą dlań urządzono okrętami po za latarnią morską, na morze otwarte, mieniąc go panem morza tego.

Gdańsk miasto otrzymało ustawę nową, którą przywrócono katolickie wyznanie, duchowieństwo, zakony i mienie zabrane: Lutrom zaś kazano wydalić się z miasta, a nie wracać, ani szerzyć luterstwa, pod karą śmierci! (*Volumina legum.*)

Do Brunsberga (16 sierpn.) wysłani: Drzewicki bisk. kujawski, Ferber bisk. warmiński, Ludw. de Mortangen kasztel. Elbląski na śledztwo i sąd. Bo i tam zaszły bezprawia wielkie. Młody luteranin od ołtarza odpychał plebana mszę prawiącego, chcąc odbywać swoje luterskie nabożeństwo, groził nawet broniącemu się, przekłuciem, aż lud musiał stanąć w obronie.... Burmistrze osadzali kaznodzieje luterskie a na uczcie w browarze raczyli się piwem z zabranych kielichów kościelnych. Rabe burmistrz przypijał do gości, sam szyderczo naśladując odprawianie mszy świętej... a szydercze ono prawienie mszy powtórzył nawet jawnie na rynku, przybrany w ornaty kościelne... w czem mu dopomagał drużba w urzędzie Szondrat, któren ostatni z drużyną rozpustnej młodzieży, przyodziani w skóry zwierząt dzikich wyjąc i rycząc wpadali do kościołów, przeszkadzać mszy pasterskiej... Skarby też kościelne pozabierano...

Mieli być gardłem karani. Ale całe miasto padło na ziemię, błagając litości i krzyżem leżąc, wszyscy brali winę na siebie: więc biskupi ulitowali się i przebaczyli. Miastu zaś nadano ustawę podobną gdańskiej, poddając pod władzę biskupa Warmji.

W Elblągu krzyżacy lutrzeli, z 30 ledwo 7 pozostało katolikami, reszta przedziewała się w j u n k r y.

Komendarz ich królewiecki Jerzy Polenc wyświęcony na biskupa, zlutrzył się i w święto Bożego narodzenia z kazalnicy, rozpoczynając od słów: Ewangelicznie opowiem wam wielce radosną rzecz, zachwalił naukę Lutra i ustanowił kaznodzieję luterskiego jeszcze r. 1523. i rozsełał po kraju apostoły swe, które zarazem na skarb księcia Albrechta zabierali skarby kościelne. Dobra też biskupie swe zdał księciu, prosząc tylko o żonę i wyżywienie przystojne. Jakoż otrzymał folwark piękny Balga o 30 włokach i wyswatan z szlachcianką dostojnego rodu Truchzes.

R. 1526. 29 sierpnia pod Mohaczem, padł król węgierski Ludwik w nieopatrznej bitwie, gdzie przywodził arcybiskup kołocki Paweł Tomorej a Madjary nie chcieli czekać przybycia posiłków Frangepana, wiodącego Chorwaty i Zapolji, wiodącego Czechów zaciężnych.

Niedobitki zbierali się w Szegedynie koło Zapolji, w nim widząc nadzieję ostateczną. Madjary bacząc jego nienawiść ku Niemcom i mowę madjarską i sute aldomasze wyprawiane ludowi, mienili go Madjarem rdzennym, niepomnąc, iż ród swój wiódł z Bośnji. Sławianie zaś mieli go za swego, czekali rychło pomści zagubę całej piechoty sławiańskiej, rychło rozpocznie wojnę krzyżową.

Do wojny krzyżowej gromadzili się Sławianie i Wołosza w Siedmiogrodzie. Zapolia był wojewodą Siedmiogrodu a panem na Tręczynie. Krzyżowi ochotnicy zbierali się pod wodzą Iwana Czarnego, który był u niego koniuchem a jeźdcem nieporównanym. Czarnym zwan od pręgi czarnej, znamiona przyrodzonego, które miał przez całe ciało od oka aż do stóp. Sądził on, iż Zapolia niebawem uderzy na Turka lub przynajmniej utrudni mu pochód; gotował się więc iść w pomoc a zdziwił się bacząc, iż on zwraca ku górom, kraj zdając na łup nieprzyjaciół.

Soliman zajął Budę, lecz wrócił zkąd przyszedł do Belihradu, niezaczepiany zgoła. Zapolia w drodze dowiedział się, że dawny jego koniuch na czele kilku tysięcy zbrojnych w obozie pod Lipą stoi w pogotowiu. Zaniepokojon przyzwał go do siebie. Iwan pe-

łen ufności przybył, ugiął kolana przed dawnym swym panem, zapewnił o wierności i posłuszeństwie, prosił o rozkazy.

Zapolia uspokojony obdarzył go sowicie i kazał stać za Cisą nad Maroszą w ziemi Bachmet, spustoszonej przez Turki.

Zastęp Iwana Czarnego obozujący nad Maroszą, gorszył się, że Madjary unikają walki, domagał się pochodu na Turka. A był tam niedaleko Törek (t. j. Turek) Walenty, pan na Sabatce, który się wcale nie taił z nienawiścią ku Sławianom i Iwanowi słudze, któremu przystało zgrzebłem konie pańskie czyścić, ale nie przywodzić chłopom zbójeckim.

Dowiedzieli się o tem i krzyknęli: hajże na Turka! ruszyli na Sabatkę, zdobyli i Töreka, oćwiczyli batami, tak jak on zwykł bić chłopy sławiańskie. Iwan Czarny w zamku jego założył siedzibę, otoczył się starszyzną.

Madjarska szlachta w podgórzu Matry niedaleko Jagru zbierając się, pomknęła do Miszkolca bezpiecznego, wybrała sobie naczelnika Jana Bebeka z Peczowic i wiecowała. Ztamtąd (14 paźdz.) ruszyła do Tokaja na winobranie, kędy też przybył Zapolia. Po winnicach radząc gwarno uchwalono, wybierać króla i na 5 listopada zapowiedziano sejm wyborczy do Biały królewskiej (*Alba regia*).

11 listopada. *Zapolia ogłoszon królem Węgier i niebawem ukoronowan.*

Na koronacyą przybyła też drużyna zbrojna sławiańska Iwana Czarnego i wmieszała się między dworzany. Madjary nienawistnem okiem patrzyli na nich a podczas koronacyi szepnął ktoś: *Tout kiraly,* t. j. sławianin król. Powtórzyli to drudzy i nuż szeptać, że Zapolia ma oblicze sławiańskie i głowę za małą pod koronę św. Szczepana. A gdy wedle obrzędu nie zbyt raźno wjechał na pagórek koronacyjny i nie zbyt zamaszyście wywijał mieczem na cztery strony świata, przeciwnicy jego powtarzali: *Tout kiraly!* i to ten chce być królem naszym?...

Na domiar niechęci, przybywały od Temeszwaru skargi na Iwana Czarnego, że łupi dwory szlachty madjarskiej. Najbardziej skarżył się ochłostany Törek:

że Iwan rozwielmożnił się w Sabatce jego, że trzyma dwór i marszałka, przybiera tytuł *Cara*. Jeżeli król nie skarci sługę swego, to szlachta sama wymierzy sobie sprawiedliwość.

Zapolia uspokajał jako mógł i wynagradzał szkody a wysłuchał też posłów Iwana, zapewniających, iż niewybierają jak tylko obroki i potrzeby wojenne konieczne i jest ich wojska 10.000 podzielonego na pułki i sotnie, czekających rozkazów królewskich.

Zapolja wiedząc, iż szlachta madjarska zaprzedaje się Ferdynandowi i Niemcom, przestrzegł posłów Iwana, by się mieli na baczności.

Törek istotnie zebrał szlachtę, napadł na Sabatkę: wojewodowie Iwana czuwali jednak, wypadli, okrążyli, wycięli, że tylko z kilką drużbów uciekł.

Czaki też Władysław wyprawił się na odebranie zajętego zamku przy Temeswarze. Na przeprawie jednak przez Maroszę porażeni zupełnie: 300 szlachty przyjaciół jego, wojaków doborowych, co kopytami koni swych chcieli deptać całą czerń sławiańską, polegli prawie wszyscy a Czakiego głowę odciętą, na żerdzi przyniesiono do obozu.

Madziary rozżalone biegli z skargą do Zapoliego, który im odrzekł: Nie chcecie słuchać króla, może was Iwan z czernią swą sławiańską nauczy posłuszeństwa.

Słowa te wypowiedział w gniewie, wiedząc, że dostojnicy madziarscy i szlachta z Batorym na czele, w Presburgu królem Węgier głoszą niedawno na królestwo Czech wybranego Ferdynanda Habsburga, brata cesarza Karola V. a Szeklery siedmiogrodzkie i Madziary z nad Cisy że przystają do Niemiec wraz z Kroatami Batyaniego.

Przystał też do Ferdynanda prałat spiski x. Jan Horwat z Łomnicy.

Ferdynand na czele wojsk podstąpił pod Budzyn, zkąd z łzami w oczach wyniósł się Zapolia a Ferdynand wkroczył 27. sierpnia 1527. Bathyaniemu dał 15.000 guldenów i nadał zamek Kezmark; Horwata zaś mianował swym starostą na Spiżu.

Zapolia z Siedmiogrodu, do Polski słał arcybiskupa Koloczy franciszkanina z prośbą o pomoc

i groźbą w razie przeciwnym poddania się Turkom. Polacy niepomogli, więc porażon w Tokaju a potem wedle Koszyc (6. marca 1528), schronił się do Polski na Kamieniec - Odrzykoń a ztamtąd do Tarnowa.

Jarosz Łaski wojewoda sieradzki podjął się poselstwa do Anglji, Francyi i Stambułu.

Po ośmiu miesięcach, Madziary przybyli do Tarnowa, wzywając Zapolię do powrotu — gdyż im się już sprzykrzyły rządy niemieckie, a sułtan Soliman obiecał pomódz za haraczem niewielkim.

Gdy (6. marca) w Synej pod Koszycami, Kacyaner wódz Ferdynanda poraził rozgromione już w Tokaju Zapolego wojska, Madziary rozbiegli się a przy królu wygnańcu pozostał tylko zastęp górali, Sławian i cokolwiek Wołoszy, którym góry były pieleszą a bój łupieski żywiołem.

Ustrój ich był na wzór dawnych Bractw hussyckich: pieśni religijne spiewali w pochodzie wojennym.

Że to zaś był lud prosty i nieoświecony, trudno było mu spamiętać pieśni one, dodające otuchy; więc w nielada powadze bywali ci, co je umieli na pamięć, a czci wielkiej doznawał, kto je umiał czytać i z książki głosić.

Takiego umiejącego czytać zwano *literatem*, a jeszcze w półtorasta lat później wielkich względów doznawały Bractwa literatów Różańca świętego.

Literat taki czyli *diak*, klecha był dowódcą góralów Zapoliego a na imię było mu Szymon.

Szymon Literat wodził zastęp ludowy pieszy i konny. Jak kto mógł, odprowadził Zapoliego w Zabieszczadzie polskie i wrócił na Beskid, wyczekiwać lepszej doli, przygotowywać wyprawę wojenną, do której zwabiał ochotników, spiewając z księgi ruskiej i z ulotnych listów i czytając ustępy z Bibłji ruskiej, w które był zaopatrzon.

Księga ruska nabożna na wstępie miała przedmowę, którą czytywał głośno: —

„Z Bohom poczynajet sia Osmiogłaśnik, tworenie prepodobnaho Otca naszoho Joanna „Damaskyna“ ...

Zakończenie księgi zaś było:" —

„Dokończana byst sia kniha we wełykom gradie w Krakowie pry dierzawie welikaho korolia polskaho Kazimira i dokończana byst mieszczaninom krakowskim Swantopołkom Fioł, iz Niemiec, niemieckaho rodu Frank, i skończasia po Bożem naroženiu: czternatcat siet dewietdiesiat na lieto".

Zawierała ona nabożeństwo cerkiewne z nieszporami i jutrznią z antyfonami i spiewami antifon o zmartwychwstaniu. Tłoczona była kirylicą a ten, co ją tłoczył w Krakowie, Świętopełk Fioł, przed trzema laty umarł na Spiżu w Lewoczy jako obywatel miasta tego, do którego się wyniósł z Krakowa, gdzie też był obywatelem, lecz doznał prześladowania religijnego o jakąś gadaninę heretycką czyli hussycką. Uwięziony, po długiem śledztwie odprzysiągł się wszelkiego niedowiarstwa przed sądem kardynała Fryderyka i uwolnion za poradą teścia swego Mikołaja Lubschycera rzeźnika.

Lubschycer to właściwie Leutschycer, t. j. Lewoczanin. Do Lewoczy więc (*Lewtscha*) wyniósł się Fioł, tam tłoczył księgi sławiańskie i pieśni ulotne, tam umarł r. 1525. Na Spiżu i w Zabieszczadziu między Rusią znane były tłoki jego.

Biblią ruską w Pradze wydał Skoryna, lekarz z Płocka, uczeń akademji krakowskiej: wydał ją mową białoruską i w Pradze czeskiej, bo już Fioła niestało w Krakowie.

Księgi ruskie bywały więc już, a jeszcze więcej bywało czeskich, a wszystkie umiał czytać, z wszystkich umiał spiewać Szymon Literat, wódz króla Jana.

Nazwa „*literat*", zwykła w kościele łacińskim, wskazuje pochodzenie Szymona z Polski a przynajmniej rusina z Beskidu, który się uczył w Krakowie lub przynajmniej w Sączu, a kirylicę czytać umiał z szkółki cerkiewnej w wiosce rodzimej.

Brackie też piosnki polskie od Hussytów przejęte i dochowane, nie mogły mu być obcemi, jako wzór nabożnych pieśni wojennych. Ślad pieśni onych pozostał w pieśniach przetworzonych, zawartych w spiewnikach starych, jakie do niedawna a nawet

dotąd poniewierają się po chatach Podhala i Podbiesczadzia węgierskiego. Oto treść jednej pieśni takiej:

— Powstań chrześciański człecze! bierz się mężnie
[do boju:
Darmo spodziewasz się w świecie niespokojnym pokoju!
Walcz! zwyciężaj, boć korona w niebie, z łaski od-
[łożona.
. . . .
Wspomnij sobie, żeś przysięgał chorągwi króla twego:
Wspomnij, żeś walczyć obiecał, jak sługa Pana swego.
Nikt, co mężnie nie bojuje, jak zwycięzca tryumfuje.
Nieprzystojna rzecz jest czasu wojny,
Gdy z miejsca swego ustępuje żołnierz zbrojny:
Gdy z serca lękliwego broń oddaje, sam w niewolę
[się podaje.

Zacznij tedy bój twój śmiele, w wierze przezwycię-
[żysz.
Diabła świat i żądze w ciele, bojujące zciemiężysz.
Lecz gdy od nich zwalczon będziesz, wiecznej sro-
[moty nie ujdziesz.

Kto zwycięży i otrzyma plac z nieprzyjaciół swoich,
Ten z drzewa żywota jeść ma wpośród wybranych
[pańskich:
Kto zwycięży śmierci wtórej, nie dozna się w męce
[wiecznej.

Kto zwycięży i dokona jak mąż biegu swojego,
Temu z manny pożywać da z pokarmu niebieskiego
Pan! da mu też biały kamień, wpisawszy nowe imię weń.

Kto zwycięży, temu Pan da zwierzchność nad po-
[ganami,
Nad którymi moc otrzyma jak nad niewolnikami:
I dostanie w chorągiew swą, od Pana gwiazdę po-
[ranną.

Kto zwycięży, chodzić będzie szatą białą odziany.
Będzie też imieniem w księdze żywota zapisany:
Chrystus wyzna imię jego, przed obliczem Ojca swego.

Kto zwycięży, nie wynijdzie z domu Boga żywego,
Światłość niebieska mu wznijdzie od oblicza pań-
[skiego:
Imię Ojca niebieskiego świecić będzie wszędy z niego.

Kto zwycięży, siedzieć będzie na stolicy z Chrystusem,
Ma jak słońce lśnić się wszędzie i przebywać z Je-
[zusem,
Ma też z nim wiecznie królować i w poczcie wier-
[nych panować.

Bojujże śmiele statecznie, byś wsze wrogi zwyciężył,
Nie żałuj twych sił, byś wiecznie dóbr tych ucze-
[stnikiem był.
Kto nie walczy dla korony, nigdy nie będzie zba-
[wiony.

Pieśń opiewa zwycięztwo ducha i nagrodę niebieską. Pojmował i poczuwał ją, kto ją utworzył, przeczuwali znaczenie jej Hussyci starzy i Bractwa zakładacze Syonów nowych po szczytach gór czeskich, morawskich i polskich.

Ale tutaj na Beskidzie wielkim u źródlisk Undawy, gdy zabrzmiała pieśń taka z ust Szymona Literata: któż ją zrozumiał, kto pojął znaczenie słów natchnionych?....

Z całej zgrai, z całego tłumu rozumiała ledwo garstka starej Braci polskiej, co się plątała przy Zapolji wraz z młodocianą drużyną polskich ochotników nowozaciężnych, którzy w Zapolji widzieli obronę od Turka, nieprzyjaciela wiary... a nie wiedzieli, iż on się z nim brata.

Reszta zaś Ruś z Beskidu, biedna, głodna i dzika jak sam Beskid; więc i sołtysy wołoskie, dziksze jeszcze nie w porównaniu bardziej, zdziczałe odrostki plemienne Daków przedwiecznych spokrewnione z nieprzyjacioły swemi najzaciętszemi, z Rzymiany. Oni Rzymian przyswoili sobie a całą nienawiść zwrócili ku najezdnikom późniejszym i nie mniej srogim — ku Madjarom.

Tacy słuchacze, cóż oni wysłuchali? Oto tyle: —

— Chrześciański człecze! bierz się do boju!... boś przysięgał chorągwi króla twego... Jana!... Nieprzystaje uciekać, broń składać, w niewolę iść. Zacznij tedy bój śmiele i wierz w zwycięztwo, bo inaczej srom wieczny. Kto zwycięży, jeść będzie dobre rzeczy wraz z drużbami swymi... pożywać będzie mannę słodką, pokarm niebieski... t. j. winograd słodziuchny... a na kamieniu błyszczącym wypisane będzie imię jego, t. j. na medalionie. Będzie panował nad poganami, t. j. panami jak nad niewolnikami... Będzie chodził w szatach białych, t. j. w bieliznie panom zabranej... i zbawion będzie po śmierci... siedzieć będzie przed obliczem Boga z Chrystusem i królować będzie i panować wiecznie. Bojujże śmiele, byś wrogi zwyciężył i dóbr tych osiągnął. Kto nie walczy, nie będzie zbawion! —

Tak tłumy dzikie pojmowały pieśń o duchownym boju i zwycięztwie... i wołały: W pochód! w pochód na Tokaj, pomścić porażkę, spożyć winograd słodki, jak manna niebieska.

Szymon Literat nie miał nic zgoła przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy: boć on niczego niepragnął tak, jak pognębienia Madiar, panów i osadników miast niemieckich. W lecie niemając siły po temu, w szczupłej drużynie przypadał on z Beskidu ku Makowicy, dobrom Seredyego Kaspra i ku niemieckim onegoż sąsiadom Bardiowianom, a niemogąc dostać zdobyczy słusznej, nie mogąc porazić, mścił się przynajmniej na zbożu, podkładając ogień pod łany najbujniej dojrzewające. Obecnie po żniwach cieszył się na winograd, obiecywał oberwać wszystko, otłuc a nawet powycinać szczepy winne.

Górale zawsze cieszą się winobraniem, na które zdążają tłumnie, bo wtedy prócz zapłaty dobrej, wolno im jeść winogradu, ile chcą.

Otóż taki w winobraniu zamiłowany zarobnik poczuł żal, słysząc, iż mają zniszczyć winnicę, zniweczyć zarobek tak przyjemny. Zabrał się po cichu, umknął od wojska tego, zdążył do Koszyc i opowiedział wszystko Seredyemu Kasprowi, staroście podgórza cesarskiego, oraz podsędka.

W wrześniu zaraz na początku, Seredy z Koszyc okólnikiem zawezwał miasta, a szczególnie Bardiowian, żeby mu dostarczyli piechoty jak najwięcej przeciwko tym tłumom Szymona Literata z Atyrry, wodza Zapolyi, gdyż huzarami swoimi nieda mu rady; a godziłoby się zgnębić go za one zboża, palone w lecie i że grozi zniszczyć winnice. Ma on zaś piechotę chłopską i konnicę a nawet szlachta przeniewierce garną się już do niego.

Zbierali się między innemi grzesznicy najwięksi.

Bo tam na Beskidzie nad Homonnem na górze Synaj, kędy Literat obozował, był słynny klasztor ruski Bazylianów, św. Katarzyny wśród pustyni górskiej nieopodal od szczytu Wyhorlet i stawu zwanego Morskiem okiem. Było przy tym klasztorze Bractwo kościelne Matki boskiej miłosierdzia — podobne jak w Bardiowie mieście, acz nie tak możne w doczesną władzę.

Bo bardiowskie Bractwo miało władzę rozrządzenia mieniem całem braci zmarłej bez ostatniego rozporządzenia: mogło wedle zdania swej starszyzny władać mieniem takiem jakoby swojem własnem, niedbając na obyczaj, przywilej i żadną ustawę prawa miejskiego. Prawo takie bractwo samo sobie uchwaliło a stwierdził je Piotr Węgier, wicehrabia papieski r. 1435.

Monastyr zato Bazylianów na górze Synaj, otrzymał od papieża Innocentego VIII. r. 1487 moc rozgrzeszania w przypadku śmierci wyklętych i wykluczonych -- z osnową:... „Rozgrzeszam cię z grzechów wszelkich żałowanych i spowiadanych, a nawet z zapomnianych, zezwalam na zupełne odpuszczenie wszystkich grzechów twoich i zwalniam cię z wszelakich kar tak doczesnych, jako i czyszcowych: W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Amen!“ —

Odpustu grzechów takiego pragnęło wielu, bardzo wielu górałów Bieszczadu, którym rozbój i wojenka były żywiołem najmilszym i góralek, nadrabiających czarami i gusłami groźnemi. Więc się gromadnie garnęli do onego Bractwa, a przyjęci mieli się za wybranych. Z ochotą też szli na wojnę lub rozbój, mając zabezpieczone zbawienie duszne: a lud taki, nie dbający

o mienie i życie bliźniego, lubi się troszczyć o duszę swoją.

Nabożności wielkiej dowodów nie dali Beskidnicy oni, gdy r. 1514 Tomasz biskup strzygoński imieniem papieża Leona X. przeciwko Turkom zawezwał na Węgrach lud wiejski do wojny krzyżowej i chłopstwo porzuciwszy domy i gospodarstwa, prowadzone przez księży i mnichów a niedbając o panów, ruszyli na wojnę. Od Beskidu dążąc ku Cissie, górale ci szli prosto na Bardjów, spiewając pieśni nabożne, gdyby Bractwo jakie pątniczące i byli by wpadli w miasto ubezpieczone pokojem i otwarte.

Wójt jednak bardjowski Winter wyglądnął na przedmieście, poznał, iż to zastęp zbrojny rozbójniczy, skoczył, żeby przestrzedz mieszczan niebacznych. Kuruce (t. j. krzyżownicy wołoscy) spostrzegli biegnącego, puścili się konno i dopadli, gdy niemal zdążał ku bramie. Bacząc, iż nie zdąży, wołał na cały głos: Zawierać bramę! zawierać bramę! — Bromni usłuchali, zwiedli most, zawarli bronę. Kuruce zaś rozwściekleni zarąbali biedaka.

W pochodzie dalszym złączyli się z Kurucami siedmiogrodzkimi, którym przywodził osławiony zbójca Jerzy Dzokel, okrzyknięty królem, *z przydoniami:* Wawrzeńcem księdzem i Michałem mnichem. Zamiast na Turki, uderzyli na madziarskie pany: Biskupa czanadzkiego i 600 szlachty wbili na pal a całe trzy miesiące łupili, palili, gwałcili panie i panny; broczyli w krwi dziatwy madziarskiej...

Zgroza tych dziejów niedawnych, tkwiła w pamięci Bardjowian.

Bardziej jeszcze zgroza ta tkwiła w pamięci madziarskiej szlachty, kipiącej gorączką zemsty na tych chłopach sławiańskich i wołoskich, którymi obecnie wysługiwał się Zapolia, ów król sławiański.

Kaspar Seredy, którego Makowica zamek leżał na samym Podbieszczadziu, najbardziej był wystawion na napad Beskidników, więc też najbardziej rozjątrzony na nich.

Szymon Literat z zastępem swym groźnym posuwał się dalej ku południu, doliną Ondawy torując drogę Zapolji, zaległ obozem w Szczawniku, gdzie

opat tamtejszy Michał Rozen należał do gorących Zapolji zwolenników, równie jako wszyscy onegoż poddani sławiańscy. Ztamtąd rozsełał czaty, łupiąc dwory szlachty sprzyjającej Ferdynandowi i Niemcom. Seredy przybył z huzarami swymi ku obronie okolicy i wzmocniony piechotą Niemców bardjowskich, wyruszył niebaczkiem, urządził zasadzkę piechoty a huzarami naprowadził czatę Szymona i pochwycił sześciu stronników Zapolego.

W triumfie przywiedziono ich do Bardiowa, a Seredy czyniąc zadość zemście swej, zawyrokował: — Wbić ich na pal! — zawezwał mieszczan, aby wykonali wyrok.

Bardiowianie jednak przeprosili, iż niedogodzą woli jego, gdyż kat ich miejski nie umie na pal wbijać!

Gniewny i rozsierdzony Seredy musiał przystać na karę łagodniejszą: na prostą szubienicę. Jakoż pięciu z nich kazał powiesić, ale szóstemu kazał odciąć prawą rękę, oderżnąć nos i uszy! Tak okaleczonego odesłał do Szczawnika, do obozu Zapoliego.

25. września Szymon Literat z wojskiem swem był już w Tokajszczyznie: w Sarosz Patak poraził wojsko Ferdynanda.

Bractwa góralskie używały na winogradzie słodszym od manny, zwycięzce chodzili w białych szatach zdobytych a jeńce sprzedawali Turkom do niewoli.

Turcy zdobyli Budzyń, Soliman sułtan ogłosił Zapolię królem Węgier, zdał mu stolicę i ciągnął pod Wiedeń, który oblęgał aż do jesieni.

Ferdynand wojska z Węgier pościągał na odsiecz stolicy swej, bo Niemce odstępywali go z obawy Turków.

Na Węgrach, mianowicie na Spiżu w obec trwogi tureckiej i przewagi Zapolji, odżyli różnowierce: w zapomnienie poszły ukazy ś. p. króla Ludwika z r. 1525.

W Bardiowie tamtejszy rodak jakiś, ukończywszy nauki w Krakowie, wrócił r. 1525 jako *magister* nauk, ale napojony nauką Lutra, którą jął szerzyć,

mimo poprzedniego królewskiego zakazu. Więc król powtórnie rozkazał surowo onegoż wraz ze zwolennikami jego, śledzić, więzić i jeżeli świeccy, wszelakiemi mękami karać, jeżeli duchowni, odsełać ich biskupowi do Jagru.

Król padł pod Mohaczem... lutry zostali! Biskup jagerski Wardaj i Jan Bebek Peczewicki stanęli w Werpelet na czele rządów w bezkrólewie a popierając Ferdynanda, x. Wardaj został arcybiskupem na Strzygoniu. Bebeków ród też wywyższon: Emeryk Bebek został starostą Lewoczy, gdzie wojskiem przywodził Seredy; Bebek zaś Franciszek otrzymał zamek Krasnohorkę w stolicy tręczyńskiej.

Z Niemiec zalatywały wieści groźne o bezustannych zaburzeniach religijnych mimo krwawego stłumienia wojny chłopskiej.

Nurki mianowicie czyli Nowochrzczeńce, z równością swą i wolnością biblijną, gdyby widma groźne Kuruców węgierskich zjawiały się znowu, zakładając Syony swoje.

W Szwajcaryi (r. 1527) marzycieli takich 300 założyli Nowy Syon na wirchu góry, aby być bliżej nieba, mienie mieli wspólne a nawet kobiety i dziewczęta żyły spólnie wzorem bydląt a chrzcili się powtórnie, zarzucając chrzest dzieci. Wbrew kary śmierci zapowiedzianej prorocy Nurków tych: Blaurok, Manz, Falk i Rejman chrzcili chłopów dorosłych.

Tego już zanadto było nawet tak cierpliwemu rządowi, jak w kantonie Zurich: uwięzieni i wykonano wyrok zapowiedziany. Manz, Falk i Rejman utopieni w rzece Limat, zaś Blaurok jako obcy otrzymał chłostę i wypędzon z kantonu (5. stycznia 1527 r.).

W Rottenburg nad Nekarem, tam żywcem spalono Nurków 9, a utopiono niewiast 10. Prorok Nurków tych Michał Satter (Sellarius), mnich zbiegły, poniósł okropną karę śmierci: wyrżnięto mu język bluźnierczy, szczypano kleszczami rozpalonemi, w końcu rzucono w ogień.

Do Moraw Nurków przywiedli prorocy Jakub Hutter i Gabriel Szarding, najpierw do Nikolsburga,

gdzie osiedli. Była to gromada rolników, ubranych po chłopsku; pracowicie uprawiali rolę, żyjąc w zupełnej równości bez zwierzchnictwa pomiędzy sobą, żyli zupełnie po chłopsku, chociaż byli między nimi lekarze zdolni. Do tej gromady rządnej i pracowitej zewsząd garnęli się zwolennicy: z Szwajcar, Niemiec i Śląska.

Biskup ołomuniecki zgorszony, że chrzcili dorosłych, chciał ich nawrócić, czego się podjął słynny teolog Jan Faber.

Lecz Nurki obstawali przy swojem, żądając, aby im wykazano w Biblji chrzest dzieci: sami zaś wykazywali chrzest dorosłych. Faber uznał ich niepoprawnymi a duchowieństwo zdało ich rządowi do ukarania. Ferdynand król orzekł wyrok wygnania.

Szlachta okoliczna bacząc wzorowe ich gospodarowanie, wstawiła się za nimi: gdyż po wygnaniu ich opustoszeje okolica, boć oni najlepsi rolnicy a za czasem pewno sami przyjdą do upamiętania.

Król Ferdynand, potrzebując bitnej szlachty morawskiej przeciw Turkom i Zapolji, zezwolił na powrót Nurków, którzy się już powydalali.

Szarding z swoimi udał się na Śląsk, gdzie znalazł zwolenników tyle, iż za powrotem gromada jego liczyła o 2.000 głów więcej, niż pierwej. Przystał on z nimi do Braci czeskiej, żeby uzyskać opiekę. Obrzędy swoje prawił w domach zamkniętych.

Nurków liczba wzmogła się więc na Morawie.

Zaprzeczali oni — Bóstwo Chrystusa — Chrzest dzieci — Sakramenta i nabożeństwa kościelne — Władzę też świecką. Dążyli do wolności i zupełnej równości nawet co do miłości. Pracowali zaś w roli i gospodarce w pocie czoła, zarabiając na chleb po chłopsku.

Wyznanie takie, oparte na rozumowem pojęciu słów Biblji, więc też na pracy ręcznej, ściągało zwolenników i rozszerzało się między innemi wpośród ludzi, którym się sprzykrzyły nauki i bezżenność.

Karlstad, przyjaciel Lutra, doktor theologii, archidiakon katolicki, najpierwszy powyrzucał obrazy z kościoła w Wittembergu, najpierwszy też z księży ożenił się, biorąc ślub jawnie w kościele uroczyście.

Ożenił się z szlachcianką, osiadł na roli pod miasteczkiem Remberg, chodził w szaraczku chłopskim, w czapce chłopskiej, butach targowych z ostrogami, przy szabli o pochwie obszarpanej. Końmi nieumiał powozić i śmiano się zeń, gdy orał i żałowali go ci, co go znali pierw jako majętnego i wziętego u ludzi. Drzewo w lesie rąbał, do Wittembergu na przedaż woził, założył szynk wina, gorzałki, piwa z kramikiem obok.

Żywot taki gorszył i do żalu pobudzał wytrawnych ludzi patrzących z bliska, lecz w gorączkę wprawiał dalekich marzycieli.

R. 1523 Leonard Koppen, kupiec, uprowadził z klasztora Nimicenskiego dziewięć mniszek Klarysek, samych szlachcianek: przywiózł je do Wittemberga. Luter pochwalił go za to w książce wydanej a r. 1525 ożenił się z jedną z nich, z najprzystojniejszą Katarzyną z Bora, szlachcianką i byłą ksienią Klarysek.

Niebawem ożenił się też Krzyżaków wielki mistrz Albert Brandeburski.

Nurki z Moraw wygnani, przez krótki czas pobytu swego na Slązku znaleźli zwolenników liczbę wielką, a dowolność wykładu Biblji i Ewangelji wytworzyła mnóstwo drużyn odrębnych, różniących się w zapatrywaniu a potajemnie czynnych każda z osobna.

Więc się nauka ona szerzyła pocichu, dawną cestą hussycką dążąc na Spiż pobliski i przekradając się ścieżkami górskiemi Braci polskiej.

Jędrzej Fiszer, ksiądz luterski w Kezmarku, ożenił się i kaznodziejąc tamże (1529), potem *w Lewoczy*, Nowejwsi i Swidlirzu (Schwedler), szerzył naukę nie Lutra, ale Karlstada i Nowochrzczeńców o równości braterskiej i wolności osobistej.

Dowiedzieli się Madjary i bacząc w tem nasienie przyszłej wojny chłopskiej, pomnąc okropności wojny Kuruców, uwięzili go wraz z żoną na zamku Czyczwar, złożyli nań sąd, uznali marzycielem Nurkiem, podżegaczem chłopstwa przeciw panom: więc zapatrując się na sąd szwajcarski w Zurichu skazali go na utopienie.

Przed wykonaniem jednak wyroku, nadjechał na zamek Kacyaner, wódz Ferdynanda, wyrozumialszy od madziarskich sędziów i z swej strony rozpoczął badanie na nowo. Przekonał się, że Fiszer jest marzycielem wcale nieszkodliwym, że nie podżegał nikogo, ale nauczał o równości osobistej w obec Boga i o braterstwie chrześciańskiem. Rozkazał więc uwolnić podsądnego i dozwolił mu wydalić się z zamku.

Dowiedział się o tem Bebek Franc. starosta zamku Krasnahorka w stolicy Gömerskiej, gdy mu przypadkiem w ręce wpadł i rozgniewany na Kacyanera niemca, że śmiał unieważnić wyrok sądu madziarskingo, a nie mając pod ręką rzeki głębokiej, kazał nieboraka wyprowadzić na szczyt zamku swego i zrzucić w przepaść: co też wykonano.

W Lewoczy pleban katolicki ks. Henkel, dowiedział się o tem, a wiedząc, iż Fiszer tamże kaznodzieił, jął śledzić słuchaczów jego i oskarzył o niedowiarstwo. Uwięziono kilku mieszczan z żonami i niewiast samych. Między uwięzionymi był Hans Strach z przezwiskiem Opiekun (Tutor).

Ks. Henkel zawzięcie nastawał na ukaranie obwinionych, których w obronę brał wyrozumialszy wójt miejski Mild Kinast. Dozwolono im oczyścić się przysięgą, iż ani byli niedowiarkami, ani będą. Więc uwolnieni i odetchli lżej, gdy rychle (9 listop. 1529) umarł ks. Henkel.

Kmita Piotr.

W Francyi Zapolego poseł Jozeficz przyjęt uroczyście i życzliwie. Nawzajem do Węgier słan w poselstwie Rinkon hiszpan, wioząc Zapolemu pieniądze i nieco broni, jako też listy do Batorego i Bornemissy, namawiające do odstąpienia Ferdynanda.

Jechał on przez Polskę, wioząc pieniądze i kilka dział.

Piotr Kmita z Wiśnicza podjął się przystawstwa i wyruszył z nim w drużynie 50 wojaków zbrojnych i dowodnych, polskiej szlachty i wołoskich sołtysów, co uchodząc przed Turkami i zemstą Madziarów za oną wyprawę Kuruców — uciekali w Podbieszczadzie polskie, a obecnie szli w zaciąg Zapolji.

Z porzecza Wisłoki starą cestą jasielską na Grab i Ożennę przebierali się przez Bieszczad, przebyli go szczęśliwie i łożyskiem potoczka górskiego zdążali w porzecze Ondawy ku Humennemu, aby ztamtąd, omijając Bardjów, przez krainę Zapolij życzliwych Tarczajów, zwykłą cestą kupców winnych, zdążać do *Hegy-eli* czyli Podgórza winnego i Tokaju. Minęli już Zborów a pasmo gór Makowicy już im zasłaniało przyjazne mury zamku Tarczajów, hardo piętrzącego się nad miasteczkiem i jakby grożącego niemcom Bardjowianom. Kmita jako był nabożniś, mówił pacierze, dziękując Bogu za przeprawę szczęśliwą i całując wiszący u szyi relikwiarzyk z szczątkami krzyża świętego, pod którego opieką i obroną podróż odbywał szczęśliwie. W nabożnym ustroju ani zważał, że potok i cesta skręcają się i wchodzą w wąwóz i cieśninę. Ufny w pomoc nieba zapomniał o ostrożności wojennej, nie posłał przodem czaty na przegląd, lecz walił prosto przed ciężarami.

A tam w cieśninie zasadzką leżała silna czata mieszczan koszyckich, wzmocniona mieszczany bardjowskimi.

Przypuścili Kmitę blisko, dali ognia, położyli trupem kilku jego ludzi i oskoczyli przeważni w liczbie, chcąc zamknąć i zabrać w plon wszystko.

Kmita jako wojak dzielny i odważny a katolik stateczny, pełen wiary w obronę krzyża świętego, polecił się opiece jego, dobył miecza, krzyknął na swoich i na posła, by ruszali za nim, spiął konia i przebił się przez kilkusetny tłum Niemców zbrojnych, którzy radzi byli, że bez straty i boju zaciętego dostali dział posła, oraz wozów z rzeczami i pieniędzmi Kmity wraz z okazałym koniem jego wierzchowcem.

Koszyczanie w triumfie oprowadzali po mieście działa i konia z rzędem wspaniałym a łupy zabrali.

Kmita zaś był przekonan, iż tylko za pomocą krzyża świętego zdołał się przez kilkusetną zasadzkę zbrojną przebić bez szkody osobistej i posła i wojaków, co wraz z nim szli na przebój. Bolało go to jednak wielce, że się dał ubiedz mieszczuchom nie-

mieckim i postanowił mścić się straszliwie. Jakoż wróciwszy, kędy tylko przydybał mieszczanina z Koszyc, więził i grabił i nazbierał ich już kilku a zupełnie przeciął związki kupieckie Koszyc z Krakowem i Polszczą.

Koszyczanie w żal! udali się do Ferdynanda z prośbą o wstawienie się do Kmity, gdyż tylko z rozkazu rządowego wyszli na oną czatę i zasiedli, wiedząc, że Kmita prowadzi posła francuskiego. Chcieli się pozbyć łupów i poddać karze słusznej, byle im przebaczył, uwięzionych uwolnił i przywrócił swobodę kupczenia z Polską.

Wstawił się Ferdynand a Kmita bacząc upokorzenie mieszczan i poddanie się karze, przebaczył i uwolnił więźniów. Karę złożoną w grzywnach, pieniądzach, szatach i koniach rozdzielił między swoją drużyną bojową, ujmując sobie wojaków dzielnych.

Między tymi był Rzeszowski Piotr zwan Białym po ojcu Janie Białym, co ongi (r. 1463) z Paniewskim przeciw Turkom zwycięzko walczył w Bośnii a później r. 1473 w Stropkowie (właśnie blisko nieszczęsnego miejsca Orlika) słynął jako wódz Braci polskiej. Rzeszowscy byli panami Rzeszowa a o milę, na Sokołowie Tyczynie dziedziczyli Kostkowie: byli więc sąsiadami i znajomymi.

Kostkowie gorąco przylgnęli do Zapolji a Piotr Biały służył Kmicie, brał udział w przystawstwie posła francuskiego i rozjątrzony porażką doznaną, przypuszczał zdradę i wywiedział się, że zdrajcą był Poturniański z Poturnii.

Podszywając się pod ród polski, zyskał zaufanie Polaków a przez nich Zapolji, którego zdradził przechodząc do Ferdynanda: poczem Kezmarczan namówił, że też odstąpili Zapolji, poddając się Ferdynandowi: w końcu zdradził podróż posła francuskiego i Kmitę przyprawił o porażkę i srom. Tego najbardziej nie mógł mu przebaczyć Piotr Biały, zwłaszcza wiedząc, że za te zdrady powtórne Poturniański w nagrodę otrzymał dobra Niedzicę z zamkiem na przeciw Corstyna.

— Ja mu go odbiorę! — zawołał Kostka Mikołaj z Siedlec, młody, zapalony stronnik Zapolji. Odbiorę mu Niedzicę, klnę się na wszystko.

A miał on zebraną drużynę sołtysów wołoskich z Beskidu, między którymi byli dawni drużbowie Kmity, pragnący pomścić porażkę pod Orlikiem doznaną, a starosta na Lubowli, Bylina z Jeżowa (sąsiedniego Bobowa i Siedliskom), gorący zwolennik Zapolego, opowiedział mu, iż od Szczawnic ku małej wodzie można niebaczkiem brzegiem Dunajca przejść przez Pieniny aż pod samą Niedzicę; więc by zamek można ubiedz, zwłaszcza że Poturniański w zarozumiałości madziarskiej, nie bardzo ostrożny, tylko po górach strzeże i na wieży zamkowej.

Niezwierzając się nikomu Kostka zgromadził Wołoszę w Szczawnicy a bacząc wodę rzeki opadłą i kamieńcowe ścieżki odsłonione, a noc ciemną, bo na nowiu, puścił się wzdłuż zakrętów Dunajca.

Noc była ciemna, zwłaszcza w dole między Pieninami i nieraz na nagłym zakręcie byliby powpadali w rzekę zwężoną, a środkiem w miejscach takich wcale głęboką. Ale gwiazdeczka jasna jedna i jedyna przyświecała z góry, nie rozjaśniając wprawdzie skał i ścieżki, ale blask swój odbijając w wodzie i przestrzegając przed tonią zdradliwą. Kostka w gwiazdce owej z pobożnością widział „Oko opatrzności boskiej" i nabierał otuchy. Jakoż za jej przewodem szczęśliwie przebył Pieniny i od Leśnicy i Czerwonego klasztora biorąc się ku górom, niebaczkiem doszedł do zamku a gdy zapukał do bramy i Wołoszyn jeden czysto po madziarsku zagadał, straż omylona, sądząc, że to czata swoja, uchyliła furty.

Kostka wpadł na czele swej drużyny i zdobył zamek Niedzicę, w spiączki imał Poturniańskiego.

Sąd nad nim był krótki: jako zdrajca trzykrotny, ścięt i wbit na pal.

Dziękując Bogu, Kostka z kamienia czerwonego, karfunkułu, dał urobić „Oko Opatrzności" i wprawić go w ołtarz Opatrzności boskiej w kościele w Frydmanie.

Niebawem jął lepiej utwierdzać Niedzicę a osadziwszy załogę dostateczną, zniósł się z Byliną na Lubowli, żeby na Zapolego odebrać Spiż cały.

Kezmark miasto życzliwe Zapolji, dziedzicowi swemu, upomniał listownie, aby się upamiętali i wrócili do posłuszeństwa, jeżeli niechcą, żeby ich wyciął z żonami i dziećmi a dobra ich wyniszczył. Nadbiegło jednak 100 huzarów Seredyego a od Lewoczy, Preszowa i Sobinowa zdążały zaciągi niemieckie Ferdynanda: musiał więc wracać do Niedzicy, gdzie go oblężono. Ale wycieczką poraził i odegnał oblęgających, którzy niewracali, ale szli w głąb Węgier za głównym wodzem Robertem Herbestein.

Korzystając z tego podstąpił znów pod Kezmark, obesłał mieszczan listem jeszcze groźniejszym, popalił przedmieścia i groził burzeniem. Więc się poddali (w listopadzie 1530), ślubując poddaństwo Jaroszowi Łaskiemu, wojewodzie sieradzkiemu, którego Zapolia w nagrodę poselstw odbytych obdarzył Kezmarkiem i Spiskim zamkiem z Rychnawą i Gelnicą.

Rozpoczęła się wojna podjazdowa z strony Lewoczy, gdzie dowodzili Seredy i Bebek Emerych.

Seredy rozpoczął wojnę, zdzierając okolicę i popełniając okrucieństwa na wycieczkach swych z Lewoczy, pochwyconych 6 Kezmarczan ścięli huzary jego, w triumfie przynosząc głowy. Seredy na 13 miast Polsce zastawnych nałożył okup i groził, że na Kezmarku zburzonym każe kapustę zasadzić. Więc Kezmarczanie zaciągli w Polsce 400 kozaków, którzy podpadając zasię pod Lewoczą, palili, łupili, zabijali.

Wdał się w to król polski Zygmunt, zawarto rozejm całoroczny a w Kezmarku stanęła załoga polska.

Kozacy jednak zaciągu Łaskiego pod wodzą Floriana Zebrzydowskiego, wyciekali po staremu, staczano potyczki a kozacy przywiedli raz sto, drugi raz 114 jeńców, którzy w kajdanach używani do robót.

Seredy i Bebek chcąc się pomścić, wyprawę uczynili na wsie Wyborną i Rokusz: ale chłopi sami zgromadzili się, odbili łup i położyli 90 trupa, któ-

rych w jednym dole zagrzebli (r. 1532). Przywodził chłopom i trupy grzebał ks. Jędrzej Kerl, pleban z Wyborny. (Genersich, p. 209).

Rokusz i Wyborna są wsie sławiańskie u samego podnóża Tatr a do walki z huzarami i Niemcami zbiegli się też górale wsi pobliskich, walcząc zacięcie.

Niewymownie to gniewało Seredego i Bebeka, że chłopstwo sławiańskie zwyciężyło.

Kostka pod ten czas ziemię Tręczyn oczyszczał z wojsk niemieckich, zajmował na Zapolego. Za to otrzymał zamek Litawę i miasteczko Zilnicę (Sillein), gdzie właśnie pleban tamtejszy przyjął i szerzył luterstwo.

Kostka jak dobrym był wojakiem, nie mniej był nabożnym, wierzył ongi w Oko Opatrzności boskiej, obecnie z nabożeństwem słuchał wykładu Biblji i Ewangelji. Poruszony wzniosłością pisma świętego, kazał nad starą bramą zamku swego Litawa, wyrzeźbić napis: — „Słowo Hospodinowo zostawa na wieki — 1530“.

Serwet Michał (ur. 1509 w Arragonji), wcześnie się przejął wątpieniem w dogmat Trójcy świętej, zbiegł przed inkwizycyą hiszpańską do Bazel, gdzie wykładał naukę swą i wydał ją (r. 1531 w Hagenau) w księdze łacińskiej: *De Trinitatis erroribus....* którą zakazał cesarz jako przeciwną bóstwu Jezusa Chrystusa. Bucer kaznodzieja w Strasburgu na kazaniu głosił: że Serwetowi kat żywcem powinien wnętrzności wydrzeć za te jego bluźnierstwa. — R. 1535 Serwet w Lugdunie wydał zasię: Ptolomea geografią, w której mówił, że Palestyna jest krajem nieurodzajnym i dzikim—nie takim, jak go opisuje Biblia żydowska. — Oburzył tem znowu wszystkich wyznawców starego zakonu, więc i opierających się na Biblii odszczepieńców, między nimi i Kalwina, który go znienawidził.

Serweta nauka była wznowieniem nauki Sabeliusza (z r. 260), który wprost zaprzeczał bóstwu Chrystusa, wyznając i ucząc ściśle wedle Biblji: że jest Bóg jeden tylko, a obok Boga niema Boga innego.

Wyznanie to biblijne przyjął Mahomet, przyjęli Turcy, w tej mierze stając obok Żydów...

Wyznanie to przyjęli Serweta zwolennicy...

W Niemczech wystąpił z tą nauką Jan Kampanus (Joan. Campanus), uczeń Lutra w Wittembergu, przeciw któremu sam mistrz jego pisał. (Laur. Surius 172).

Nowochrzczeńce szwajcarscy już 1527 wskrzesili dawną naukę żywota rajskiego, łącząc ją z dziwnem pragnieniem śmierci — jak ongi Donatyści w czasach św. Augustyna.

W Szwabji przewódca ich jeden, zbiegły mnich zakonu Premonstratenzów, wprost odmawiał Chrystusowi boskości (tamże, 126).

Melanchton i Luter zniewoleni byli powstawać na nich. Rządy potępiały i tępiły ich. Nadaremno! bo szli na śmierć jak na wesele, owszem, sami szukali śmierci i raju, o którym wyczytali na wstępie świętych ksiąg żydowskich.

Niedobitki a raczej zwolennicy nowi, zgromadzili się w r. 1533 w westfalskim biskupim grodzie Münster, który owładli, zakładając tam swój Syon nowy, wybrali sobie króla, zaprowadzili społeczność majątkową i wielożeństwo — jak ongi w Palestynie, i w około rozsełali apostoły swe opowiadać, że przyszło królestwo boże. Biskup Ferdynand III. obległ miasto i zdobył a zwolennicy Syonu nowego wygubieni w mękach okropnych.

Nowochrzceńce zjawili się też w Hollandyi z apostołem swym: omal że nie owładnęli Amsterdamu. Lecz przemożeni i wytępieni bez litości. W Fryzyi zawładli klasztorem wielce obronnym: lecz i tam zdobyci i wytraceni wraz z dziewicami, co przystały do nich i uporczywie obstawały przy swej wierze nowej. — W Niemczech w kilku miejscach pozostali, pełniąc swój obrządek ponurzania i przecząc bóstwu Chrystusa. *(L. Surius. 208.)*

W Italji r. 1533. Bracia italiańscy w Bononji się zjawili.

Jezuici.

W Wenecyi r. 1536. zjawił się Lojola Ignacy samosiódmy, pątnicząc do Rzymu i Jerozolimy. Byli

oni biedni i zarabiali na życie w szpitalach weneckich, obsługując chorych na choroby najobrzydliwsze, opłukując rany ropiejące i smrodliwe. Między pławnikami morskimi chorób takich namnożyło się strasznie; bo je nabywali na roskosznych wyspach oceanu spokojnego i wraz z krostami ospy szerzyli zarazę po świecie. Wenecyi szpitale były też zawsze pełne i przykrzyło się już z tem szpitalnej służbie. Tem bardziej więc dziwiono się poświęceniu ubogiej drużyny hiszpańskich pątników. Wyruszyli oni do Rzymu, gdzie otrzymali błogosławieństwo pątnicze, ale zarazem dowiedzieli się o wojnie papieża i Wenetów z Turkiem. Trudnoć było pątniczyć morzem. Wrócili do Wenecyi a obsługując po staremu wrzody zaropiałe chorych, rozmawiali z nimi i wywiadywali się o zdrowych. Spostrzegli, że niedowiarstwo krzewi się między nimi, że są ludzie uczeni, którzy sieją naukę, przeczącą bóstwu Chrystusa... naukę zbliżającą się do żydowskiej i tureckiej.

Na spowiedzi byliby się więcej dowiedzieli od chorych: ale nie byli księżami, nie mieli prawa spowiedzi, a nie mogli się wykazać środkami do życia, aby dostąpić kapłaństwa. Więc Lojola samosiódmy postanowił żywot zakonny. — Udali się do arcybiskupa rozońskiego Veralli i padłszy mu do nóg, prosili, aby im pozwolił ślubować ubóstwo dobrowolne jako podstawę pracy duchownej, której sposób opowiedzieli. Papież Paweł III. obwieszczony dokładnie, przyjął ślub ubóstwa i dał zezwolenie spowiedzi Lojoli samosiódmemu.

Rozpoczęli tedy kazaniami przygotowywać ludzi do spowiedzi, rozpoczęli wskazywać niedowiarstwo, szerzące się i zwracać baczność władzy. Niedowiarkowie umykali, kędy mogli.

Tałmud żydowski — bliskim był zaguby: bo wykryto w nim ustępy, tchnące zawiścią straszną ku wszystkim nieżydom, mianowicie zaś Chrześcianom. Pomiędzy Żydami samymi byli uczeni, potępiający tałmud i wyznawców onegoż; a potępiały go nawet rody całe i pokolenia jak: Saducej, Boetusowie — i Karaimy, przybysze do Polski z Krymu.

Bywali i tacy, co zgorszeni nauką nienawiści, chrzcili się, aby zasię nienawidzić tałmudystów. Takim np. był Pfeferkorn, który r. 1506 wychrzcił się, ażeby nawracać tałmudystów i palić tałmudów ostatki, ocalone w Francyi z czasów Ludwika IX., (który ich w Paryżu naraz kazał spalić pełne 24 wozy).

Weneckie żydy bogate zapobiegają zniszczeniu. R. 1520 Bomberg niejaki rozpoczął tam wydanie tałmudu całego w 12 tomach wielkich, które trwało lat kilka i posłużyło za wzór wydaniom innym. Żydzi rozkupywali te księgi chciwie a tałmudyści polscy rozbijali się za nimi jako za świętością.

Szczególnie Raszego — rabina Francuzkiego z Troyes (zmarłego około 1115) objaśnienia Mojżeszowych ksiąg pięciu (wydane najpierw r. 1475 w Reggio w Kalabryi) zwróciły baczność całego świata. Chrześcianie umieszczali je obok tekstu biblji: żydzi zaś uznali wprost za księgę świętą.

Po dziś dzień w Polsce dzieci żydowskie uczą się wedle objaśnień czyli tałmudu Raszego, którego żywot jest prawidłem, ideałem każdego polskiego chassyda, t. j. pobożnisia.

W Krakowie podostatkiem było tałmudów: a wszyscy żydzi byli zwolennikami Raszego.

Z radością baczyli oni zajęcie się duchowieństwa tałmudem ich świętym i radzi popisywali się uczonością swoją uszczęśliwieni mogąc wykazać, że Chrześciaństwo tak dobrze jak i Mohamedanizm, za podstawę ma księgi narodu żydowskiego... księgi żydów... księgi ich!

Radość oną zamącało tylko czasami odstępstwo.

Leonard Dawid, żyd krakowski uczony, wychrzcił się i za staraniem Tomickiego biskupa został nauczycielem mowy hebrajskiej w Akademji krakowskiej. Wydał gramatykę hebrajską Noweniana (r. 1530.) a ułożył własną, przypisując ją biskupowi, który się niedał tem omamić: bo bacząc, że wychrzta niepilnuje nauki w szkole, oddalił go z akademji a wziął innego pilniejszego.

Światły ten biskup wspierał nauki a hebraikę, grekę i łacinę miał w opiece szczególnej.

Żydkowie uczeni swobodnie też rozprawiali z uczonymi akademikami, którym się ani śniło, że prócz nich kto inny i inaczej nie li gramatycznie i stylistycznie, zajmuje się naukami zawartemi w księgach świętych żydowskich.

Żydkowie tymczasem, po cichu rozprawiali z niedoukami... przy miodzie, przy winie... Wykładali im Mojżesza księgi i Dziesięcioro przykazań, mianowicie: że niema Bogów drugich obok Boga jednego, Boga, co Żydów wywiódł z niewoli egipskiej, Boga żydowskiego... A zatem, że wiara żydowska jest wiarą prawowierną!...

Ignacy Lojola umarł r. 1556 doczekawszy się, że drużyna jego rozszerzyła się po Hiszpanii, Portugalii, Włoszech i cesarstwie niemieckiem. Wszędzie zakładali szkoły, ucząc mów świętych, t. j. łaciny, greki, hebraiki obok teologii i sposobów spierania się z różnowiercyma. Papieże obdarzali ich wyłącznościami korzystnemi a r. 1561 Pius IV. nadał im moc obdarzania stopniami naukowemi uczniów swych niezależnie od wszechuczni — ba! nawet takich uczniów, którym odmówiono stopnia w wszechuczniach. Ślub ubóstwa postanowiony przez Lojolę zawadzał im; więc Laynez, następca onegoż r. 1563 na soborze w Trydencie uzyskał zwolnienie od ubóstwa zakonnego, wnosząc: że ku większej zasłudze Bogu Jezuici będą posiadać dobra ziemskie, lecz nie będą z nich korzystać!

W Wilnie biskup Protasewicz, niemogąc sprostać różnowiercom, przygotował Jezuitom pomieszczenie i wyposażył w dobra ziemskie, z których mogli utrzymać 40 uczniów. Namówił go na to wójt wileński Augustyn Mielezy. R. 1570 prowincyał Maggio przybywszy na czele 20 Jezuitów Polaków już wyuczonych w Brunsbergu i Pułtusku, przełożeństwo zdał ks. Warszewickiemu Stanisławowi i założył szkołę wyższą — łacińską.

Kalwini litewscy zaniepokoili się, lecz ufni w naukowość swą, postanowili wyzwać ich na spory. Wolan i Trzecieski, obaj tłumacze Biblii polskiej zwanej „radziwiłłowską“ — wyzwali. Jezuici zapytali znienacka:

— Czy uznają powagę Ojców kościoła? — a Kalwini nieostrożni przyznali. Więc Jezuici przyjęli wezwanie i sami wezwanie ogłosili przybiciem na drzwiach kościelnych. Kalwini nie stanęli pomiarkowawszy się, że nie sprostają dowodom, czerpanym z Ojców kościoła — a nie z rozumu.

Jezuici korzystając z tego, wyprawili widowisko sporne między sobą. Jeden z nich niby różnowierca rzekomy, zasiadał w kościele św. Jana w pośrodku, głosząc naukę Lutra, Kalwina lub arjańską i napastując kościół rzymski. Drudzy zaś zbijali go zwycięzko dowodami przeważnie z pisma świętego i Ojców kościoła. Trwało to przez trzy dni. Wywierało wpływ niemały na słuchaczy; więc powtarzali igrzysko częściej — nawet przed kościołem na ulicy, gdy im kościoła wzbronił ks. kanonik Ruiz hiszpan, proboszcz wileński, nielubiący Jezuitów. Umarł on niebawem; król nadał im kościół, więc wzmożeni w dostatek, jęli bezpłatnie przyjmować uczniów więcej. X. Warszewicki kędy mógł, starał się nawracać ludzi zamożnych. R. 1573 przybył mu w pomoc x. Skarga, z kanonika lwowskiego a plebana rohatyńskiego w Rzymie *wstępień* do Jezuitów (r. 1568 — 1571); a potęga wymowy jego wstrząsła umysły stolicy litewskiej. Zaprowadził on wystawność nabożeństw okazałą, jakiej się napatrzył w Rzymie; zaprowadził też Bractwa pobożne i miłosierne z godłami, oznakami i obrzędami odpowiednemi. Na wspomożenie Bractw miłosierdzia samowtór z x. Warszewickim wybierał jałmużnę, obchodząc domy dostojników i ludzi zamożnych; z różnowiercyma wszczynając pogadankę przekonywującą, zapraszając na kazania, obchody uroczyste.

Tak powoli, powoli! nawrócili, najprzód: Hoziusza Ulricha, brata kardynała; więc też czterech Radziwiłłów, synów Mikołaja czarnego i Chodkiewicza Jana Hieronyma, marszałka litewskiego, któren nawet syna swego, późniejszego hetmana, oddał im do szkół.

1571 Jezuici wprowadzeni do Jarosławia przez Zofię Odrowążownę, wojewodzinę sędomierską; 1572 do Poznania przez biskupa Konarskiego. Tamże na żądanie Chodkiewicza rozprawiał się z nimi Niemo-

jewski (Jakub? kalwin). Ostrożniejszy od Wolana, nieprzyjął powagi ojców kościoła: więc go nieprzegadali.

1574. W bezkrólewie po śmierci Zygm. Aug. szlachta różnowiercza przemogła: uchwalono wolność sumienia i wyznania i podano ją Henrykowi w Paryżu przy powołaniu na tron. Biskupi jednak podczas koronacyi podłożyli inną osnowę przysięgi. Ale czuwał Firlej marszałek wielki koronny, pochwycił koronę, chcąc wynieść z kościoła, mówiąc: „Jeżeli niepoprzysiężesz, nie będziesz królował!“

Uśmierzając rozruch straszny przysiągł król: „Zachowam pokój z różnowiercy“. Biskup zaś kujawski dorzucił: „Nieubliżając prawom kościoła“. — (*Neugebauer*).

Duchowieństwo nieprzepomniało tego lutrom, po swojemu z kazalnic wywołując i podżegając nienawiść. Więc po ucieczce Henryka, gdy podstarości krakowski Palczowski Stan. luter załogę zamkową trzymał w kupie, zawierając się z obawy napadu wojsk cesarskich Maksymiliana: pospólstwo z uczniami na czele uderzyli na zbór luterski zwany Brogiem, włamali się i burząc łupili dostatki szlacheckie, tamże przechowane.

Jezuita ks. Warszewicki zaś z Wilna pojechał do Szwecyi, nawracać króla męża Jagiellonki; jakoż królewicz Zygmunt powierzon wychowaniu Jezuitów.

1575. Skarga przypuszczon do złożenia czwartych, t. j. ostatnich ślubów zakonnych. Kilka lat potem bawił w Inflanciech i w Rusi, każąc albo przed królem Stefanem albo przed księdzem kardynałem Radziwiłłem...

Wymowa i uczoność Skargi w umyśle Stefana Batorego rozbudziły cześć dla zakonu Jezuitów. Gdy więc r. 1577. prosili go o nadanie im Akademii w Wilnie, król w obozie pod Gdańskiem oświadczył im wręcz, że mu są potrzebni na Litwie i chętnie uczyni zadosyć prośbie ich.

1578 Wileńskie gimnazyum podwyższone na Akademią — co 1579 stwierdził papież Grzegorz X.

Po Warszewickim przełożeństwo zboru Jezuitów wileńskich objął ks. Wujek, acz nie na długo. Stefan Batory powołał go do Siedmiogrodu, zdając prze-

łożeństwo zboru jezuickiego świeżo tamże założonego.

W Wilnie zaś przełożeństwo objął ks. Skarga.

W Krakowie też właśnie biskup Myszkowski oddał im kościół św. Macieja i nowicyat nowo wystawiony.

R. 1580. Do Płocka nad Dźwiną sprowadził ich król.

R. 1581 umarł w Wilnie zastępca biskupa ks. Albinus Jerzy, zostawiając po sobie znakomity zbiór ksiąg i rękopismów, między któremi było wiele rzeczy różnowierczych.

Radziwiłł Jerzy (wówczas 18-letni!) ksiądz otrzymał z Rzymu miano *przydonia* biskupiego, więc i zarząd biskupstwem.

Ojcowie Jezuici byli doradcami biskupa dorostka, a ks. Skarga przełożony ich, właśnie chor leżał, za Wilią na Rybakach!

Ojcowie Jezuici bacząc, że spowszedniały już widowiska one sporów rzekomych z różnowiercyma, postanowili zabawić Litwinów obrazem, przypominającym żywopalenie! — Zwrócili uwagę księdza Radziwiłła na księgozbiór on, zarażony niedowiarstwem i niegodny jeno ognia. Młodzik nieuczony zagorzał nienawiścią pobożną ku książkom oskarzonym: skazał je na spalenie uroczyste.

Wzniesiono stos drew potężny na rynku wileńskim nieopodal od kamienicy, z której na chodniku piątrowym stojąc, przyglądał się ksiądz Radziwiłł otoczon dostojnikami kościoła katolickiego. Różnowierce ciekawością zdjęci stanęli nieopodal...

Wprzód nim wzniecono ogień, wylazł na stos Jezuita ks. Kapecki Ferdynand i miał kazanie do ludu wiernego. Było ono „śliczne“ wedle słów dziejopisarza a różnowiercy blisko stojący, omal go nieukamienowali. Pochodnią błogosławił jakiś dominikanin, świadom zaklinania złych duchów: poczem pochodnię zapaloną w ogniu święconym, podał katowi a kat podpalił stos. Drzewo i papiery buchnęły płomieniem potężnym; ganek, z którego się *Illustrissimus* z wyższym *klerem* patrzyli, zapalił się: Uciekli! Omal Wilno niezgorzało. (*Narbutt Teod. str. 250.)*

Stefan Batory oburzon dzikością postępku Jezuitów, zgromił ich mocno o to, gdy doń przybyli do obozu.

Niemogąc owładnąć nauk, owładali umysły uczuciowe.

R. 1584. do Krakowa przybył ks. Skarga.

Stolarka biedna Magdalena Walentowa, mając chorego męża i troje dzieci drobnych, strapiona niedostatkiem doskwiernym, w przedsionku kościoła jezuickiego św. Barbary zawodziła płaczem głośnym i narzekaniem. Skarga zniewolony niedolą jej wstąpił na kazalnicę i mówił o nędzy i miłosierdziu. Mówił zaś całą potęgą sobie właściwą, a gdy kilką kazaniami do dna poruszył serca słuchaczów, zawezwał ich do czynnego udziału wspierania ubogich.

7-go października Bractwo miłosierdzia zawiązało 7 osób, przyjmując obowiązek stałych modlitw, udział w nabożeństwach i schadzkach pobożnych i jałmużnie tygodniowej. Jezuici słynęli już, że nieślubując ubóstwa zakonnego umieją przysparzać majątku; zbieranie więc składek na ubogich poczytano im za łakomstwo, przyodziane płaszczykiem miłosierdzia. Że zaś mężczyźni do Bractwa wpisani mieli coniedzielne schadze obowiązkowe i narady; podejżrywano, że krom miłosierdzia będą oni tam radzić także i o nienawiści ku różnowiercom i nieprzyjaciołom swym. Więc szyderstwa! więc oburzenie!

Ale Bracia miłosierdzia mieli też cotygodniowy obowiązek nawiedzania szpitalu i więzienia, mianowicie dłużniczego, niosąc jałmużnę, jaką mogli i pociechę z otuchą nadziei: ubóstwo miejskie, bacząc to niebawem, zagłuszyło śmiechy szydercze i pomówki; stanęło po stronie księdza Skargi, któren też nie zaniedbał kazalnicy. Serca niewieście poruszył najprzód.

W końcu ks. Taranowski kanonik krak. przedłożył Bractwu: „...O panienkach, które posagu i pożywienia nie mają, pokusom łacne miejsce dać mogą.... Znajdziesz rodziców takich, co sami córki swe do złego popychają i zaprzedają; drugich niewinne oczy i uszy wszystkiego się złego napatrzą i nasłuchają, przykłady złe, nieuczciwe i najlepszych zgorszą... Mieszkania między ludźmi tak się pomieszały,

że trudno ujdzie, coby się niepogorszył... Duch nieczysty tak świat zaraził, że można mówić z pismem świętem: Wszelkie ciało popsowało drogi swoje!“

Więc założono Skrzynkę św. Mikołaja, patrona cnót panieńskich, a to: na opatrzenie i wspomożenie takich dziewczek, które ubóstwem przyciśnione, nie mogą inaczej swej cnoty ochronić...“ — Zebrzydowski Mikołaj, star. krak. najprzód uposażył oną skrzynkę cnoty panieńskiej.

R. 1588. Skarga mógł napisać do Bractwa onegoż: „W tych czterech leciech rozprószyliście na ubogie około 5.000 złotych.... błogosławią wam boki i grzbiety ubogich, iż wełną waszą odziewa się ciało Chrystusa Boga... i domy, o których nędzy nikt nie wie ani się pyta, wołają z radością... Dziękuję p. Bogu, iżeście niedbali na przodku zwłaszcza, na języki, śmiechy i urągania ludzi nierostropnych, w posądzaniu skorych...“

Różnowierce w Polsce.

R. P. 1506 rozpoczęta budowa kościoła św. Piotra w Rzymie a odpust grzechów obiecan wiernym, dostarczającym pieniędzy na ono uświetnienie stolicy chrześciaństwa.

R. 1517. ksiądz Luter Marcin, dostojnik zakonu Augustynian i nauczyciel św. teologii w Wittembergu, oburzon zapamiętałością księdza Tetzla dominikana, sprzedającego odpusty, na drzwiach kościoła przybija dowody przeciw odpustom — zgromion od papieża, odwołuje się do soboru — a 1520. wyklęt, pali bullę papieską i zasię wyklina papieża, nieuznając nieomylności jego: jeno pismo święte.

1519. Za przykładem jego ks. Zwingli, pleban w Einsiedel w Szwajcaryi, gromi odpusty, nieomylność i wspaniałość obrzędu: wprowadza wykład biblii jako podstawę nabożeństwa.

W Gdańsku ks. Knade Jakub gromi wspaniałość obrzędów kościelnych — i żeni się.

1520. r. w Poznaniu lutrzeje ks. Samuel, dominikan....

Król Zygmunt I. pod groźbą wygnania i zaboru dóbr, zakazuje wprowadzania ksiąg Lutra. Biskupi

bezradni nie wiedzą, co począć. W Wenecyi Bomberg wydaje Tałmud żydowski w 20 tomach.

1522. W Gdańsku ksiądz świecki Hegge-Winkelploch, z kazalnicy piorunuje na władze papieża, zepsucie duchowieństwa i kuglarstwo obrzędów kościelnych. Miasto oddaje mu kościół wielki. W Krakowie księgi luterskie sprzedają, jawnie wyznawają naukę, w nich zawartą.

1523. Zakonnice św. Klary wraz z przełożoną, z klasztora nimiceńskiego uciekają do Wittemberga bliskiego pod opiekę Lutra.

Tegoż roku lutrzeje biskup Pomezański Erhard Poijs, z Trzebnicy wywozi ksienią zakonnic księżniczkę Opawską, z którą się żeni.

Za przykładem jego księża i mnisi tłumnie do małżeństw lecieli i wesela po plebaniach i klasztorach sprawowali, na gotowanie potraw zażywając: obrazów... krzyżów... posągów... ołtarzów... Na godach tych i w kazaniach ustawicznie wychwalali małżeństwa, potępiając zakonników bezżennych — i żałując, że się nie pożenili dawniej...

W Królewcu lutrzeje biskup Poleuz Jerzy — i rozseła kaznodzieje między lud wiejski i miejski. Dawniejszy komendarz krzyżaków znosi się z mistrzem zakonu, księciem Wojciechem (*Albertem)*, zdaje mu dobra biskupie a wziąwszy w zamian wieś Bałgę, żeni się z Konradyną de Truchsess...

Zygmunt I. z sejmem w Krakowie na wyznawce nauki Lutra i kupce ksiąg jego orzekają karę żywopalenia i grabieży. Nakazuje król przetrząsanie domów i skrzyń a *cenzurę* ksiąg porucza rektorowi wszechuczni.

Arcybiskup gnieznieński zwołuje sobor do Łęczycy — lecz w obec żeniaczki i luterstwa biskupów nie orzekają kary śmierci w płomieniach — jeno utratę dóbr.

1524. Wielki mistrz krzyżaków margrabia Albert Brandeburski — urodzon z Jagiellonki, siostrzeniec Zygmunta króla—lutrzeje; jako nowy książę Prus wschodnich, hołduje królowi polskiemu i żeni się z księżniczką Marją Brunświcką.

Biskup chełmiński Konopata Jan, zachwian w wierze... Więc też lutrzeją w Toruniu mnisi i zdają mienie klasztorne miastu zlutrzałemu.

1525. Luter zruciwszy niedawno suknię zakonu św. Augustyna, żeni się z oną ksienią klarysek Katarzyną Borawską.

W Elblągu ostatni z krzyżaków Schwalmbach przybywa z kaznodzieją luterskim do kościoła, odpycha księdza od ołtarza i po lutersku kończy nabożeństwo...

R. 1530. w Augsburgu przyjęto wyznanie wiary Lutra wedle katechizmu jego.

Luter, wywodząc konieczność zmiany ustroju kościoła, nie chciał nauki innej jak biblijnej. Boga pojmował biblijnie. Wiary chrześciańskiej istotę zakładał na zjednoczeniu w Chrystusie bóstwa i człowieczeństwa — w które wierzyć każe. Odrzuca cześć świętych i obrazów, odrzuca wiarę w czyściec i odpusty grzechów, najusilniej gromi zakonne śluby czystości: — ale wierzy, że w hostyi jest prawdziwe ciało i krew Jezusa Chrystusa.

Sprzeczał się o to z Zwinglem r. 1529 w Marburgu.

Zwingli chciał wiarę pojąć rozumem, przekonaniem, pojąć chciał Chrystusa zjednoczenie bosko-ludzkie a przeczył poniekąd obecności ciała i krwi Chrystusa w opłatku hostyi. Dążył zaś do zmiany ustroju, nietylko kościelnego. Za przykładem jego poszedł Kalwin.

1531. Serwet Michał 22letni wydał: „O błędach wiary w Trójce“ *(de Trinitatio erroribus)*, bo rozumując ściśle, doszedł do pojęcia Boga jednego. Zaprzeczył bóstwu Chrystusa i pojmując go jako człowieka, proroka i wysłannika bożego, snuł dalej wątek nauki ongi *Ariusza. W Bononii zawiązało się „Bractwo italijskie“*, rozszerzając naukę rozumową religijno-społeczną. Serwet przebywał *w Wenecyi*, zkąd umknął przed zarodkiem Jezuitów.

Lojola Ignacy hiszpan, urodzon 1491 dworował Karolowi V., hulając. 1521 ranny pod Pampeluną, okulawiał, stracił nadzieje miłości kobiety ubóstwianej, pustelniczył a r. 1523 pątniczył do Palestyny, lecz nieprzyjęty od przełożonego zakonu Franci-

szkanów jerozolimskich, rychło wrócił do Hiszpanii. Bacząc nieuctwo swe, jął chodzić do szkół, — nauki kończył w Paryżu. W kaplicy podziemnej na Montmartre Lojola z siedmią drużbów dobranych poprzysięgli bractwo duchowne na podstawie ślubu czystości i ubóstwa, r. 1534. 15. sierpnia. — R. 1537 drużyna cała w liczbie 11. zjechała się *w Wenecyi*, gdzie wytropiła zwolenników wiary rozumowej i zdała ich sprawiedliwości świeckiej. Poczem wyświęceni na kapłanów, ruszyli wraz do Rzymu. — R. 1540 zakon Jezuitów stwierdził Paweł III.

W Polsce odszczepieństwu droga otwarta. R. 1537 arcybiskupem gnieznieńskim Latalski Jan, z przydomkiem „Kufel“ — biskupem krakowskim osławiony Gamrat. — Król Zygmunt August sam podejzran w wierze a szlachta z zagranicy przywozi nauki nowe.

R. 1539 Żydzi nawracają chrześcian...

Duchowieństwo niedozwalało tłoczby ksiąg polskich, sądząc, że tem zapobiegnie rozpościeraniu się niedowiarstwa w narodzie. Przez posła papieskiego podniecony biskup krak. Gamrat r. 1541 ustanawia „śledztwo święte“ a 1542 w Krakowie na małym rynku, żywcem pali 80-letnią żonę rajcy Wajgla Melchiora, że śmiała wyznawać Boga jedynego. Chwalą go o to zakonnicy!

Tegoż roku 1542 ksiądz Łaski Jan, kanonik i proboszcz gnieznieński a mianowany biskup wesprzymski, wyjeżdża z kraju i żeni się — mimo to pobierając dochody probostwa swego, którego mu biskupi odebrać nie śmieli... aż się sam zrzekł. Staje się gorliwym obrońcą nauki Zwinglego i Kalwina.

Z Rzymu zaś zbiega *ks. Ochyn Bernat*, generał zakonu kamedułów, spowiednik papieża — pierwszy i główny zwolennik wielożeństwa. W Tygurze zaprzyjaźnia się z Kalwinem, pisze księgi w obronie nauki jego.

Na Spiżu lutrzeją plebanie i lud.

1543. Prałat spiski, ks. Horwat Jan lutrzeje — sprzedaje dobra kapituły spiskiej, księżą zlutrzałą osadza po plebaniach a w końcu żeni się.

1544 Samuel, dominikan zlutrzały wydaje polskie księgi — między ludem rozsiewając niedowiarstwo.

W Koninie lutrzeje pleban, ksiądz Lutomirski Stanisław.

1545. Kraków zlutrzały wielce. — Różnowierce schadzają się tajemnie na rozmowy, którym przewodniczy ksiądz *Lismanin Franciszek*, prowincyał zakonu Franciszkanów, spowiednik królowej Bony. Ojcowie Franciszkanie naukę potępioną roznoszą po świecie!

1546 Schadzki one odwiedzają kanonicy a późniejsi biskupi — lecz odwiedzają też i *jednobożanie i nowochrzczeńcy*... Biskup krak. Samuel Maciejowski podejrzywa Lismanina, przegląda księgozbior jego, lecz nie może podejść ostrożnego księdza prowincyała.

W Niedźwiedziu pleban ks. Szczęsny Krzyżak (*Cruciger*) kalwinieje i za sobą pociąga Stadnickiego.

1547. Katechizm polsko-luterski wydaje Sieklucki, kaznodzieja księcia pruskiego.

W Chrzęcicach, wsi Filipowskiego kalwinieje pleban Leśniak (Silvius).

Biskupi zebrani na synodzie, ani wyklinają, ani żywcem palą księżą odszczepną od katolicyzmu: zakazują jeno — miewać kazania bez pozwolenia swego!

Pruski książę Albrecht Zygm. Augusta wzywa do obrony odszczepieństwa.

1548 Zygm. I. umiera. Zygmunt August zapewnia szlachcie swobody i wolność religijną; mianowicie wyjęcie z pod sądów biskupich. Niechce też szlachta przyjmować księży na dobra duchowne przysełanych z Rzymu (*cortesani*), ani dawać świętopietrza.

„*Bracia czescy*“ wychodźce znajdują opiekę u księcia Pruskiego (któren się stara o siostrę króla) i w Poznaniu, kędy też kalwinieje ks. Prażmowski, pleban u św. Jana.

1549. W Krakowie uczniowie wszechuczni zaczepiają nierządnicę, usieczeni od sług Czarnkowskiego Jędrzeja, nieznajdują sprawiedliwości — rozchodzą się po świecie.

1547. Maciejowski biskup na nauczyciela hebraiki sprowadził *Stankara* włocha, niewiedząc, że to arianin. R. 1550 *Goniądzki Piotr* uczeń jego wykrył błędy jego, przeciwne Trójcy świętej: Stankar uwięzion, ale uszedł za pomocą Lasockiego i Trzecieskiego, którzy go odwieźli do Pinczowa. Goniądzkiego zaś biskup wileński wysłał do Wittemberga — widząc w nim przyszłego obrońcę katolicyzmu. — W Pinczowie kalwini odbyli synod pierwszy w Polsce.

Na Sejmie w Piotrkowie szlachta przeciw duchowieństwu powstaje o uchylanie się od ciężarów pospolitych a przywłaszczanie władzy...

Żeni się ks. *Krowicki Marcin z Sądowej Wiszni:* ślub dają mu księża Bernardyni w Przeworsku. Żeni się też ks. Walenty, *pleban z Krzczonowa* — a w końcu żeni się *ks. Orzechowski, kanonik przemyski.* — Szlachta w opiekę bierze nowożeńców, pi runując na dziesięciny — meszne — świętopietrze — dożywocia prałatom rzymskim itd. itd.

1551 Hoziusz biskup nowy, na synodzie układa nową przysięgę dla księży: „Czy wierzysz w wodę święconą? w świętych? w skuteczność święcenia ksiąg? w czyściec? papieża? mszę? posty? i bezżenność?“ — Biskupi ośmieleni pozywają o wiarę Orzechowskiego — Łaskiego — Stadnickiego — Ostroroga — Lutomirskiego. — Ogół szlachty oburza się na duchowieństwo.

Ks. Lismanin, prowincyał Franciszkanów, powiernik króla, czytuje mu księgi odszczepieńców. On też przyjmuje w Krakowie *Socyna Leliusza...* a od Zygm. Augusta wysłan do Szwajcaryi za zakupnem książek, zostaje kalwinem, zrzuca habit i żeni się.

1552 Na sejmie w Piotrkowie szlachta zabezpiecza się od sądów duchownych. Zebrzydowski biskup imieniem duchowieństwa rzekł Tarnowskiemu hetmanowi: — „Czemże ja będę w Tarnowie, pachołkiem chyba? jeżeli nie będę miał prawa sądzić heretyki!“ — Na to mu Tarnowski: — „Raczej tobie być pachołkiem, niż mnie niewolnikiem!“

1553. *W Genewie — Serweta*, wyznawcę Boga jedynego i wiary rozumowej *żywcem pali Kalwin*! — Nazajutrz (28 paźdź.) przybywa tam *Ochyn*, z gene-

rała kapucynów arianin... i żeni się tam z dziewuchą ubogą. Arianie uciekają z Genewy...

1554. Biskupi zaczynają prześladować różnowierców, szlachta stawia opór: więc wypędza szlachta plebanów, kościoły i dobra oddając różnowiercom.

W Sądeczyznie w miejsce plebanów wypędzonych wprowadzeni *kaznodzieje ariańscy.*

1555. Sejm koronny w Piotrkowie zwołan między innemi na ukojenie spraw religijnych, uchwala: Wolność wyznań, sobor narodowy dla spraw kościelnych i tymczasowe powstrzymanie wszelkich sądów duchownych na rok jeden. W Rzymie Polskę uważano za odpadłą od kościoła, skoro poselstwo polskie zarządało od Pawła IV. 1 Mszy po polsku, 2 Komunii pod obiema postaciami, 3 Zmienienia bezżenności księży, 4 Zniesienia Świętopietrza, 5 Soboru kościelnego polskiego.

Wyznawce wiary rozumowej przybywali zewsząd, umykając przed srogością sądów papieskich i Kalwina.

Każden niemal przywoził do Polski rozwój myśli jakiej wybitnej, rozumowo osnutej na tle biblijnem — wedle Serweta.

Goniądzki, szlachcic litewski, (on r. 1550 zdawca nauczyciela swego Stankara, od biskupa wileńskiego słan do Wittembergu) przybył z drewnianą szabelką u boku. Boć prawo *miecza i urzęda* karne mieczowe mienił niezgodne z nauką Chrystusa zbawiciela-proroka. Wyznawał on Boga jedynego, potępiał Trójcę, potępiał chrzest niemowląt, żądając chrztu dorosłych.

Ochyn Bernat ongi generał kapucynów, spowiednik papieża — później przyjaciel Kalwina od niegoż potępiony i ścigany — przybył, głosząc zasady wielożeństwa w imię Biblii i Boga jedynego. Stał on się wrogiem papizmu najgłówniejszym — papieża niezwał inaczej jeno djabłem. — Do Polski przybył roku 1564.

Lismanin, zwolennik jego, przyjechawszy z żoną do Krakowa, kędy był prowincyałem Franciszkan i spowiednikiem zakonnic św. Klary — narobił zgor-

szenia nie mało i musiał uciekać do Pinczowa. Między panami, którzy go brali w obronę, byli i Tarnowscy z Jordanem — katolicy niewątpliwi.

Blandrata — lekarz zdolny z Pawii, od Kalwina w Genewie (z Ochynem i Socynem Leliuszem samotrzeć) wyklęty, przybywszy do Polski, został lekarzem nadwornym Radziwiłła Mikołaja, wojew. wilen. i przedstawion królowi.

Socyn Leliusz też włoch — przybył z listami polecającemi do Łaskiego i króla; a to od Melanchtona i Bullingera, przyjaciół i uczniów Lutra, niewiedzących, że on jednobożanin.

Łaski Jan w końcu za wyraźnem pozwoleniem króla wrócił do kraju, jawnie wyznając Kalwina naukę. Kalwini też zebrawszy się, witali go uroczyście na zamku królewskim Rabsztynie, zkąd przesiedli się do Pinczowa.

Pinczow stał się stolicą różnowierców polskich, wówczas jeszcze nierozdwojonych. Szkoła tamże założona przybrała miano „Ateny polskie". W skład jej wchodzili: — Łaski, Blandrata, Lismanin, Ochin, Stoiński, Krowicki, Pauli, Lubelczyk, Trzecieski, Orszakiewicz, Szoman, Sarnicki, Lutomirski i inni.

R. 1558 w Pinczowie zebrał się sobor różnowierców: bo wysłannik papieża, kardynał Lipomano zjechał nawracać Polaków i rozpoczął dzieło apostolskie krwawo: bo w Sochaczewie kazał spalić żywcem Dorotę Łażecką samowtór z żydem, obwinionych o skradzenie hostyi poświęcanej. — Było to wprowadzenie w życie sądów duchownych. Za jego też wpływem i staraniem wydał król rozkaz w Warszawie 13 stycznia 1557, że bluźnierstwa przeciw Bogu i religii, więc też schadzki religijne wszelakie, będzie uważał i sądził jako obrazę osoby własnej. Synod zaś biskupi uchwalił i nakazał, zamykać kościoły, w których pochowano zwłoki różnowiercy choćby fundatora kościoła, co szlachta uważała za zgwałcenie grobów rodzinnych.

Na soborze onym spory wszczęte przez Stankara, zachwiały wiarę w Trójcę świętą i rozdwoiły różnowierców.

Lutrzy i Kalwini odłączyli się od Arjan jednobożanów.

Arian zbór w Pinczowie zawięzuje się pod przewodnictwem Statoriusza-Stojeńskiego; zkąd zwani Pinczowiany.

Stankar stanął w pośrodku, kłócąc się z wszystkimi, łżąc wyrazy ostatecznemi a niewychylając się z bezpiecznego Dubiecka, kędy kaznodzieił w dworze Stadnickiego.

Rozpoczęły się spory zajadłe o Bóstwo Chrystusa: Czy jest Bogiem odwiecznym, stworzycielem nieba i ziemi — czy tylko Bogiem człowiekiem, pochodzącym od ojca — czy w końcu człowiekiem tylko, wysłannikiem Boga gwoli zbawieniu ludzkości.

Pinczowianie zapatrując się rozumowo, w Chrystusie widzieli człowieka proroka — Boga uznawali jednego tylko i jedynego. Więc też od katolików przezywani Turkami lub Mahometanami.

Wiarę i obrządki brali rozumowo, więc się grzebali z kartką w dłoni: „Wiem, co wierzę.“

Arianie.

Sakramenta pojmowali rozumowo: więc w małżeństwie baczyli tylko umowę społeczną — a opierając się na przykładach biblijnych, niewykluczali wielożeństwa i rozwodu.

Podobnie rozumowo pojmując chrzest, żądali go po dorosłych, azatem przyjmowali *nowochrzczeństwo.*

Gdy do tego jeszcze Goniądzki potępiał prawo miecza i piastowanie urzędów świeckich — musieli się stać solą w oku tak katolikom, jako i lutrokalwinom.

1562. Przybył *Gentilis* włoch, którego w Genewie Kalwin chciał żywcem spalić: lecz się wymodlił, odprawiając pokutę jawną, poczem zbiegł.

Przybył też włoch drugi: *Alciato*, który tak ściśle wyznawał biblią, iż się nawet dał obrzezać. Obaj rozsiewali po Krakowie pojęcia rozumowe. Alcyatę na ulicy dopadli katoliccy uczniowie i byliby zabili na chwałę panu Bogu, ale jął wołać: — „Wierzę w Jezusa Chrystusa, syna Boga żywego i Maryi...“ Więc ocalał i uciekł do Siedmiogrodu.

1564. Poseł papieski Komendoni, złożywszy królowi uchwały soboru trydenckiego, otrzymał nakaz na różnowierce: — 1. Cudzoziemce w przeciągu kilku tygodni mają opuścić Polskę. 2. Zakazuje się łączenia z niedowiarki, mianowicie z jednobożany. — Był to pomysł Hozyusza, biskupa warmińskiego, którym chciał podszczuć Lutrów na Ariany, wychodząc z zasady: — „Wojna między niedowiarki stanowi pokój kościoła". Więc też mówił: „W ciężkiej chorobie samej trucizny wypada niekiedy używać jako leku przeciw innym jadom zaraźliwym". Komendoni zaś wtorował: — „Bogu się podobało, aby ze żmij sporządzano driakiew".

1565. *X. Dudycz Jędrzej biskup pięciokościelski*, węgrzyn, niedawno mowca na soborze trydenckim, poczem poseł cesarski do Polski, zachwycon pięknością Straszównej, żeni się z nią i osiada w Polsce.

W Piotrkowie podczas sejmu zagajone rozprawy różnowierców doprowadziły do rozjątrzenia ostatecznego. Lżąc się nawzajem „Aryany" — rozdzielili się na wyznawców i zaprzańców Trójcy świętej. — Pomysł Hozyusza odniósł zwycięztwo.

Sejm zagajon pod laską Sienińskiego Mikołaja, wówczas kalwina, orzekał sprawy najdrażliwsze. Posłowie, przeważnie różnowiercy, wnieśli sprawę o rozwód króla bezdzietnego, zaprzeczając, aby w sprawie obchodzącej naród cały, duchowni tylko mieli prawo orzeczenia. A to tem bardziej, że dzierząc dobra ziemskie i dochody największe w kraju — uchylają się od ciężarów wojny i zaniedbują szkoły; a przecież na szkoły przeważnie pobierają dziesięcinę i domagają się wykonania wyroków, które sami wydają na niepłacących, pozywają nawet starostów, niechcących wykonywać wyroków onych. Przekonano króla o tem — więc unieważnił pozwy one, odwołując się do ustaw koronnych dawniejszych, nakazujących sprawdzenie prawa poboru dziesięcin.

Arcybiskup gnieznieński, ks. Uchański niewiedząc co począć, napisał do papieża Piusa V. W odpowiedzi odebrał polecenie poprawy obyczajów duchowieństwa i zaprowadzenia Jezuitów, — których

już biskup Hozyusz sprowadził do Brunsbergu w Warmii a Noskowski, biskup płocki, do Pułtuska.

1567. W Bernie kalwini dali ściąć Gentilisa. Wszędzie z katoliki pospołu Lutrzy prześladowali Jednobożan.

R. 1570. Zgodę sędomirską przeciwko wyznawcom Boga jedynego i wiary rozumowej zawierają oni pospołu. Król zaś zrzeka się prawa sądzenia Arian i Nowochrzczeńców.

Prześladowani chronią się do Rakowa.

Raków, miasteczko nowozałożone wpośród borów sosnowych, wyznawce wiary rozumowej zamienić chcieli na nowy „Przybytek pokoju" (jeru-salem) w którymby panowało królestwo boże. Snać odżyły w nich dawne marzenia Hussytów o Syonie nowym. Zbiegł tamże Grzegorz Pauli z Bielewiczem, Szomanem, Siekirskim a przybył i Mundius rajca wileński wraz z Litwiny drugimi. I nuż zakładać królestwo boże przy ujściu Łagownicy w Czarną. Postanowiono:

Wzgardzić ozdobami ciała; — wzgardzić urzędowaniem wszelakiem, nawet zborowem; — dążyć do doskonałości i równości chrześciańskiej; — wprowadzić spólność mienia...

Słowem jęli naśladować Methodystów angielskich i Hernhutów. 1570 Ronenberg Szymon, aptekarz krakowski, zdrowem rozumowaniem rozwiał marzenia, zjednoczył drużynę całą i zaprowadził chrzest dorosłych. Dopomógł listownie Blandrata, lekarz nadworny księcia siedmiogrodzkiego.

I wzniósł się Raków pod opieką Jadwigi z Gnojeńskich Sienińskiej Janowej dziedziczki miasteczka, nazwanego od herbowego jej raka. Była ona gorliwą wyznawczynią wiary rozumowej w Boga jedynego równie, jak mąż jej, kasztelan żarnowiecki. Syn ich Jan wówczas był kalwinem.

Lusławice i Jastrzębia.

Lusławice nad Dunajem równocześnie niemal, w chronow wyznawców Boga jedynego zamienili spółdziedzice: Błoński Abram z Taszyckim Stanisławem.

1570 wystawili zbór i z Pinczowa sprowadzili tłocza: Rodeckiego Aleksego turobinczyka. Tam on kończył w Pinczowie rozpoczętą tłoczbę księgi Paulego: Wykład pisma starego i Nowego testamentu. (*Bantke*).

Stanisław Taszycki herbu Strzemię z Wróblowic, pan na Jastrzębi i części Lusławic, Słonej i Przydonicy należał do głównych opiekunów wiary rozumowej. Zwolennictwo swe rozumowe objawił jeszcze r. 1558, zaprzeczając dziesięciny wszelkiej.

R. 1565 w Jastrzębi kościół i plebanią zajął ze wszystkiem i zaprowadził obrządek polski wiary w Boga jedynego. — Z kościoła zabrał: *Monstrancyą* srebrną nie małą — krzyż srebrny nie mały, kielich srebrny pozłocisty, drugi srebrny z *patyną* — *ampułki* dwie srebrne — *ornatów* kilka dobrych z *stułami* i *manipularzami* — *kapę* cudną — *alb* kilka cudnych, cienkich, komeż kilka, — dzwony dwa wielkie z dzwonicy, trzeci z kościoła, czwarty mały przed ołtarzem, co weń *sygnują* ku Ewangelii... chorągwi 3 pary... (Czchow Ziemstwo, księga 21, str. 696.)

...Kościół sam był ochędożny, malowany pięknie — dwie *formie (t. j. ławy duże z oparciami)* były malowane — ławek nie mało. Ołtarzów trzy murowanych z dostatkiem wszelkim... Dzwon jeden wzięli heretycy do Lusławic... (*Visitatio Januszowskiego*, *r. 1607*.)

Taszycki Stanisław — był to człek niepospolity, obyły w świecie, bo za młodu dworzanił cesarzowi Karolowi V.

Rozumowanie o Bogu.

1559. *Remigian Chełmski* z Leszczyn pod Jędrzejowem (on sam, co w domu swym wyprawiał wesele ks. Orzechowskiemu z bratanicą swoją) — żył w przyjaźni z francuzem uczonym *Stoińskim Janem*, właściwie zwącym się *Statarius*, któren w Pinczowie objął nauczycielstwo po Orsackim Pawle. Od Stoińskiego przyjąwszy naukę Serweta, soborowi różno-Wierców w Pinczowie w piśmie bezimiennem podał; wątpliwość w Trójcę świętą.

Właśnie spór o Trójcę świętą z Stankarem włochem zacięcie wiodli zwolennicy Lutra polscy za przykładem Bullingera, Bezy, ba! Kalwina nawet samego, wzywających listownie Polaków do odrzucenia wymysłów Stankara. Stankar uczył, że Chrystus w jednej osobie jest Bogiem prawdziwym i człowiekiem prawdziwym. Potępili go wszyscy a nawet Orzechowski, schlebiając się kardynałowi i biskupom, jął pisać przeciwko niemu.

Pan Stadnicki Stanisław Mateusz na Niedźwiedzi i Dubiecku, więc i opiekun zboru Sarnickiego Stankara, chcąc pojednać spory, zagaił rozmowę w Niedźwiedzy, dokąd przywieziono Stankara i zaproszono Ossolińskiego Jarosza z Drohojowskim Stanisławem. Gadanina kilkodniowa skończyła się na tem, że Stankar znienawidził i Sarnickiego.

R. 1561 w dziele „De Trinitate...“ pisał Stankar:

...„Pierwszym podżegaczem i gorszycielem jest Sarnicki obok Blandraty, Lismana, Gala i Jerzego Nigra...“

...„Jeden Piotr Lombard więcej wart jak 100 Lutrów, 200 Melanchtonów, 300 Bullingerów, 400 Piotrów męczenników a 500 Kalwinów; których, gdyby tłukł w mozdzierzu, niewydusiłby jednej uncyi teologii prawdziwej!...“ *(Ossoliński IV. 405.)*

Szlachta polska nie wiele pojmowała, o co chodzi rozjątrzonym zwolennikom Lutra, Kalwina a Lombarda. Frycz Modrzewski z Wolborza, mędrek ówczesny, napisał: „że się strony nierozumieją, że się kłócą o słowa, nie o rzecz...“ zachęcał do zgody. Radziwiłł Mikołaj „czarny“ — niedowierzając głowie swej, słał Czechowicza do Genewy, od Kalwina zasięgając rady i odebrał list, wykrywający herezye Blandraty.

1561. Na synodzie w Krakowie czytano list on.

Blandrata odwołując się do pisma świętego żąda, aby z „Składu Apostolskiego“ wyrzucono dodatki Nicena i Athanazego, których w piśmie niema. Żąda też rozbioru dokładnego byle nie namiętnego Bóstwa Chrystusowego... gdyż po czasach apostolskich nale-

ciało do kościoła wiele błędów i zepsucia, któreby trzeba troskliwie odłączyć...

Na to Ossoliński: — „...Lepiejby było, nie tykać tych sporów o Bogu synu... jako i wszystkiego, czego nie ma w piśmie, które jest jedynym zakonem wiary... więc by tu trzeba wiele ominąć i niebaczyć... a tu widzę już i pisma o Trójcy wydano między lud! — Nie wróżę ztąd skutku dobrego, widząc przykłady nauczające. Żonie wojewody poznańskiego Stankar wręczył księgę podobną: niewiem, czy co dobrego sprawi w sercu niewieściem, skoro jej czytać nie chciał ani Lismanin, ani inni."

Lismanin na to... radzi rzecz pozostawić czasowi... nieprzysilać nikogo... każdy wedle sumienia swego. „Mnie niech starzy mędrce kościoła pozostawią: Boga jedynego bez żadnych osób... niechaj nie mnożą bóstwa, ani nie dzielą..."

1562. W Pinczowie na Synodzie uchwalono: — „Ministrowie mają się powstrzymać od rozumowania nad Trójcą i Jej pochodzeniem..."

Sarnicki jednak niemogąc zmilczeć, Paulego kaznodzieję krakowskiego jął obwiniać o herezyą, chociaż mu jej niedowiódł w Balicach w obec Myszkowskiego, wojew. krak. i Bonara, wielkorządcy krak. — opiekunów zboru. Mimoto lżył go i obnosił.

Tak samo było w Rogowie u Szafrańca Stan. w obec pp. Lasockiego, Filipowskiego, Reja Mikołaja i kaznodziei... Więc znów nakazano milczenie o Trójcy świętej.

Sarnicki niezmilkł i teraz. Pauli też od siebie sprosił znajomych do Rogowa, gdzie nakazano Sarnickiemu: aby niewichrzył, ani rozdwajał zboru... Na zjeździe nowym w ogrodzie u Bonara niepomogło, że tenże pan wielkorządca, niemogąc pojednać zwaśnionych, kazał powynosić ławki z ogroda, aby spierający się o Trójcę świętą prędzej doszli do zgody, niemając na czem siedzieć.

Bonar umarł trzeciego dnia. Na pogrzebie jego Sarnicki wszczął obwinianie Paulego, a Pauli niemając obrońcy, postradał urząd przy zborze, wyjechał do Pinczowa.

Za przykładem jego poszło kilku innych.

Niepomogło więc milczenie nakazywane, niepomogły namowy do zgody i utrudzanie sporów: — rozum ludzki, pobudzony do walki, kroczył naprzód bezwzględnie.

Dopokąd się spierali mnisi zlutrzali w domach i pod okiem panów możnych, napojonych nauką i powagą Kalwina i drużbów, kończyło się na obelgach wzajemnych. Nie tak, gdy się wmieszała szlachta domorosła, pochopna do czynu a działająca za przekonaniem rozumu.

W Lublinie Tęczyński, wojew. lubelski w opiekę wziął Paklewskiego Stanisława, któren jeden z najpierwszych przejęty nauką o Bogu jedynym, założył zborek w domu własnym, kaznodzieił i chrzcił dorosłych w imię Boga jedynego.

Mieszczanie słynęli przemysłem i zamożnością, trudniąc się krom rzemiosł innych, złotnictwem i aptekarstwem. Jako lekarze słynęli: Ciachowski, Krokier, Tomkowicz i inni. Więc też zborowi dostarczali słuchaczów, a gorliwością odznaczali się: Krokier — Balcer — Naborowski — Ciechańscy — Bach — Schürer — Kokot — Ekker i t. d.

Szlachta okoliczna łączyła się z nimi, mianowicie: Orzechowscy, podkomorzy i podczaszy lubelscy samotrzeć z podkomorzym chełmskim — Niemojewscy — Lasotowie — Ostrowscy — Suchodolscy — Lubienieccy — Kazimirscy — Matczyńscy — Żeleńscy — i między mnóstwem innych, Otwinowscy.

Bez przeszkody więc rozwijały się pojęcia rozumowe o Bogu i chwale jego: Czczono Boga jedynego, chwaląc modlitwą za przykładem Chrystusa proroka, zesłanego ku zbawieniu rozumu ludzkiego. Chrzczono dorosłych, tłómacząc im znaczenie obrzędu pamiątkowego równie, jako i wieczerzy pańskiej. Małżeństwa zawierano w gronie rodzinnem za ślubem cywilnym, dawano też i rozwody.

Obrzędy wystawne zarzucono wraz z przyborami — a opłatek w oczach ich był pamiątką chleba niekiszonego egipskiego — i nic więcej!

R. 1563 odbywała się tam katolicka uroczystość Bożego Ciała. — Paklewski z Otwinowskim i innymi

jednobożany rozmawiając obaczyli pochód i księdza, wracającego ku katedrze z puszką w ręku wśród spiewu: „W tej hostyi jest Bóg żywy. — Choć zakryty, lecz prawdziwy."

Lud przyklękał i czołem bił o ziem, chwaląc Bóstwo Chrystusa w opłatku poświęcanym.

Na to Paklewski: „Hej! nie ma takich, coby nieścierpieli bluźnierstwa tego."

Otwinowski Erazm wypada z domu, przystępuje do księdza dobrze sobie znajomego, mówiąc: — „Kilka razy napominałem cię, abyś tego nie czynił! Obiecałeś na Boga!! i grzeszysz, niedotrzymując. Mów modlitwę pańską!"

Ksiądz, zdawszy puszkę drugiemu, mówi: — „Ojcze nasz, który jesteś w niebie..."

— „A więc: w niebie! a nie w chlebie... nie w puszce twej!!!" — woła Erazm, wyrywa mu puszkę, rzuca o ziem i depce nogami. Poczem wśród gniewu, zgorszenia i groźb, odszedł na gospodę Piotra Suchodolskiego, któren był różnowiercą.

Katolicy udali się do Piotra Suchodolskiego starszego, wojewody lubelskiego, katolika gorliwego, aby burgrabiego z strażą słał w dom bratańca swego o wydanie winowajcy. — Lecz ten zawarłszy gospodę, odmówił stryjowi, grożąc odporem.

W końcu Otwinowski wyszedł z miasta jako obywatel lubelski i dziedzic dóbr ziemskich, ubezpieczon ustawą zeszłoroczną.

Pozwanego do sądu bronił Rej Mikołaj, żartując:

„Obraził Erazm Boga i księdza! Niech przeprosi i zapłaci szkodę: Za szkło stłuczone da szeląg, za hostyą pokruszoną da trzeciaczka na mąkę. Obrazę boską zostawcie Bogu i czasowi. Jeżeli była? pomści ją Bóg piorunami, rozpadnięciem ziemi lub w sposób inny. Bo skoro srodze pomścił krzywdę, Mojżeszowi uczynioną przez Datana i Abirona, że ich ziemia pochłonęła wraz z rodzinami i mieniem, temci bardziej skarze onego, któren wedle pozwu obraził Samego Boga. Na taką zbrodnią niema prawa żadnego!"

Otwinowski wyszedł cale. Zapadło zaś prawo: Aby podczas uroczystości kościelnych, wszyscy obecni zachowywali skromność.

Odtąd Boże Ciało odbywa się pod bronią.

Zajście podobne wydarzyło się w Wilnie.

Na księdza i pochód pobożnych, Siemonów sługa wylał naczynie napełnione. Siemon przeprosił księdza i uzyskał przebaczenie. Więc zapozwany o obrazę Boga, odparł na rokach: Że niema komu odpowiadać, bo strona obrażona wydaliła się do nieba, nie dawszy nikomu pełnomocnictwa — więc prosił o uwolnienie od pozwu. Sprawę całą obrócono w żarty i kpiny. (*Reform. Lubieniecki, 173.*)

Rozbrat zupełny rozumujących a wierzących wyrzeczono r. 1565 podczas sejmu w Piotrkowie na słynnych sporach Kalwinów z Jednobożany. Pauli pismem św. dowodził: że Chrystus był człowiekiem a bóstwo otrzymał od Boga.

Kalwini, nie mogąc tego słuchać, huknęli: — Chwała Ojcu i Synu i Duchowi świętemu, na wieki wieków! Amen!.

Jednobożanie zaś zaspiewali: Chwała Ojcu Najwyższemu na wieki wieków! Amen!

Katolicy jednobożanom przyznali wyższość naukową.

Jednobożanie między sobą nie byli jednak zgodni w pojęciu osobistości Jezusa Chrystusa a sobory ich r. 1567 w Łańcucie i Skrzynnie odbyte niedoprowadziły jeno do uchwały skromnej:

„Aby się w sporach nie kalać, nie potępiać — mowy i kazania prawić słowy pisma świętego — kto niechce słuchać, wolno mu wyjść. Chrzest dzieci dozwolon wedle sumienia, tak samo pamiątka wieczerzy pańskiej. Jeden drugiego wierze rozkazywać nie ma. Dokąd Bóg niezeszle mądrzejszych sług swoich, aniołów, co oddzielą kąkol od pszenicy... my się nie drzejmy...“

Farnowski Stanisław niedotrzymał uchwały: odszczepiając się od drużyny Rakowian, zjechał do Nowego Sącza pod opieką przyjaciela swego Mężyka, starosty sądeckiego i jął uczyć rozumowania najskrajniejszego.

R. 1572. wydał on książkę: „Okazanie sfałszowania nauki pana Krysta...“ w której udowadnia jedynobóstwo — przecząc prawu miecza i urzędu.

Jedynobóstwa dowód poparł księgą nową r. 1573: „O znajomości Boga zawdy jedynego, stworzyciela wszystkich rzeczy...“

Dzieło to ściśle naukowe, oparte na wielkiej znajomości mowy hebrajskiej i biblii.

Zaczyna od nazw hebrajskich Boga: „*Elohim*“ — „Jehovah“ — „*Adonaj*“, przechodząc każdą pojedynczo, mianowicie *Elohim*, na które słowo odwołują się trójbożanie i św. Hieronym.

„*Elohim*“ jest liczba mnoga od „*El*“, „*Eloe*“. Słowo to w hebrajskiem znaczy: duch, władza. Jest ono pierwiastkiem wyrazów: anhel, *angelus*, anioł, w oznaczeniu ducha.

Elohim jest wyraz zbiorowy: duchy, duchowość, władza duchowa, a zgreczone na „*logos*“ i mylnie przetłumaczone na „słowo“, niezrozumiałą czyni Ewangelią św. Jana, któraby brzmiała właściwiej: — „Na początku był duch a duch był u Boga a Bóg był duchem — i duch stał się ciałem...“

Farnowski w piśmie świętem wylicza miejsca wszystkie, gdzie przychodzi nazwa lub przymiot Bogu nadany, przeprowadzając dowód jedyności przeciwko troistości.

W przedmowie zaś „Do narodu polskiego“ wytyka, iż żydzi i Turcy, czyściej Boga pojmują niż Rzym; wytyka, iż katolicyzm nie otrząsł się z pogaństwa rzymskiego, oddając chwałę bożkom żywiołów lub zatrudnień, że zamienili np.

Wulkana	na	św.	Elogiusza	patrona	kowalów
Eskulapa	„	„	Damiana	„	lekarzów,
Dianę	„	„	Eustachego	„	łowczych
Polluksa	„	„	Barbarę	„	żeglarzów,
Appolina	„	„	Sobestyana	„	zarazy,
Herkulesa	„	„	Walentego	„	wielkiej niemocy,
Lucynę	„	„	Małgorzatę	„	brzemienności,
Marsa	„	„	Jerzego	„	wojny... i t. d.

Prawo miecza i urzędu — rozszerzyło rozbrat z Lutry i Kalwiny a do tego rozdwoiło Jednobożan samych. Rakowianie, przyoblekając się niejako w

urok zakonności, potępiali go zupełnie, naśladując w tem Methodystów zamorskich.

Paleolog Jakub, greczyn jednobożanin na Litwie przebywający, wytknął im niewłaściwość nauki podobnej, obcej Chrystusowi. Lecz nieprzyjęli uwag jego, odpisali, zaprzeczając przez Czechowicza, któremu odpowiedział Budny.

Czechowicz, roznamiętniony w Lublinie, wydał księgę, w której mocno potępia chrzest dzieci a jeszcze bardziej prawo miecza i wojny, także urzęda; czem na siebie ściągnął nienawiść wielką.

1575. Czechowicz w Rakowie wydał: Rozmowy chrystiańskie... Tłumacz biblii ariańskiej znał dobrze treść jej, znał tekst hebrajski więc torem Farnowskiego idąc, dowodził jedyności Boga z wywodu: o aniołach i imionach Boga! Pojęcia i rozumne odróżniał od błędnych gadek i naciągań rabinów żydowskich. Wytknął też niezgodę pisarzów Nowego testamentu o poczęciu Jezusa Chrystusa z Ducha świętego — a Ewangelistów, przodki Józefowe z pokolenia Dawidowego...

Prawo miecza potępia, mówiąc: „Bestye i gadziny bronią się, bo niemają rozumu... Jeżeli się nie godziło Piotrowi pana swego bronić... jakoż się tobie godzi, bronić drugiego?..."

O wojnie: — „Przełożeni świata... którym Bóg miecz do ręki dał, radzi nie radzi muszą złe karać i krew ich przelewać: ale nie uczniowie Chrystusa... bez których królowie mogą wojny odprawić. Bo jeżeli Bóg zechce ukarać przez miecz wojenny, tedy skoro jeno zawiśnie: ażci się z ostatecznych granic ziemie jako much i pszczół wielkie mnóstwo żołnierzów czerstwych i mężnych nazbiera..."

O urzędzie: „Urząd przyjmować wierni mogą... jeśliby był urząd zboru Chrystusowego... Urzędnicy zboru... świeckimi być nie mają: bo też ani mogą dwu naraz urzędów a bardzo sobie przeciwnych na sobie mieć... Posłusznym masz być zwierzchności i oddawać jej, co ona rozkazuje, ale tylko wedle słowa bożego: a nadto nic! — Nie tylko walczyć albo kogo na gardło sądzić, ale też i przy sądzie takim być, nie godzi się..."

Wieczerza — jest to pamiątka śmierci Chrystusa i przymierza naszego z Nim... Chleb chlebem nie przestawa być, wino winem. Pożywamy nie dla głodu i pragnienia, ale dla pamiątki wydania Ciała Chrystusowego na śmierć, przelania krwi jego. Tak i baran pożywany od Żydów... acz był prostem mięsem baraniem, był pamiątką wyzwolenia z Egiptu.

Sakramenta — są znakiem pewnej rzeczy, lecz nie rzeczą... jak mniemanie papieskie i luterskie... których wykład jest sprośny; boby Chrystus miał nie jedno ciało, ale wiele niezliczonych... Chrystus mówił: Ciało nic nie jest użyteczne, jeno duch, który ożywia..."

Są, którzy ukazują: Iż dosyć na samem duchownem pożywaniu i piciu prócz chleba i wina — na ponurzaniu duchownem samem, krom wodnego. A jeszcze nadto cieleśnikami i nurkami zwą tych, którzy to czynią: Bo się (jako mówią) cielesnemi rzeczami bawią i na cieniach się jeszcze zakonnych wieszają. Harde to, duchownych rzeczy przywłaszczanie.., czynią, gardząc ustawą i rozkazaniem Chrystusa.

Kończąc pisze: — „Już się ani opłatkami papieskiemi bawić będziemy, ale na prawdziwym chlebie przestaniemy; — Ani się o klękanie albo stanie wadzić będziemy, ale śmiele przy Panie i Mistrzu... za stołem usiędziemy... Nie będziemy się też sprzeczać o czas i miejsce, ale kiedykolwiek, ranoli wieczorli, zgodnie i spólnie zszedłszy się, wszystko, co nam rozkazano i przed nami w zborzech apostolskich czyniono, uczyniemy — gdy się tylko dobrze w wierze doświadczamy i onej w sobie wzmacniamy".

Otwinowski Erazm — niebawem księgę oną, zgodną z przekonaniem swem, przesłał burgrabiemu królestwa czeskiego Wilhelmowi Rozenbarskiemu na Krumlowie — panu i Dobrodziejowi swemu Miłościwemu: jako świadczy własnoręczny dopisek jego na jednym z rzadkich egzemplarzów dochowanych.

W Lusławicach niebawem zwołany synod roztrząsał zdania: O prawie miecza i urzędu.

Litwini przez Budnego i Domaniewskiego, obstawali za urzędami i wojną, która im zagrażała.

Do nich przystał Farnowski z Nowego Sącza.

Większość głosów przeparła jednak tak zwaną: Zgodę lusławicką.

Farnowski, przyjaciel starosty sądeckiego Mężyka, mieszkający w Nowym Sączu, dzielił trwogę pospolitą, gdy podczas wyboru na królestwo polskie Stefana Batorego, cesarski wódz Ryber zagrażał Sączowi, Muszynie i Bieczowi — bywał też świadkiem, jak karano zbójce beskidniki. Nauka Goniądzkiego, Paulego i Czechowicza, potępiająca prawo miecza i urzędu, okazywała mu się nietylko bezrozumną, ale i szkodliwą. Niedotrzymał poniewolnej zgody lusławickiej, wystąpił z książką nową, obstając za prawem miecza i urzędu. Czechowicz odpisał mu 1579, gromiąc, iż usiłuje rozerwać zgodę.

Znowu więc zwołan synod (1580 w Lewartowie). *Budny* znów żądał czytania księgi Paleologa, którą właśnie wydał w Łosku. Zgromion jednak i zagrożon wykluczeniem.

Mimoto *Bracia litewscy*, uznając prawo miecza i urzędu, z swej strony zwołują sobor na Litwę.

Rakowianie nie przybywają, lecz zebrawszy się, w Lusławicach, Budnego odsądzają od urzędu i społeczeństwa. (*Wiszniewski Liter. IX. 68*).

Kiszka, starosta żmudzki, zapobiegając rozdwojeniu zebrał sobor nowy w Lubczu: lecz niepojednał zdań. Litwini stali niezłomni.

1583 wydał Budny: „O urzędzie miecza — i że Chrystianin może mieć poddane wolne i niewolne, gdyby ich tylko bogobojnie używał".

Krowicki zaś: „O urzędzie miecza i karaniu złoczyńców" — *Powstających na urzęda, zwie „Anarchistami"*.

Wielożeństwo.

Pius V. r. 1566 w liście do arcybiskupa gnieznieńskiego, narzeka na „zepsucie obyczajowe duchowieństwa... iż wiodąc życie niegodne zakonu swego, występkami zepsowali ludy swe i popadli u nich wzgardę największą: ludy zaś zepsute, o księżach

źle uprzedzone, łatwo od wiary katolickiej odciągali heretycy..." (*Thejner*)

R. 1569 onże papież: „biskupa krakowskiego zaklina na Boga: aby poprawiał obyczaje księży zepsute..."

Było więc zepsucie w łonie duchowieństwa; niezapierają tego dziejopisarze biskupi: Kromer — Naruszewicz...

Bezżenność księży była głównem źródłem zepsucia; gdyż zamiast zaprzeczania się cnotliwego lęgła się zbrodnia i niecnota nawet nie bardzo okrywana.

Ostateczność skutków bezżenności księżej okazała się w Ochinie, generale kamedułów, spowiedniku papieża samego! — Cóż czyniło duchowieństwo niższe, skoro on, głowa zakonu najtwardszego, kazał wielożeństwo! a przedtem nieznano wyrazu onego w Polsce. Roznamiętnił on w Krakowie słuchaczki swoje tak dalece: iż dla siebie zażądały wielomęstwa! — a gdy im tego zaprzeczał, rzuciły się nań i zbiły go!

Tłumnie też żenili się księża i mnisi... a życząc sobie, życzyli i drugim.

„Morganatyczne śluby" weszły w zwyczaj: dziś zwą je „ślubami na lewą rękę." R. 1570 pisze o nich Maczynski:

„Bywały acz nie często i w Polsce takie małżeństwa połowiczne. Pan *z ślubną* (mężatką,) się żeni, a ksiądz pleban błogosławi."

Udzielali więc księża małżeństw niesakramentalnych, lecz połowicznych, przyjętych od Niemiec. (*Czacki II. str. 3. Noty.*)

Tak powstało wielożeństwo — jeszcze przed Ochynem i za pośrednictwem księży katolickich.

Księgi arcybiskupstwa gnieźnieńskiego od 1520 do 1570 wykazują 16 rozwodów z przyczyny wielożeństwa.

Kapituła krak. r. 1528 użala się: iż wielożeństwo zagęszcza się w Polsce. (*Tomiciana, V. 6.*)

1573 do Hoziusza kardynała pisze biskup krakowski: — „Wielożeństwo zaczyna być powszechnem:

złączoną z protestanty siłą należy usunąć naukę niemoralną..." (*Czacki II.* 22.)

1575 Małecki — wydał księgę: O prawem małżeństwie biskupów, księży, diakonów i mnichów...

R. 1578, — uchwalił sejm warszawski: — „Iż się po części trafia, że niektórzy mieszkają przeciw p. Bogu nie z żonami, lecz z nałożnicami, z któremi się potem żenią — ustawiamy: —Aby od takich żon, które nałożnicami były, dzieci albo potomstwo w żadnych dobrach nie dziedziczyły, ani żadnej prerogatywy szlacheckiej miały."

Ponurzanie.

Ponurzanie czyli nowochrzczeństwo — pojmowali Polacy całkiem odmiennie od owych nowochrzczeńców niemieckich w Münster za żywota Lutra. W Polsce ponurzanie było poprostu chrztem dorosłych, jako oznaka zwolennictwa chrystyanizmu.

Rozumowa nauka o Bogu i wierze Chrystusowej musiała poprzedzić ponurzanie; musiała też poprzedzić roztrząśnienie sumienia i żal za grzechy. — Ponurzania nauczyciel główny Czechowicz uczył:

— „Ponurzenie jest ustawą bożą... Jezus nikogo wodą nie nurzał jeno duchem... Do ponurzenia trzeba poznać swe grzechy i onych się kajać — one wyznać, nimi się brzydzić i uwierzyć cale Chrystusowi i ewangelij; — wyznać wiarę swą i od świata albo narodu złośliwego odłączyć się, a nadto sumienie mieć dobre przed Bogiem... Przez ponurzenie, jako uczniowie nowi, do mistrza przystają, aby napotym z ust jego nauki słuchali — przystają niejako na nowe rycerstwo do nowego wodza wiary... Ponurzenie dziatkom nie należy... Chrystus dziatkom błogosławił, ale ich nie nurzał... Przed ponurzeniem trzeba Ewangelij uczyć..." (*Rozmowy chrystiańskie.*)

Nim jeszcze spisał, nim wytłoczył naukę swą—, o kilkanaście lat wprzód zaczepił go kalwiński pastor i superintendent Zaciewicz Szymon, wydając w Brześciu r. 1569 księgę przeciw powstającym Nowochrzczeńcom... Przyrównał ich do szalonych nowochrzczeńców niemieckich r. 1520, wróżąc przewrót porządku społecznego i moralności. Czem wielce

zatrwożył Litwę, a byłby rozszerzał popłoch i po Krakowie, dokąd go powołano na superintendenta; ale się sam przeląkł napaści katolików doznanej i uciekł z powrotem na Litwę.

Sprawa ponurzania ludzi dorosłych niezmiernie poruszyła umysły niewieście! Mężczyzni przywykli do pospolitego ruszenia wojennego i do urzędowania, nie mogli pojąć bezbronności i bezurzędowości: kobiety zaś chowane w zaciszy domowej w skromności niemal zakonnej, nie mogły ochłonąć z trwogi przed nowochrzczeństwem.

Więc r. 1565, gdy na soborze w Węgrowie podlaskim miano obradować nad ponurzaniem, nadsełały listy zewsząd, napominając: aby niewprowadzano obrzędu żadnego, niezgodnego z pismem świętem. Tak pisała Wna Kiszkowa Elżbieta kasztelanka wileńska, córka księcia Konstantego Ostrogskiego: — tak Radziwiłłowa Anna i wiele innych szlachcianek. Mężczyźni też pisali o to a nawet zbory kościelne różnowiercze: z Szydłowca — Lublina — Chełma i Sądecczyzny.

Soborowi przewodniczył Filipowski Jarosz. Uchwalono: Że chrzest dzieci niezgodny z pismem świętem a młody Lubieniecki Jędrzej, rozumując zwracał uwagę: że chrzest niemowląt, nie będąc ponurzaniem, nie jest nawet chrztem, ale skrapianiem tylko!...

Litwini, jako obstawali usilnie za prawem miecza i urzędu tak też i przy ponurzaniu opisali się ostro: żeby z tego niepowstała zaraza nowochrzczeństwa jako w Niemczech w Münster, gdzie ludzie bezwstydni i bezecni ponurzanie uważali za obmycie z grzechów; więc grzeszyli sprośnie i znów się nurzali, aby módz grzeszyć na nowo. Mianowicie po każdem ponurzeniu uważali się nowochrzczeńce niemieccy za wolnych od ślubów małżeńskich i brali żonę świeżą.

Sobór podlaski w Węgrowie oburzon podejźreniem odpisał Litwinom: — „Niepragniemy niecnoty münsterskiej, lecz nauki Chrystusa! i posłuszeństwa urzędom nie z bojaźni, lecz z sumienia samego. Nauczamy też, jako żyć pobożnie mamy z żony naszemi,

abyśmy wiedzieli, że Bóg człowiekowi samemu stworzył niewiastę jedną, dwużennych zaś karał jako tego wszędzie uczy pismo święte...

Z Siedmiogrodu też nadeszły napomnienia: Aby niewszczyniać kłótni o ponurzanie, gdyż to nie tak koniecznem, jak było w pierwotnem nawracaniu narodów: Na zdrowie aby też uważać!..,

Niepotępiono więc chrztu niemowląt, aby uniknąć zgorszenia zwłaszcza w czasach prześladowania; dorostkom zaś zostawiono wolność ponurzania — wedle głosu sumienia.

Nowochrzczeństwo więc, czyli nurzanie częściejsze dla opłukania się z grzechów — jako bywało r. 1521 w Niemczech północnych, więc i zgrozy i szaleństwa ztąd wynikające, obcemi były Polakom, nieznanemi ani w Koronie, ani na Litwie.

Pierwszym, który się ochrzcił powtórnie, był Siekierzyński Jan, kaznodzieja Jednobożan gorliwy.

Slepski (*Cecovius*) Mikołaj w Lubelskiem rad był ponurzać się, ale przez długą chorobę ciężką musiał dać spokój.

Piotr Pięknowicz (*Pulchraninus*) też ochrzcił się powtórnie; czem oburzył jakiegoś pana Łaskiego, szlachcica szorstkiego i obyczajów dzikich. Z jego rozkazu Pięknowicz pochwycon, rzucon do jeziora głębokiego, zkąd ledwo żyw wypłynął.

Największej jednak nienawiści popadł Filipowski Jarosz, wiary rozumowej zwolennik najgorliwszy, opiekun zboru, który założył w Krzęcicach, człek potulny osobiście, lecz nieprzełamany, skoro szło o obronę rozumu. Należał on do najpierwszej szlachty, co zakładała zbory, więc i do onych, którzy najprzód popadli nienawiści. R. 1551 już gdy ciało swej żony zmarłej wyprowadzał z Krakowa, motłoch katolicki rzekomo pobożny przeszkadzał pogrzebowi luterskiemu a student akademii Urowiecki, na rynku krakowskim wyciął policzek idącemu za trumną. Filipowski przyjął to w pokorze i od zemsty odwiódł przyjaciół swych licznych.

Później bacząc, że Lutry i Kalwini ociągają się na drodze postępu rozumowego, odstąpił od nich, jawnie wyznając wiarę rozumową: przyłączył się

do drużyny Pinczowian, do Lassockiego i do szwagra swego Glińskiego Krzystofa. Gdy się nawinął do Polski Heraklides despota multański i przysłuchawszy się nauce Jednobożan pinczowskich zapewnił, że religia jego i rodaków jego zupełnie podobna — i że chętnie ją poprze i rozkrzewi, Lassocki z Filipowskim nie wahali się zaciągnąć mu pomoc zbrojną zastrzegając sobie, że niepokroczy z wojskiem Polską — czego nie dotrzymał, narażając ich na pomówkę zdrady.

Po śmierci Lassockiego r. 1563 Filipowski z Cikowskim Stanisławem z Wojsławic pozostali opiekunami wiary rozumowej. Filipowski tuszył, że Lutry i Kalwini postąpią naprzód, że się ośmielą zaufać rozumowi własnemu... Zgromadzał więc sobory, przewodniczył sporom...

W sprawie ponurzania marszałkował jako się rzekło w Węgrowie. Więc też do ostatka dążąc do pojednania zdań rozstrzelonych i tusząc o pojednaniu się nawet z kościołem rzymskim r. 1565 wyjednał pozwolenie soboru podczas sejmu piotrkowskiego. Przewodniczył sporom.

Kalwini jednak możni stali zacięcie przy nauce Kalwina. Firlej, marsz. kor.—Tomicki, kaszt. gniezn. — Myszkowski, kaszt. sędom.— Ostrorog, wielkorządca wielkopol. — i mnóstwo innych brali udział i wyszli rozjątrzeni, spiewając chwałę Trójcy świętej — której przeczyli jednobożanie.

Filipowski stał się odtąd celem nienawiści jawnej Kalwinów wszystkich; do czego przypadła osobista nienawiść Myszkowskich — gdy się ożenił z Myszkowskiego, kaszt. wieluń. wdową, rodem z Komorowskich z Żywca.

Na sejmie lubelskim r. 1566 chcąc go znieść zupełnie połączonemi głosy, przeparli uchwałę oskarzenia i potępienia wyznawców wiary rozumowej: — Że nieuznają urzędów — że są nurkami, podobnymi nowochrzczeńcom niemieckim.

Zygm. August przyciśnion naleganiem gromadnem katolików połączonych z Kalwiny, wydał nakaz: Nowochrzczeńce i Trójbożanie w przeciągu miesiąca mają opuścić ziemie polskie pod karą śmierci!

Filipowski czuł, iż wymierzono cios w głowę jego, jako naczelnika nowochrzczeńców; a tu go odstąpili wszyscy, nawet Jedynobożanie krakowscy, wysłani do sejmu. Przyłęcki tylko jeden, acz Kalwin stanął w obronie — nadaremnej! — Filipowski rozżalony zawołał: — Krzywdzicie mnie! lecz przyjdzie czas, gdzie inny król zasiędzie i swoich bronić będzie! Na to powstaje Zamojski Jan, obwiniając go: iż grozi Zapolią! — Chciał gniewem buchnąć Filipowski, ale go powstrzymał Cikowski. Zmilkł więc i użalił się ojcu Zamojskiego, któren uwzględniając zacność Filipowskiego — zgromił syna.

Hoziusz kardynał, bacząc, że przez upadek Jedynobożan wzmocniliby się Kalwini niepotępieni wyrokiem, udał się do posła papieskiego i do panów katolickich przekładając, iż lepiej, aby różnowierce pozostali w rozdwojeniu. Poseł papieski kardynał Ruggieri niebawem wpłynął na króla.

Filipowski też zebrawszy przyjacioły udał się do króla, przekładając żal swój, że nań godzi oskarzenie. Zygmunt August rzekł: — „Naród twój i lud twój oddali cię w ręce moje" — i zniósł wyrok dotycznie Filipowskiego.

Lecz nieprzebaczył najzaciętszy wróg nowochrzczeńców Zaciewicz stary, superintendent Kalwinów litewskich. W zgrzybiałej starości przywołan zarządzać zborem krakowskim, w miejsce Paulego i Wiszniewskiego, którzy z Kalwinów przeszli do Jednobożan, kipiał on nienawiścią ku wszem wyznawcom wiary rozumowej i wymyślał na nich co tylko mógł, bezpieczny pod opieką Myszkowskiego, starosty krakowskiego. Bo obadwaj nienawidzili Jedynobożan.

Myszkowski wróciwszy z sejmu jął się odgrażać wykonaniem rozkazu królewskiego przeciw Nowochrzczeńcom...

Zaciewicz zaś bacząc, że prawo niedosięgnie Filipowskiego, brał się na sposób sobie właściwy. —

Filipowski bratanicę swą wydawał za Gnojeńskiego Krzysztofa. Na wesele (do Krzęcic?) zjeżdżali się goście, między nimi Pauli Grzegorz, Bieleński

Daniel i inni kaznodzieje ariańscy — a mieszkający w domu Filipowskiego, Budzyński dostarczał potrzeb wszelkich gospodarczych. Ślub miał się odbyć wieczór o godzinie 18tej na całym zegarze.

O godzinie 14tej zaś w Krakowie w zborze kalwińskim z kazalnicy opowiadał stary i zaciekły Zaciewicz: Że jednobożanie są Adamitami nowochrzczeńcami, że nabożeństwa odprawiają nago wzorem Adamitów, wytępionych ongi przez Hussytów... Że właśnie taka uroczystość odbędzie się u Filipowskiego, któren nowożeńców nagich pod drzewem jałowcowem wystawi na widok ludzki!..

Między słuchaczami powstała zgroza oburzenia, bo nikt nie wątpił w prawdziwość słów kaznodziei, którego Kalwini powszechnie zwali „starcem czcigodnym“. Rozgłos bajki złośliwej odbił się o miasto całe aż do biskupa krakowskiego i króla samego. Pospólstwo jęło się jątrzyć i odgrażać.

Prowanna Prosper, Włoch, kupiec uczciwy uwiadomił o tem Filipowskiego. List czytano gościom weselnym, niemogąc się wydziwić przewrotności zawistnej.

Budzyński właśnie mając oddać czynsz biskupowi Padniewskiemu udał się doń. Biskup pyta go, a dowiedziawszy się prawdy rzecze: — „Widzisz! toć to nie katolicy moi, lecz ewangelicy twoi tak prawią o was! — Jakże wierzyć nauce, skoro kaznodzieja tak kłamie?“ Kalwini jednak niepoprzestali rozszerzać wieść o Adamitach, oburzając umysły łatwowierne. Starosta też, Myszkowski srożył się na nich, a mianowicie na Paulego, niemogąc mu przebaczyć śmiałe ono występowanie przeciw nauce o Trójcy świętej.

Pauli nie dowierzając umknął wcześnie.

Umykali się i Arianie drudzy, kędy mogli. W Iwanowicach zgromadził rozpierzchłych Bielański Maciej (*Albinus*).

W Krakowie zaś w domu Filipowskiego zbierał ich do modlitwy Budziński, dodawał odwagi, napominał do cierpliwości, dopokąd burza nie minie.

Trwoga niebyła płonną, boć Kalwin spalił Serweta. A tu prawo miecza dzierżył nienawistny Myszkowski.

Rozkazu królewskiego niewykonano.

W Bieczu od lat kilku zamieszkało trzech biednych braci Jedynobożan. Pleban na mocy rozkazu królewskiego, który przedłożył urzędowi, zarządał wydalenia ich. Stanęli do urzędu, odpierając: Że wcale nie są ani nowochrzczeńcami, ani ariany, ani nowej wiary żadnej niezaprowadzają, obstając przy katolickiej pierwotnej objętej w składzie apostolskim! ani na palec od niej nieodstępują, choćby ich kto na to namawiał przewrotnie. — Więc jako urzędowi bieckiemu posłuszni i wyroku króla nieobrażający, zostawieni w pokoju w mieście.

Boć wyznanie Jednobożan zgadza się z dosłowną treścią składu wiary apostołów — a i ponurzanie dorosłych brane z przykładu Chrystusa. —

Czechowicz niepoprzestał apostołować ponurzania dorosłych dla utwierdzenia ich w wierze, i nie bez skutku.

Niemojewski Jan herbu Szeliga sędzia ziemski inowrocławski, był zwolennikiem Kalwina — równie jako i brat jego rodzony Jakub chorąży inowrocławski.

Otóż Jan sędzia, przekonan od Czechowicza, porzucił urząd swój sędziowski jako niezgodny z zakonem Chrystusa, uwierzył w Boga jedynego, dał się ponurzać i stał się znakomitym obrońcą nauki Rakowian. Niebawem r. 1566 wydał o tem dzieło obszerne, nieszczędząc przymówek osobistych.

Brat jego Kalwin nieprzegadany, odpowiedział mu księgą: „O jedności boskiej! — przeciwko ariańskim błędom...“

Więc też Kalwini drudzy poszli w zapasy z panem Janem. Prasnowicz z proboszcza poznańskiego kaznodzieja kalwiński, wystąpił do sporu, lecz nie sprostał. Rzecz obiła się o uszy samego Kalwina, któren stanął w obronie jego. Niemojewskiemu Janowi zjednało to sławę u Nurków.

Czechowicz samosiódmy wrócił z Kujaw do Lublina, namawiając ludzi wiela do ponurzania rozumowego, poprzedzonego nauką wiary i pokutą. —

Filipowskiego niedola nieskończyła się jeszcze!

Pobożny on człowiek radby był zgodzie w łonie kościoła swego, a tu widział tylko niejedność i swary namiętne. Zgadał się o tem z Mundiuszem, rajcą wileńskim, któren z pobożności pątniczył po świecie i niemógł się nachwalić pobożności „Braci morawskiej“, między którymi przebywał kilka tygodni. Pochopny do uniesień Filipowski zmówił się z Schomanem kaznodzieją ariańskim i pojechali do Moraw między oną brać pobożną. Przyjęci uczciwie zagaili rozmowę pobożną o Bogu jedynym. — Ale „Bracia morawscy“ równie jako i „czescy“, wiarą zbliżeni do Kalwinów, wierzyli w Trójcę świętą a nie w Boga jedynego, więc obrażeni lżyli ich poganami, nie chrześcianinami... i oburzali się na nich. — Filipowski z Schomanem musieli się wynosić co tchu. —

Pauli i Czechowicz niepoprzestali pisać księgi w obronie ponurzania dorosłych i jedynobóstwa.

Superintendent Lutrów wielkopolskich, *Caper Jan*, rozumowaniem jednobożan przekonany, jął chwiać się w swej wierze. Więc na synodzie luterskim w Poznaniu złożon z urzędu swego... przeszedł później do jednobożan.

R. 1565. W Lusławicach nad Dunajcem zbór ariański wzniesiony, stał się pieleszą jednobożan, których dzieje dalsze należą do dziejów Sądecczyzny.

Widzenie.

(W 30. rocznicę styczniowego powstania.)

Wśród pól srebrzystych, wonnych łąk
[zieleni,
Wśród blasku jasnych słonecznych
[promieni,
W tęczy różanej pozłocistej zorzy
Maleńka chatka bieliła się z dala. —
Ja szedłem drogą. — Znużony, zmęczony,
Za swą Ojczyzną biedną utęskniony.
Ujrzawszy chatkę i zielone morze
I jasne słońce — westchnąłem: „O Boże!
„Czy mnie nie myli własnych wspomnień fala?
„Czyli to senne tylko przywidzenie?
„Czy to sny złote, czy złote marzenie?
„Toż moja chata widnieje tam zdala!
„Chata ojczysta! — tak, to moja chata!
„Jaka ją śnieżna, czysta zdobi szata,
„Jak gdyby puchem srebrzystym jaśnieje!...
„Więc się spełniły już moje nadzieje!
„Więc jeszcze moja nie zagasła gwiazda!
„Po latach tylu męki i niedoli
„Wracam już wreszcie z sybirskiej niewoli!
„Wracam, choć jeszcze nie zgojone blizny,
„Wracam, choć głowa biała od siwizny!“

Pomnę, jak dzisiaj, kiedy jeszcze laty
Młodymi żyłem, a uczuć mych kwiaty
Płonęły barwą młodzieńczą i żywą,
A dusza była i rzewną i tkliwą!
Serce Ojczyznie tylko poświęcone, —
Wówczas to zewsząd umysły zmącone
W wir walki w szale strasznym się rzuciły, —
I choć Ojczyznę i siebie zgnębiły,
Lecz święta sprawa walczyć za Ojczyznę!
I ja też w gronie walczących stanąłem

Wrogom naprzeciw, śmiałem, dzielnem czołem;
I ja odniosłem tam niejedną bliznę,
Bo i ja także kochałem Ojczyznę!
Kochałem Matkę Drogą Ukochaną,
Kochałem sercem i duszą i ciałem!
I oto od tej Matki mnie porwano,
I oto za nią tyle lat bolałem!

Tam wśród sybirskich śnieżyc i zamieci,
Tam, gdzie dziś jeszcze tyle jęczy dzieci
I starców wątłych — jam przez lat trzydzieści
Przeżył w cierpieniach nędzy i boleści! —
Lecz dziś już moje skończyły się bole,
Dziś swą ojczystą ziemię krokiem mierzę;
Tak, to Ojczyzna moja, ja w to wierzę,
Wierzę w to silnie, nikt mi nie zaprzeczy!
Już się skończyły nędze i niewole,
Już mnie żelazo nie tnie, nie kaleczy, —
Prysnął już łańcuch i pękły kajdany,
Któremi tyle lat byłem związany
I do lodowej tam przykuty skały!
Dziś się już wszystkie więzy zgruchotały!
O! jam dziś wolny! używam swobody!...
A choć nie jestem, tak jak dawniej młody,
Młodość się w myślach i wspomnieniach budzi; —
O! moje serce wszak się dziś nie łudzi!
A chociaż nieraz miałem sny, marzenia, —
Dzisiaj to żadne nie są przywidzenia!...
To Polska moja! a tam moja chatka!...
A w chatce pewnie są ojciec i matka...
O! muszę spieszyć, — może jeszcze żyją....
Krew mi drga w żyłach, wszystkie pulsy biją...
Muszę iść prędko... przywitać się z nimi...
Raz już — och! raz już na ojczystej ziemi
Spocznę — znużone kości na niej złożę!....
. . . .
Lecz cóż to? ciemno!?....
O, Boże mój, Boże!
Toż ja do skały wciąż jeszcze przykuty,
A na mem ciele łańcuchy i knuty!...

W Styczniu 1893.

Olga Lissówna.

Oj kobiety! kobiety!

MONOLOG.

(*Edward stoi u drzwi otwartych — kłania się niby za odchodzącą osobą, której nie widać, wreszcie zamyka drzwi i mówi:*)

Poszła do przyjaciółki. Wypowiedziała mężowi wojnę na czas nieograniczony i czeka, aż on wywiesi białą flagę pokoju — to znaczy — zapłaci sążnisty rachunek modniarki lub krawcowej i i i... resztę pozostawiam waszej domyślności.

Przyjeżdżam wczoraj — moja siostrunia nadąsana — on nachmurzony pracuje w swoim gabinecie i ledwie ma czas siąść z nami do obiadu — potem przeprasza i wychodzi. No, gdyby za kulisy, do orfeum i tam dalej — miałaby prawo się dąsać! Ale on idzie zbierać sylwetki do swoich powieści. A co innego, moje panie, pisać romanse, a utrzymywać romans. Już na te wszystkie Marylle, Stasie i Zosie trzeba się koniecznie zgodzić — choć co prawda, że żonie przyjemnem to być nie może. Jeśli Fidjasz zakochał się w swoich posągach, czemużby i powieściopisarzowi nie wolno było rozmiłować się w swoich Zosiach i Stasiach?

No, ale trudno! Co prawda, byłoby lepiej, gdyby poeci, literaci, artyści nie żenili się wcale. Wy, moje panie, jesteście jak Bóg żydów, bogiem zazdrośnym i nie pozwalacie czcić kogokolwiek prócz was. To też mówiłem siostrze: „Pamiętaj, że pożałujesz swego wyboru.“ Zgniewała się na mnie.

Byłem świadkiem wielu małżeńskich scen — no nietylko w tym domu, mam dziesięciu kolegów żonatych, niestety!

Pani mdleje, jak gdyby grała na scenie rolę pierwszej amantki — a pan bębni palcami o szyby — jeśli delikatniejszy — pali cygaro, na którem, gdyby je z ust wyjął, znaćby było wszystkie cztery

przednie zęby. A świekra, ciotka i kuzynka wołają: „tyranie bez serca, ukorz się, przeproś, jesteś winnym.“ No, bo wszyscy mężczyzni w takich wypadkach winni.

Oj kobiety! kobiety! Gdy pomyślę, w jaki to sposób tracicie miłość i szacunek swoich mężów, zakłócacie spokój domowy, burzycie szczęście małżeńskie — chciałbym koniecznie coś zrobić, aby was poprawić. Zastanawiałem się już nad tem, aby jako poseł wystąpić w Radzie Państwa za założeniem szkoły żon. Ale boję się was, moje piękne panie! Gotoweście, zalać mi oczy witryolejem.

Prześladuje mnie jednak jakaś złośliwość losu, Kiedy odwiedzam żonatych kolegów, myśl o szkole żon wraca uporczywie i tłócze się po moim mózgu jak Marek po piekle.

Przed miesiącem odwiedziłem Feliksa. Ożenił się przed pięciu laty, byłem nawet na jego ślubie. Co to za lube dziewczę, ta jego Andzia! A strojnisia! Myślałem, że będzie zalotną i zrujnuje męża na stroje. Szczęściem wyszła za mąż uczciwie, z skłonności serca, a choć na dzierżawie siedzą, to przecież dochody mają znaczne. On gospodarz zawołany, przytem światowiec pełen grzeczności i estetycznych nawyknień. Ale Andzia! Co z tej kobiety się stało! Byłbym nie uwierzył, gdybym na to nie patrzał własnemi oczyma. Dawniejszej elegancji ani śladu! Źle uczesana, w brudnym szlafroczku, w przydeptanem obuwiu — dreptała ze spiżarni do kuchni, z kuchni do stajni, z stajni do kurnika z taką wytrwałością, że wprawiała w podziw mnie, wygodnego mieszczucha. Pytam o powód tej wytrwałości niezwykłej — nie śmiałem powiedzieć otwarcie, że mnie dziwi jej zaniedbanie a ona odpowiada: „gospodarstwo.“ Uśmiechnęła się przytem, jak nieszczęśliwa ofiara małżeńskiego ogniska, na którem spłonęła dawna jej swoboda i elegancja. Spojrzałem na Feliksa. Miał na sobie szare, płócienne ubranie, bieliznę czystą, krawat zapięty z tą samą estetyczną niedbałością, jak i za kawalerskich czasów. Zabawiłem u nich kilka dni i zauważyłem, że pani ani na chwilę

nie wychodzi z roli ofiary, a pan choć dla żony grzeczny, żałuje, iż się ożenił i jeśli nie ucieka od żony, to nie czyni tego przez wzgląd na nią, ale dla dzieci, których ona jest matką. „Edwardzie — rzecze do mnie — na miłość Boga! nie rób tego głupstwa i nie żeń się. Szczęśliwyś bez tej kuli u nóg! Wolny, jak ptak!“

No, moje piękne panie, cóż wy na to? Macie najpiękniejsze uśmiechy, najmodniejsze fryzury, najlepiej skrojoną suknię, najzgrabniejszy bucik, kiedy pokazujecie się waszym narzeczonym, kochankom, przyjaciołom waszych mężów. Nawet lokajowi waszych przyjaciół nie pokazywałybyście się w tym brudnym szlafroczku, w jakim was widzi mąż przez większą część dnia. Dla niego wasze łzy, kiepski humor, przydeptane buciki i zburzone włosy.

Oj, kobiety! kobiety! Gdybyście chciały pamiętać o tem, że wraz z ślubnym pierścionkiem nie zyskujecie przecież zaślepienia męża, nie pokazywałybyście się mu w brudnym szlafroczku i przydeptanych bucikach. — Przed ślubem miłość go zaślepia, przypina wam skrzydełka anioła — czy staracie się o to, aby jak najpóźniej, a lepiej nigdy waszych błędów nie spostrzegł? Nie! Już w dwa tygodnie po ślubie nie krępujecie się wobec męża niczem — skrzydła opadają — nie ma motyla — została tylko poczwarka! Mąż wyrzeka na to, że się ożenił, a wy panie płaczecie i oskarżacie mężów o niewierność, obojętność i wszystkie inne ości małżeńskich rozkoszy.

Macie także zwyczaj, moje piękne panie, nudzić męża waszemi gospodarskiemi kłopotami i nie wierzycie, że go to niecierpliwi i niesmak mu sprawia. Jesteście wrażliwe na każde zimniejsze słowo mężowskie, a nie zawsze chcecie lub umiecie odczuć co go dotyka. Narzucacie mu się wtedy właśnie, gdy zajęty, lub mocno rozdrażniony, a potem wyrzekacie na jego nieczułość. Dziwne z was istoty, moje panie! Staracie się o to, by mąż miał w domu wygodę, kuchnię smaczną, bieliznę pięknie wypraną — a dla ducha co czynicie? Kto temu winien, że wasi mężowie spędzają wieczory w klubach, knajpach i

orfeach? Czemu nie przykuwacie ich do siebie siłą ducha waszego? Czemu nie staracie się stworzyć dla męża w rodzinie tyle duchowej rozkoszy, aby nie tęsknił za knajpą?

Oj, kobiety! kobiety! Uczycie się fizyki, geometrji, psychologji, fizjologji i różnych innych logij, ale nie uczycie się, jaką trzeba być żoną, aby po ślubie mąż nie uważał małżeństwa za kulę, u nóg galernika przykutą.

(Przestaje mówić, słucha, zbliża się ku drzwiom, prowadzącym do dalszych pokojów, odchyla firanki, patrzy w głąb, wreszcie wraca i mówi:)

Parka w domu! Zapewne spotkali się na ulicy i razem wrócili. Widocznie moja siostrunia pozwoliła, by mąż ją przeprosił. Nie wiem, o co jej więcej chodziło? Czy o Marylle i Stasie, czy też o to, że mąż nie chciał zapłacić sążnistego rachunku modniarki. — Nie będę im przeszkadzał. Siedzą w rozkosznem tête-à-tête i gruchają jak para gołąbków. Gotówem uwierzyć, że sceny małżeńskie, jak burze w przyrodzie są koniecznie potrzebne. Byłoby to coś niepospolitego, gdybym się nawrócił! (Przechadza się, wyjmuje list z kieszonki tużurka i czyta:) „Znam zasady pana — ale to mnie nie odstrasza — pragnę dowieść panu, że znajdujesz się na fałszywej drodze. Jeśli Cię zobaczę skruszonego, tryumf wtedy po mojej stronie — czego innego niespodziewam się, bo nie chciałabym pana nazwać moim mężem.“ (Składa list i chowa.) Pachnie to emancypacją — a ja emancypantek nie cierpię. To fatalne, że te kobiety w niczem miary zachować nie mogą. Albo to są gąski i lalki, które małżeństwo uważają za asekurację na życie wygodne — albo istoty dwupłciowe z nienasyconą ambicją, zarozumiałe pedantki z Bucklem lub Schleglem pod pachą. Okropne istoty! Malarki, poetki, nowellistki, telegrafistki, ekspedytorki pocztowe, doktorki, introligatorki nawet. Istna szarańcza! Jedenasta plaga egipska! Brrr... Wybierajże tu człecze! Czy dojrzysz duszę kobiety? Jedne szczebiocą o kwiatkach, kanarkach, pieskach, koncertach, zabawach, drugie rozprawiają o ekonomii społecznej i socjalizmie.

Do jakichże istot należy panna Wanda, która tak śmiało rzuciła mi w oczy rękawicę? Wiem, że do kategorji gąsek, ani lalek nie należy; ale obawiam się, czy nie jest zanadto samoistną. Chce mnie nawrócić i pewną jest wygranej. Ma lat dwadzieścia trzy, śliczną kibić, rozkoszne usta, czarujące oczy, grecki nosek, cerę Angielki, wdzięki Diany, a ponadto 50 tysięcy posagu! Walczcie tu z taką kobietą! (Pauza.) Knajpy, orfea, aktorki, kokotki — ach — mam ich do syta! Gospodyni okrada mnie haniebnie i gotuje coraz gorzej — widocznie chce mnie otruć. (Przesuwa ręką po głowie.) Łysina staje się niedyskretną. (Przesuwa rękami po tużurku.) Krawiec powiedział mi dopiero wczoraj, że zaczynam tyć. Berek wyznał mi onegdaj wśród setnych ukłonów, że żydki stracili ochotę do pożyczania pieniędzy na 28%. Jakże tu zachować dawne zasady? W dodatku przeznaczenie postawiło mi w drodze pannę Wandę, której rączka warta 50 tysięcy. (Wyjmuje zegarek, patrzy na wskazówki i mówi:) Za dwadzieścia minut będę klęczał u nóg Wandy. (Chwyta za kapelusz i chce odchodzić, ale wraca i mówi do publiczności:) Śmiejecie się moje panie, ale kto temu winien, że zrobię głupstwo? Od stworzenia świata aż po dzień dzisiejszy zmuszacie nas, byśmy łamali nasze przysięgi, nie dotrwali w zasadach i przyjmowali z waszej rączki owoc zakazany, po którym gorżko pokutować musimy. Wygnani z raju pracujemy w pocie czoła na wasze fioki, koki i tuniki. Oj, kobiety! kobiety! jesteście aniołami, tylko nie dla waszych mężów! Gdy sam zrobię to doświadczenie, przysięgam, że nie powtórzę tego głupstwa po raz drugi, choćbyście mnie miały ukamienować moje panie, przemawiać będę w Radzie Państwa za szkołą żon! (Patrzy na zegarek.) No, a teraz do panny Wandy! Broniłem się długo, no, ale trudno. „My rządzim światem, a nami kobiety!“ Niestety! niestety! (Wychodzi.)

Gawrzyłowa, w Czerwcu 1894.

Aniela Korngutówna.

HEJ BOŻE!

Przeznaczeń gnan ręką od kraju gdzieś w kraj,
Samotny wędrowiec wałęsa się; gaj
Roztacza się przed nim, nęcący zielenią.
On duma a barwy na twarzy się mienią.
Z przyrodą wesela on dzielić nie może.
Hej Boże!
Dumało się; ziemski w dumaniach nikł byt,
Lecz nigdy dumania nie spełnił się szczyt.
A teraz zapatrzon w przeszłości dnie sławy,
Wędrowiec znów marzy a wzrok jego łzawy —
Bo patrzy w bezdennej przepaści rozdroże.
Hej Boże!
Krew darmo płynęła, walecznych rąk cud
Nie zbawił Ojczyzny, w rozterce dziś lud;
Zagnieździł się nieład i rozstrój głęboki
Panuje, lud swoje uśmierca proroki:
Zadumał się pielgrzym i westchnął w pokorze:
Hej Boże!
Gdzie światło? gdzie promień, co doda mu sił?
Gdzie zdrój ten, co z twardych wytrysnąć ma brył?
Iskierka zagasła, nadzieja wymarła.
Na czyny olbrzymie za słaba pierś karła.
Kto ziemię pod zasiew przyszłości zaorze?
Hej Boże!
I jakże tu dźwignąć w obczyznie lud swój?
Jak z skały żywota wykrzesić mu zdrój?
Zadumał się pielgrzym i wzrok rzuca łzawy:
Wtem promień przenika przyszłości czas mgławy
I świeci mu w oczach, aż przejrzał w tej porze.
Hej Boże!
Gdzie jesteś, tam kraj twój, gdzie jesteś, tam lud —
Rozbitków w ich wierze umacniaj, czyń cud;
Imieniem tej Polski przemawiaj do tłumu,
Co kraju niepomny, usłucha rozumu

Odstępców, co ostrzy na braci swych noże.
Hej Boże!
Wypadków znienacka nie porwie cię toń,
Ojczyzna cię wzmocni i poda ci broń,
Byś wyrwał więzionych duchowo z pod kraty
I ogrzał ich blaskiem promiennym oświaty,
A wtedy się naród upadły znów zmoże.
Hej Boże!

Sambor, 2. Marca 1894.

G. Kohn.

Bibliografia.

a) Gazety i czasopisma — wydawnictwa Kościuszkowskie.

[Gazeta Samborska, wychodząca dwa razy na miesiąc pod redakcją Stanisława Stefanowskiego w Samborze. Rok I. 1894. Nry 1—18.]

Rok Kościuszkowski we wszystkich dziedzinach kraju zbudził ruch umysłowy zdwojony. Gdzie dotąd nie było pism albo gdzie istniejące dotychczas — upadły, tam na ich miejscu powstały nowe a stworzono pisma tam nawet, gdzie dotąd nikt o takiem piśmie lokalnem pojęcia nie miał. Prawie równocześnie z „Głosem Podolskim“ w Tarnopolu, powstała także w Samborze, gdzie dotąd oprócz moich roczników — żadne lokalne pismo nie istniało — „Gazeta Samborska“. Odznacza się ona tonem umiarkowanym i zajmuje się głównie sprawami miasta i powiatu.

[Satyr, z dodatkiem „Pamiętnika powszechnej Wystawy krajowej“, pod redakcją Józefa Hieronima Rychtera. Lwów—Kraków, 1894].

Pismo to, podczas trwania Wystawy krajowej przeniosło się chwilowo z Krakowa do Lwowa i stało się poniekąd jednym z organów ubocznych wystawy. Obok zwykłych w każdem piśmie humorystycznem dowcipów, umieszczał „Satyr“ od czasu do czasu wizerunki i biografje członków Dyrekcji Wystawy albo też pojedynczych wystawców. Po zamknięciu wystawy pismo to znikło mi z horyzontu literackiego i nie wiem, czy jeszcze istnieje albo czy przypadkowo do innego miasta nie zostało przeniesione.

[Djabeł krakowski, pod redakcją Emila Borkowskiego w Krakowie. Rocznik 26. 1894.]

Starodawnym trybem i „Djabeł“ żywot swój djabelski dalej pędzi. Zdarzenia i obroty narodowe z ubiegłego roku i nad nim nie przeszły niespostrzeżenie. To nie daje mu spokoju kwestja teatru krakowskiego, to porusza go do działania sprawa polska w Prusiech lub Kongresówce, a i lwowska wystawa znalazła w „Djable“ oceniciela nie zbyt pobłażliwego lub czołobitnego. Wyborna jest satyra, streszczona w formie fejletonu o „Pawciu Durnickim na zjeździe literackim podczas wystawy lwowskiej.“ Dwie rzeczy muszę jednak doradzać jak najusilniej redakcji. Niech „Djabeł“ nas nie obdarzy „djablikami“ i niech — przyjmując ten lub ów patrjotyczny wiersz — dobrze uważa na to, aby się końcówki wierszów niepatrjotycznie nie kłóciły z zasadami prawdziwej poezji.

[Gazeta Polska Czerniowiecka pod redakcją Klemensa Kołakowskiego w Czerniowcach, 1894, 1895. XII. i XIII. rocznik w ciągu dalszym].

Organ stronnictwa polskiego na Bukowinie, które ostatniemi czasy urosło do rozmiarów znacznych — wychodzi i nadal pod temi samemi, jak i dotąd warunkami. Co się tyczy misji politycznej wydawnictwa, to wystarczy, jeśli nadmienimy, że przy reprezentacjach i manifestacjach narodowych nie brakowało nigdy osoby redaktora jako uczestnika; że Polonia bukowińska a razem z nią i pismo zastępujące jej interesa, święciły jubileusz narodowy przy licznym udziale gości w Czerniowcach w Maju ubiegłego roku; że redakcja „Gazety Polskiej“ repre-

zentowaną była na wystawie lwowskiej a także na drugim zjeździe literackim, który się odbył we Lwowie w Czerwcu 1894. Ponadto mieści oprócz politycznych artykułów pismo także bogaty dział fejletonowy, zwłaszcza często gęsto zasilany pracami Teofila Szumskiego, Walentego Ćwika i Anieli Korngutównej. Niezła jest bluetka tejże: „Na nową nutę“ — choć obrabia temat nie nowy, zanadto często nawet obrabiany. Większe o wiele znaczenie przywiązujemy już do szkicu powieściowego: „Wyklęta“, który tytułować raczej możnaby jako: „Chybiony zawód“, gdyż w formie bardzo przystępnej ludowej powieści opisuje dążności i marzenia młodego Wojtka Bulandy, który — mimoto, iż pierwotnie na księdza się wyświęcić miał, widocznie zawodu swego chybił, gdyż zakochał się na zabój w córce nauczyciela, w uroczej Handzi i w konflikcie uczuć i obowiązków zginął ręką bratobójczą brata Władysława Bulandy, nie zdjąwszy klątwy z zaklętej za ciężkie przewinienie kościelne gminy. Powieść ta, lekkim stylem a przecież bardzo zajmująco napisana, nosi na sobie wszelkie cechy dobrej powieści ludowej. „Gordyjski węzeł“, sztuka w pięciu odsłonach, napisana również przez Korngutównę a omawiająca kwestję przejścia na inną wiarę, mimo barwnego języka, nie przemawia nam jednak ani do serca, ani do przekonania literackiego. Bezwarunkowo stoimy po stronie rodziców Adeli, pary żydowskiej: Horna i Rechi; bezwarunkowo powtarzamy za Adelą: „Ach, jak to okropnie wyrzec się wiary swych przodków — nie wierzyć, w co oni wierzą — nie czcić, co oni czczą“ — a potępiamy Adelę za odstępstwo podłe od wiary żydowskiej, tem podlejsze, że nawet niepotrzebne i dla pozoru tylko nędznemi sofizmatami upiększone. Tekst zanieczyszczają dwie pomyłki, z których jedna być może, że jest wynikiem błędu drukarskiego (wydrukowano bowiem: „Robisz pan wrażenie komendyanta“ zamiast: „komedjanta“), drugą jednak bezwarunkowo musimy składać na karb autorki: „Jestem dawną znajomością Pani“ — to germanizm, zastępujący bardzo niezręcznie właściwszy o wiele wyraz: „dawnym znajomym“.

Od siebie dorzucam uwagę, że „Roczniki Samborskie“ pierwsze pannę Anielę Korngutównę w świat literacki wprowadziły. Miała powodzenie: dostała się w jak najkrótszym czasie do pism krakowskich, lwowskich, warszawskich, gdańskich i innych. Teraz ma się okazać zbiorowa edycja jej dzieł w Poznaniu. Życzymy jej szczęścia i powodzenia, na które zasługuje z powodu pracowitości swojej i energji a spodziewamy się, że jeszcze nieraz wypadnie nam, zmiankę o niej nakreślić.

W chwili, gdy to piszemy, stosunkowo nie wiele jeszcze okazało się numerów 13go rocznika na rok 1895. Podnosimy więc tu chyba ten jeszcze szczegół, że Polacy na Bukowinie, dążąc do większej niż dotąd samoistności, za przykładem swoich braci na zachodnich kresach już także zbieraniem składek na mający powstać w Czerniowcach „dom polski“ się zajmują, fejleton pisma zaś jak dotąd traktuje bądźto naukowo-literackie, bądź belletrystyczne temata, a z fejletonów dotychczas umieszczonych, wyszczególnia się Melanii Parczewskiej z Kalisza opowiadanie: „Ciotka Rózia.“

[Tadeusz Kościuszko. Jego życie i czyny. W setną rocznicę powstania Kościuszkowskiego napisała Aniela Korngutówna. Gdańsk. Drukiem i nakładem B. Milskiego. 1894. Dwunastka. 48 stronic.]

Rzecz ta przystępnym stylem napisaną została przez autorkę, co stanowi główną jej zaletę. Wśród powodzi najróżnorodniejszych prac o Kościuszce — trudno tę nazwać najlepszą, najbardziej wyczerpującą nie jest ona także — ale ma pewne zalety, kwalifikujące ją bezwarunkowo do ludowego opowiadania.

[Gwiazda narodu polskiego i całej ludzkości. W stuletnią rocznicę powstania Kościuszki napisał Franciszek Kozdraś. Cieszyn, 1894. Nakładem Edwarda Feitzingera. Cena 20 ct. Część dochodu przeznacza się na korzyść Macierzy szkolnej i Domu narodowego w Cieszynie. 39 numerowanych stronic. 12stka.]

Przyzwyczailiśmy się od dawna, z pewnem niedowierzaniem spoglądać na wydawnictwa „ludowe“

p. Feitzingera. Tytuł i treść wystarczyły zarówno, aby wszystkie jego wydawnictwa gruntownie zdyskredytować. W ostatnich czasach widzimy i pod tym względem zwrot. Między przeważającą liczebnie plewą piśmienniczą okazują się od czasu do czasu prace dobrze streszczone z kierunkiem rzeczywiście ludowym, patrjotycznym. Nie wystarcza to wprawdzie na usprawiedliwienie śmiecia literackiego, wiadomo nam bowiem, że Anglicy gwoli zbawienia dusz pogańskich wieźli im pismo święte a gwoli własnego interesu — bożki! To też prosimy p. Feitzingera jak najusilniej, aby nam nie skąpił słowa bożego, a bożki — naśladując przykład króla Mieczysława — niech poświęci na całopalenie.

„Gwiazda narodu polskiego“ należy do książek ludowych lepszej kategorji; to też pozwolimy sobie, bodaj krótką o tem dziełku uczynić wzmiankę. Dziełko p. Kozdrasia nosi bez zaprzeczenia na sobie piętno dziełka ludowego; bardzo zrozumiale wedle pojęcia włościańskiego napisane, obznajamia na samym wstępie czytelnika z głównemi przyczynami upadku Polski i czyni wnioski ztąd wynikające.

Barwnie a nawet bardzo wyczerpująco opisuje autor dla swoich wiejskich czytelników wszystkie zdarzenia wybitniejsze z życia Kościuszki, tej „gwiazdy narodu polskiego“. Do urozmaicenia całości przyczyniają się wielce pieśni i nuty, dołączone do tekstu. Bardzo piękny jest załączony na str. 37 wiersz Aleksandra Boruckiego pt. „Tadeusz Kościuszko.“

Mylnie informuje jednak autor czytelników swoich, jeśli Australję nazywa starym światem dla odróżnienia od Ameryki (patrz na str. 35).

[Słowo o roku Kościuszkowskim i jego idei. Mowa ks. Wojciecha Bieli, wypowiedziana w Samborze w „Sali gimnastycznej“ dnia 31. Marca 1894. Sambor, 1894. Nakładem „Gazety Samborskiej“ a czcionkami Schwarza i Trojana. Mała ósemka. 27 stronic].

Idea demokratyczna, idea ludowa jest rodzicielką a oraz i krzewicielką wszelkiego postępu: ona budzi ducha, ona zrównuje stany. W tej idei podjęte

powstanie Kościuszkowskie choć rozbite pod Maciejowicami, przetrwało zgon doczesny i stało się bodźcem dla dalszych idei i dążności patrjotycznych na przyszłość.

W pięknej, ustępami nawet świetnej mowie wykazuje ks. Biela na podstawie dat historycznych, jakie znaczenie ma ten rok i jakaż to idea, ta idea Kościuszkowska.

b) Książki pamiątkowe i roczniki.

[Jubileuszowe wydanie „Szkoły“ z 14. Lipca 1894. Format mały in quarto. 32 stron.]

Pióra kilkudziesięciu autorów i autorek złożyły się na treść tego nadzwyczaj zajmującego wydawnictwa, ozdobionego portretami wszystkich prezesów Towarzystwa pedagogicznego. Z pomiędzy prac prozą uważam za bardzo trafny szkic Dra Karola Benoniego pt. „Pilni — niepilni“. Dobre są też zdania prozą i aforyzmy Jerzego Harwota, Karola Falkiewicza, Józefa Dobrowolskiego, Juliana Fąfary, Olgi Modzelewskiej i innych; zdanie zaś Antoniny Machczyńskiej wyszczególnia się tylko zupełnie chorobliwem i spaczonem pojęciem stosunków rodzinnych. Jeśli bowiem autorka twierdzi, że kobieta powinna mieć wyższe wykształcenie, aby w danym razie syn nie pogardzał matką, nie znającą się na matematyce lub łacinie — to dodamy od siebie, iż taki syn nie godzien był by, żyć na ziemi i przytoczymy przykład historyczny o owym papieżu, który swego ojca chłopa i nieuka z największem przyjmował uszanowaniem dla tego, że to jego ojciec. Historja nie dodaje, że ów chłop zdał egzamina państwowe, aby zdobyć szacunek synowski. Znakomity artykuł pedagogiczny pt. „Dwie ważne a pilne sprawy“ podał sam redaktor, p. Mieczysław Baranowski, a zarys dziejów Towarzystwa pedagogicznego nakreślił obszernie i wyczerpująco starszy brat redaktora, p. Bolesław Baranowski.

Z poetycznych próbek wydawnictwa uważamy za lepsze wiersze Władysława Bełzy, Juliusza Star-

kla i Franciszka Waligórskiego; wiersz Adolfa Stronera natomiast niekoniecznie przypada nam do gustu. Szczególnie trywialną i prozaiczną jest zwrotka:

„Zlatujecie — jak Sokoły —
By odpocząć n i e c o s o b i e!“

Wydawnictwo jubileuszowe w całości, w której nie brak także niektórych ruskich prac a nawet nut polskich do słów Kornela Ujejskiego — dosyć korzystne wywołuje wrażenie, gdyż nawet usterki, przez nas wytknięte, z małemi wyjątkami nie do pierwszorzędnych należą.

[Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Wielka ósemka. XXIV. Rocznik. Stronic 559. Wiedeń, 1895. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni w Wiedniu. Cena $2^1/_2$ złr., w oprawie 3 złr.]

Znany ten w szerszych kołach rocznik stoi obecnie w przededniu jubileuszu swego. Redakcja starała się z tego powodu już teraz o większe urozmaicenie pisma; szeroka zaś rubryka poświęconą została pamięci umarłych. Mniej lub więcej udatne wspomnienia poświęcono też pamięci Betty Paoli, Mackarta, Nissla, Lenartowicza; zagrobową nutą brzmią pozostałe po św. p. Drze Franklu wiersze, a głęboką melancholją i nieubłaganą prawdą życia owiane są ballady Hansa Falke.

Z powieści oryginalnych wymieniłbym tu na pierwszem miejscu dwie. Są to E. Wahlheima „Krawcowa“ i Mary Cop-Marlety „Pieniądz boży.“ Panna Wahlheim nie nadaje swej „krawcowej“ tytułu powieści, zadowalając się skromniejszym tytułem „studjum.“ Jest to rzeczywiście studjum psychologiczne i najpiękniejsza apoteoza serca niewieściego, które — choć dotknięte w najświętszych swoich uczuciach — umie wybaczać wstrętnej rywalce, garbatej krawcowej Teresie Blümel i pomódz jej do wywalczenia egzystencji niezawisłej a nawet syna Teresy z nieprawego łoża wychować na wielkiego artystę, jak to panna Malwina Planegg, należąca do najwyższej arystokracji, czyni.

Powiastka Cop-Marlety „Pieniądz boży“ odnosi się do praktykowanego u Słoweńców zwyczaju od-

dania przy każdem kupnie lub sprzedaży takzwanych „pieniędzy bożych“ w ręce manszetera czyli faktora. „Pieniądz boży“ nie przeznaczony jednak na zarobek faktorski, ale na ulżenie doli nieszczęśliwych. Ironja losu skazuje manszetera Stanka, tak szczodrobliwego niegdyś we wspieraniu biednych a opuszczonego na stare lata przez tych, którzy mu dozgonną wdzięczność winni — na przyjmowanie „pieniędzy bożych“ od młodszego kolegi. Smutne zakończenie uczciwego dzieła!

„Dioskuren“ mieszczą także w obecnym roczniku przekłady powieści czeskich (Karola Raisa), węgierskich (Antoniny Töply i Arpada Berzika,) polskich (Tristisa); ale o tych jako o przekładach nie będziemy się na tem miejscu rozpisywali.

Do szeregu biograficznych badań należy Włodzimierza Kruka „Ojciec niemieckich skrzypiec.“ Jest to rzecz, poświęcona pamięci Tyrolczyka Jakuba Stainera, niedoścignionego w robieniu skrzypiec o iście czarodziejskich tonach. Autor starał się w tej pracy, rozświecić wszystkie dotąd jeszcze nienależycie wyświetlone okoliczności w życiu sławnego skrzypka, który tem był dla Niemiec, czem Paganini dla Włoch.

Do rzędu literackich studjów należy Hermana Meynerta „Faust i Hiob“, do rzędu pedagogiki ludowej czy raczej dziecięcej zaliczylibyśmy Ferdynanda Grossa studjum „Dziecko w literaturze światowej“ —, rzecz, zaopatrzoną w rozmaite przykłady poetyczne, wzięte z znanych autorów, Dr. Leopold Florjan Meissner, adwokat wiedeński, przyczynił się do urozmaicenia całości jedyną sceniczną pracą, umieszczoną w tym roczniku, a baronowej Bülow-Wendhausen „Odwiedziny w domu stacji ratunkowej we Wiedniu“ przyczynią się może do tego, aby uwagę szerszego ogółu zwrócić na tę pożyteczną instytucję i na filje jej w Krakowie i we Lwowie.

Poetyczne przekłady mieści książka z czeskiego, illyrskiego, szwedzkiego, węgierskiego i włoskiego, a wierszy oryginalnych moc. Na wyszczególniającą wzmiankę zaś zasługują wiersze Anny hr. Pongràcz, Marji delle Grazie, Alfreda hr. Wickenburga, Mar-

cina Greifa, Hansa Falke, Karola hr. Coronini, Ernesta Rauschera i Heleny Migerki.

[Jednodniówka. Rzecz, wydana na budowę gmachu „Sokoła“ w Jaśle. Mała ósemka. 32 stronic. Nakładem i drukiem Ludwika Dyonizego Stœgera w Jaśle, 1894. Cena 20 ct.]

Pióra kilku młodych, ale uzdolnionych autorów jasielskich złożyły się na tę piękną publikację, zaopatrzoną na samym wstępie patrjotycznem godłem:

„Żegluj śmiało nasz Sokole
Ponad ciche Jasło,
Targaj więzy, krusz niewolę,
Nieś wolności hasło!“

Bardzo miłe i dodatnie wrażenie wywołuje ta książeczka. Powstała ona głównie za inicjatywą jednego z falangi tych młodych pisarzy, których w świat literacki wprowadziłem a który teraz na własną rękę życie umysłowe w Jaśle budzi. Niczego nie brak w tem sympatycznem wydawnictwie, czy to nuty poważnej, patrjotycznej, czy też lekkiego humoru i sarkazmu Heinowskiego, czy też oddźwięków zamierzchłej przeszłości, tętniących w „Juracie, królowej Bałtyku.“ Fizyczną niemożebnością byłoby dla nas, streścić suchemi słowami sprawozdawcy tego młodzieńczego czaru poezji, wiejącego prawie z każdej kartki dzieła. Życząc więc zacnym inicjatorom „Jednodniówki“ jak najszerszego pokupu, ograniczę się na przytoczeniu bodaj ostatniego wierszyka, zatytułowanego: „Druhowie — czołem!“

Wiek już spoczywa, Ojczyzna w grobie,
A my z nią męki znosimy społem,
Nie tracąc ducha w znękania dobie —
Druhowie — czołem!

Sztandar jedności nasza drużyna
Wzniosła nad miastem, wzniosła nad siołem,
Więc solidarność już żyć poczyna —
Druhowie — czołem!

Dziś wytrwałości tylko potrzeba,
Ramię z ramieniem, Sokół z Sokołem,
Resztę nam zeszlą łaskawe nieba —
Druhowie — czołem!

Lecz aby dopiąć celu naszego,
Złóżmy przysięgę stanąwszy kołem:
Jeden za wszystkich — ciż za jednego —
Druhowie — czołem!
I ćwiczmy siły, aby w tej chwili
Gdy przyjdzie błysnąć żelazem gołem,
Byśmy Ojczyzny mężnie bronili —
Druhowie — czołem!
A nasz Naczelnik w chłopskiej sukmanie
W niebie nam będzie Stróżem Aniołem,
Macierz się dźwignie i zmartwychwstanie —
Druhowie — czołem!

c) **Książki mieszanej treści.**

[Der letzte König von Polen. Drama in 5 Aufzügen von Philipp Holitscher. Stuttgart. Süddeutsches Verlagsiustitut. Druck ebendaselbst. Mała ósemka. Wydanie ozdobne. 150 stron. Cena 3 marki.]

Autor — jak sam w przedmowie głosi — z najlepszą intencją dla Polski i aby sympatje dla niej wzbudzić, napisał to dzieło. Nie wiem jednak, czy mu się zamiar udał. Pominąwszy to, że dramat tak dalece pozbawiony akcji, iż staje się wprost niescenicznym i tylko do rzędu książkowych dramatów może być zaliczonym —, to i charaktery osób prawie nic nie mają takiego, coby zachwycić mogło czytelnika. Prawie same czarne charaktery, białych jak gdyby nie było, a jeśli są, to występują tak niewyraźnie i lękliwie, że ich akcja niknie formalnie wobec akcji łotrów i intrygantów. Tak streszczony, jak tutaj, byłby „ostatni król Polski“ wybornem historycznem dziełem, wybornym dramatem nie jest on. Zniewieściałe obyczaje i życie dworskie Stanisława Augusta bardzo dobrze odmalowane, intryga zaś, która Klarysę życia pozbawiła, zanadto drobiazgowa, przykra i wstrętna, nie wiem także, czy zapowiedź — nie czyn dokonany — pierwszego podziału Polski tak silnym jest efektem scenicznym, aby nim sztukę zakończyć, jak to autor uczynił. Do zalet tego dramatu zaliczam jednak język literacki czysty

i nieskażony, oraz styl piękny i gładki. Rzecz napisana białym rymem, tzw. jambicznym.

[Walenty Ćwik. Aleksander Morgenbesser, życiorys na podstawie zapisków autobiograficznych, dokumentów, listów, notatek i podań rodzinnych. Czerniowce. Nakładem prywatnym. Odbitka z „Gazety Polskiej“. Czcionkami H. Czoppa w Czerniowcach, 1893. Stronic numerowanych 169.]

Najnowszą tą pracą wzbogacił szanowny autor niepospolicie dział biografij zasłużonych krajowi mężów. Czerpał z źródeł, niekażdemu dostępnych i stworzył całość, która się z wielkiem zajęciem — jak w ogóle wszystkie prace Walentego Ćwika — czyta.

Po krótkim wstępie, objaśniającym czytelnika o początkach rodziny Morgenbesserów, obznajamia nas autor z najsławniejszym jej potomkiem, dziejopisarzem i satyrykiem Aleksandrem Morgenbesserem.

Morgenbesser urodził się 1816 w Jarosławiu, gdzie też pierwsze pobierał nauki. Młodociane jego lata przypadają w epokę najsilniejszej reakcji i prześladowań ducha narodowego, które jednak ani na chwilę przytłumić w młodzieńcu nie zdołały uczucia przynależytości do kraju rodzinnego, za który młody Aleksander od samych początków uważał Polskę.

W latach dziecięcych upatrywał on szczyt swych marzeń w stanie duchownym; podrósłszy cokolwiek i zeszedłszy się z młodzieńcami, jak Reichenberger, Hubel i inni, porzucił tę myśl i pragnął Polsce na innem polu służyć, budząc ducha narodowego. Wkrótce też dał się pociągnąć w wir sprzysiężeń młodzieńczych skończony prawnik. Udało mu się nawet przez czas jakiś omylić czujne oko zwierzchności, ale nie na długo. Po uwięzieniu Smolki, Heferna, Rajskiego i innych przyszła kolej także na młodego Morgenbessera, który się 20. Listopada 1841 pod klucz dostał.

Barwnem piórem opisuje nam autor grozę więzienną, system szpiegowski, prześladowania, którym ulegali najlepsi synowie Polski a które niejednego z braku innych zajęć, po części zaś dla rozprószenia smutnych myśli pchnęły na pole literackie. Tą dro-

gą szedł młody prawnik, a pierwsze jego satyry po części nawet karcące ówczesne stosunki polityczne i społeczne powstały w celi więziennej. W celi więziennej rodziły się pierwsze plany „Obrony Sokołowa“, „Myślącego burmistrza“, ba nawet satyry ciętej na działalność senatu II. lwowskiego sądu kryminalnego dla spraw niepolitycznych.

Po przeszło trzyletniem więzieniu śledczem młody Morgenbesser wyrokiem sądu zostaje na wolność puszczony (21. Stycznia 1845.) Uwolniony z więzienia, ale pozbawiony środków do życia opuszcza młody Morgenbesser Galicję i udaje się na Bukowinę, dokąd mu wybrana jego serca, wierna małżonka Magdalena z domu Mendychowska towarzyszy.

W Czerniowcach Morgenbesser przez długie lata jako koncypjent pracuje w biurze adwokata Gnoińskiego, nie zaniedbując przytem prac literackich. W ten to okres jego działalności literackiej przypadają sławne jego „dumki historyczne“, na tle zamierzchłych dziejów Bukowiny i Polski osnute. Nie pomogła pilność w pracy, nie pomogło wzorowe prowadzenie się politycznie skompromitowanemu. Mimo zdanego jeszcze w r. 1855 z celującym wynikiem egzaminu fachowego, otrzymał Morgenbesser pierwszą samoistną posadę rejenta w Sadogórze dopiero w 4 lata później, t. j. w r. 1859. Odtąd zaczyna się jego dola ziemska już stanowczo poprawiać, gdyż w trzy lata później widzimy go już na zastępstwie notarjusza Dra Rudigera a w r. 1866 zamianowanego samoistnym notarjuszem w Czerniowcach.

Jako młodzieniec walczył i cierpiał Morgenbesser za ideały polskie; jako dojrzały mąż budzi on życie umysłowe i społeczne Polonii bukowińskiej, zakładając w Czerniowcach dwa towarzystwa o niezmiernie ważnym charakterze narodowym: „Towarzystwo polskie bratniej pomocy“ i „Czytelnię polską“ (1869.) Za takie czyny obywatelskie zaszczycony zaufaniem rodaków w kraju i zagranicą, nie zaprzestaje Morgenbesser czynności literackiej; ale wydobywa z pyłu zapomnienia to, co dotąd bezużytecznie u niego w tece leżało, tworzy nowe prace a z sta-

rych, wyczerpanych w handlu księgarskim, urządza nowe nakłady.

Tą drogą powstała jako nowy utwór „Palestra“, zjawił się nowy nakład „Obrony Sokołowa,“ ale powstało niestety także „Zwycięztwo książki,“ nad którem to dziełem imieniem ofiarnej naszej braci, na zachodnich kresach zamieszkałej, jak najmocniej ubolewać i takowe jako szkodliwe dla polskiej idei potępiać musimy. Możeby i sam Morgenbesser, gdyby stosunki bialskie lepiej znał, niż ze samego posłuchu, powstrzymał był się od pisania takich rzeczy, jak „Zwycięztwo książki,“ mogące niezmiernie zaszkodzić uczciwej sprawie i zacnym usiłowaniom rodaków, na zachodnich kresach kraju zamieszkałych.

Osierocony po stracie najbliższych krewnych, osamotniony w pięć lat przed śmiercią swoją oddawał się śp. Morgenbesser z gorliwością z wiekiem prawie się potęgującą, studjom i pracom literackim. Ostatniemi jego dziełami, drukiem ogłoszonemi, są historyczne i historyczno-krytyczne prace: „Przyczynek do dziejów Mołdawii“ i „Kilka uwag o przyczynie upadku Polski.“ Sam wreszcie jako kłos dojrzały, ścięty nieubłaganą ręką śmierci, złożył spracowane kości do snu wiecznego (10. Lutego 1893), całą Polonię bukowińską śmiercią swoją żałobą okrywając, współczucie budząc w każdem sercu polskiem.

Biografia, streszczona umiejętną ręką Walentego Cwika, tak jest wyczerpującą, tak barwnym językiem napisaną, że czytelnik mimowoli oczy zamruża na szereg mimowolnych błędów drukarskich i pomyłek, z których osobną broszurkę zestawić by można. I tu po raz drugi powtarzamy: szkoda pięknego papieru na tak nieprawidłowy i lichy druk! Język autora czysty, miejscami kwiecisty nawet; w trzech tylko miejscach raziły nas zwroty, niemiłe dla ucha polskiego a których się na przyszłość wystrzegać wypada. Za niewłaściwe, kłócące się z zasadami Walickiego uważamy bowiem słowa i zwroty: „pompą“ zamiast: „przepychem“ (str. 24, w. 9), „miał miejsce“ zamiast: „wydarzał się“ (str. 30, w 4.) i „ilekroć razy“ zamiast: „ile razy“ (str. 43, w. 3.)

[„Dwa wieńce,“ poemat przez Leonarda Krzeczkowskiego. Kraków, 1892. Druk i nakład W. Korneckiego. 12stka. Stronic 82.]

Rzecz, przez nas pod powyższym tytułem omówioną, podzielił autor nakształt starych greckich i rzymskich epopei na pieśni. Naliczyliśmy takich pieśni aż dziesięć. Zaraz we wstępnej ucieka się autor pod obronę Matki Boskiej Częstochowskiej zapewne w tym celu, aby mu wybaczono nader liczne „częstochowskie“ rymy i wadliwe końcówki, któremi ten „poemat“ przepełniony. To już rzecz szanownego autora, jeśli nam lepszych ponad częstochowskie wiersze dać nie zdoła; ale niech znowu, odwoławszy się do swojej częstochowskiej protektorki, nie pisze:

„Tyś nam wieszcza Adama uzdrowiła cudem,
By śpiewał Twoją chwałę między Twoim ludem,
A gdy umilkły dźwięczne lutni Jego stróny,
Rozkaż, niech licha lira dźwięczne wyda tony
I niechaj gra bez przerwy. Przy niej lirnik siędzie,
A otarłszy łzy z oczu Tobie śpiewać będzie.“

Bo któż dzisaj uwierzy, że p. Krzeczkowski wybrany na bezpośredniego następcę nieśmiertelnego Adama, a choćby nawet skromniejszego o wiele, ale porywającego za serce Lirnika Mazowieckiego!

Autor obrał sobie za temat wyzyskiwanie ludu przez agentów emigracyjnych i popychanie włościan do ostatniej nędzy na podstawie obietnic, iż w Brazylii, dokąd ich sam Ojciec święty powołuje, będą mieli raj na ziemi. Rozczarowani, obrabowani — nim jeszcze do Ameryki dotrzeć zdołali — na galicyjskiej ziemi wychodźcy, wracają pod strzechę rodzinną. Z ogólnego zniszczenia i zagłady ocalone zostały tylko dwa wieńce ślubne dwóch młodych par: Jana i Maryli i Bolesława i Laury, oraz — nad czem najmocniej ubolewamy — ocalał cały wieniec częstochowskich rymów, zakazanych zwrotów i wadliwych końcówek, z których bodaj najgłówniejsze dla odstraszającego przykładu poniżej przytaczamy.

I tak rymuje autor: „wybrnie“ i „we dnie“, „prawda“ i „spada“, „tutaj“ i „hultaj“, „zgoła“ i „wieczora“, „powieki“ i „uciechy“, „powiem“ i „bo-

ję", „mówią" i „psują", „grobu" i „narodu", „Polaków" i „magnatów", „obnażał" i „ukazał", „zupełnie" i „pewnie", „pomagać" i „powiadać", „kończył" i „wtrącił", „kraju" i „wymagają", „ubrane" i „damy", „naród" i „na rok", „ciągnie" i „rozsądnie", „siłą" i „nieszkodliwą", „progu" i „grobu", „jako tako", i „mokro za to", „litościwy" i „zgniłej", „odwołać" i „spróbować", „pozwolił" i „zbroił", „formalnie" i „żandarmi", „ostrzejszym" i „pierwszym", „jechać" i „zaczekać", „osła" i „poszła", „wypróbować" i „wołać", „mogli" i „mogli", „wyrasta" i „baszta", „stanie" i „stanie", „jechał" i „czekał", pisze, nienaśladując wcale pod tym względem pisowni Mickiewicza: „tata" zamiast „taty", rymuje: „przy owej rozłęce" (zamiast „rozłące") i „te dwa wieńce" a do rymu: „krzesła" zapotrzebowuje, zniewolony rymem: „niesła" zamiast poetyczniejszego o wiele „niosła".

Przypominamy autorowi starą sentencję: „Znaj siebie samego" z tym dodatkiem, że kto wierszem nie włada, ten go zupełnie zarzucić i uczucia i myśli swoje wyłącznie prozą wyrażać powinien, bo gdyby tak „licha (oj! bardzo licha nawet!) lira" p. Krzeczkowskiego „bez przerwy nam grała" —, to wkrótce każdemu z nas bawełną uszy sobie zatkać by wypadało.

[99999. Heitere Gedichte von Albert Zipper. Leipzig, 1894. Verlag von Gustav Körner. Druck von Wilhelm Zukerkandel in Złoczów. 102 numerowanych stronic. 16stka.]

Zbiorek humorystycznych poezyj, wydanych pod tym tytułem, uważam niejako za uzupełnienie zbioru poważniejszych, o których poprzednio wzmiankę uczyniłem. Lekkością słów i tonu wyszczególniają się wszystkie, choć nie wszystkie może jednakową wartością. Czasem usiłuje autor w zakończeniu zwrotów naśladować Heinego, co się mu miejscami dosyć szczęśliwie udało. Niektóre z tych poezyj — zdaje nam się jednak — nadałyby się więcej dla poufnego kółka rzeczoznawców, niż dla szerszej publiczności. Znachodzi się tu także przekład z Mickiewicza i nuta naśladowana z Bartelsa, z oryginalnych

wierszów wymieniamy jako osobliwsze w swoim rodzaju: „Pinkas Meier der Antisemit“, „Die Schwaben und der Teufel“, „Eheliche Tragödie“, „Hinüber — herüber“, oraz: „Die dankbaren Dioskuren.“

[Franciszek Szymusik. O reformie podatków osobistych w Austrji. Zeszyt drugi. Kraków, 1894. Nakładem J. M. Himmelblaua a czcionkami drukarni związkowej. Mała ósemka. Stronic 127.]

Autor, znany w szerszych kołach z prac w zakres skarbowości wchodzących, wydał pod tytułem przez nas przytoczonym, drugi zeszyt cennych swoich badań i studjów na polu prawniczo-skarbowem. Dokładnie streszczając wszystkie punkta w zaprojektowanej przez rząd reformie podatkowej, objaśnia on takowe gdzie trzeba uwagami o dodatnich lub ujemnych stronach nowego projektu. Rzecz zaleca się przystępnym i zrozumiałym dla ogółu stylem.

[Seweryna Duchińska. Z tułactwa. 1864—1893. Lwów, 1893. Czcionkami drukarni ludowej. Mała ósemka. Stronic numerowanych 179.]

Każdy nowy tom poezyj zasłużonej autorki, natchnionej poetki polskiej, którą całe społeczeństwo poważa, słusznie budzi zainteresowanie u ogółu bądźto prześliczną formą, bądź głębokością myśli patrjotycznej, bądź urokiem poezji, która wszystkie te utwory owiewa i chętnie nawet drugi i trzeci raz nam to czytać i powtarzać każe, cośmy już gdzie indziej czytali lub słyszeli. Tak też ma się rzecz i z obecnym tomikiem. Nie wszystko tu jest nowe lub nieznane nam, np. takie „Do widzenia w Kijowie“ albo drugie, zatytułowane: „Pamięci Agatona Gillera“ — widzieliśmy je bowiem już gdzie indziej.

Zmarnowalibyśmy również czas bezużytecznie i zapędzilibyśmy się za daleko, gdybyśmy każdy z tych prześlicznych wierszów z osobna rozbierać i co do treści zbadać chcieli. Wystarczy naszym czytelnikom zapewnienie, że Polska jest pierwszą i ostatnią myślą tych wszystkich poezyj. W stu rozmaitych barwach i kształtach wraca jednolita: czy to, aby hołd oddać przeszłej wielkości, aby się zagłębiać w dzieje ojczyste; czy to, aby uwielbiać wieszczów narodu; czy to, aby zniweczyć osławiony

zarzut: „Finis Poloniæ“; czy to aby potwarcom narodu należytą dać odprawę; czy wreszcie aby małodusznym dodawać otuchy.

Motto autorki wypowiada tę myśl:

„W długoletniej klęsk powodzi
My nie padli! powiedz, czemu?
Bo my duchem wiecznie młodzi
Kraj kochamy po staremu.“

A kochając ten kraj „po staremu“, odpowiada też Duchińska petersburskim potwarcom panslawistycznym wierszem niezmiernie charakterystycznym i silnym: „Będę psem!“ Dla wrogów imienia polskiego mieszczą jej wiersze przestrogi a dla nieustraszonych bojowników Polski zachętę, gdzie zaś ten lub ów szermierz wątpić i chwiać się zaczyna, jak hr. Krystyn Ostrowski w wierszu swoim: „Væ victis“ — tam spieszy się autorka, to „vae“ niebawem w „gloria“ przemienić i z głębi duszy zawołać: „Gloria victis!“

Przytoczeniem rzeczonego wiersza jako kwintesencji wszystkich jej myśli, zamkniemy też niniejsze sprawozdanie.

Gloria victis!

(*Odpowiedź hr. Krystynowi Ostrowskiemu na wiersz „Vae victis.“*)

Jeśli naród w doli twardej
Pod jarzmem upada,
Niech świat woła pełen wzgardy:
„Zwyciężonym biada!“
Gdy swą przeszłość naród plami,
Przyszłych dróg nie bada,
W sojusz wiąże się z wrogami,
Zwyciężonym biada!
Gdy po długich klęsk kolei,
W obłędzie szalonym,
Zrzekł się wiary i nadziei,
Biada zwyciężonym!
Lecz gdy naród pod obuchem
Żyje wciąż i działa,
Krzepki sercem, wolny duchem;
Zwyciężonym chwała!

Gdy w stuletnie zwarty kleszcze
Świętym ogniem pała,
Ufa jeszcze, wierzy jeszcze,
Zwyciężonym chwała!
Słońce nasze nie zagasło,
Brakłoż mu promieni?
Wnet posłyszym wielkie hasło:
Górą zwyciężeni!

[Wspomnienia z 29cioletniego pożycia z mężem moim 1864—1893, przez Sewerynę Duchińską. Paryż, 1894. Czcionkami Adolfa Reiffa. Mała ósemka. Stronic numerowanych 263.]

Na świeżej mogile zasłużonego społeczeństwu pisarza i ukochanego męża, kreśli autorka te wspomnienia. Że cała rzecz dosyć subjektywnie zabarwiona — nie dziwota; bo to żona poświęca wspomnienie mężowi, literatka literatowi. Duchińska nie należy do zwykłych, poziomych charakterów kobiecych, których serca lada gładka fizjonomia, lada pochlebne słówko podbić by mogły.

Uwielbiając nie powierzchowną piękność i gładkie znalezienie się, ale zasługi i talenta profesora Franciszka Duchińskiego, Kijowianina, wyszła jako wdowa za mąż za niego; w nim widziała i widzi dotąd ideał męża, swego męża szczególnie, a może przesadza w skromności swojej i poniża własne talenta, jeśli o nim pisze:

„Nim Ty zażegnasz na polskiem niebie
Mar nocnych ślady,
Niech świecę blaskiem odbitym z Ciebie
Jak miesiąc blady.
A gdy moc prawdy na wieków łonie
Mgły poroztrąca,
W słońcu Twej chwały niechaj utonie
Promień miesiąca!“

„Wspomnienia“ Seweryny Duchińskiej mają formę dziennika, w który autorka rok po roku w chronologicznym porządku przez przeciąg 29ciu lat zapisywała najważniejsze zdarzenia swego życia, z tą tylko różnicą, że w tym opisie nie sama i nie samoistnie występuje, ale działając wspólnie z mężem.

W tym też duchu całe dzieło Duchińskiej streszczone; więcej o wiele znajdziemy tam wzmianek o działaniu literackiem i pracach śp. Duchińskiego, niż o niej samej. Szeroko rozwinięta tu teorja Duchińskiego, przeciwko panslawizmowi skierowana, która napotykała nieraz na zacięty opór, ale znalazła także zwolenników i obrońcow w osobie Kinkla, Henryka Martina i innych. Książka Duchińskiej zawiera bardzo wiele cennego materjału nietylko dla literata, ale także dla przyszłego dziejopisarza a przecież nie możemy jej nazwać ściśle historycznem dziełem, gdyż zbyt subjektywnie streszczona. Nie ujmuje jej to jednak pod innym względem wartości, a dla inteligentnego czytelnika zawsze będzie miało powab to, co Duchińska pisze o Kraszewskim, Polu, Lenartowiczu, Bohdanie Zaleskim, Wójcickim, Żulińskich i innych głośnych pisarzach, z którymi w bliższych pozostawała stosunkach.

[Mamin synek, powieść oryginalna S. Graybnera. Lwów, 1894. Nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza, a czcionkami drukarni polskiej. Mała ósemka. Stronic 409.]

Mamy dwa rodzaje synków maminych: jednym uchodzi wszystko złe bezkarnie skutkiem błędnego wychowania. Matka bowiem nie ma odwagi, skarcić występki nikczemnego i zepsutego pieszczocha, a bierze nawet jawnie udział w zbrodniach synka, któremu wszystko bezkarnie uchodzi; drugi rodzaj „maminych synków“ to takzwani mazgaje. Dobre skłonności przygłusza i przytępia u nich w samym zarodku zbytnie rozpieszczenie i mazgajowatość.

Takiego to właśnie „synka maminego“ przedstawia nam w niezrównanej powieści swojej Graybner. August Turski, młody i bogaty dziedzic kilku wiosek, posiadający uczciwe serce i dobre przymioty, wychowany został przez matkę zbyt pieszczotliwie jak panienka, zamiast zawczasu zahartować go w szkole życia. Matka sama — zdaje się — choć poniewczasie, spostrzegła ten błąd, bo na łożu śmiertelnem poleciła młodzieńca opiece starszego i doświadczeńszego towarzysza, Zygmunta Lubicza, którego siostra Aniela szczerym i serdecznym promieniem miłości nieudanej zapałała ku Guciowi.

Na nieszczęście swoje August Turski wyłamuje się z pod opieki wiernego przyjaciela, dawszy się obałamucić wyrafinowanej kokietce Kamilli Zahorskiej, z którą się węzłami małżeńskiemi połączył. Odtąd kroczy on już bez przerwy po drodze pochyłej ku upadkowi swojemu. Zdradzony kilkakrotnie przez żonę i przez fałszywego przyjaciela Wagnera, traci dziecko jedyne, traci majątki swoje jeden po drugim, staje się dla zaspokojenia wzburzonych nerwów morfinistą i tolerowanym z łaski zbrodniczej pary komornikiem w własnym domu.

Nie pomagają już przyjacielskie usiłowania Lubiczów, aby go wyrwać z toni, nie pomaga wspaniałomyślny zapis Anieli, uczyniony na łożu śmiertelnem w tym celu, aby uregulować stosunki pieniężne Turskiego i wykupić Nadbużne z rąk Wagnera. Powieść — jak z góry przewidzieć można było — kończy się tragicznie, Turski w przystępie obłąkania strzela z dubeltówki na żonę i niewiernego przyjaciela, kalecząc ich w sposób okropny, sam zaś kończy dnie swe w zakładzie dla obłąkanych.

Wszystkie charaktery tej powieści z prawdą życiową opisane, drastyczne sytuacje, których nie zawsze uniknąć można było, łagodzone o ile można.

[Walenty Ćwik. Kult pamięci Adama Mickiewicza w Karolowych warach. Czerniowce, 1894. Nakładem a drukiem H. Czoppa. Dochód przeznaczony na rzecz pomnika Adama Mickiewicza w Karlsbadzie. Stronic numerowanych 30.]

Bardzo dodatnie i miłe wrażenie wywołuje ta książeczka, poświecona pamięci naszego Adama. Autor opisuje pobyt Mickiewicza w Karolowych warach w r. 1829 i hołd aczkolwiek późno, bo dopiero po 41 latach oddany jego pamięci za pomocą księgi pamiątkowej, w którą się rodacy zapisują. Obecnie z grona tychże rodaków wyszła myśl uczczenia pamięci nieśmiertelnego wieszcza pomnikiem w Karolowych warach, na który też cel autor, znany ze swego patrjotyzmu i ofiarności dla spraw publicznych, dochód z rozprzedaży swego dziełka przeznacza.

Sambor, 18. Marca 1895.

G. Kohn.

Sprawozdanie z czynności moich.

Zamykając spis artykułów literackich, w obecnem wydawnictwie zawartych, składamy równocześnie jako dochód z tegoż wydawnictwa 30 złr. na rzecz Towarzystwa św. Wincentego à Paulo i tyleż na rzecz Towarzystwa Bursy w Samborze. Oraz przepraszamy jak najmocniej tych wszystkich współpracowników, których prace z braku miejsca tu już nie mogły być umieszczone i zostały się na potem; tak samo autorów i wydawców, których dzieł z braku miejsca i czasu w obecnym roczniku ocenić nie można było. Niektórzy autorowie z braku czasu opóźnili się także z nadesłaniem bądźto artykułów, bądźto illustracyj. Dla przyszłego rocznika zapowiadam już teraz opóźniony przekład powieści patrjotycznej Gaudy'ego p. t. „Rocznica". Przekładu tego podjął się dzielny nasz współpracownik Władysław Krzyworóg.

Sambor, 18. Marca 1895.

G. Kohn,
redaktor i wydawca „Roczników Samborskich."

Treść.

Spis ważniejszych pomyłek.

W pewnej części nakładu na str. 62. na dole wydrukowano przez pomyłkę: „Wydawanie ob iad“ zamiast: „Wydawanie obiadu.“

Str. 199, w. 32 zam. wsystkie, czytaj: wszystkie.

Str. 203, w. 38 zam. we Lwewie, czytaj: we Lwowie.



„Powstanie Narodu i przysięga naczelnika Tadeusza Kościuszki w Krakowie dnia 24. Marca 1794“ (obraz Michała Stachowicza, tekst na str. 102.)

Spis przedpłacicieli.

Biała i powiat: Dr. Bogdanik 2, Dr. Jan Cieszyński 2, Czytelnia Polska 3, Dr. Bernard Ichheiser 3, Tobiasz Itzkowitz 1, Krysta 3, Jerzy Piwocki, ck. Starosta 2, Dr. Józef Szmetterling 1, Dr. Edward Stiasny 3 i Stowarzyszenie wzajemnej pomocy 2 w Białej, Dr. Gąsiorowski 3, Dr. Nowak 3 i Antoni Polaszek 3 w Oświęcimiu.

Bilsko(na Szlązku:)Bracia Fijałkowscy 1 w Bilsku.

Bochnia: Zygmunt Fertig 3 i ks. Franciszek Lipiński 2 w Bochni.

Borszczów: Michniewski 3, Karol Mühlner, ck. Starosta 3, Michał Nowacki 2, Antoni Rarogiewicz 2, Władysław Ścisłowski 2 i Teofil Witosławski 3 w Borszczowie.

Bóbrka: R. Adamski 2, Stanisław Frankowski 2 i Hilary Wanke 2, burmistrz w Bóbrce.

Brody i powiat: Franciszek Adlof (c. z.) Dr. Maurycy Braun 2, Stanisław Burstyn 3, Dawid Judenfreund 2, Hirsch Kapelusz 1, Młyn parowy 1, Leon Ochs 1, Stanisław Papée 2, Władysław hr. Russocki, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa 2 i Stanisław Tokarski 2 w Brodach, Oktaw Sala 1 w Wysocku.

Brzesko i powiat: Dr. Piotr Górski 2, Dr. Ludwik Parvi 3, Edmund Romer, ck. Starosta 3 i Ludzimił Trzaskowski 2 w Brzesku, ks. Franciszek Lacroix 2 († 1894 $^{14}/_{9}$ licząc 71 lat w Radłowie.)

Brzeżany: Kornel Freund 2, Łucjan Marynowski 2, Karol Morwitz 3, Władysław Nahlik 2, Alojzy Paulo 2 i Herman Sigall 2 w Brzeżanach.

Buczacz i powiat: Dr. Ausschnitt 2, Mieczysław Burzyński 3, Wilhelm Byk 2, Dr. Dębicki 2, Dr.

Mieczysław Hirschler 2, Kolankowski 3, Dr. Józef Kroo 2, Dr. Edward Krzyżanowski 3, Kornel Lewicki 2, Emil hr. Potocki 2, Dr. Emanuel Reis 3, Emil Schutt, ck. Starosta 2, W. Stojowski 3, Konstanty Teliszewski 2, Towarzystwo Łączność 1, Wydział powiatowy 3 w Buczaczu, Wilhelm Lifschitz 2 i Amalia Smolikowa w Monasterzyskach.

Chrzanów: Kamila Sporyszowa w Chrzanowie.

Cieszanów i powiat: Stanisław Długoszowski 3, Gilewicz 3, Kawecki 2 i Towarnicki 2 w Cieszanowie, Friser 3, ks. Jabłonowski 3 i Józef Kapko 3 w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie:) Jan Kamiński 2, Władysław Sołtyński 3 i Antoni Sworakowski 3 w Czerniowcach.

Czortków: Dr. Diamant 1, Hołubowski, ck. radca sądu 3, A. Kostecki 2, Dr. Stöckl 3, Antoni Wybranowski, ck. Starosta 2 i Władysław Zawadzki 1 w Czortkowie.

Dobromil: Dr. Ludwik Ćwiklicer, burmistrz 2, Józef Mikułowski 2 i Dr. Tigerman 2 w Dobromilu.

Dolina: Dr Józef Dobrowolski (c. z.) i Dr. Henryk Rosenbusch 2 w Dolinie.

Drohobycz: Dr. Apfel 3, Dr. Fruchtman 3, Dr. Marek Tigerman 1, Jan Tyrowicz 1, Ignacy Wierzbicki 2 i Franciszek Zych 3 w Drohobyczu.

Gorlice i powiat: Michał Baranowicz 2, Wilhelm Kahl 4, Józef Kuzia 2, Dr. Neuman 2, Jan Noskiewicz 1, Dr. Radomyski 1 i Marceli Wiśniowski 2 w Gorlicach, Wilhelm Fussek 1 i Ludwik Klemensiewicz, ck. radca sądu 1 w Bieczu.

Gródek: Adolf Henze, Ignacy Hescheles 1, A. Lippus, burmistrz 1 i Hieronim Zahradnik 2 w Gródku.

Grybów: Alojzy Muszyński 3 i Jan Zacharjasiewicz 2 w Grybowie.

Horodenka: M. Berlas 1, ks. Kosiński 2, Dr. Henryk Markus 2, Julian Neuburg 2, Robacki 2, Kornel Strasser, ck. Starosta 1 i Tytus Zulauf 2 w Horodence.

Husiatyn i powiat: ks. Bojarski 2, Dr. Henryk Natansohn 2 i ks. Szamocki 2 w Husiatynie, Dr. Józef Braun 2, Marjan Glazarewicz 3 i Norbert Lorsch 3, ck. emerytowany Starosta w Kopeczyńcach.

Myślenice: Dr. Emil Adelmann 2, Karol Fetter, ck. Starosta 2, Dr. Mikołaj Klakurka, burmistrz 2, Szczęsny Płatkowski 2 i Wydział Rady powiatowej (2 egzemplarze) 2 w Myślenicach.

Nisko: Dr. W. Dundaczek 1, Leopold Hendrich, ck. Starosta 1, Kazimierz Jagoszewski 2 i Dr. Alojzy Löwy 2 w Nisku.

Nowy Sącz i powiat: Dr. Karol Dawid 2, Dr. Maurycy Körbel 1, Roman Pisz 3, Feliks Ritter 3, Karol Sabuda 2, Dr. Henryk Wąsikiewicz 3, Wiktor Wyszyński 1 i Zagrodzki 2 w Nowym Sączu, Dr. Gawełkiewicz 3 w Starym Sączu.

Nowy Targ: Dr. Ernest Geissler 4, Gmina Nowego Targu 4 i Dr. Kazimierz Nowotny 1 w Nowym Targu.

Podhajce: Dr. Bogusław Ambroziewicz 1, Bronisław Dumnicki 1, Dr. Lidechower 2, Dr. Kazimierz Pawlikowski 2 i Żegestowski 2 w Podhajcach.

Przemyśl i powiat: Dr. Bieńczewski, ck. radca sądu 1, Dr. Blumenfeld 2, Natan Citron 1, G. Dawid 2, Dr. Doliński 3, M. Dornwald 3, Dr. Aleksander Dworski, burmistrz miasta 3, Franciszek Gamski 3, Dr. Bernard Gans 2, Dr. Jakub Glanz 2, Dr. Goldfarb 2, Dr. Hillel 3, Celestyn Jaworski 3, F. Kwaśniewski 3, Dr. Mendrochowicz 1, Dr. Rosenbach 3, Andrzej Skala, ck. emerytowany radca sądu 3, Dr. Skórski 3, Henryk Słotwiński († $^{15}/_{12}$ 1894, licząc 62 lat) 2, Dr. Smutny 3 i Dr. Tarnawski 3 w Przemyślu, Kriegseisen 2 w Niżankowicach.

Rawa ruska i powiat: Karol Argasiński 1, Fryderyk Mayer 2, Dr. Segal 2, Julian Szumlański, ck. Starosta (c. z.) i Hipolit Zawzięty 3 w Rawie ruskiej, Bolesław Andruszewicz 3 w Krzemionkach, Michał Janicki 1 i B. Kibitz 3 w Uhnowie.

Rohatyn: Władysław Manasterski 3 w Rohatynie.

Rudki i powiat: Adolf Bieniecki 2, Stanisław Dembowski 2, Jan Smołucha 2, ks. Antoni Sos 1 i Świtalski, ck. Starosta 2 w Rudkach, Albin Rayski 1 w Michałowicach, ks. Frydel 2, Waniek 1 i Hipolit Wąsowski 2 w Komarnie.

Rzeszów: Dr. R. Als 3, Dr. Barzycki 2, Dr. Fechtdegen 3, Kalinowski 3, Dr. Lecker 2, Dr. S. Reich 3, Dr. Überall 2 i Dr. Zbyszewski 3 w Rzeszowie.

Sambor i powiat: Dr. Aleksandrowicz 1, Józef Aleksiewicz 3, Dr. Biegelmayer 3, Bronisław Bukietyński 1, ks. Jan Dornwald (c. z.), Michał hr. Dzieduszycki (c. z.), Gendzieński 1, Giżowski 1, Głogowski 2, Karol Hanik 3, Ludwik Hoeffer 2, Hryniewiecki 1, Dr. Jirzyczek-Maciejowski 3, Jan Kapuściński 2, Wilhelm Kasparek 2, Kerekjarto 2, Karol Kielawa 1, Dr. Adolf Klauber 1, G. Kohn 3, Emilja Kubińska 1, Józef Lehrmann 1, Władysław Madeyski 3, Bronisław Mański 1, Karol Negrusz 2, Dr. Omeiss 1, Dr. Ignacy Petelenz (c. z.), Józef Petz 2, Jan Polański 2, Przetocki 2, ks. Franciszek Rabiej 1, Alojzy Schneider 3, Dr. Władysław Skalski 3, Dr. M. Spindler 1, Apollinary Staszewski 1, Towarzystwo Bursy 2, Uhma 1, Zdzisław Wawrausch 1, Dr. Witz 3, Zacharjasiewicz 1, Eustachy Zajączkowski († 1894) 3 i Alfred Zoffal 1 w Samborze, Dr. Dolański 2 w Rakowej i M. Lipowska 2 w Wykotach.

Sanok i powiat: Adamczyk 2, Dr. Bendel 1, Dr. Goldhamer 3, Kazimierz Lipiński 2, Marcelina Lissówna, Puszczyński 1, Rudkiewicz 2, Sławiński 2, Staruszkiewicz 2, Leon Studziński, ck. Starosta i Radca Namiestnictwa 3 i Ludwik Świerczyński 3 w Sanoku, Dr. Krzyszkowski 4 i Rzewuski 2 w Rymanowie.

Skałat i powiat: Dr. Tadeusz Biliński (c. z.) w Skałacie, Emil Burdowicz 2, Dr. Dawid 2, Natan Katzner 2, Aleksander Kruh 2, Herman Ostersetzer 3, Schwager 2 i Wiesel 2 w Podwołoczyskach.

Śniatyn i powiat: Józef Arvay, ck. Starosta 3, A. Pohorilles 1, Dr. Rosenheck 2, Stupnicki 3, Józef Theodorowicz 1 i Waltenberger 1 w Śniatynie, Eugeniusz Baar 1, Józef Fiedler 1, Adolf Schapira 2 i Adolf Sichower 1 w Zabłotowie.

Sokal i powiat: Bruno Eitelberg (c. z.), Dr. Filipowski 2, Dr. Samnel Fränkel 3, Dr. Wincenty Głowiński 2, Antoni Makarewicz 2, H. Rauch 3, Dr. Wejda (c. z.), Franciszek Wolski 3 i Eugeniusz

Jarosław: Edward br. Brunicki 2, Edward Damısk 2, Droba 3, Dr. Władysław Grabowski 2, Dr. Meisels 2, Dr. Münz 2 i Dr. J. Ruczka 2, w Jarosławiu.

Jasło i powiat: Dr. R. Adamski 2, Edmund Doening 2, Dr. Feliks Gaszyński (c. z.), Antoni Korlakowski 2, Jakub Polak, Karol Prochaska 2, Klemens Sieńkiewicz i Dr. Steinhaus 2 w Jaśle, Zygmunt Głembocki 2 i Florjan Obmiński 2 w Żmigrodzie.

Jaworów i powiat: Józef Bernstein 2, Dr. Hibl 2, Dr. Czesław Niewiadomski, ck. Starosta 2, Ferdynand Paar, burmistrz 2 i ks. Turzański 2 w Jaworowie, hr. Szeptycki 1 w Przyłbicach.

Kałusz i powiat: Baczyński 2, Juliusz Majewski, c. k. Starosta 2, Przestalski 3, Dr. B. Wittlin 3, Komornicki w Zawadce 2.

Kamionka Strumiłowa i powiat: Dr. Krówczyński 2, Hipolit Neuman 1, Szawłowski 2, ks. Ziemiański 1 w Kamionce Strumiłowej, Dr. Małaczyński 2 i Marceli Tustanowski, ck. radca sądu 2 w Busku, Dr. Brand 2, Robert Kuhnen 2 i Z. Więckowski 2 w Radziechowie.

Kołomyja: Dr. Allerhand 2, Józef Funkenstein 3, Dr. Głaczyński 3, Kubisztal 1, Machalski 1, Bohdan Mardyrosiewicz 2, Dr. Milgrom, Dr. Władysław Piaskiewicz 2, Dr. Rittigstein 3, Dr. Schuster 2, Dr. Sysak 2, Dr. Trachtenberg 1 i Dr. Zipser 3 w Kołomyi.

Kosów: Bursa 3, Dr. Antoni Coghen 3, Włodzimierz Łuszpiński 3, Paliwoda 2 i Hipolit Sabat, c. k. Starosta 3 w Kosowie.

Kraków: Włodzimierz Borkowski 2 (zapł. 3 zł.) Estreicher 3, Dr. Leon Horowitz 3, Dr. Michał Ichheiser 3, Jan Lipka 4, M. Piekosińska 3, Zygmunt Resch 3, Dr. Schornstein 3, ks. Justyn Szaflarski (c. z.), Dr. Maurycy Wechsler 2, Dr. Wolff 3, Józef Wyrobek 2 i Dr. Zoll 3 w Krakowie.

Krosno i powiat: Kadyi 2, Pilecki 2 i Towarzystwo „Zgoda“ 2 w Krośnie, Dr. Agatstein 1 i Florjan Minkusiewicz 1 w Dukli.

Limanowa: Zygmunt Mars (c. z.) i Wincenty Potocki 3 w Limanowej.

Lisko i powiat: Freysinger 2, Dr. Jacek Jabłoński 3, Dr. Jurkiewicz 2, Kościński 2, Franciszek Ślączka 2, Dr. Jan Strutyński 2, Józef Szwedzicki 2 i Antoni Wilecki 2 w Lisku, Dr. Roman Lenartowicz 2 w Ustrzykach dolnych i Kazimierz Stein 1 w Hoszowie.

Lwów i powiat: Bank kredytowy 3, Mikołaj Bańkowski 2, Mieczysław Barth 1, Dr. Salamon Bund 3, Dr. Emil Byk 3, Józef Chołodecki 3, Seweryn Chrząszczewski 3, Dr. Adam Cząstecki 2, Dr. Czeszer 3, Dr. A. Czołowski 1, Dominik Derdacki 3, Józef Diamand 2, Adolf Frank 3, Garczyński 2, Herman Garfein 3, Gnoiński 2, Dr. Goldman 3, Dr. Gottlieb 3, Grabiński 3, Dr. Gross 3, Dr. Herschman 2, Dr. Holzer 3, Samuel Horowitz 3, Dr. Horvath 2, Józef Howorka 3, Dr. Jekeles 3, Dr. Maurycy Kahane 2, Klipunowski 3, Wł. Kostro 2, Dr. Włodzimierz Krosiński 1, Leopold Kukawski 3, Dr. Salamon Landesberger 1, Dr. Edward Lilien 3, Dr. Leszek Majewski 1, Dr. Godzimir Małachowski 2, ks. Jakub Mardyrosiewicz 3, Jerzy Mayer 3, Dr. Adolf Menkes 1, Jakub Piepes 3, Piszek 2, Dawid Posner 3, Dr. Albert Reis 1, Dr. Jakub Reis 1, Juliusz Reiss 3, Zygmunt Richtmann († 1894) 3, W. Rutkowski 2, Dr. Schaff 3, Wilhelm Schayer, c. k. radca budownictwa 2, Dr. Skałkowski 3, Karol Sklepiński 3, Bronisław Sokalski 3, Dr. Steczkowski 2, Franciszek Szymusik (c. z.), Dr. Bernard Tenner 1, Dr. Till 3, Dr. Weiss 3, Jan Welichowski 3, Jan Wewiórski 3, Witosławski 3, Liberat Zajączkowski 3 i Franciszek Zima 2 we Lwowie, Drowa. Akierowa 2, Stanisław Matkowski 2 i Stanisław Wolański 1 w Szczercu, Zygmunt Groblewski 2 w Winnikach.

Łańcut i powiat: Piotr Przybylski 2, Dr. Szpunar 2 i Adam Wolski 2 w Łańcucie, Stanisław Szaynowski 1 w Przeworsku.

Mielec: Dr. Henryk Brandt 3, Kasyno 2, Antoni Matejko 2, Andrzej Pawlikowski 3, Stanisław Schabbus 2 i ks. Smetana 2 w Mielcu.

Mościska: Czauderna 1 i Dr. Pisek 1 w Mościskach.

Wysoczański 2, burmistrz w Sokalu, Karol Chudzik 2, Adolf Gross 2, Kuryś 2 i Mieczysław Musiał (c. z.) w Bełzie, Nuchim Reiss 2 w Budyni i Feiwel Taube 2 w Tuczkowie.

Stanisławów: Kajetan Kopacz 2, Dr. Edmund Lorsch 2, Jonasz Sokal 2, Stachiewicz 3, Dr. Walery Szydłowski, burmistrz miasta 3, Juliusz Turczyński 3 i Ignacy Zdrassil 3 w Stanisławowie.

Stryj: Justyn Czapelski 1, Dr. Leon Fink 2, Dr. Filip Fruchtman 3, Wilhelm Jonasz 2, Józef Kosterkiewicz 3, Konstanty Lechicki 3, Marceli Manasterski, ck. Starosta i Radca Namiestnictwa 3 i Opolski 3 w Stryju.

Tarnobrzeg i powiat: Dr. Wilhelm Reben 2, Dr. Wiktor Reichman 2, Dr. Teofil Sozański, ck. Starosta 2 i Michał Torski 2 w Tarnobrzegu, Garfunkel 2 w Nadbrzeziu, Kazimierz Gajewski 2 i Kasyno 2 w Rozwadowie.

Tarnopol i powiat: Dr. Binder 1, Natan Blaustein 1, Klemens Chłędowski 2, Teofil Dujanowicz 2, Friedman 3, Antoni Giedrojć 1, Hauswald 2, Dr. Jakub Horowitz 1, Józef Ingwer 4, Marjan Krzyżanowski 2, Dr. Michał Landau 2, Maurycy Maciszewski 1, Emil Michałowski (c. z.), Antym Nikorowicz 2, Dr. Marek Parnass 2, Ludwik Piątkiewicz 3, Dr. Stanisław Pohorecki 2, J. Roguski 3, Dionizy Schalit 2, Bernard Schütz 2, Alfred Silkiewicz, Towarzystwo obywatelskie 1, Dr. Tadeusz Trzcieniecki (c. z.), Jan Winiarz 2 i Jan Żurakowski 2 w Tarnopolu i Leon Willner 3 w Białej pod Tarnopolem.

Tarnów: Dr. Apfelbaum 2, Wilhelm Engländer 2, Dr. Gałecki 3, Dr. Glaser 2, Dr. E. Goldhamer 3, Dr. Kronhelm 2, Władysław Lech 1, Dr. Lerner 2, Dr. Herman Merz 3, Leopold Płaziński, ck. Starosta i Radca Namiestnictwa 3, Dr. Ringelheim 3, Karol, Rudolf 3, Narcyz Sikorski 1, Karol Smolik 1 i Dr. Stanisław Stojałowski 3 w Tarnowie.

Powiat tłumacki: Franciszek Szelewski 3 i Wischański 2, ck. radca sądu w Tyśmienicy.

Trembowla: Berchard 3, Bertoni 2, ks. Kaliniewicz 3, († w Grudniu 1894 licząc 80 lat), Dr. Julian Olpiński, burmistrz miasta 3 i Wasilewski, ck. Starosta w Trembowli.

Wadowice: Karol Franz, ck. Starosta 2, Dr. Jan Iwański, burmistrz 4 i Dr. Stanisław Łazarski 4 w Wadowicach.

Wiedeń: Bernard Kohn 3 we Wiedniu.

Wyżnica (na Bukowinie:) Józef Rudkowski (c. z.) w Wyżnicy.

Zaleszczyki: Antoni Gross 3, Szymon Kajetanowicz, burmistrz 4, Józef Pfau 2, Dr. Stoklasa 2 i Stowarzyszenie „Gwiazda“ 2 w Zaleszczykach.

Zbaraż: ks. Laetus Olszewski 1 i Antoni Petter 2 w Zbarażu.

Złoczów i powiat: Emil Bierzyński 1, Dr. Billet, burmistrz miasta 3, Józef Dobrowolski 2, Dzundza 3, Dr. Misky 3, Wilhelma Niedźwiedzka 3, Dr. Franciszek Roder, ck. Starosta 1 i Stanisław Wesołowski 3 w Złoczowie, Jezaja Münz 2, ks. Piątkowski 2 i Dr. Leon Reis 2 w Olesku.

Żółkiew i powiat: Jan Czeżowski, ck. Starosta 3, Feliks Faliszewski 2, Józef Hejda 2, St. Kruszelnicki, ck. radca sądu 2, Dr. Włodzimierz Maciulski 1 i Tadeusz Ponikło 1 w Żółkwi, Michał Sawicki 2 w Kulikowie, Adam Obertyński 2 w Nowemsiole, Jan Obertyński 1 w Udnowie i Romuald Rzepecki 1 w Dzibułkach.

Powiat żydaczowski: Norbert Mokrzycki 2, Karol Szulisławski 2 i Zaremba 2 w Mikołajowie, Dyrekcja zakładu sierót 1 w Drohowyżu, d'Abancourt 2 i Tyszkiewicz 2 w Żurawnie.